

NOVAE RES



LO
LA

ALEKSANDRA BIAŁCZAK

Aleksandra
Białczak

LOLA



NOVAE RES

Serdecznie dziękuję przyjaciołom i moim rodzicom za wsparcie, bez którego nie byłoby „Loli”.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Epilog](#)

Rozdział 1

- Lola.

Dostrzegam minimalne uniesienie brwi. Jeżeli nawet przez chwilę chciał zareagować - nie robi tego. Najwyraźniej nieszczególnie przejmuje się moją odpowiedzią. Nie połknął haczyka i wciąż zdaje się być wyzuty z jakichkolwiek emocji.

- Ile masz lat?

- Z tego, co wiem, niegrzecznie jest pytać kobietę o wiek - chichoczę.

Na pierwszy rzut oka jego twarz jest zupełnie pozbawiona wyrazu. Jakby był absolutnie skupiony na jakimś niewidzialnym punkcie zawieszonym pomiędzy nami. Po chwili zauważam jednak niebezpieczne drganie kącika ust. Przenoszę wzrok na jego przecięte pionowymi zmarszczkami czoło. Wyobrażam sobie wstążkę potu, kierującą się aż do czubka nosa, kapiącą z niego jak woda z niedokręconego kranu.

- W takim razie powiedz mi, proszę, dlaczego tu jesteś.

Nagle brakuje mi tchu. Wyglądam przez okno znajdujące się za jego plecami. Wysoko w górze wisi szare,

pozbawione życia niebo, przy samej szybie kłębi się gęsta mgła. Owija swymi okrutnymi mackami ściany, przypominając pozbawionego kształtu demona, usilnie próbującego zmiążdżyć budynek w objęciach.

Odrzucam głowę do tyłu, przymykam oczy. Rozsiadam się w niskim, brązowym fotelu, jak gdyby był złocistym tronem, a nie wgniecionym mebelkiem z promocji, który co dzień musi słuchać żalących się nastolatków. Ciekawe, czy chciałby być gdzie indziej. Mogłabym się z nim zamienić. Dożywotni dostęp do darmowego kabaretu, czego chcieć więcej.

Splatam dłonie, opierając łokcie na materiałowych podłokietnikach. Leniwie kręcę młynka kciukami. Doprawdy, gdyby ktoś wetknął mi w usta cygaro, wyglądałabym jak szefowa sycylijskiej mafii.

Momentalnie na mojej twarzy rozkwita uśmiech tak szeroki, że popękane wargi przypominają mi o sobie cierpkim bólem, obwieszczającym rozerwanie naskórka.

- Nie wiem - odpowiadam, z satysfakcją zlizując kropelkę krwi.

W tym momencie już nawet nie próbuje ukrywać rozbawienia. Jego klatka piersiowa trzęsie się, skryta pod golfem bliżej nieokreślonego, musztardowego koloru. Wbijam w niego spojrzenie tak mordercze, na jakie tylko mnie stać. Najwyraźniej jest do tego przyzwyczajony, bo wciąż szczyrzy się do mnie, prezentując niezbyt równe, małe zęby. Niespiesznie ześlizguje się wzrokiem z mojej twarzy, zatrzymuje przy stopach, po czym leniwie wraca

spojrzeniem na twarz. Gdyby zamiast niego siedział naprzeciwko mnie przystojny student, momentalnie potraktowałabym to jako wyzwanie. Ale to nie było wyzwanie, a przynajmniej nie takie. Bo oto w tym małym pokoiku więzi mnie łysiejący mężczyzna, prawdopodobnie bliżej niż dalej końca pierwszej połowy swego życia, i bezczelnie gapi się na mnie w sposób, którego po prostu nienawidzę. Nie ma nic bardziej poniżającego niż mieszanka rozbawienia i wstrętu, gnieźdząca się w jego małych szarych oczach.

Przez chwilę jego wzrok spoczywa na stoliku, na którym leży kartka z informacją o moim przyjęciu na oddział, wciąż cierpliwie czekająca, aż ją wypełni. Nie mija sekunda, a jego oczy wpatrują się w moje nadgarstki. Zobaczywszy, że staram się je ukryć, naciągając rękawy czarnego swetra – wybucha śmiechem.

- Naprawdę? Rozumiem, że te bandaże to jakiś najnowszy krzyk mody, którego nawet nie powinienem starać się zrozumieć – rzuca z przekąsem.

W tym momencie przywołuję w sobie ostatnie rezerwy silnej woli. Mam ochotę zwyzywać go od złamasów, pokazać środkowy palec i wyjść, ostentacyjnie trzaskając drzwiami. Ale nie, tak łatwo mnie nie sprowokuje. Może i jesteśmy na jego terenie, ale to ja tu rządzę. Żaden zdziwaczały pseudopsychiatra nie wytrąci mnie z równowagi.

- Cóż... - zaczynam, poprawiając pozycję, w której siedzę. - Jestem tu, ponieważ moje zachowanie okazało się

dość... - zacinam się, szukając odpowiedniego słowa. - Kłopotliwe.

- Kłopotliwe? - Mam wrażenie, że zaraz udusi się ze śmiechu. - Pracuję w tym zawodzie od ponad dwudziestu lat, ale jeszcze nie spotkałem nikogo, kto właśnie tak nazwałby próbę samobójczą. Człowiek rzeczywiście uczy się całe życie.

- Nie próbowałam się zabić - odpowiadam na pozór obojętnie, tak jakbyśmy dyskutowali, czy herbatę należy słodzić jedną, czy dwoma łyżeczkami cukru. - Miałam zły dzień, przyznaję, ale to tylko parę nacięć. Obawiam się, że choćbym nie wiem jak się starała, trupa to z tego by nie było, panie... - Zerkam na plaketkę wczepioną w jego ubranie na wysokości serca, ale zanim zdążę odczytać nazwisko, zasłania napis dłonią.

- Coś za coś, moja droga.

Krzywię się. Nie mam zamiaru dać mu tej satysfakcji. Dobrze wie, jak się nazywam. Ale ja potrafię być nieugięta, jak już się uprę. Kiedy tylko wyjdziemy z gabinetu, zerknę na tabliczkę przy drzwiach.

Przez jakiś czas mierzy mnie wzrokiem, czekając, aż coś powiem. W końcu wzdycha zrezygnowany i powoli podnosi się z siedzenia.

- Porozmawiam z tobą, gdy nabierzesz ochoty. Na razie nie mam zamiaru tracić czasu na głupie przekomarzanie się. Obdarzę cię kredytem zaufania. Wylądujesz na zwykłej obserwacji. Teraz zaprowadzę cię do gabinetu zabiegowego, pielęgniarka wszystko ci wyjaśni.

Nie czekając na moją reakcję, otwiera drzwi. Kiedy skręca w główny korytarz, nie sprawdza nawet, czy wciąż za nim idę. W locie zapamiętuję informację, której potrzebowałam: Leszek Rojkowski. Zatrzymuje się przed drewnianymi drzwiami i przywołuje do siebie jedną z trzech kobiet kręcących się na końcu korytarza. To tam znajduje się dyżurka, w której kłębią się pielęgniarce, salowe i sanitariusze, wiecznie plotkujący wśród zapachu sypanej kawy i ciastek. Na żołądku zaciska mi się pętla, gdy zauważam, że jedna z nich, blondynka w okularach, intensywnie gapi się na mnie. Ze wstrętem obserwuję, jak strzepuje okruszki, które zgromadziły się na jej zdecydowanie zbyt głębokim dekolcie. Za nią czai się tęga, niziutka czarnowłosa, przypominająca napompowany do granic wytrzymałości balon. Z kolei ta, która najwyraźniej na imię ma Basia (przynajmniej tak ją nazwał ten dziwak), niespiesznie zbliża się do mnie, nie kryjąc zniecierpliwienia. Najwyraźniej przerwałam im jakąś niezwykle fascynującą dysputę, której tematu najprawdopodobniej znać nie chcę. Zresztą w tym momencie moją uwagę absorbuje już coś innego.

Oddział składa się z trzech korytarzy, tworzących mniej więcej odwróconą w poziomie literę „h”. Takie małe h, a nie duże. Bo jakby miało być duże H, to trzeba by mu zabrać pół laseczki od lewej. Konkretnie od góry. Oddział zaczyna się od podwójnych drzwi, przedzielonych małym pokoikiem na kształt poczekalni. Po ich przekroczeniu rozciąga się niedługi korytarz, z którego jednej strony są szatnia, dwie

sale obserwacyjne z dyżurką znajdującą się pomiędzy nimi, zabiegowy, łazienki i jakieś tajemnicze pomieszczenia o nieznanym mi przeznaczeniu. Z kolei na prawo od wejścia mamy korytarz z obu stron usiany pokojami. Przynajmniej tak mi się zdaje, bo wcześniej zdołałam tylko na chwilę tam zajrzeć. Na jego końcu są drzwi ewakuacyjne, z pewnością zablokowane. Jeśli zaś chodzi o odnogę, w której znajdował się gabinet Rojkowskiego, zdażyłam jedynie zwrócić uwagę na obecność stołówki, dziwnej sali na końcu, kilku gabinetów wkoło, no i oczywiście kolejnych, nieprzekraczalnych drzwi.

W każdym razie stoję twarzą do tych wejściowych, po prawej mam zabiegowy, a po lewej okna na prawie całą długość korytarza, z nieciekawym widokiem na małe podwórze, wyglądające jak kwadratowy spaceriak, ale wielkości nie większej niż spora sala lekcyjna. Z trzech stron otoczone jest budynkiem, z jednej metalową siatką. Pod ścianami betonowej prawie-dużej-liter-y-h rośnie smutno parę uschniętych krzaczków, które bardziej przypominają niechciane chwasty niż ozdobę.

Pod oknami leżą różnej wielkości żółte pufy, dopasowane kolorystycznie do świeżo wyremontowanego, utrzymanego w słonecznych barwach oddziału. Tak jakby morelowe ściany miały sprawić, że będziemy szczęśliwsi. Obok, bliżej wejścia, stoi zielonawa dwuosobowa kanapa z kiepskiej imitacji skóry.

Oczywiście to nie obecność skórzanych puf zwraca moją uwagę, ale siedzące na nich osoby, uważnie

obserwujące każdy mój ruch. I choć to tylko kilkoro nastolatków, mam wrażenie, że zamiast nich widzę wygłodniałe sępy, które niecierpliwie wbijają we mnie wzrok, czekając na jakiegokolwiek potknięcie lub inny objaw słabości. Choć staram się ich ignorować, mogłabym przysiąc, że porozumiewając się telepatycznie, debatują, czy ucztę zacząć od brzucha, czy od oczu.

Wzdrygam się, kiedy czuję na ramieniu małą dłoń faceta, który przez następne tygodnie będzie faszerował mnie lekami, usiłując zrobić ze mnie na wpół martwego psychola. Popycha mnie w stronę drzwi tak gwałtownie, że cudem unikam zderzenia z plecami pielęgniarki znikającej w zabiegowym. Nim zdążę zaprotestować, drzwi zatrząskują się za mną.

Nie wiem, jak to możliwe, ale wystarczy ułamek sekundy, żebym nabrała pewności, że oto stoję przed wrogiem. I choć intuicja oczywiście nie jest niezawodna – tym razem nie mam zamiaru się z nią spierać. Mam wrażenie, że ta niczym niewyróżniająca się brunetka o trochę za ciemnej karnacji, by wierzyć w jej naturalność, to wcielenie czystego zła. Na ten moment nie mogę się zdecydować, czy większą grozę budzą we mnie jej wściekle różowe usta, czy bananowa chustka. Nie mam wątpliwości, że wyczuwam wokół niej gęstą aurę nieskrywanej odrazy.

A więc tak wygląda pielęgniarka-sadystka rodem z horroru. Myślałam, że aby przerażać, musiałyby mieć wyłupane oko i strzykawkę w kieszeni. Obawiam się jednak,

że jej brązowe ślepia przepełnione nieukrywaną pogardą są dużo gorsze niż moje najbardziej szalone wyobrażenia.

Kiedy sfrustrowana szuka czegoś w szufladzie białego biurka, stojącego pod oknem, mam okazję rozejrzeć się po pomieszczeniu. Chyba jestem trochę zawiedziona. Spodziewałam się jakichś większych rewelacji. A tutaj proszę: po prawej rząd szafek, po lewej leżanka, do której nóg tuli się przedpotopowa waga i coś na podobieństwo szafeczki, a może stolika na kółkach. Za mną, na lewo od drzwi, znajduje się przeszklona szafka pełna leków. W zastanowieniu przyglądam się każdemu opakowaniu. Przynajmniej jak już mi odbije – wiem, czym się otruć.

Zaraz, co?

Nim zdążę podchwycić myśl, pielęgniarka opada na krzesło i nie zaszczycając mnie spojrzeniem, warczy:

– Rozbieraj się.

Ach, wybacz, kochana, chyba zaraz odwzajemnisz moją nienawiść z pełną mocą.

Ściągam obcisle jeansy, za duży sweter i bezkształtny podkoszulek. Wyskakuję z balerin. Nie noszę ubrań innych niż czarne, tak już mam. Co jakiś czas jakiś idiota pyta, czy ktoś z moich bliskich zmarł. Czasem się obrażam, innym razem ignoruję, zwykle zwyczajnie się wściekam. A jak mam wyjątkowo podły humor, zwieszam głowę i wyznaję, że zmarł mi ojciec albo matka, ktokolwiek. Każdy mnie wtedy pociesza, a ja robię za przerażone dziewczętko, któremu należy współczuć.

Pamiętam, jak na początku liceum po raz pierwszy z premedytacją wybrałam ostatnie wyjście.

- Przepraszam, ale muszę zapytać. - Usłyszałam złękniiony głos gdzieś zza moich pleców.

- Tak? - Niespiesznie odwróciłam się i przeniosłam pytający wzrok na wystraszzonego chłopaka, ukrytego pod zbyt kolorową bluzą.

Przez moment wyglądał, jakby miał w każdej chwili rzucić się do ucieczki, zgolić głowę i zamieszkać na bezludnej wyspie, byle tylko zapomnieć o tym, że właśnie do mnie zagadał. Każdego innego dnia czułabym się podniecona myślą, że ktoś tak po prostu do mnie podchodzi. Sądzę, że byłabym skłonna pogodzić się nawet ze smrodem oleju i wonią pikantnych skrzydełek. Być może potrafiłabym odnaleźć w tym coś romantycznego, kto wie. Ale nie tamtego dnia. Rankiem znowu się z nimi pokłóciłam. Miałam dość, w mojej głowie powoli rodził się plan. Chciałam tylko na chwilę zapomnieć o wszystkim, zanurzyć się we wszechogarniającym hałasie. Marzyłam o wgrzyzieniu się w ostre połędwiczki, których opakowanie właśnie wrzucałam do plecaka, do pary z butelką jakiegoś taniego, różowego wina. Ale nie było mi to dane. Bo oto stał przede mną dzieciak, który właśnie tego popołudnia postanowił przemóc strach przed odrzuceniem.

- Dlaczego zawsze ubierasz się na czarno? - zapytał, po czym spuścił głowę, wzrok zaś wbił w swoje zielone trampki.

- Czy...

- Tak - nie pozwoliłam mu dokończyć, chcąc tylko jak najszybciej się stamtąd wydostać. Byłam wściekła na to, co się działo przed moim wyjściem do szkoły, czułam, jak pieką mnie oczy. Obróciłam się na pięcie i szybko wyszłam, nim ktokolwiek zdążył zobaczyć moje łzy.

Przez dobre dwa tygodnie codziennie stawiał mi obiad, kawę, zabrał mnie trzy razy do kina. Codziennie pocieszał, próbując jakoś zwalczyć mój smutek, związany z żałobą po tragicznej śmierci mojego nieistniejącego brata. Byłam zdumiona, ile pieniędzy jestem w stanie od niego wyciągnąć. Jadł mi z ręki. Przynajmniej dopóki przypadkiem nie powiedziałam, że nie mogę przestać myśleć o strasliwym wypadku siostry.

Z rozbawieniem wspominam tych wszystkich, którzy dali się nabrać. Ale kiedy pielęgniarka podnosi głowę i jej wzrok pada na mnie, zwyczajnie nie mogę powstrzymać uśmiechu triumfu. Przekrzywiam głowę, czekając na dalsze rozkazy. Napawam się każdą nanosekundą chwili, w której ta obrośnięta sadłem piguła próbuje ukryć błysk zazdrości, równocześnie nie mogąc oderwać ode mnie oczu. Nie jestem głupia, może nie jestem ideałem, ale wiem, że moje ciało robi wrażenie.

- Bieliznę też mam zdjąć? - Wydymam usta, równocześnie wsuwając palec pod ramiączko stanika, drugą rękę opierając na biodrze.

Udało mi się wytrącić ją z równowagi. Czerwona ze złości doskakuje do mnie i brutalnie popycha w stronę wagi. Kiedy wpisuje pomiary do tabelki, żyła na jej skroni pulsuje, jakby zaraz miała eksplodować. Przyznaję, jest w tym widoku coś fascynującego. No i oczywiście jestem z siebie cholernie dumna. Niestety moja radość szybko mija, bo zaczyna się nieprzyjemny wywiad, głównie na temat mojego miesiączkowania, ewentualnego zażywania narkotyków i wszelkich używek. Kilkakrotnie upewnia się, czy aby na pewno nie palę papierosów.

Zanim pozwala mi się ubrać, jeszcze raz dokładnie lustruje moje ciało, ale tym razem bez żadnych emocji. Mam dziwne wrażenie, że stara się je zapamiętać. I choć przez chwilę czuję, jak ogarnia mnie wstręt, to patrząc na skupienie malujące się na jej niezbyt urodziwym obliczu – wreszcie dociera do mnie, co robi. Wygląda na to, że sprawdza, czy mam jakieś blizny, i stara się zapamiętać puste miejsca, na wypadek gdyby pojawiły się nowe.

Gdy skanowanie dobiega końca, ubieram się, a ona rusza do biurka, podnosi z niego jakąś kartkę i podaje mi ją.

- Czytaj. Jeśli się zgadzasz, podpisz.

To mówiąc, wyciąga długopis z szuflady i wciska go w moją dłoń. Patrzą na puste pole w dole strony. W rzeczywistości wiem, że nie mam nic do gadania. Dostałam regulamin i teraz pozostaje mi tylko poświadczyć, że zapoznałam się z jego treścią i zobowiązuję się go przestrzegać.

8:00 śniadanie
10:00 II śniadanie
13:00 obiad
16:00 podwieczorek
18:00 kolacja

W zasadzie tutaj mogłabym zakończyć zapoznanie się z tym świstkiem papieru. Nie interesują mnie ich zasady, jak będę chciała, to i tak zrobię swoje. Bez względu na konsekwencje. W końcu jednak powoli czytam listę nakazów i zakazów. Z przytłaczającą przewagą tych drugich. Nie ma tam nic zaskakującego: nie wolno opuszczać oddziału, mieć telefonu, palić papierosów i tak dalej. Nie bardzo rozumiem wzmiankę o zabronionych bliższych kontaktach między pacjentami. Kogo to obchodzi, co ze sobą robimy? Co prawda nie wszyscy jesteśmy pełnoletni, ale przecież to nie jest zarezerwowane tylko dla dorosłych. Przez chwilę mam ochotę zapytać, czy na innych oddziałach też boją się ciąży z zaskoczenia.

- A co, jeśli nie podpiszę? - pytam.

- Musisz podpisać. - Pielęgniarka patrzy na mnie jak na niedorozwinięte dziecko.

- Przecież mówiła pani, że mam to zrobić, jeśli się zgadzam. A ja się nie zgadzam. Nie podoba mi się jedna z zasad.

- To już nie mój problem. Po prostu zrób to i tyle. Mam ważniejsze rzeczy na głowie.

- No jasne - prychem. Nie tak łatwo mnie zbyć. - Skoro nasza decyzja jest teoretycznie dobrowolna, to dlaczego...

Urywam, bo do gabinetu właśnie wsunęła się blondi. Tym razem zdaje się mnie kompletnie nie zauważać.

- Basieńko, idę na stołówkę. Popilnujesz tutaj?

- Jasne, i tak już skończyłam - odpowiada głosem tak przesłodzonym, że nie mogę nie skojarzyć go z wielkim lukrowanym tortem. Szkoda tylko, że pod tą kolorową warstwą kryje się tyle trucizny.

Rusza do drzwi, kompletnie mnie olewając.

- Przepraszam, a co ze mną?

Jednocześnie odwracają głowy.

- Chodź, za momencik dostaniesz obiad. - Blondynka uśmiecha się do mnie, jakbym była przedszkolakiem.

Przez chwilę czuję się zupełnie zdezorientowana. To chyba pierwszy raz dzisiejszego dnia, kiedy ktoś zdaje się być po prostu miły. To z pewnością zasadzka, tacy są najgorsi. Pozwalają ci się zbliżyć, a kiedy tylko zaczyna ci zależeć - odchodzą. Albo okazują się w rzeczywistości śmiertelnym wrogiem z mroczną przeszłością. Tak jest w prawie każdej książce, szczególnie w romansidłach. Dwóch facetów, jeden uprzejmy, drugi złośliwy. Bohaterka wybiera tego pierwszego, a jakiś czas później okazuje się, że to zwykła świnia, która nią manipulowała. Oczywiście ten z początku mniej przyjemny tak naprawdę jest tylko zagubionym chłopcem, któremu uraz na psychice nie pozwala na okazywanie szacunku drugiej osobie. Schemat

sam w sobie niezły, przynajmniej dopóki nie spotykasz się z nim po raz setny.

Omiatam wciąż niepodpisany regulamin spojrzeniem. Po chwili namysłu dyskretnie chowam go za plecami i zwijam w papierową kulkę, która za moment ląduje w koszu na śmieci. Kiedy wychodzę przez drzwi przytrzymywane przez Elę, jeśli wierzyć plakietce – bez słowa oddaję ofierze solarium jej długopis. Baśka bezceremonialnie wrzuca go do kieszeni workowatych spodni, po czym udaje się w stronę dyżurki.

- Niestety dzisiaj możesz zjeść tylko zupę – informuje mnie stojąca obok pielęgniarka, zamykając drzwi. - Ale od jutra, oczywiście, przysługują ci obydwie dania.

Z uśmiechem chowa trójkątny klucz i kieruje się w stronę stołówki. Drepczę obok niej, przyjmując dobrze mi znaną maskę chłodnej obojętności.

- Będziesz mieszkać w sali obserwacyjnej, w jedyńce. Twoje rzeczy już tam są. Jeśli masz jakieś pytania, idź z nimi do pacjentów. A w razie czegoś superważnego przychodź, ale to tylko, no wiesz, jak już musisz.

Nawet nie chce mi się tego komentować.

Przed stołówką stoi hałaśliwa zbieranina ponad dwudziestu dzieciaków, najmłodsza dziewczyna wygląda na jakieś dwanaście, trzynaście lat. Z kolei najstarszy zdaje się rosły chłopak na końcu kolejki. Staję za nim, próbując ocenić jego wiek na podstawie szerokich pleców. Z tyłu wygląda na dużo starszego ode mnie. Kiedy jednak odwraca się i podaje mi rękę, nie mogę powstrzymać parsknięcia.

Ma pucołowatą twarz, śmiejące się oczy dziecka i malutki nosek, kompletnie niewspółgrający z okrągłą głową, którą przez chwilę mam ochotę odrysować na kartce. Mogłabym się założyć, że wyszedłby idealny okrąg.

- Stasiu jestem. - Kolejny zgrzyt, jego tubalny głos niesie się echem. Byłby ostatnią osobą, do której mogłabym go przypisać.

- Lola - odpowiadam z drwiącym uśmiechem, lekko dygając.

Zakrywa usta dłonią, kiedy się śmieje. W tym dźwięku jednak nie ma nic nieprzyjemnego. Rozluźniam się i kontynuuję:

- Oświeć mnie, proszę, braciszku: da się tu przeżyć?

Na jego twarzy wykwita rumieniec, gdy go tak nazywam. Nie wydaje się jednak wytrącony z równowagi. Bierze się pod boki i lekko nachyla, po czym teatralnym szeptem mówi:

- Jak za tydzień mnie wypuszczą, to się dowiemy, siostra.

Ruchem ręki nakazuję mu się przybliżyć, po czym naśladowując jego głos, odpowiadam:

- Ale skąd mam wiedzieć, że nie padniesz trupem już za tymi drzwiami?

Przesadnie wzdryga się i głośno wciąga powietrze.

- Wierzę, że zemścisz się za moją śmierć.

- Ale na kim, Stasiu? Na lekarzach czy pielęgniarkach?

Chłopak wskazuje lekkim ruchem brody kuchenny wózek, przy którym uwija się sanitariuszka rozdająca talerze.

- Na kucharkach.

Zanoszę się szczerym śmiechem. Po chwili chłopak jednak prostuje się i przybiera groźną pozę.

- Śmiej się, śmiej. Zrozumiesz, jak poczujesz smak przeglądu tygodnia.

Po czym obdarza mnie uśmiechem tak ciepłym, że przez chwilę zupełnie zapominam, gdzie jestem. Czuję się, jakby ktoś otoczył mnie silnym ramieniem, mówiąc: „Nie bój się, będzie dobrze, zobaczysz”. Oczy mam bardziej wilgotne niż zwykle, więc prędko odwracam się bokiem i udaję zainteresowanie jakimiś bazgrołami na ścianie, zapewne będącymi owocem wesołej twórczości niedoszłych samobójców. Chłopak patrzy na mnie jeszcze przez moment, po czym wdaje się w rozmowę ze stojącą przed nim niską dziewczyną.

Już chcę zatopić się w myślach na temat bezsensu mego istnienia, gdy całkiem ładna pacjentka o kręconych czerwonych włosach podchodzi do mnie i wyciąga dłoń. Kiedy się przedstawia, podaję jej rękę, nie mogąc powstrzymać się od gapienia na jej kolorowe tipsy, pokryte chyba wszystkimi możliwymi ozdobami, przypominającymi te dołączane do głupawych czasopism dla dziewczynek.

- Lola.

- Jesteś nowa? - pyta.

- Nie, siedzę tu od miesiąca, ale do tej pory ukrywali mnie między kurtkami w szatni.

Dziewczyna mruży oczy, jakby naprawdę zastanawiała się, czy coś takiego jest możliwe. Po niewiarygodnie długich kilku sekundach wzdycham i dodaję:

- Żartuję, dzisiaj mnie przyjęli.

Momentalnie się rozchmurza. Dobry Boże, ona chyba naprawdę myślała, że mówię poważnie. Chroń mnie, Panie, przed idiotami, albowiem zła większego w tym świecie nie ma.

- No spoko, spoko. Fajne ciuchy, takie czarne, buntownicza, co?

Ledwo się poznałyśmy, a mam już jej serdecznie dość. Z satysfakcją wyobrażam sobie, jak ciągnę ją za kostki w stronę koszy na śmieci za moją szkołą. Na samą myśl o wrzuceniu ją do tego z napisem „plastik” czuję niezrozumiałą ekscytację. Zastanawiam się, czy powinnam ją wrzucić w worku, czy bez. A co, jeśli zabiłabym ją dzień przed wywózką? Nie zmieściłaby się. Zagryzam wargi i skupiam się na wizji, w której próbuję ją na siłę upchnąć, wspinam się na pokrywę i siadam na niej, tak jak dziecko na walizce wypełnionej po brzegi.

- Halo. - Pstryka palcami na wysokości moich oczu. - Jesteś tam?

Na szczęście nie muszę odpowiadać, bo właśnie nadeszła moja kolej na odebranie posiłku. Rzucam tylko jakieś „ta”, po czym biorę od uśmiechniętej sanitariuszki miskę rosółu. W zasadzie to wcale nie wygląda tak źle.

A może po prostu jestem już przyzwyczajona do takiego jedzenia.

Stołówka jest niewielka. Pod ścianą wiją się stoliki, układając się w kształt litery L. Pod oknem są jeszcze dwa małe, a w rogu naprzeciwko drzwi podwójny, przy którym jedzą pochłonięte rozmową szkieletory, leniwie mieszające łyżkami w pełnych talerzach.

- Zajmijcie się w końcu jedzeniem, czas wam ucieka - upomina je nieprzyjemny głos.

Aż podskakuję, gdy widzę Baškę, siedzącą na krzeselku przy samych drzwiach. Patrzą z obrzydzeniem, jak bawi się kluczami. Przecież dopiero co była w dyżurce, to ta druga szła tu ze mną. Nawet nie wiem, kiedy zamieniły się rolami.

Bez słowa kieruję się na koniec sali, ale już po chwili mój nowy brat woła mnie, wskazując na wolne miejsce po swojej lewej stronie. Przed nim siedzi dziewczyna, z którą rozmawiał w kolejce. Gdyby ktoś kiedyś stworzył świńsko-ludzką hybrydę, pewnie tak właśnie by wyglądała. Jej nos spokojnie można by przyczepić prosiakowi i nikt nie zauważyłby różnicy. W zestawieniu z zaczerwienioną twarzą i okrągłymi oczkami wypada niezbyt atrakcyjnie.

Dziewczyna obrzuca mnie nienawistnym spojrzeniem, nie przerywając rozmowy.

- Nie wiem, jak to będzie, wolę o tym nie myśleć.

- Powinnaś się jeszcze zastanowić, to dopiero tydzień. Może jakbyś...

- Kurde, weź mnie nie pouczaj, co? - Przez chwilę wpatruje się intensywnie w twarz chłopaka, po czym

przenosi uwagę na talerz. - To nie ma sensu. Siedzenie tutaj to strata czasu. Poza tym nic mi nie jest, to był wypadek. Nawet nie wiem, jak to się stało.

To najwyraźniej nie pierwsza taka rozmowa, bo Stasiu w odpowiedzi jedynie wzdycha zrezygnowany. Po chwili jednak kontynuuje:

- Dobra, Bet, ja się nie będę wtrącał. Jak chcesz być mądrzejsza, to bądź. Ale znasz moje zdanie.

Po czym wstaje i odnosi pustą miskę. Obserwuję pacjentkę, a ona ucieka przed moim wzrokiem. W końcu idzie za przykładem chłopaka. Gdy chce przejść przez drzwi, o mało nie wpada na swojego towarzysza, który trzyma oburącz talerz z drugim daniem. Dziewczyna przeklina pod nosem i wychodzi, tłumacząc, że już się najadła. Stasiu odprowadza ją wzrokiem, po czym pada ciężko na krzesło obok mnie i zaczyna dziurawić widelcem ziemniaki.

Cisza zaczyna mnie irytować.

- Wszystko gra? - Udaję zainteresowaną. W rzeczywistości chyba bardziej niż los naszej obraźliwej interesuje mnie kawałek marchewki pływającej w rosoli, która ma nieprzyjemny, brązowy odcień.

- Taa, to nic takiego. - Posyła mi wymuszony uśmiech.

Nie to nie. Nie przejmuję się dość niezręczną ciszą. Zamiast tego wykorzystuję okazję, by dokładnie przyjrzeć się innym. Z oczywistych powodów mój wzrok wędruje najpierw do sześciu dziewczyn zgromadzonych przy stole, którego pilnowała Baśka. Wszystkie wyglądają tak, jakby

byle podmuch wiatru mógł je porwać i ponieść na drugi koniec świata. Wzdrygam się na widok nadgarstka jednej z nich.

Najwyraźniej nie umknęło to uwadze Staśka.

- Okropne, wiem. Współczuję im, serio, ale po prostu ich nie ogarniam. Ja nie wyobrażam sobie dnia bez śniadania. Masakra.

- Dlaczego pielęgniarka tak ich pilnuje?

- Masz na myśli Skwarę? - Ignoruje moje prychnięcie.

- Anorektyczki zawsze są pilnowane przy jedzeniu, żeby dalej się nie głodziły.

Jak na komendę pielęgniarka wstaje, podchodzi do właścicielki przerażającego nadgarstka i zabiera jej talerz sprzed nosa.

- No już miałam zamiar... Ale co pani robi?!

Ciemna twarz kobiety wykrzywia się w paskudnym grymasie, kiedy zgarnia łyżką wszystkie resztki w jedno miejsce. Pozostaje mi współczuć niezrealizowania genialnego planu. Dziewczyna naprawdę wie, jak rozsmarować jedzenie, tak żeby talerz wyglądał na praktycznie pusty. Skwarka stawia go z powrotem na stole. Jej ofiara drży na widok imponującej ilości jedzenia, które będzie musiała przełknąć.

- Ja cię ostrzegam, jeszcze raz zrobisz taką papkę z obiadu, to dostaniesz dokładkę.

Siada pod ścianą i obserwuje, jak po twarzy drobnej blondynki przemyka gama wszystkich odcieni złości. W końcu posiadaczka upiornych rąk daje za wygraną

i powoli zaczyna skubać wrogie resztki. Jej towarzyszki pocieszają ją, chociaż widzę okrutne uśmiešky i szydercze spojrzenia, które wymieniają, gdy tamta nie patrzy.

Jak ja nienawidzę dziewczyn.

Łyżka uderza o dno. Nawet nie zauważyłam, kiedy skończyłam jeść.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. - Stasiu patrzy rozbawiony. - Można by pomyśleć, że ci smakowało.

- Właściwie to nawet nie bardzo pamiętam, czy to miało jakiś smak.

- W takim razie masz szczęście, bo ja szpitalnego żarcia nie zapomnę do końca życia.

To naprawdę uroczy chłopak. Przypomina mi wielkiego miśka, do którego nie można nie chcieć się przytulić. Choć zazwyczaj reaguję na wszelkie jednostki ludzkie wrogością, tym razem postanawiam trochę odpuścić. Nie ma potrzeby, żebym traktowała go z pogardą. Wygląda zabawnie, kiedy tak ochoczo pokazuje mi oddział. Zachowuje się nie jak pacjent, a dumny dziadek, prezentujący wnukom pamiątki z czasów, kiedy nikt nie miał głowy do depresji.

- Klasa? - Patrzę z niedowierzaniem na salę z przeszklonymi drzwiami, znajdującą się w tym samym korytarzu, co stołówka i gabinety. - Mamy tu lekcje?

- No pewnie. Nie ma oddzielnego budynku, a przecież wszyscy jeszcze chodzimy do szkoły. Zajęcia odbywają się w sali terapii, stołówce i klasie. Jak nie ma lekcji, to można tu rysować, malować, co chcesz. Oczywiście musi być z tobą ktoś z personelu, w razie gdybyś miała ochotę zabić

się nożyczkami - ostrzega. - Do dyspozycji mamy też komputer, ale trzeba się zapisywać. Kolejka do niego jest spora, a każdy ma tylko dziesięć minut.

Przyglądam się ławkom zbitym w jednym miejscu, imitującym wielki stół otoczony krzesłami. Wzdłuż ścian ciągną się regały i szafki, pod oknami zaś kolejne biurka uginające się pod ciężarem przyborów plastycznych. Wszędzie walają się porozrzucane kartki różnej wielkości. Z ciekawości odwracam jedną z nich.

Nieudolny rysunek oczu. Z pewnością najpierw powstało prawe, bo narysowane zostało naprawdę dobrze. Jak można się domyślić, lewe wygląda, jakby twórca postanowił na przekór światu stworzyć je za pomocą stopy, a nie dłoni.

Przerzucam niekończące się sterty bazgrołów, jedyne świadectwa przeszłości. Patrząc na nie, zastanawiam się, dlaczego autorzy nie zabrali ich ze sobą. Niektóre są podpisane, inne nie. Kilka jest z dedykacją, zapewne adresowanych do innych pacjentów. Najwyraźniej nie były na tyle ważne, aby komuś chciało się je z sobą przywieźć do domu. Nie dziwię się. Człowiek, gdy już stąd wyjdzie, na pewno nie ma ochoty tu wracać, nawet myślami. A przynajmniej rozumny człowiek. Znam parę osób, które zostały przymknięte. One jednak nosiły pobyt na oddziale jak medal na piersi, wiecznie mówiąc, że chętnie posiedziałyby sobie znowu w psychiatryku.

Ja z całą pewnością nigdzie się nie wybieram. Mam swoje powody. Choć na początku byłam wściekła, że się

w to wpakowałam, to idąc obok uśmiechniętego chłopaka (trajkoczącego bez wytchnienia, mimo że zupełnie go nie słucham), czuję się bezpiecznie. Nie bardzo wiem, jak to zinterpretować. Może naprawdę coś jest już ze mną nie tak. Zamierzam trochę tu pobyc, potraktuję to jak wakacje. Ten miesiąc czy dwa powinny pozwolić mi odetchnąć. Do matury pół roku, tutaj nie będę musiała chować się z książkami. Dam radę.

Jesteś twarda. Jesteś cholerną suką, która nie boi się niczego.

Ale czy nikogo?

Rozdział 2

To chyba jakiś żart. Jakiś pieprzony, nieśmieszny dowcip, którego nie wiedzieć czemu padłam ofiarą.

Siostra Rachela biega tam i z powrotem, jakby do jej herbatek ktoś dodał pół kilo brudnego towaru.

- Ja naprawdę nic nie zrobiłam, to był wypadek - próbuję po raz ostatni.

Zakonnica staje jak wryta i mierzy mnie wzrokiem.

- Wypadek? Wypadek?! - Jej pomarszczona twarz nabiera kolorów purpury, pierś wznosi się i opada w rytm spazmatycznych oddechów. - Spójrz na swoje ręce, moja droga! Ty nazywasz podcięte żyły wypadkiem?!

Tym razem to mnie kończy się cierpliwość. Podnoszę się z krzesła tak gwałtownie, że nie zauważam nawet, że telefon spada na podłogę. Zakonnica cofa się, wystraszona moim wybuchem.

- To ledwie draśnięcia! Od pół roku się tnę, ale oczywiście wszyscy reagują dopiero wtedy, gdy jakiś idiota dla żartu pisze testament w moim imieniu!

Mam dość, mam po prostu dość, nie tak miało być. Jak można mieć takiego pecha? Gdyby nie ten list, wszystko

byłoby dobrze. Wciąż cicho odliczałam dni do matury, marząc o cudzie, który nie miał prawa nadejść.

Trzęsę się jak w śmiertelnej gorączce, zaciskam zęby, żeby przestały stukać. Cały świat się kurczy, pętla zaciska mi się wokół szyi. Muszę usiąść, natychmiast.

Nie. Powinnam uciekać. Powinnam wyrwać jej tę małą torebeczkę, na której zaciska swoje szpony, i pognać przed siebie. Gdziekolwiek, byle jak najdalej stąd.

Nie mam już siły po raz kolejny tłumaczyć jej, że nie próbowałam się zabić. I tak nie zamierza mi uwierzyć, nie ma powodu, by to zrobić. Po pierwsze, nikt za mną nie będzie tęsknić, więc po co mnie wyciągać z tego bagna? Będą mieli mnie z głowy. Jednego gówniarza mniej. Po drugie, choć ciężko mi to przyznać, ja chyba też bym w to nie uwierzyła.

Kiedy dzień wcześniej wpadła do łazienki, zastała mnie ze świeżymi nacięciami. Stałam, jak mnie Bóg stworzył, pod tym cholernym prysznicem i przejeżdżałam żyłką po lewej ręce, w poprzek nadgarstka. Cieniutkie czerwone linie robiły się coraz ciemniejsze, a wypływająca z nich krew łączyła się z gorącą wodą. Jak zawsze obserwowałam to ze stoickim spokojem. Jakbym patrzyła na kogoś zupełnie innego. I właśnie w tym momencie zasłonka prysznicowa gwałtownie się rozsunęła. Podskoczyłam ze strachu i zaraz tego pożałowałam. Niechący ostrze wbiło się dużo mocniej, niż powinno. Zignorowałam to jednak i spojrzałam na podglądacza. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam siostry

tak przerażonej i nie potrafiłam pojąć, o co może chodzić. Powinnam była schować ręce, ale odruchowo zasłoniłam nagie ciało. W tym momencie oczy zakonniczy zdradzały już nie strach, lecz autentyczną panikę. Wciąż patrząc na moje zakrwawione nadgarstki, złapała mnie za łokieć i siłą wyciągnęła z kabiny. Bezskutecznie próbowałam się wyrwać. Kompletnie nie rozumiałam, skąd ta reakcja, wszyscy przecież widzieli moje rany. Dlaczego więc właśnie teraz?

Rachela szybko zakręciła wodę i rzuciła mi ręcznik, żebym się wytarła. Dopiero wtedy zauważyłam, że za drzwiami łazienki panuje straszny harmider, którego najwyraźniej nie słyszałam przez szum wody.

- Co się dzieje? - zapytałam.

Może i nie wiedziałam, o co poszło, ale podejrzewałam, że stało się coś złego. Może wybuchł pożar?

- Nic, kochana, ubierz się szybko.

Przez chwilę stałam bez ruchu, patrząc na nią pytająco. W końcu schowałam się za ścianką, wytarłam i ubrałam. Już miałam zapytać ponownie o przyczynę zamieszania, kiedy tępy ból poprowadził mój wzrok do nadgarstka.

Rana krwawiła. Mocno. O wiele za mocno. Ręce zatrzęsły mi się ze strachu. Szybko jednak wyprostowałam się jak struna, zarzucając ręcznik na rękę. Pod moimi stopami zdążyła uformować się mała kałuża. Złapałam szybko za kilka par majtek, które suszyły się na kaloryferze, i cisnęłam je na kafelki, chcąc przykryć połyskującą tafłę czerwieni.

- Skończyłaś? - Głos zakonnicy drżał.

W odpowiedzi wyskoczyłam z szerokim uśmiechem.

- Pewnie. - Puściłam do niej oczko.

Jeśli wcześniej wyglądała na przestraszoną, to nie wiem, jak nazwać to, co działo się z nią teraz. Przerazenie? Panika? Histeria? Te słowa wypadały blado, nijak nie oddawały tego, co malowało się na jej twarzy. Ledwie zdążyłam zwrócić uwagę na kartkę, którą kurczowo ściskała w dłoni, pospiesznie złapała mnie pod ramię i wyprowadziła z łazienki.

- Co, do...

Zaniemówiłam. Właśnie przeszliśmy przez drzwi oddzielające część z prysznicami od tej z toaletami. Główne drzwi ostatkiem sił wisiały w zawiasach. Najwyraźniej zostały wyważone. Za nimi zaś kłębił się tłum. A w przejściu stali... Ratownicy medyczni?

Nawet nie protestowałam, kiedy razem z Rachelą przecisnęli mnie przez wrzeszczącą hałastrę. Zdawało mi się, że drogę z łazienki na parking przebyliśmy w ciągu ułamka sekundy. Dopiero kiedy ratownicy otworzyli tylne drzwi karetki, zorientowałam się, o co chodzi. I w tym momencie zrobiłam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Odwróciłam się i zaczęłam biec tak, jakby goniła mnie sama śmierć. A przynajmniej tak sobie wmawiam. Bo o ile dobrze pamiętam, po zaledwie paru krokach straciłam przytomność.

Ocknęłam się już w szpitalu. Siostry Racheli nie było, a ratownicy rozmawiali z jakąś długonogą pielęgniarką.

- No tak, tak, kolejna nieszczęśliwa.

- Och, co to się teraz dzieje. Niedługo trzeba będzie nowy oddział dla nieudolnych samobójców zbudować!

- Jakby potrafili doprowadzić sprawy do końca, to i oddział byłby niepotrzebny.

Ich śmiech wbijał mi się w uszy i dudnił boleśnie w czaszce.

- Nasz szanowny doktor niedługo zostanie specjalistą od zszywania nadgarstków - westchnęła kobieta, wyraźnie zmartwiona.

- A to jednak ją zszyli?

- Chłopie, co ty, nie widziałeś, ile krwi się lało? Poleżałaby tak trochę, to za parę godzin zostałaby z niej pomarszczona śliwka - zarechotał mężczyzna stojący tyłem do mnie.

Nie chciałam tego słuchać. Zamknęłam oczy, powstrzymując łzy. Wszystko już było jasne. Kiedy siostra wystraszyła mnie w łazience, musiałam przeciąć któryś z kabli. Co za głupota. Jak ja ją przekonam, że nie próbowałam odebrać sobie życia? Kto mi w to uwierzy?

Nie zareagowałam, kiedy zmieniano mi kroplówkę. Nie zareagowałam, kiedy pobrano mi krew do badań. Nie zareagowałam, kiedy dziewczyna na łóżku obok pytała, czy dobrze się czuję. Leżałam na wznak i wpatrywałam się w sufit. Nie było sensu się odzywać, pozostało mi czekać na tego durnego pingwina. Dobrze wiedziałam, jakie mogły

czekać mnie konsekwencje. W najlepszym razie pogadanka, w najgorszym – przystanek Wariatkowo.

Jak spod ziemi wyrosły nade mną dwie postacie. Długonoga i jakaś znudzona kobieta z wielkim pieprzykiem na brodzie. Napis na plakietce obwieszczał, że to...

- Dzień dobry, jestem lekarzem psychiatrą i przyszedłem z tobą porozmawiać. Jak się czujesz? – wyrecytowała.

- Wspaniale, jak nigdy dotąd.

Nawet nie podniosła oczu znad kartki. Notowała coś ze znużeniem. Postanowiłam dać jej trochę czasu. Dokładnie przyjrzałam się fartuchowi i niemodnej spódnicy. Wymyśliłam w głowie moje zdanie na jej temat. A potem jeszcze parę. „Bóg i tak mnie nienawidzi, i tak skończę w piekle”. Przeniosłam wzrok na jej rękę. W pewnym momencie już nie wiedziałam, czy ona tak długo pisze te cztery słowa, czy może rysuje szlaczki. W końcu jednak ziewnęła i zapytała:

- Dlaczego próbowałaś popełnić samobójstwo?

W jej ustach zabrzmiało to tak beznamiętnie, że potrzebowałam chwili, aby zebrać myśli. Zanim udało mi się wymyślić coś sensownego, moją uwagę przyciągnęła szpetna brodawka na jej ziemistej twarzy. Ku mojemu przerażeniu dostrzegłam wyrastający z niej gruby, czarny włos. Z trudem powstrzymałam mdłości. Z powrotem skupiłam się na suficie.

- Nie próbowałam. - Znów to nieznośne skrobanie. W takim tempie niedługo skończy jej się wolne miejsce. - To nieporozumienie – dodałam.

Zero reakcji. Miałam ochotę urwać jej łeb. Przełknęłam ślinę i zdecydowałam się jednak zawałczyć.

- Rzeczywiście od pewnego czasu zdarza mi się okaleczyć, ale tym razem to był zwyczajny przypadek. Zostałam przestraszona i niechcący...

- Zostaniesz skierowana na młodzieżowy oddział psychiatryczny. Dzisiaj odpoczywaj, jutro cię przeniesiemy.

I nie czekając na moją odpowiedź, wyszła. I wtedy się zaczęło.

Czasem tak mam. Jak już nie mogę wytrzymać, gdy od dłuższego czasu kłębi się we mnie zbyt wiele emocji - wybucham. Gdy ujrzałam zatraskujące się drzwi, coś we mnie pękło, a emocje przedarły się przez mur obojętności, rozsadzając go, miażdżąc, krusząc w drobny pył. Złość zalała mój umysł, prawie pozbawiając mnie świadomości. Nie wiedziałam, gdzie jestem i po co. Nie wiedziałam, ile mam lat ani jak mam na imię. Jedyne, co tkwiło w mojej głowie, to nienawiść. Wszechogarniająca nienawiść, która właśnie zasiadła za sterem i miała zamiar wyszaleć się za wszystkie czasy.

Zerwałam się z łóżka, nie zwracając uwagi na kroplówkę, dopóki nie poczułam bolesnego szarpnięcia. Ze złością wyrwałam wenflon z przedramienia. Kręciło mi się w głowie, potykałam się o własne nogi. Dopadłam do drzwi i otworzyłam je tak mocno, że klamka zostawiła ślad w ścianie, gdy o nią uderzyły. Lekarka gdzieś zniknęła, ale długonoga kręciła się po korytarzu, piłując paznokcie. Rozpędziłam się, a potem wpadłam na nią z impetem,

okładając pięściami. Próbowałam wyrwać jej pilniczek, chciałam wbić jej go w te wyłupiaste oczy. Sanitariusz rzucił się na mnie, odciągając od pielęgniarki. Złość jednak dodała mi siły. Wierzgałam, kopałam, wczepiłam się jej we włosy. Za każdym razem, gdy mężczyzna za mną próbował mnie odciągnąć, kobieta traciła kolejną ich kępkę. Jej wrzask rozdarł powietrze i odnalazł mój. Wszystko zlało się w jedno bolesne, przepełnione szaleństwem wycie.

Zza rogu wypadł kolejny facet, który z całej siły próbował rozewrzeć mi dłonie. W końcu udało mu się i nie zważając na przekleństwa, które nieprzerwanie płynęły z moich ust, zdzielił mnie w twarz. Być może myślał, że to mnie ocuci. Ugryzłam pierwszego w dłoń i pobiegłam z powrotem do sali. Chwyciłam stojak na kroplówkę i zaczęłam nim okładać wszystko jak leci. O mało co nie dostałoby się dziewczynie, która jeszcze przed chwilą spokojnie leżała w łóżku. Teraz schowała się pod nim i wołała rozpaczliwie o pomoc.

Przez drzwi wpadło kilka osób, ich odbicie zobaczyłam w szybie. Kiedy podbiegły, zamachnęłam się, chcąc je wystraszyć, ale nie minęły dwie sekundy, a już klęczałam obezwładniona, z igłą wbitą nad lewym udem. Zorientowałam się, że ktoś krzyczy, wrzeszczy jak opętany. To wycie wierciło mi dziurę w mózgu, pozbawiało mnie ostatnich chwil świadomości. Zanim padłam w objęcia jednego z sanitariuszy, udało mi się pochwycić zrozpaczone spojrzenie w ciemnej szybie. Kimkolwiek była ta dziewczyna, przez ten ułamek sekundy zrobiło mi się jej

straszliwie żal. Chciałam coś powiedzieć, jej usta również się otworzyły, ale było za późno. Zalewał mnie mrok.

- Wstajemy, wstajemy! Karetka już na ciebie czeka, księżniczko!

Poważnie? A więc zostałam córką króla, ciekawe, kiedy to się stało... Zjadłabym coś, na przykład naparstek pięknej królowej... Nie bądź głupia, za królową przędą prząśniczki.

I śpiąca królewna. Ach nie, ona jest martwa. Jak cała reszta świata. Jak te gołębie w Krakowie. Gołębie, gołębie...

- Auć! - Momentalnie wróciła mi świadomość.

Salowa zaśmiewała się w głos. Najwyraźniej byłam bardzo zabawna, kiedy powstrzymywałam łzy bólu. Ostrożnie próbowałam znaleźć źródło cierpienia.

- Może mi pani łaskawie wyjaśnić, dlaczego nie czuję części ciała między plecami a nogami?!

Kobieta spojrzała na mnie zaskoczona. Po chwili wzruszyła ramionami, mruczając pod nosem coś o rozpieszczonych bachorach i oszustach. Poprawiła czystą pościel na łóżku obok mnie i wyszła, nie zaszczyciwszy mnie odpowiedzią. „Dziwne, od kiedy to wypisuje się ludzi ze szpitala o siódmej rano?” - pomyślałam, spoglądając na puste miejsce, na którym jeszcze wczoraj leżała jakaś gimnazjalistka. Trudno, co mnie to zresztą obchodzi.

Kiedy próbowałam wstać, zakręciło mi się w głowie. Czyjeś ramię powstrzymało mnie przed upadkiem. Podniosłam głowę. Moje oczy znajdowały się na wysokości doskonale mi znanego drewnianego krzyżyka.

- Siostra Rachela!

- Jak się czujesz? - zapytała z troską.

- A jak mam się czuć? Proszę siostry, to wszystko jedno wielkie nieporozumienie! Ja... To... To wszystko stało się niechcący, błagam, niech siostra mi uwierzy!

- Nieporozumienie? - Zakonnica wyglądała na zaskoczoną. - Pobiłaś pielęgniarkę. Z której strony to wygląda na nieporozumienie? Chyba że chodzi ci o to, że pomyliłaś cele.

- Co?

- A... To znaczy... Lola. Wczoraj wieczorem zaatakowałaś bezbronną kobietę i zdemolowałaś salę. Przyznaję, że... - przełknęła głośno ślinę - zbagatelizowaliśmy problem. Powinniśmy byli zareagować, kiedy doszły do nas słuchy, że sobie... nie radzisz. - Wzięła głęboki wdech. - Ale ja już nie wiem, jak ci pomóc, dziecko - westchnęła z żalem, kręcąc przecząco głową. - Czuję się bezradna. Ukrywasz się przed nami, nie mówisz nikomu, co czujesz, a potem nagle znajdujemy twój list pożegnalny. Jak według...

- Co proszę? - przerwałam jej. - Jaki list?

- Moja droga, daj spokój. Po co to ciągniesz? Obie wiemy, że nic ci to nie da. Zaprzestań, proszę. Jestem stara i zmęczona, nie mam już na to siły, rozumiesz? Gdybyś wiedziała, ile zdrowia mnie kosztujesz...

- W takim razie przykro mi, że wciąż żyję. - Uśmiechnęłam się szyderczo. Nie musiała wiedzieć, jaką przykrość sprawiła mi tymi słowami. Nie mogłam dać jej

dojść do głosu, należało to w końcu powiedzieć. – Dobra, będę szczerą. Nie wiem, co się dzieje. Mówi siostra o liście, o którym istnieniu nie mam pojęcia. Mówi o wieczorze, z którego nic nie pamiętam i... – W tym momencie przeszły mnie ciarki. Nagle zdałam sobie sprawę, że jednak wiem, skąd ten ból na lewym pośladku.

„Dobry Boże, co ja narobiłam”.

Nim zdążyłam się pozbierać, siostra Rachela zniknęła już za drzwiami, zawołana przez salową. Złapałam wczorajsze ciuchy i wolno poczłapałam do łazienki. Nie mogłam zatrzymać fali wspomnień, która mnie zalewała. Nie trzymały się one jednak kupy, były jak puzzle rozrzucone na podłodze. Tak jakby wraz z momentem, w którym lekarka wyszła, ktoś wyłączył mi zdolność myślenia. Widziałam włosy między palcami, czułam smak czyjejś skóry, ból na przedramieniu. I słyszałam. Słyszałam straszliwy krzyk. Niekończący się skowyt. I widziałam oczy. Wielkie, pełne łez, rozpaczy. Oczy zaszczutego zwierzęcia. Ofiary. A potem spojrzałam w lustro.

Patrzyły na mnie.

Rozdział 3

A więc to tu mam mieszkać. Sala obserwacyjna numer jeden, cudownie. Wchodzę do szarego pomieszczenia, na którego wyposażenie składają się trzy łóżka, dwie szafki i jedna szafa. No i oczywiście okno. Ale nie mam na myśli tego, za którym widać martwe drzewo. Mam na myśli gigantyczną szybę na długość prawie całej ściany, dzieloną z dyżurką. Od drugiej strony jest żaluzja, teraz maksymalnie podwinięta. W pokoju siedzi tylko wpatrzony w gazetę sanitariusz w średnim wieku, z namaszczeniem popijając kawę.

- Jak w zoo, prawda?

Dziewczyna, która zadała mi to pytanie, zajmuje środkowe łóżko. Obok niej siedzą jeszcze dwie.

- Lola - oznajmiam, podchodząc do nich.

- Czarna. - Podaje mi dłoń.

Jeżeli kiedykolwiek powiedziałam, że dziewczyna nie może ładnie wyglądać w krótkich włosach - cofam to. Bo ta, która właśnie posłała mi uśmiech pełen idealnie białych, równych zębów, jest jedną z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek spotkałam. Jest raczej drobnej budowy, ale za

to bardzo kobiecej. Krótkie czarne włosy wystylizowała na pozorny nieład, jeden z kosmyków zatrzymał się tuż nad brązowymi oczami w kształcie migdałów. Całości dopełnia drobny, lekko zadarty nosek, piegi, dość wydatne usta i...

- Matko jedyna, jakie ty masz piękne dołeczki!

- Dzięki. - Przez moment pokazuje mi język. - Też bym ci coś powiedziała, ale nie chcę ci robić nadziei, maleńka.

Pokrótkce przedstawia mi swoje towarzyszki, ale szczerze mówiąc, interesują mnie dużo mniej niż dekolt mojej (mam nadzieję) współlokatorki. Nie żebym objawiała szczególne zainteresowanie innymi przedstawicielkami mojej płci. Po prostu nie mogę się nadziwić, jak - przy tak drobnej figurze - można mieć takie kształty. Świat jest niesprawiedliwy.

Witają się ze mną, posyłając mi pokrzepiające spojrzenia. Chyba chcą mi dodać otuchy. To słodkie, ale nie dziękuję. Ja nie słodzę.

Pierwsza to przykład dziewczyny tak zwyczajnej, jak zwyczajna może być dziewczyna. Zwyczajne oczy, zwyczajne włosy, zwyczajna twarz. Jak tysiące, które widzisz, idąc miastem. Możesz spotykać ją codziennie w szkole, a nie zapamiętasz jej.

Z kolei druga jest wyraźnie młodsza, dałabym jej czternaście, może piętnaście lat. Mysie włosy, sięgające łopatek, zapadnięte policzki, wystające obojczyki. Panna motylek, jak mniemam.

- Za co tu jesteś? - pyta.

- Ej! Daj jej spokój! - Czarna wtrąca się, nim zdążę otworzyć usta. - Ledwo dziewczyna weszła, a ty już ją atakujesz.

- Wcale jej nie atakuję.

- Atakujesz.

- Nie atakuję.

- Atakujesz.

- Nie, nie ata...

- Dobra, dość - przerywam im. - Jestem tu z tego samego powodu, co inni.

- Co masz na myśli? - podchwytuje Zuzka.

- Ja chyba wiem - znów ubiega mnie Czarna. Przygląda mi się badawczo. Pytająco unoszę brwi, czekając na odpowiedź.

- Jesteś popierdolona.

Przez chwilę w pokoju panuje głucha cisza. Na sekundę świat się zatrzymuje, a my próbujemy zrozumieć wartość tych słów. Jak znawcy przykładamy je do uszu, ważymy w ręce, wachamy i smakujemy. A kiedy dociera do nas, że trudno o bardziej trafną odpowiedź, wybuchamy śmiechem.

Zaraz jednak moje myśli wracają do tej dziwacznej szyby. Czarna najwyraźniej to wyczuwa, bo wygania koleżanki, wykręcając się potrzebą drzemki. Niechętnie opuszczają nasz pokój. Odwracam się do niej tyłem i opieram o metalowe pręty w nogach jej szpitalnego łóżka. Zawieszam spojrzenie na gazecie mężczyzny po drugiej stronie. Czarna po dłuższej chwili wstaje i robi to, co ja.

- Muszą mieć pewność, że nie zrobimy sobie krzywdy. -
Wzrusza ramionami. - Nie masz czym się martwić. Minie
parę dni i zaczną je zasłaniać, przynajmniej do połowy.

- Ach, czyli jestem na okresie próbnym?

- Dokładnie - chichocze. - Jak będziesz grzeczna, to
dostaniesz nagrodę.

- Opuszczone żaluzje?

- Nagrodą główną jest pobyt w luksusowym pokoju
pozbawionym trzymetrowego wizjera.

- Kusząca wizja - przyznaję z poważną miną. - A co,
jeśli nie będę szczególnie grzeczna?

Czarna krzyżuje ręce i wbija we mnie spojrzenie.
Odchyła lekko głowę do tyłu, a jej usta lekko wyginają się
w uśmiechu. Rzuciła rękawicę.

Cholera, lepiej nie mogłam trafić.

Powoli nachyliłam się w jej kierunku, zbliżam twarz do
jej ucha i muskając je ustami, dodaję konspiracyjnym
szepem:

- Mam nadzieję, że masz kłopoty ze snem, *maleńka*.

Dziewczyna wybucha perlistym śmiechem i daje mi
kuksańca w bok. Wygląda na to, że jednak przeżyję ten
pobyt. Kto wie, może nawet będzie zabawnie?

W ciągu godziny udaje mi się poznać większość
pacjentów. Czarna jest osobą, której nie da się nie lubić,
więc z łatwością przedstawia mnie każdemu, nawet jeśli nie
wszyscy wydają się z tego powodu zadowoleni.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem w stanie
zapamiętać tylu imion? - powtarzam po raz kolejny, kiedy

wychodzimy z przedostatniego pokoju. – Całe szczęście to już ostatni.

- Jeszcze druga obserwacyjna.
- Ktoś tam jest?
- Pewnie. Nasz deser.
- Nie wyglądasz na fankę kanibalizmu.
- Pozory mylą. – Oblizuje niespiesznie usta.
- Cóż, to i tak lepsze niż wegetarianizm.

Drzwi ostatniego pokoju otwierają się gwałtownie. Panna Prosiaczek usiłuje wyjść, ale czyjaś ręka zasłania jej wyjście, równocześnie przytrzymując drzwi.

- Betka, dajże spokój. Zdecyduj się wreszcie, czego...
- No siema – rzuca Czarna i bezceremonialnie ładuje się do środka, zostawiając mnie za sobą. Nawet nie reaguje, gdy dziewczyna wybucha płaczem i ucieka.

- Kamila, co ty, do cholery, wyprawiasz? – Szczupły chłopak piorunuje ją wzrokiem.

- Ratuję cię przed twoją psychofanką, kochanie.
- Mogłabyś czasem sobie odpuścić, wiesz? Betka ma problem, a ty potraktowałaś ją jak powietrze.
- Jak będziesz pocieszać każdą laskę na oddziale, to i ciebie zaczną olewać.

Przez chwilę stoi jak wryty. W końcu siada na łóżku i ukrywa twarz w dłoniach. Najwyraźniej wciąż nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Opieram się o framugę, wkładając ręce do tylnych kieszeni spodni. Z zaciekawieniem spoglądam to na niego, to na nią. Czarna wskazuje palcem lokatora i wykonuje ordynarny gest,

którego nawet ja bym się powstydziała. Widząc moje zaskoczenie, przewraca oczami.

- Kamila... - Chłopak wciąż nie podnosi głowy.

- Po pierwsze, to Czarna. Po drugie, wal prosto z mostu. Wiesz przecież, że nie cierpię bezsensownego gadania.

- Co za różnica. - Kładzie ręce na kolanach, ale oczy wciąż ma zamknięte. - Słuchaj, to między nami nie ma sensu. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiem, czemu z tobą jestem. Jesteś wredna i wiecznie się tylko znęcasz nad każdą dziewczyną, która na ciebie krzywo spojrzy. Mam tego po prostu dość i dlatego... - W tym momencie urywa i raptownie podrywa się z miejsca. Zauważył, że nie jest sam. Oblewa się rumieńcem i zagubiony kręci głową, nie wiedząc, na kim się skupić.

- Lola - rzucam. Niech się nie męczy chłopak. - Mam sobie iść?

Nie trzeba być geniuszem, żeby zauważyć, jak bardzo jest zdezorientowany. Przypomina szczeniaka, który drepcze w miejscu, obracając się raz w jedną, raz w drugą stronę, nie mogąc zdecydować, do kogo najpierw podbiec. Czarna nie jest tak łaskawa, by się odezwać. Z uśmiechem obserwuje rozwój zdarzeń.

- W takim razie nie będzie ci przeszkadzało, jeśli usiądę? - Nie czekając na pozwolenie, przeskakuję pokój w trzech krokach i zręcznie wskakuję na jego łóżko. - Za późno - dodaję, posyłając mu całusa.

Czarna chichocze.

- Maciek, to jest moja nowa współlokatorka. Jak będziesz dla niej zbyt miły, to nie pozwolę ci ze sobą zerwać.

- Co? - Natychmiast wraca na ziemię. - Jak możesz mi na to nie pozwolić?

- Po prostu nie pozwalam i tyle.

- Ty jesteś jakaś nienormalna, kobieto.

- No co ty nie powiesz. - Wskazuje na kraty za oknem.

Po długiej potyczce na mordercze spojrzenia mieszkaniec jedenastego pokoju kapituluje. Przenosi wzrok na mnie i wyrywa mu się ciche westchnienie. Jestem pewna, że nie umknęło to jego dziewczynie, ale nie widzę z jej strony żadnej reakcji. Chłopak prostuje się, poprawia lekko kręcone włosy i dziarsko rusza w moją stronę, obdarzając mnie czymś, co z powodzeniem można nazwać zalotnym uśmiechem. Szkoda tylko, że ja jakoś kompletnie nie jestem zainteresowana. Powiem więcej, jestem znudzona. Każdy samiec to idiota i należy się z tym pogodzić. Przy takim założeniu wszystko momentalnie staje się łatwiejsze. Zmuszam się do lekkiego wygięcia ust.

- Maciek jestem. Wybacz mi moje zachowanie. Gdybym cię zauważył, na pewno nie marnowałbym czasu na tę... - Tu obrzuca Czarną pogardliwym spojrzeniem i najwyraźniej nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, siada na łóżku twarzą do mnie. Przy okazji trąca mnie kolanem. Powstrzymuję się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Czarna również zajmuje miejsce na łóżku, obejmując mnie w pasie ramieniem. Jej oczy rzucają ostrzegawcze

błyski, ale chłopak tylko jeszcze bardziej się nakręca. Zresztą nie dziwię mu się, to dla mnie żaden sekret, że się podobam facetom. Choć tylko z wyglądu. Magia pryska tam, gdzie zaczyna się osobowość.

W innym wypadku może i bym włączyła się do tego cichego flirtu, ale wolę nie spać w jednym pomieszczeniu z wrogiem, dlatego odwzajemniam uścisk i daję Czarnej głośnego całusa w policzek.

- Spokojnie, to raczej on powinien się martwić.

- Słyszysz, Maciuś? Jak ze mną zerwiesz, to zakocham się w Loli. A tego byś chyba nie chciał, co?

Chłopak jest wyraźnie rozbawiony. Napięcie opada i parę minut później obgadujemy każdą pielęgniarkę po kolei.

- Skwarka? - W odpowiedzi kiwam głową. - Ech, to straszna jędza, uważaj na nią, nie lubi dziewczyn, a już szczególnie tych ładnych. - Mruga do Czarnej. - Potrafi być strasznie wredna. Poza tym z nich wszystkich to chyba największa plotkara. Czegokolwiek byś nie powiedziała, możesz być pewna, że cały personel będzie o tym gadać. Kobieta naprawdę nie potrafi wyluzować, chyba ma jakiś problem ze sobą czy coś.

- Dokładnie, prędzej ją powinni zamknąć niż nas - wtóruje mu Czarna.

- Swoją drogą za co siedzisz?

Nie muszę się zastanawiać nad odpowiedzią. Zdążyłam wymyślić wersję dla pacjentów.

- Pocięłam się o jeden raz za dużo.

- Ech, kiepska sprawa. Ja tu jestem, bo mnie w szkole uwalili, a ta ślicznota ma problemy z jedzeniem.

Posyłam dziewczynie pytające spojrzenie. Jest szczupła, ale nie wygląda na anorektyczkę. A więc musi być...

- Bulimia. - Podnosi rękę, jakby właśnie zgłaszała obecność. - Okropne cholerstwo. Wszyscy tylko pieprzą o tych chudzielcach, a o istnieniu mojej choroby wie może co trzecia osoba.

- Dziwisz się? - pytam.

- Nie rozumiem.

- Ludzie nie dostrzegają niewidocznych chorób - wyjaśniam, ale nie zrozumieli, co mam na myśli. Opadam na poduszki. - Bulimia jest praktycznie niezauważalna. Jeśli przestaniesz jeść, schudniesz. Twoje ciało się zmieni, więc ludzie to zobaczą. Przy bulimii waga się waha, ale nie na tyle, by ktoś zwrócił na to uwagę. Poza tym - kontynuuję, bawiąc się włosami - nikt by nie mówił o anoreksji, gdyby nie modelki na wybiegach. Ta choroba została spopularyzowana. Tak jak modnie jest palić w gimnazjum papierosy, tak modnie jest wiecznie być na diecie. Wykazujesz się silną wolą, masz temat do niekończących się dyskusji na szkolnym korytarzu. A bulimia? Przecież nie pochwalisz się, ile wyrzygałaś. Po trzeciej... - Przymykam oczy, by zastanowić się dwa razy. W końcu dodaję cicho: - Anoreksja to kontrola absolutna. Bulimia to jej całkowity brak.

Żadne z nich nie odzywa się aż do momentu, gdy do pokoju wchodzi pielęgniarka i woła Czarną na

podwieczorek zarezerwowany tylko dla osób z zaburzeniami odżywiania. Moja współlokatorka udaje, że śpi. Kobieta w końcu wychodzi, kręcąc głową. Maciek po chwili namysłu kładzie się obok swojej dziewczyny i lekko ujmuję jej dłoń. Nie powstrzymują mnie, gdy wstaję i wychodzę na korytarz. Światło jarzeniówek nadaje mu niezdrową, zieloną barwę. Choć jeszcze dwie godziny temu wszyscy się ze mną ochoczo witali, teraz nikt nie reaguje, gdy zmierzam do swojej sali. Uśmiecham się półgębkiem. Człowiek tak szybko mięknie. Gdybym nie doświadczyła tylu miłych gestów w jedenastym pokoju, pewnie nawet nie zwracałabym uwagi na obojętność, którą częstowała mnie reszta pacjentów. Łapię się na tym, że szukam wzrokiem Staśka. Może on by mnie jakoś pocieszył.

Śmieję się w duchu. Nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Każdy uśmiech jest jak strzał w zimne mury, które wzniosłam wokół siebie. Przybieram więc chłodną minę i powoli wchodzę do sali obserwacyjnej, czując na sobie spojrzenie grupki okupującej puffy.

Początkowo nawet nie zwracam uwagi na dziewczynę skrytą w rogu. Leżę na szpitalnym łóżku przy parapecie i wpatruję się w sufit. Marzę o jakiegokolwiek ucieczce przed nudą. Do kolacji zostało jeszcze sporo czasu. Nie chcę tu tak gnić jak jakaś ofiara losu.

Bawię się bandażem. Chętnie zajrzałabym pod spód, ale jest tak ładnie założony, że aż szkoda zepsuć. Poza tym jaki to ma teraz sens, skoro i tak będę musiała go odwiązać przed kąpielą...

- Nie rozpakowujesz się? - pyta cichutki głos. Obracam głowę i zauważam brunetkę skrytą pod kołdrą. Jedynie jej oczy wystają znad białej pościeli, otoczone płataniną przetłuszczonych włosów. - Możesz wziąć dolne półki - dodaje, po czym odwraca się plecami.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens jej słów. Naprzeciwko mnie stoi niewielka, drewniana szafa. Ostrożnie ją otwieram, jakby nagle miał z niej wyskoczyć jakiś stwór z koszmarów, ale w środku są tylko ubrania. Z niesmakiem zauważam, że moja przestrzeń jest najmniejsza. Nie mam jednak ochoty się wyklócać, więc pokornie zabieram się do rozpakowywania niewielkiej torby. Patrząc na jej zawartość, staje się dla mnie jasne, że to siostra Rachelą ją kompletowała. Wybrała chyba najnudniejsze ubrania ze wszystkich. Ponadto w kosmetyczce znalazłam jedynie szczoteczkę, pastę i szampon. Zważywszy na dość ubogi zasób bielizny, należy się spodziewać wizyty zakonnicy w najbliższy weekend. No i dobrze. Tak łatwo się nie poddam, nie mam zamiaru tu zbyt długo wegetować. Nim jednak zgrzeszę, wypowiadając soczystą mieszankę przekleństw i niezbyt pochlebnych określeń na temat Racheli, dostrzegam coś kolorowego na dnie. Zaciekawiona sięgam ręką i ku mojemu zdumieniu okazuje się, że trzymam książkę. Ale nie podręcznik, lecz najprawdziwszą książkę. Do tego całkiem obiecującą, sądząc po okładce.

Uderzam pięścią trzy razy w klatkę piersiową i z uśmiechem wracam do łóżka.

Przed samą kolacją do pokoju wpada Czarna. Z szeroko otwartymi oczami obserwuję, jak schyla się i skrada pod szybą tak, żeby w dyżurce nikt jej nie zauważył. Kiedy pokonuje dzielący nas dystans, podciąga się na jego ramie i wślizguje pod kołdrę. Jak pies szukający w nocy ciepła właściciela, przemyka pod nią i chwilę później lekko unosi, tak że widać tylko kawałek łokci, na których się opiera.

- Zdajesz sobie sprawę, że cię widać? - pytam, nim zdąży się odezwać.

Dłoń, która dźwigała pościel, szybko zasłania mi usta, biały materiał opada, zanim zdąży go przytrzymać. Widząc, jak z nim walczy, duszę się ze śmiechu. W końcu przytrzymuję go za nią, wciąż z jej palcami na wargach.

- Musimy iść.

- Do kolacji zostało jeszcze dziesięć minut.

- Nie chodzi o kolację.

- A o co?

- O deser.

- Deser?

- O osiemnastej w kiblu.

Po czym, nie dając mi czasu na kolejne pytanie, wycofuje się na czworaka w dół łóżka, wyslizguje się z niego cichutko jak mysz i z nosem przy ziemi czołga się do drzwi.

Dom wariatów.

Usiłuję przetrwać jej komunikat. Rozważam różne opcje, ale zapewne zwyczajnie zapraszała mnie na

papierosa. Na samą myśl o tym gryzącym zapachu robi mi się niedobrze. Odkładam książkę i obejmuję rękami brzuch, walcząc z narastającymi mdłościami. Zwijam się w kłębek i zamykam oczy.

Nie chcę palić. Nie lubię tego robić. Nie potrzebuję tego. Nie dla siebie.

Czasem zastanawiam się, czy jest jakaś bardziej bezsensowna używka. O ile jestem w stanie zrozumieć, że można uzależnić się od alkoholu czy narkotyków, o tyle chęć duszenia się cuchnącym dymem uważam za zwyczajnie idiotyczną. Wydaje mi się, że większość ludzi pali dla towarzystwa. A potem ni stąd, ni zowąd orientują się, że nie mogą przestać.

Ze mną było podobnie jak z większością nastolatków. W gimnazjum chciałam się zbuntować, zaimponować rówieśnikom, pokazać, że niczego się nie boję. Jestem w końcu taka dorosła. Na samo wspomnienie o tym mam ochotę tarzać się ze śmiechu. Co za ironia: słabość postrzegana jako odwaga. Potrzebowałam dużo czasu, żeby to zauważyć.

Podobno zrozumienie problemu to pierwszy krok na drodze do sukcesu, nie tylko w terapii. U mnie jednak moment, w którym zorientowałam się, o co w tym wszystkim biega, nie zmienił kompletnie nic. Mam wręcz wrażenie, że wszystko pogorszył. Oczywiście, podświadomie już wcześniej domyślałam się, że moje zachowanie wynika jedynie z jakiegoś dziwnego strachu przed samotnością, ale wyczuwanie tego gdzieś pod skórą

a przyznanie się na głos to dwie różne sprawy. Kiedy wreszcie powiedziałam sobie, że żyję dla innych, a nie dla siebie, nie poczułam nic poza odrazą. I złością. Na siebie, na rodziców, na wszystkich po kolei.

Tacy jesteście mądrzy? Jestem słaba? Samotna? Dobre sobie, jeszcze wam pokażę. Nie jestem zagubionym dzieciakiem, to mój świadomy wybór. Nie szukam pocieszenia i uwagi, ja po prostu jestem zła. Ja *chcę* być zła.

Nikt mnie nie będzie uczyć, co mam robić. Nie interesują mnie oceny, znajomi, rodzina, z którą nie rozmawiałam od dwóch lat. Nie chcę myśleć o tym, co będzie za pół roku, a co dopiero o tym, co jeszcze dalej. Nie zastanawiam się nad przyszłością. Tak jest dobrze. Kiedy niczym się nie przejmuję, wszystko staje się dużo prostsze. Po prostu siadam i jestem, nic więcej.

Z zamyślenia wyrywa mnie hałas na korytarzu. Za szybką w drzwiach widzę całkiem sporą grupkę ludzi. Maciek tłumaczył mi, że przed kolacją jest czas na odwiedziny. Wtedy to na pół godziny w szpitalu robi się napięta atmosfera. Pacjenci, którzy mają gości, chowają się z nimi w swoich pokojach, chroniąc ich przed resztą świrów. Ci ostatni włóczą się po korytarzu i kuchni, szukając sobie zajęcia i unikając zaciekawionych spojrzeń obcych.

Kuchnia nazywana kuchenką jest jednym z tych pomieszczeń, których przeznaczenia na początku nie znałam. Z tego, co wiem, można trzymać tam jedzenie w jakichś szafkach, ale klucze, tak czy inaczej, są

w dyżurce. Dopiero za pozwoleniem można coś wyjąć. Nikt mi jednak nie pokazał, gdzie mogę chować swoje produkty. Cóż, może dlatego, że żadnych nie mam. Powinnam zrobić listę potrzebnych rzeczy, ale nie mam ani kartki, ani długopisu. Będę musiała poprosić kogoś o pomoc. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Bezimienna współlokatorka powoli wysuwa się z zawojów. Nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem, owija się puchatym kardiganem i opuszcza pokój. Zerkam na zegar wiszący w dyżurce, po czym niespiesznie wychodzę z sali. Sanitariuszka właśnie zamyka drzwi za ostatnimi normalnymi ludźmi, kiedy ja powoli zmierzam do toalet. Mieszczą się obok siebie. Męska, po niej damska. Nie zwracając uwagi na roześmianych pacjentów, wchodzę do łazienki. W pierwszej jej części, mogącej pomieścić zaledwie parę osób, znajdują się dwie umywalki i spore lustro. Zatrzymuję się z klamką na kolejnych drzwiach, kiedy dostrzegam swoje odbicie.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wyglądałam tak źle. W tym momencie można mnie wziąć za poważnie chorą. Skóra dziwnie się świeci jak w gorączce, a przy tym jest śmiertelnie blada. Wrażenie to potęgują wielkie sińce nie tylko pod oczami, ale wręcz rozciągające się wokół nich, nadając mi wygląd skacowanej pandy. W otoczeniu tych brązowo- czerwonych plam moje oczy wyglądają na potwornie zmęczone. Nawet ich nietypowy, złotawy odcień, z którego jestem tak dumna, nie jest w stanie uratować

sytuacji. Omiatam spojrzeniem szczupłą twarz i zatrzymuję się na włosach.

Wszystko jasne. W końcu nie widziałam szczotki od wczorajszego poranka, kiedy to myłam włosy. Zazwyczaj gładka, lśniąca tafla długich mleczno-białych włosów teraz przypomina splątanego, starego mopa. Całość ratuje jedynie fakt, że są związane. W przeciwnym razie zapewne wyglądałabym jak porażona piorunem.

Nagle z całej siły uderzają mnie drzwi do drugiej części łazienki. Co za idiota wpadł na to, żeby otwierały się do wewnątrz tak małego pomieszczenia?!

- Cholera, Lola, o matulu, żyjesz? - Czarna skacze wokół mnie przerażona, kiedy kulę się, obejmując ramię. - Przepraszam! Nie wiedziałam, że tu jesteś, tak strasznie...

- W porządku - próbuję ją uspokoić. Podnoszę się i sprawdzam, czy lewa ręka wciąż ma ten sam kształt. - Następnym razem stanę dalej od drzwi.

- Jeszcze raz sorki, nie chciałam ci zrobić krzywdy. A teraz chodźmy. - I ku mojemu zdumieniu prowadzi mnie do wyjścia. Uchyła lekko drzwi i rozgląda się ze skupieniem. - Droga wolna, idziemy.

Szybko przebiega korytarz i zatrzymuje się przed salą obserwacyjną, ale nie naszą. Deser! No tak, zupełnie zapomniałam. Ostrożnie napiera na klamkę i po chwili jesteśmy już w środku.

Ten pokój jest dużo mniejszy od naszego, a jego jedyne wyposażenie stanowi stojące pośrodku łóżko, na którym

leży szczuplutka dziewczyna w paskudnej, za małej piżamce w jasną kratę. Na nasz widok otwiera oczy ze zdumienia.

- Czarna!

- Hej, Gaba, patrz, kogo przyprowadziłam. Lola, Gaba. Gaba, Lola.

Długie brązowe włosy opadają jej na twarz, kiedy podnosi się do pozycji siedzącej. Z niebieskich oczu zdaje się płynąć esencja czystego szczęścia, która odwraca uwagę od braku policzków. Zimny pokój w sekundę zamienia się w przyjazną, przytulną sypialnię.

- Dzisiaj cię przyjęli, prawda? Czytałaś książkę. - Wskazuje na szybę, za którą widać moją salę. - Jakaś ciekawa?

- Nawet regulamin jest ciekawy, jak nie masz nic do roboty.

- Och, nie rozumiem, czemu każą nam to podpisywać - wzdycha.

- Ja też nie, dlatego mój leży w śmieciach.

- Co? - pytają równocześnie.

- Nie podpisałam go i wyrzuciłam - odpowiadam pogardliwie.

- Żartujesz. - Gaba patrzy z uznaniem. - Tak po prostu?

- Nie podobał mi się punkt o stosunkach seksualnych - wyjaśniam. Nie muszą wiedzieć, że to wszystko nie do końca prawda. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- No, siostró, witaj w drużynie - oświadcza oficjalnym tonem Czarna.

- W takim razie mam prośbę: podzieli się któraś szczotką do włosów, kartką i długopisem?

- A co, chcesz z nich zbudować morderczą broń, dzięki której się stąd wydostaniemy?

- Nie, do tego wystarczy klucz. - Śmieję się, a po chwili poważnieję. - Właściwie to dlaczego jesteś tu sama? - zmieniam temat, utkwivszy spojrzenie w mieszkanie pokoju.

- Jestem na superścislej - wyjaśnia Gaba, jak gdyby to było najzupełniej oczywiste.

- To znaczy?

- Jak jesteś niegrzeczny, to wsadzają cię do obserwacyjnej i dają piżamkę. - Tu wskazuje na sprany, bezkształtny komplet, w który jest ubrana. - Wstrzymują przepustki, spacer, nic poważnego. Co innego superścista. Wtedy to jest *hardcore*.

- Nie możesz wyjść z sali - podejmuje Czarna - nikt nie może cię odwiedzać. Zabierają ci wszystko, zostawiają tylko łóżko i piżamkę. Jak chcesz zjeść, to musisz poczekać, aż wszyscy skończą, i wtedy dopiero idziesz z pielęgniarką. Chodzisz z nią nawet do toalety.

Wyobrażam sobie, jak myję się na oczach Skwarki.

- W takim razie co takiego zrobiłaś?

Zasepiają się. Najwyraźniej zadałam niezbyt komfortowe pytanie. Nim jednak zdążę cokolwiek powiedzieć, odzywa się Czarna.

- Właściwie to moja wina... - Koleżanka próbuje jej przerwać, ale dziewczyna ją powstrzymuje lekkim

kręceniem głową. – Gaba... źle się czuła. Bałam się, że coś się stanie. Nie reagowała, kiedy pytałam, czy wszystko z nią w porządku. – Patrzy smutno na towarzyszkę. – Więc kiedy gdzieś zniknęła i nikt nie mógł jej znaleźć, spanikowałam. Pobiegałam po sanitariusza, powiedziałam, że... – głos jej drży

- ...że Gaba cały dzień była dziwnie nieobecna, a ja od godziny nie mogę jej znaleźć. I przede wszystkim, że leki, które gromadziła pod materacem, zniknęły.

- Byłam w toalecie dla personelu – wyjaśnia tamta. – Normalnie nie da się tam wejść, ale ktoś przez przypadek zapomniał ją zamknąć. Chciałam zrobić jakiś krok do przodu, cały dzień o tym myślałam. Stałam nad muszlą w nieskończoność, nie mogłam się zmusić, żeby spuścić te tabletki w kiblu. W końcu usiadłam na desce, rozpłakałam się. Wtedy wszedł sanitariusz. Nawet jeśli potrafiliby mi uwierzyć, że nic nie chciałam sobie zrobić, to samo gromadzenie leków było wystarczającym powodem, żeby wcisnąć mnie w te szmaty. W sumie to może i dobrze, nie chciałabym się zabić. – Uśmiecha się przepraszająco.

„Nie chciałabym się zabić”. Te słowa dzwonią mi gdzieś z tyłu głowy.

Rozdział 4

- Gotowa? - zapytała, kiedy wsiadałyśmy do karetki, która miała przewieźć mnie ze szpitala do kolejnego, tym razem o dalece innym charakterze.

Wciąż nie otrząsnęłam się z szoku. Od momentu wyjścia z łazienki nie odezwałam się ani słowem. Kiedy jednak samochód ruszył, zmusiłam się do podjęcia kolejnej próby. Uspokoiliam oddech i starając się brzmieć tak spokojnie, jak to tylko możliwe, oznajmiłam:

- Dziękuję ci, sostro Rachelo, za twoją troskę. - Żółć napłynęła mi do gardła, kiedy to mówiłam. - Chciałabym jednak jeszcze raz spróbować wszystko wyjaśnić.

- Wszystko, to znaczy co?

Zastanowiłam się. Nie mogłam znów jej atakować, bo nic by z tego nie wyszło. Musiałam kłamać.

- Mogłabyś, proszę, przypomnieć mi wszystko od początku? Co działo się, zanim znalazłaś mnie w łazience?

Kobieta zasepiła się, najwyraźniej nie chciała do tego wracać.

- Nie rozumiem cię, ale niech będzie. - Założyła nogę na nogę. - Nie będzie tego wiele, wszystko działo się tak

szybko... Jedliśmy śniadanie, kiedy twoja współlokatorka wpadła z krzykiem, machając listem. Trochę nam zajęło, zanim udało się nam ją uspokoić. W końcu powiedziała, że znalazła list pożegnalny na twoim łóżku. Nie było czasu na czytanie go, bo zaraz za nią weszła jedna z wychowanek, mówiąc, że ktoś zablokował drzwi do łazienki. Razem z kucharką szybko pobiegliśmy na górę. Próbowaliśmy dostać się do środka, ale nic z tego. Obawialiśmy się najgorszego, więc wezwaliśmy karetkę, a chłopcy pobiegli po woźnego. W końcu udało im się wyważyć drzwi, żebym mogła wejść do środka. Nie wiedziałam, w jakim stanie cię zastanę, więc kazałam im poczekać. Dalej już wiesz.

Tak, rzeczywiście wiedziałam. Tak samo jak wiedziałam, że zostałam wrobiona. Nie tylko nie napisałam żadnego listu, ale też nie zamknęłam drzwi. Nie wolno było ich zamykać. Wszyscy wiedzieli, że zamek się zacina. Czasem jak dziewczyny nie chciały iść na lekcje, to specjalnie się zatrzaśniały, a potem wkręcały wychowawców, że nie mogły się wydostać.

Była tylko jedna osoba, która mogła chcieć mnie wrobić. Nie trzymałoby się to jednak kupy. Przecież nie chciałby się pozbywać swojej ulubionej zabawki.

- Mam jeszcze jedną prośbę.
- Tak?
- Mogę zobaczyć ten list?

Siostra Rachela wyciągnęła zmiętą kartkę z kieszeni i podała mi ją. Wyglądała na wyrwaną z zeszytu. Niebieską

kratkę wypełniał krótki tekst, zapisany drobnymi, czarnymi literkami, zupełnie nieprzypominającymi mojego pisma.

9 listopada 2015, Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy

Nie chcę już żyć nic nie ma sensu mam dość. Nie chcę żyć więc mam zamiar ze sobą skończyć. Nienawidzę was wszystkich. Zgnijcie w piekle. Nie chcę już żyć. Kiedy to czytacie pewnie leżę martwa w łazience. I dobrze bo nie chcę już żyć.

Moje rzeczy możecie wyrzucić nikomu nic nie zapisuję.

Gdyby nie sytuacja, w której się znajdowałam, prawdopodobnie popłakałabym się ze śmiechu. Nie byłam w stanie pojąć, jak ktoś mógł po przeczytaniu tego uwierzyć, że to ja jestem autorką. Przynajmniej wiedziałam, że osoba odpowiedzialna za stworzenie tego liściku jest mniej więcej na takim samym poziomie rozwojowym, co orangutan. To definitywnie wykluczało ewentualny udział głównego podejrzanego.

Myśl o byciu wrobioną przez śmierzdzącą małpę była jak uderzenie w policzek. Czułam, jak wzbierają we mnie emocje. Kiedy weszliśmy do poczekalni, ledwo nad sobą panowałam, ale grzecznie usiadłam i czekałam. Zakonnica z początku wzięła ze mnie przykład, ale kiedy rozpoczęło się wypełnianie papierów, zaczęła tracić na sobą panowanie. Chyba było jej wstyd, że jest zmuszona siedzieć ze mną w poczekalni szpitala psychiatrycznego. Nie mogąc zapanować nad ciałem, zaczęła miotać się w tę i we w tę.

Każdy jej krok zdawał się tylko bardziej potęgować kłębiące się w niej uczucia, przy okazji podburzając i mnie. Złość powoli brała górę nad spokojem.

Nie mam już siły z nią walczyć. Przegrałam, najwyższa pora, żebym to przyznała.

Z trudem przełykam ślinę.

Psychiatryk.

Nie. Jest jeszcze nadzieja. Może i nie udało mi się przekonać Racheli, ale jest jeszcze ktoś. Czekamy przecież na lekarza, który zaprowadzi mnie na oddział. Na razie jednak sprawdzają moją torbę, szukając niebezpiecznych bądź zakazanych przedmiotów. Zakonnica bez słowa chowa mój potłuczony telefon do kieszeni.

Lada moment zjawi się osoba, która może mnie jeszcze uratować. Wystarczy, że ją przekonam i...

Ukradkiem spoglądam na siostrę Rachelę. Zna mnie od dwóch lat, a jednak nie słuchała moich wyjaśnień. Liczenie na to, że zupełnie obca osoba mi uwierzy, w dodatku psychiatra, jest idiotyczne. Muszę to rozegrać inaczej. Tylko jak? Udawać idiotkę? A może przyznać im rację? Pomysły przemykają mi przed oczami z prędkością światła. Niestety żaden z nich mnie nie przekonuje. W pewnym momencie myślę nawet, że zawsze mogę rzeczywiście się zabić. Wystarczyłoby zmienić datę w liście.

W końcu stwierdzam, że należy się trzymać tego, co najlepiej mi wychodzi. Chłód, sarkazm, pogarda. Potraktuję

tego lekarza jak każdego innego człowieka na tym świecie. Nie będę mówić nic, co mogliby wykorzystać przeciwko mnie. W końcu znudzą się i uznają, że to tylko głupi wybryk. Za tydzień wrócę do...

Domu?

Nie chce mi się wierzyć, że prawie użyłam tego słowa. Zaciskam pięści. Nie masz domu, idiotko. Tak samo jak nie masz rodziny i przyjaciół. Możesz liczyć tylko na siebie.

Niecałe dziesięć minut później maszeruję z torbą na ramieniu, prowadzona przez niskiego człowieczka o dziwacznym, kowbojskim chodzie. Patrząc na jego przerzedzone włosy, mam ochotę włożyć mu kapelusz i doczepić ostrogi do brunatnych butów sięgających za kostkę. Ręce trzyma w kieszeni, głowa wysoko uniesiona. Idzie dziarskim krokiem, szeroko rozstawiając nogi. Przy każdym stąpieniu lekko ugina się w kolanach, jakby w stopach miał sprężynki. Sama nie wiem, czy powinnam się cieszyć, że to nie flegmatyczny babsztyl, ale mam wrażenie, że za tym z pozoru pogodnym obliczem kryje się coś znacznie głębszego. Coś, co może mi się wcale nie spodobać.

Docieramy do białych podwójnych drzwi, nad którymi widnieje wielki napis: MŁODZIEŻOWY ODDZIAŁ PSYCHIATRYCZNY NR 4. Kiedy mężczyzna energicznie otwiera drzwi wielkim kluczem o trójkątnej końcówce, przyglądam się kartkom i ogłoszeniom, przyklejonym równiutko taśmą klejącą. Zalewają mnie oferty profesjonalnej pomocy, grup wsparcia, obozów

integracyjnych i terapii wszystkich możliwych rodzajów. Moją uwagę przyciąga domofon. Najwyraźniej nie mając klucza, należy zadzwonić, aby dostać się do środka. Rozglądam się, usiłując zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Na prawo znajduje się wyjście ewakuacyjne, prowadzące na podwórze, na lewo zaś kolejny korytarz, ale w przeciwieństwie do tego, w którym stoimy, jest obskurny i aż prosi się o remont. Zanim zostaję zaproszona szarmanckim gestem do środka, udaje mi się zauważyć windę.

Przed nami kolejne przejście. W małym pomieszczeniu znajdują się jedynie okno i kanapa. Mężczyzna wskazuje mi ją, prosząc, bym chwilę zaczekała, po czym dalej idzie sam. Ciekawe, czy byłabym w stanie stąd uciec. Już mam zamiar wstać i to sprawdzić, kiedy dostrzegam kamerę podwieszoną pod sufitem. Na widok beznamiętnie śledzącego mnie oka momentalnie przechodzi mi ochota na cokolwiek. Zakładam nogę na nogę i krzyżuję ręce, starając się ignorować nieprzyjemne uczucie bycia obserwowaną.

Po minucie, a może po godzinie, lekarz wraca i tym razem zabiera mnie z sobą. Moim oczom ukazuje się świeżo wyremontowany korytarz, po którym kręcą się nieliczne osoby. Panuje grobowa cisza. Nasze kroki odbijają się echem od ścian. Mężczyzna, nie strzępiąc języka na najwyraźniej, jego zdaniem, niepotrzebne wyjaśnienia, każe zdjąć mi płaszcz i buty. Posłusznie wykonuję polecenie, a wtedy on przenosi moją torbę do pierwszego pokoju po lewej. Ja w tym czasie odkładam rzeczy do maleńkiej szatni,

zdecydowanie za małej jak na takie zapotrzebowanie. Buty pacjentów leżą jedne na drugich, a ich stos przykrywają kurtki, które spadły z wieszaków. Z żalem patrzę na moje lśniące botki upchnięte w najciemniejszy kąt. Może nic im nie będzie. Gaszę światło i zamykam drzwi. Chłód podłogi przenika przez moje stopy. Zanim zdążę jednak cokolwiek powiedzieć, rozlega się dzwonek. Mężczyzna znika przez chwilę za drzwiami, po czym wraca z reklamówką.

- Pewna zakonnica kazała ci to przekazać. Załóż i chodź za mną.

W samą porę. Z ulgą wciągam szmaciane balerinki, które Rachel kupiła mi wczoraj w szpitalnym sklepiku. Wygląda na to, że jednak o mnie pamięta. A przynajmniej o moich nogach. Z ciężkim sercem ruszam za moim przyszłym psychiatrą.

W gabinecie jest stosunkowo ciemno, panuje też dziwny zaduch. Mam wrażenie, że wkroczyłam do innego świata. Mężczyzna zostawia mnie przez chwilę samą, po czym wraca z kulkowym długopisem, kartką i plikiem dokumentów. Ku mojemu zdziwieniu nawet ich nie czyta. Kładzie je na szklanym stoliku, a następnie siada naprzeciwko mnie. Obrócony lekko bokiem, krzyżuje ręce na piersi i wpatruje się we mnie z zaciekawieniem.

Milczenie wypełnia pokój. Nie ma wątpliwości, że to ja mam zacząć rozmowę. Ale czy to nie jest pozbawione sensu? Powinien zadawać pytania, a nie czekać, aż coś powiem. Powoli zaczynam się irytować. Im więcej czasu mija, tym jego spojrzenie robi się coraz bardziej

beznamiętne. Po upływie dwudziestu jeden minut i czterdziestu sekund wzdycha ciężko i zaczyna:

- Jak masz na imię?

- Lola! Loooooolaaaa! Chodź do nas, kotku!

Udaję, że nie słyszę. Odkąd zauważyli, że to przezwisko mnie denerwuje, przestali zwracać się do mnie po imieniu. Nie mam zamiaru dać im tej satysfakcji. Nawet nie wiem, skąd pomysł, aby właśnie tak mnie nazywać. Kiedy Norbert ochrzcił mnie „Lola”, był kompletnie pijany. Nie spodziewałam się, że nie minie tydzień, a nawet nauczyciele i wychowawcy zaczną mnie tak nazywać. Ba, nawet woźny.

Zajmuję miejsce w ławce na końcu klasy. Witają mnie znajome bazgroły, atrament już dawno wżarł się głęboko w drewno. Woźne nie mogły już nic poradzić na radosną twórczość bezmózgich nastolatków, znajdującą się tuż pod moim nosem. Ze złością zauważam, że do kolekcji doszło parę nowych wersji słowa, które kiedyś zastąpiono by wyrażeniem „kobieta lekkich obyczajów”. Muszę przyznać, że mimo całej mojej nienawiści kreatywność uczniów jest naprawdę godna podziwu. Zamiast palić fajki przy śmietniku, powinni napisać wielki słownik ordynarnych synonimów. Kupiłabym go, choćby z ciekawości.

Kiedy w milczeniu wypakowuję książki, ktoś się dosiada. No oczywiście, król idiotów we własnej osobie.

- Czego chcesz?

- Tego co zwykle.
- To idź do mojej współlokatorce, z chęcią ci da.
- Ale ja chcę ciebie, Lola. - Z lubością przeciąga środkowe „l”, odgarniając mi włosy z ramienia. Grupka przygłupów przy drzwiach rechocze.
- Norbert, ja ciebie błagam. - Obrzucam go pogardliwym spojrzeniem. - Ja ci nawet dopłacę do konta VIP na jakiejś stronce, tylko dajże mi święty spokój.
- A po co mi to, skoro codziennie patrzę na ciebie? - Przybliżyła się, prawą rękę kładzie na zeszyte, który równiutko ułożyłam na ławce. Drugą bawi się kosmykiem moich włosów.
- W takim razie bądź tak dobry i na tym poprzestań - warczę i odtrącam jego rękę.
- Lubię, jak się złościś. - Łapie moje krzesło od dołu i przysuwa je do siebie. Wyraźnie czuję smród papierosów. - To całkiem podniecające - dodaje, patrząc na mnie przymrużonymi, ciemnymi oczami.
- Zauważam, że jego źrenice są niebezpiecznie rozszerzone. Zdecydowanie nie tak powinny wyglądać w jasnym słonecznym świetle.
- Chciałabym powiedzieć, żebyś wrócił, jak nie będziesz naćpany. Ale wiesz co, nie wracaj.
- Wrócę, Lola.
- Nie wrócisz. I nie nazywaj mnie tak.
- Pasuje do ciebie.
- Ciekawe, z której strony. Nadaje się chyba tylko dla dziwki.

- No właśnie.

Mruga, po czym powoli wstaje, nie odrywając ode mnie wzroku. Szczyrzy się, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. Włoski na rękach stają mi dęba. Udaję obojętność i zaczynam przeglądać notatki. Z pewnością wyglądam, jakbym zwyczajnie go olała. Ale w środku trzęsę się ze strachu.

- Śliczne imię, chociaż ja dałbym ci inne, to jest dla ciebie zbyt... - w zamyśleniu przygryzł wargę - ...delikatne.

- Delikatne?

- Tak. Powinnaś mieć jakieś silne, wiesz, to twoje kojarzy się z aniołkami, kwiatkami, takie tam. A przecież widzę, że nieźle z ciebie ziółko. - Puszczą oczko.

Staliśmy w pustym pokoju, który od dzisiaj miał stać się moim nowym domem. Współlokatorki gdzieś wyparowały. Promienie październikowego słońca wpadały przez brudne okno, kładąc się smugami na ciemnej wykładzinie. W ich świetle widać było unoszący się kurz. Z początku nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, kiedy wszedł. Chyba byłam pod wrażeniem, co rzadko mi się zdarza.

Stał blisko mnie. Nie był speszony, odważnie zaglądał mi w oczy, uśmiechając się tajemniczo. Byłam oczarowana myślą, że ktoś taki będzie mieszkać ze mną w jednym budynku. Nie był szczególnie wysoki, ale za to silnie zbudowany. Z pewnością spędzał dużo czasu, dbając o formę. Stosunkowo krótkie, ciemne włosy współgrały z ciemną karnacją i praktycznie czarnymi oczami. Tylko one

mi się w nim nie podobały. Było w nich coś przerażającego. Gdyby je zamknął, wyglądałby zachwycająco. A jednak gdy czułam na sobie to spojrzenie, ręce zaczynały mi się pocić, i to z żadnych romantycznych powodów. Przyglądał mi się, obserwował, a ja nie mogłam odwrócić wzroku. Miałam wrażenie, że wpadam w te dwa czarne kółeczka jak w bezdenną studnię. Im dłużej to trwało, tym uczucie niepokoju stawało się coraz silniejsze. Wszystko wokół powoli traciło barwę, a ciemność pochłaniała mnie, dusząc w ciasnym uścisku.

Nagle chłopak postąpił krok naprzód, a ja wystraszona odskoczyłam. To wszystko trwało może chwilę. On jednak uniósł brwi, zaskoczony moją reakcją. Już chciałam go przeprosić, kiedy zauważyłam dziwny dreszcz, który przebiegł po jego ciele. Uśmiechnął się i wyszedł, zostawiając mnie samą w pokoju zalany czerwona poświatą krwawego, jesiennego słońca.

Nie mogłam zobaczyć uśmiechu, który rozlał się na jego ustach, kiedy tylko zamknął za sobą drzwi. Nie mogłam zobaczyć podniecenia w jego pustych oczach. Nie mogłam zobaczyć satysfakcji, która malowała się na jego twarzy. Tym jednym krokiem w tył pokazałam mu przestraszoną dziewczynę, ukrytą za maską odważnej buntowniczkę. Tym jednym krokiem nieodwracalnie wpisałam się na listę jego ofiar.

Rozdział 5

Wolno przeżuwam kanapkę pozbawioną smaku. Czarna i Maciek zawzięcie się sprzecniają o wyższość szynki nad serem, zupełnie nie zwracając uwagi na obserwujący ich tłum. Najwyraźniej ich zachowanie nie jest niczym nowym. Ponadto wygląda na to, że skutecznie poprawia wszystkim nastrój.

Naprawdę chciałabym włączyć się do dyskusji. Argumenty, którymi zadają sobie ciosy, spokojnie mogłabym sobie gdzieś zapisać i za kilkadziesiąt lat podzielić się nimi z wnukami.

- Tylko ty mógłbyś powiedzieć coś tak okrutnego, Macieju. Dlaczego dla odmiany nie zapłaczesz nad serem, którego tak bronisz? Zdajesz sobie sprawę z cierpienia tej krowy? A może z ciebie spróbujemy wycisnąć...

Szamoczą się bez końca, rozsiewając wokół pozytywną energię. Ja jednak wciąż myślę o dziewczynie w deserowej sali. A raczej o jej słowach. „Może i dobrze, nie chciałabym się zabić”.

Odkąd siostra Rachela wpadła do łazienki w ośrodku, minął zaledwie jeden dzień. Mimo to mam wrażenie, że od

tamtej chwili dzieli mnie kilka miesięcy, a może i lat. Może dlatego właśnie zupełnie zapomniałam o takiej drobnostce jak otarcie się o śmierć.

W zasadzie gdybym nie trafiła do szpitala, ten stary pingwin zostałby mordercą. Chociaż gdyby nikt nie wymyślił żartu z listem, pewnie siedziałabym teraz w pokoju jak gdyby nigdy nic. Dni wciąż mijałyby zbyt wolno, a ja coraz bardziej bym się pogrążyła. Kto wie, może i dobrze, że tu trafiłam. W końcu nie chciałabym się...

Zamieram z kanapką w połowie drogi do ust. Temperatura wokół nagle spada poniżej zera, a ręce zaczynają mi się trząść. Dlaczego tu jest tak cholernie zimno? Chcę wstać, ale przed oczami migają mi białe plamy, skutecznie ograniczając widoczność.

- Wszystko gra? - Jakiś głos dobiega gdzieś z oddali, może nawet z innego wymiaru.

Kanapki lądują w wiadrze na resztki, talerz uderza o metalowy wózek. Nogi stawiają kroki, ale mój mózg wisi gdzieś w niebycie. Zaczynam mieć wątpliwości, czy te stopy w ogóle należą do mnie. Krzaki za oknem smutno przytulają się do ziemi, pochylone w strachu przed smagnięciami wiatru. Ciemne niebo pozbawione gwiazd zdaje się tylko kurtyną, bezkres ginie gdzieś w mroku. Jesteśmy zamknięci w kolorowym pudełku. Klamka w kontakcie z moją dłonią wydaje się być dziwnie ciepła. A może to moje ręce są takie zimne? Moja twarz ląduje na czymś miękkim. Chowam się pod sztywną bielą. Wokół panuje ciemność. Nikt mnie nie widzi, jestem sama, bezpieczna. Powoli wracam na ziemię.

„Nie chciałabym się zabić”. Ta myśl unosi się wokół mnie. Wypełnia całą salę, napiera na kołdrę, chcąc się do mnie przedostać i wedrzeć w mój umysł.

A jeśli naprawdę bym umarła? Co, jeśli wykrwawiłabym się, zanim dotarłaby karetka? Co wtedy? Ciekawe, co by powiedzieli rodzice. Może byłoby im smutno. Chociaż pewnie raczej czuliby wstyd. Ich córeczka zniszczyłaby wizję idealnego domu, którą zbudowali. Siostra Rachelą przynajmniej by się pomodliła, chociaż niewiele by to dało. Bóg nie wybacza samobójcom. W ośrodku nie przejąłby się nikt. Norbert pewnie byłby zawiedziony. Jego ulubiona zabawka dwa metry pod ziemią? Co za strata.

Próbuję sobie wyobrazić mój pogrzeb. Księżda równie obojętnego jak ta doktorka z wczoraj, siostrę Rachelę płaczącą nad swoim schorowanym sercem. Pewnie by mi jeszcze nawsadzała: „Do grobu mnie wpędzisz!”. Rodzina by nie przyszła, bo po co. Ojciec miałby ważne spotkanie, a matka byłaby na zebraniu w szkole mojej siostry. Może moja śmierć zmusiłaby ich do zainteresowania się moim losem?

Co powiedziałyby kapłan nad moim ciałem? Z przerażeniem stwierdzam, że nie mam pojęcia. Nie jestem nikim wyjątkowym, nie zrobiłam nic, co pozostawiłoby po mnie ślad. Jestem nikim. Jestem bezczelną maturzystką z ośrodka. Ot, w jednym zdaniu zamyka się moja historia. Jestem nikim, nikim, nikim, niczym. Po co ja w ogóle żyję?

Nie powiem, że nigdy nie zastanawiałam się nad śmiercią, bo bym skłamała. Myślałam o tym wielokrotnie. Choć innych powstrzymuje myśl o rodzinie czy strach przed nieznanym, mnie powstrzymuje coś zupełnie innego. Duma. Ja nie przegrywam, nie tchórzę, nie poddaję się, choćby nie wiem co. Nie dla samej siebie, lecz żeby nie dać satysfakcji innym. Choćby cały świat zawalił mi się na głowę, ja wyczołgałabym się spod gruzu, otrzepała kolana i z wysoko podniesioną głową pomaszerowałabym dalej.

Byłam o krok od śmierci. O jeden malutki kroczek. Dotykam bandaża. Nagle czuję coś dziwnego, jakiś smutek. A może...

Żal?

Żałuję? Czego? Tego, że kogoś zawiodłam? A może tego, że w tak głupi sposób dałam się zamknąć?

Nie, to nie to.

Chodzi o coś zupełnie innego.

Żałuję, że Rachela wezwała karetkę.

Mogłabym się nie bać. Mogłabym zniknąć, uciec. Nigdy więcej się nie obudzić. Nigdy więcej.

Drzę, a ze mną drży całe łóżko, z łóżkiem zaś cały świat. Jego fundamenty trzęsą się w posadach, ściany mego muru rozpadają się, jego odłamki uderzają z hukiem o ziemię, wzbijając w górę chmurę pyłu. Wszystko ginie gdzieś za szarą ścianą. Próbuje płakać, ale łzy nie chcą płynąć. Chcę krzyczeć, ale głos więźnie mi w gardle. Zwijam się w kłębek i czekam, licząc na cud.

- Co się dzieje?

Ktoś zdejmuje mi kołdrę z głowy i siada obok. Jego ręka odgarnia mi włosy z mokrego czoła. Delikatnie ściska moją lodowatą dłoń. Nie pogania mnie, daje mi tyle czasu, ile potrzebuję.

Powoli otwieram oczy. Czarna patrzy na mnie z pocieszającym uśmiechem. Obok niej stoi dziewczyna z przetłuszczonymi włosami, wpatrując się we mnie ze smutkiem.

Chciałabym coś powiedzieć, ale nie potrafię. Zamykam oczy i po kilku minutach zapadam w płytki sen.

Kiedy się budzę, w pokoju panuje cisza. Oprócz mnie jest tylko Czarna. Siedzi na łóżku ze słuchawkami w uszach, z zaciętą miną rozwiązując krzyżówki. Jest mi wstyd, że zobaczyła mnie w chwili słabości. Teraz będzie myślała, że można mnie zranić. Z pewnością jej entuzjazm minął i teraz będzie mnie traktować tak, jak potraktowała Bet. Wpatruję się w nią, starając się odwlec moment, w którym spojrzy na mnie jak na gumę przyklejoną pod ławką.

Zauważa, że już nie śpię.

- Jak się czujesz?

Nie takiego pytania się spodziewałam. To jakiś podstęp? Może nie odpowiem wcale. Odwrócę się i udam, że nic nie słyszałam.

- Wszystko gra? Może zrobić ci herbaty?

Teraz jestem już kompletnie skołowana. Czarna wyskakuje z łóżka, nie doczekawszy się odpowiedzi, i znika za drzwiami. W przejściu mija się z tłustowłosą. Dziewczyna

mierzy mnie wzrokiem, po czym wykrzywia dziwnie twarz. To chyba jakaś próba uśmiechnięcia się. Wygląda na podejrzenie zadowolonej, kiedy zawinięta w kraciasty koc otwiera opasłą książkę.

Obserwuję dyżurkę. Najwyraźniej kiedy spałam, przyszła nocna zmiana. Przynajmniej wreszcie widzę pielęgniarkę z prawdziwego zdarzenia. No, tej kobiety nie chciałabym spotkać ze strzykawką. Rozsiadła się przy komputerze stojącym w rogu i całkowicie ignorując świat dookoła, wpatruje się z najwyższym skupieniem w monitor. Niebieskawe światło pada na jej nieprzyjemną twarz i nadaje upiorny wygląd. Kobieta wygląda na kogoś, kto za dnia handluje skarpetkami na targu, a nocami topi pacjentów w osiedlowej studziencie. Jej wzrok na chwilę przenosi się na mnie, ale przegrywam z tym, co wyświetla się na ekranie, bo po krótkim zastanowieniu z powrotem wraca do swego zajęcia.

Wiercę się na łóżku, nie wiedząc, co ze sobą począć. W końcu wstaję z zamiarem odnalezienia Staśka. Muszę się trochę rozluźnić, a on wydaje się do tego idealnym kandydatem. Poprawiam pogniecione ubranie i wychodzę.

Kiedy pukam do szóstki, już wiem, że popełniłam błąd. W pomieszczeniu jest zdecydowanie więcej osób niż jedna, a raczej trudno mi uwierzyć, żeby chłopak się rozmnożył przez pączkowanie. Na myśl o pokoju wypełnionym po brzegi małymi Staśkami robi mi się chorobliwie wesoło. Drzwi otwierają się. Miałam rację. Prócz celu mojej dwudziestosekundowej wędrówki jest tam jeszcze trzech

chłopców i panna Prosiaczek. Na mój widok momentalnie uśmiech schodzi jej z ust. Z jakiegoś powodu jej reakcja dotyka mnie bardziej, niż powinna.

- O! Lola! Super, że wpadłaś! Chodź, siadaj, potrzebujemy jeszcze jednej osoby do gry w kenta. - Mówiąc to, Stasiak macha talią kart.

Pozostali chłopcy nie podchodzą do tego pomysłu zbyt entuzjastycznie. Wygląda na to, że moja obecność ich krępuje. Zerkam na Bet, ale ta unika mojego wzroku. Przypominam sobie zachowanie Czarnej i nagle mam ochotę zacząć ją przeproszać za moją współlokatorkę.

- Niech będzie, ale żebyście później nie płakali - stwierdzam i kieruję się w stronę dziewczyny. Raz kozie śmierć, moja duma chyba i tak już bardziej nie ucierpi. - Chcesz wygrać? - pytam, wyciągając do niej rękę.

Patrzy zdumiona, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu Stasiu łapie ją za łokieć i przybija mi jej ręką piątkę, podejmując decyzję za nią.

Szybko witam się z resztą towarzystwa, a potem odciągam Beatę na bok, żeby ustalić znak. Od podstawówki mam ten sam, a jeszcze nigdy nie przegrałam. Nie odzywa się, ale kiedy pytam, czy wszystko jasne - kiwa głową.

Po jakimś czasie atmosfera zaczyna się rozluźniać. Kiedy po raz kolejny wygrywamy rundę, Bet uśmiecha się do mnie po raz pierwszy. Stłoczeni w niewielkim pomieszczeniu rozmawiamy o wszystkim, co niezwiązane ze szpitalem. O filmach, grach komputerowych, książkach. Chłopcy wyglądają na zadowolonych, że mogę się przed

kimś popisać swoją wiedzą, a ja patrzę jak urzeczona na ich roześmiane twarze. Ciężko mi się przyzwyczaić do wesołych spojrzeń. W ośrodku ich nie widywałam, a przynajmniej żadne z nich nie było kierowane w moją stronę. Boję się, że kiedy tam wrócę, wrogość uderzy we mnie z podwójną siłą. Im szybciej mnie wypiszą, tym lepiej. Nie będę później tak cierpieć. Tylko że wtedy nie będę bezpie...

- Oj, Betka, będziemy tęsknić.

- Ja też będę, ale na mnie już czas.

Nadstawiam uszu.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Byłaś tu ledwie tydzień.

- I tak za długo. Nie jestem chora, powinnam teraz siedzieć w domu, a nie gnić w psychiatryku. Poza tym moja lekarka nie widzi problemu.

- Ale napiszesz do nas?

- Dam znać, jak będę już w domu.

- Wypisują cię? - włączam się do rozmowy. - Kiedy?

- Jutro po śniadaniu.

- To o tym rozmawiałaś z Maćkiem? - wypalam, zanim zdążę ugryźć się w język.

Dziewczyna nerwowo kręci się na łóżku. W końcu czerwona jak burak kiwa głową.

- Chłopak jest naprawdę spoko - wtrąca się Stasiu. - Jak się ma problem, to można do niego uderzać, zawsze wysłucha i pocieszy. Dlatego nie rozumiem, czemu jest z tą...

- Nieważne - przerywa mu Bet. - I tak mówi mi to samo, co inni. Radzi, żebym została. Nie będę mu już więcej zawracać głowy. Jego dziewczyna na pewno się cieszy, że wychodzę z tego więzienia.

Wygląda na to, że wywołaliśmy wilka z lasu, bo nagle do środka wparowuje Czarna. Wygląda na wściekłą. Ale nie na Betkę. Na mnie.

- Co ty tu robisz, co? Ile mam cię szukać, do jasnej ciasnej?! - Wymachuje mi palcem przed nosem.

- Dlaczego miałabyś mnie szukać?

- Herbata, idiotko. Przecież mówiłam, że idę ci zrobić herbatę. Wiesz, co to jest herbata? TO jest herbata. - Stuka paznokciem w kubek. - Szkoda tylko, że zdążyła wystygnąć.

- Przepraszam, nie myślałam, że mówisz poważnie...

- W dupę sobie możesz wsadzić te przeprosiny - syczy, po czym gwałtownie stawia kubek na szafce nocnej i wychodzi, nie zapominając o trzaśnięciu drzwiami.

Siedzę z rozdziawioną buzią, nie mogąc ogarnąć umysłem tego, co właśnie się stało. To tylko cholerna herbata, co ona ma za problem?

- Ta dziewczyna jest... - zaczyna jeden z chłopców, ale nie słyszę, co mówi, bo z furią wybiegam z pokoju.

- Co ty sobie myślisz, co?! - krzyczę.

Czarna odwraca się i mierzy mnie wzrokiem.

- Mówisz do mnie?

- A widzisz tu kogoś jeszcze?

- Masz jakiś problem?

- Ja? Skąd. To nie ja wrzeszczę na ludzi przez jakąś pieprzoną herbatę.

- Sama jesteś pieprzona.

- Możesz powtórzyć?

- Pieprzona.

- Co proszę?

- Pieprzona - cedzi przez zaciśnięte usta. - Pieprzona ty, pieprzona herbata, pieprzony szpital.

Zanim zdążę coś powiedzieć, odwraca się i biegnie do pokoju. Nie dam jej uciec. Pędzę za nią, ignorując pacjentów, którzy nawet nie wiem kiedy zebrali się na korytarzu. Wpadam do pokoju i zrywam z niej kołdrę, pod którą włożyła.

- Puszczaj mnie, ty szmato! - wrzeszczy, bijąc rękami na oślep. - Powiedziałam puść! Powiedziałam... - Dopiero teraz spostrzegam, że oczy ma pełne łez.

Zaskoczona gwałtownie się cofam, potykając o własne nogi. Kiedy boleśnie ląduję na kości ogonowej, do sali wpada pielęgniarka.

- Co tu się dzieje, co? Nudzi wam się? - Gromi nas spojrzeniem.

- Nic, to nic takiego. - Powoli podnoszę się z podłogi, rozmasowując miejsce, które do jutra z pewnością zrobi się sine.

- Jak jeszcze raz usłyszę jakieś wrzaski, to nie będzie wesoło, jasne? - grozi, po czym wychodzi sfrustrowana.

Patrzę na Czarną i ku mojemu zdumieniu zauważam, że płacze. Podciąga nogi i opiera czoło na kolanach, głośno

szlochając. Powinnam to wykorzystać, ale nie potrafię. Przeszczępnę z nogi na nogę, próbuję znaleźć jakieś wyjście. W końcu siadam obok niej i obejmuję ją ramieniem. Nie mówię nic, bo nie wiem, co miałabym powiedzieć. Kompletnie nie rozumiem, co właśnie zaszło.

- Przepraszam - szepcze, pociągając nosem. Podnosi głowę, ociera łzy i dodaje: - Nie chciałam, uwierz mi. Ja po prostu...

Przytulam ją mocniej. Może coś się zadziało, a ona wyżyła się akurat na mnie? To jej nie usprawiedliwia, ale byłabym w stanie to wybaczyć. Choć niechętnie.

- Wystraszyłam się, wiesz? - Patrzy na mnie szklistymi oczami. - J-j-jak z Justyną przyszłyśmy po kolacji, wyglądałaś n-naprawdę niedobrze, dlatego t-teraz, kiedy nie mogłam cię znaleźć, chyba wpadłam w panikę. - Wyciera nos rękawem. Uspokaja się. - To przez tę akcję z Gabą, ja po prostu odruchowo pomyślałam, że może gdzieś leżysz z podciętymi żyłami czy coś. Nie chciałam nikogo prosić o pomoc, żeby ci w razie czego nie narobić problemów. Przepraszam, to głupie. Przepraszam.

Chciałabym coś powiedzieć, ale nie mam pojęcia co. Jestem tak zszokowana, że jedyne, co jestem w stanie zrobić, to gapić się na nią jak na kosmitę. Bała się? O mnie? Przecież nie było mnie najwyżej dwadzieścia minut. Poza tym przecież mnie nie zna, nie znaczę dla niej nic. Jestem tylko współlokatorką.

Martwiła się. To brzmi absurdalnie. Nikt nigdy nie zawraca sobie mną głowy. Mogłabym tańczyć na oknie,

grożąc, że skoczę, a w najlepszym razie usłyszałabym „zrób fikołka!”. Robi mi się głupio, niepotrzebnie tak na nią naskoczyłam. Powinnam się była zastanowić, mogłam ją zranić. To w końcu psychiatryk, wszystkiego można się spodziewać.

Oj, dobra, ogarnij się, to ona zaczęła. Nie ma co się obwiniać.

- Słuchaj, może jak się trochę uspokoisz, to pójdziemy do kuchenki i zrobisz mi jeszcze jedną herbatę? Co ty na to?

- Za późno. - Wygląda jak zbite szczenię. - To była ostatnia torebka.

- Czekaaj, zaraz wrócę.

Udaję, że nie słyszę jej wołania, i wybiegam z pokoju z prędkością światła. Wpadam do szóstki, nawet nie pukając, łapię za kubek i pospiesznie wracam do pokoju. Z oczywistych powodów prędkość jest już trochę mniejsza. Po chwili siadam obok niej i z uśmiechem pokazuję, co przyniosłam. Jej oczy rozszerzają się.

- Twoje zdrowie.

Czarna nuci jakąś niezrozumiałą piosenkę. Szum wody zniekszałca słowa, pozostaje sam dźwięk. Melodia jest lekka, pogodna. Przyłączyłabym się, gdyby nie widok moich nadgarstków. Nie mogę się skupić na niczym innym niż na opatrunku na rękę. Zanim weszłam pod prysznic, ściągnęłam bandaż, zasłaniając się przed wzrokiem koleżanki.

Koleżanki? No nieźle, przepadłam.

Niewielki gazik wciąż przysłania zszytą ranę, ale cała reszta lśni niezdrową czerwienią. Poziome kreski są opuchnięte, brzydsko odcinają się na tle delikatnej ręki. Powoli dotykam ich opuszkami palców. Z rozczarowaniem stwierdzam, że nawet mnie nie boją. Głównego winowajcy mojego pobytu tutaj nie ruszam. Nie chcę tego widzieć.

Wciążam zapach z kabiny obok pełną pierśią. Pomarańcz.

- Czarna, czymkolwiek się myjesz, pachnie genialnie - próbuję przekrzyczeć odgłos lejącej się wody. Chwilę później coś z hukiem uderza o brodzik.

- Nie ma za co - woła i z powrotem zaczyna coś śpiewać.

Chrzanić terapię, lekarzy i leki. Kiedy w nozdrza wbija mi się orzeźwiający zapach jej żelu pod prysznic, wszystkie problemy znikają. W zamyśleniu namydlam ciało. Staram się nie spieszyć, żeby móc jak najdłużej rozkoszować się tą chwilą. Potem zabieram się do włosów. Muszę koniecznie pamiętać o własnej szczotce, koniecznie. I paru innych rzeczach.

Pod prysznicem czasoprzestrzeń zagina się. Kilka minut zdaje się trwać w nieskończoność, a cały świat zamyka się w ciasnej kabinie. Jest tylko gorąca woda, kojąca zmęczone ciało, i przyjemny szum, oddzielający mnie dźwiękoszczelną barierą od całego zła. Kiedy tak stoję, zaczynam się zastanawiać nad wszystkim po kolei. Nad pozbawioną smaku kanapką, naszą współlokatorką, włosami Maćka, bananową chustą Skwarki, nieprzyjemnym spojrzeniem

Rojkowskiego. Przypominam sobie, jak jako dziecko uciekałam przed kąpielą. Była to dla mnie czynność zbędna i przerażająco nudna. Jestem pewna, że co wieczór biłam światowy rekord Guinnessa w myciu się na czas. Mama zawsze się śmiała, że moja siostra kąpie się za nas obie. Ciekawe, czy już wie, gdzie jestem. Siostra Rachela z pewnością zadzwoniła do rodziców. Całe szczęście nie mam z sobą telefonu, więc nie będą mogli się ze mną skontaktować. A na pewno nie będzie im zależało na tyle, żeby przyjechać. Przynajmniej taką mam nadzieję. Nie chcę ich widzieć. Niech zajmą się swoim drugim dzieckiem. To zawsze wychodziło im najlepiej.

Muszę przestać o tym myśleć. Natychmiast.

Podnoszę żel pod prysznic i pozwalam, by strumień leniwie wypłukiwał pianę z moich włosów. Czytam skład produktu, opis. Odwracam opakowanie. Kilkakrotnie powtarzam w głowie nazwę. Dla zabicia czasu układam chwytliwe hasło reklamowe, pod którym sprzedawałabym ten produkt. W tym momencie jednak wszystko kojarzy mi się z wariatkowem, a nie sądzę, żeby to mogło przemówić do potencjalnych konsumentów.

W końcu przyjemność zamienia się w torturę. Nie chcę już dłużej zostawać sam na sam z moimi myślami. Zakręcam kurek i owijam się ręcznikiem.

- Coś ty sobie zrobiła, dziewczyno... - wzdycha dinozaur, który wcześniej siedział przed komputerem.

Nie odpowiadam, bo sama nie wiem. Wychodzę, gdy tylko opatrunek trzyma się pewnie mojego nadgarstka.

O dwudziestej pierwszej pielęgniarka woła pacjentów do zabiegowego na leki. Mnie to nie dotyczy, więc siadam na pufie obok Staśka i z zainteresowaniem przyglądam się barwnej kolejce. Większość jest już w piżamach. Jeśli mam być szczerą, nie wyglądają za bardzo na pacjentów. Czuję się raczej jak na koloniach, tylko że zamiast wychowawcy są dwie pielęgniarki, a zamiast prowiantu - tabletki. Wszyscy wydają się całkowicie rozluźnieni, w niczym nie przypominają osób z filmów. Może to dlatego, że to oddział młodzieżowy, a może dlatego, że twórcy kinowych hitów nigdy nie byli w szpitalu psychiatrycznym.

Oczywiście, są tu różne przypadki. Choć większość pewnie najzwyczajniej w świecie ciężko przechodzi przez okres dojrzewania, są też i tacy, po których chorobę widać. Chociażby chłopiec na końcu. Jeśli wierzyć Staśkowi, szczuplutki piętnasto-, może szesnastolatek cierpi na fobię społeczną. Podobno na początku nie chciał wychodzić z pokoju. Chował się pod kołdrą i płakał. Niedługo mija miesiąc, odkąd tu trafił, a jeszcze nikt nie słyszał jego głosu.

- I tak dobrze, że w ogóle wyszedł z pokoju.
- To przerażające.
- Oj, Lola, to psychiatryk. Spotkasz tu nie tylko użalające się nad sobą gimnazjalistki.

Kiedy w kolejce zostaje już tylko przestraszony chłopiec, jedna z pielęgniarek krzyczy moje imię. Próbuję sobie przypomnieć, czy mamy tu kogoś jeszcze, kto je nosi. Kiedy jednak słyszę je ponownie, spanikowana wpadam do gabinetu.

- O, jesteś, chodź no tutaj. - Druga z pielęgniarek, szczupła brunetka z okularami na nosie, przywołuje mnie gestem.

- Jestem Lola.

- Co proszę?

- Lola, proszę tak do mnie mówić. - Rozglądam się szybko. - Nikt do mnie nie mówi po imieniu już od dawna, nawet nie reaguję na nie. Proszę mówić „Lola”, jeśli to nie problem.

Pielęgniarki wyglądają na zdziwione, ale nie komentują. Każą mi jedynie wyciągnąć rękę, a następnie jedna z nich podnosi z tacki z nazwiskami przezroczysty kubeczek i wysypuje jego zawartość. Biało-zielona powlekana tabletką odbija światło lampy, dziwnie pulsując na mojej dłoni. Chwilę później dostaję do kompletu szklanę z wodą.

- Następnym razem przyjdź z własnym kubkiem - poucza mnie.

Po stosunkowo długim wahaniu wkładam lek do ust i wychylam zawartość szklanki.

- Pokaż język - rozkazuje ta od komputera.

Pokazuję go, otwierając szeroko usta.

- Możesz iść.

Kiedy wychodzę, Stasiek patrzy na mnie pytająco. Kręcę głową i to mu wystarczy, by nie pytać o moje imię.

- Co dostałaś?

- Biało-zielony, całkiem spory, powlekany. Jakies pomysły?

- Klasyka, serotonina na poprawę nastroju.

- Serotonina... Antydepresant?

- Dokładnie.

- Cóż, brzmi niegroźnie.

Czarna czeka na mnie w pokoju. Siadam obok niej na łóżku i dołączam do rozwiązywania krzyżówek. Nie mogę się jednak skupić, bo w dyżurce bacznie nas obserwują. Najwyraźniej skończyły im się tematy do rozmów.

- Wiesz, miałaś rację. Tu jest jak w zoo. Gapią się na nas przez szybę jak na zwierzęta - zauważam. - Myślisz, że jak przestaniemy się poruszać, to zaczną w nią stukać?

- Nienawidzę tej sali - wzdycha i odkłada krzyżówkę.

Czuję się osaczona. Wyobrażam sobie, jak rzucają w okno popcornem, aby zmusić nas do cyrkowych sztuczek. W tym momencie argument, że to dla mojego bezpieczeństwa, kompletnie do mnie nie trafia. Jakbym chciała, mogę przecież się zabić choćby i pod kołdrą. Ciekawe, jak by się czuli, gdyby byli na naszym miejscu. Jestem pewna, że sami zwariowaliby po kilku minutach.

Doznaję olśnienia.

- Czarna, wstawaj.

- Co?

- Wstawaj, mówię. Justyna, ty też.

Dziewczyna w kącie patrzy na mnie jak na nie do końca sprawną umysłowo. Ta obok zresztą też, ale wykonuje polecenie.

- Co dalej?

W odpowiedzi łapię za łożko i przysuwam je pod samą szybę, dziękując w duchu za zamontowane kółeczka. Siadam na nim, opieram się o metalowe rurki służące za wezglowie. Czarna stoi bez ruchu i przygląda mi się z oczami okrągłymi jak talarki.

- Chodź. - Klepię miejsce obok siebie.

- Nie rozumiem...

- Skoro oni mogą się w nas wpatrywać, to dlaczego my nie możemy? Ciekawe, czy będą tacy dzielni.

Czarna rozchyła usta w niemym zdziwieniu. Po chwili zamyka je, zaciska pięści i siada obok mnie. Pielęgniarki i salowa wyglądają na skonsternowane, ale nie reagują. Są ciekawe, co będzie dalej.

- Justyna, chodź tu, grubasie - woła Czarna.

- Wal się.

- Chodź tu albo powiem Loli, że lubisz...

- Dobra, dobra. Idę.

Chwilę później wszystkie trzy gapimy się z założonymi rękoma na personel w dyżurce. Choć między nami jest ściana, w rzeczywistości dzielą nas nie więcej jak dwa, może trzy metry. Kobiety z początku odwzajemniają spojrzenia, w końcu jednak każda z nich znajduje sobie zajęcie, byle tylko nie patrzeć na nas.

- Gaba! - woła Czarna, wskazując na salę za dyżurką.

Nawet nie zauważyłam, kiedy jej przyjaciółka usiadła na łóżku. Macha nam.

- Współczuję jej - przyznaję.

- Może ją trochę rozweselimy, co?

Unoszę brwi.

- Co masz na myśli?

W odpowiedzi Czarna naciąga palcami usta i oczy, jednocześnie wystawiając język. Gaba chyba się zaśmiała. Justyna chichocze. Po chwili dołącza do teatru min. Trudno mi uwierzyć, że ta dziewczyna jeszcze przed momentem chowała się pod kołdrą. Teraz, jak gdyby nigdy nic, przyjmuje najdziwaczniejsze pozy, skutecznie rozbawiając Gabę. Tylko w dyżurce nikt się nie śmieje. Salowa wygląda wręcz na przerażoną. Widząc to, nie mogę się powstrzymać i układam dłonie w kształt serduszka.

Czarna przechodzi samą siebie w rozciąganiu twarzy na wszelkie sposoby, a jej przyjaciółka po drugiej stronie pokłada się ze śmiechu. Ja za to szczerzę się po kolei do każdej z pielęgniarek, usiłując którąś z nich sprowokować. Nie muszę wymyślać kolejnych grymasów, bo nie mija minuta, a jedna z nich gwałtownie wstaje, wygrażając nam palcem.

Momentalnie zeskakujemy z łóżka i w mgnieniu oka dosuwamy łóżko z powrotem na miejsce. Kiedy rozwścieczona kobieta wpada do sali, każda z nas leży potulnie na swoim miejscu. Ja i Justyna zaczytane w lekturach, Czarna ze znużeniem rozwiązująca krzyżówki.

- Wy... - Pielęgniarka gotuje się ze złości. Stoi tak dobrą minutę, aż w końcu gasi światło i wychodzi. Chwilę później żaluzje opadają do połowy.

A więc niegrzeczne dzieci też dostają prezenty.

Rozdział 6

- Podoba ci się twój prezent? - szepcze tak cicho, żeby nikt go nie usłyszał. Nie czeka na odpowiedź. Mija mnie i siada w ławce po drugiej stronie sali biologicznej.

Nie wiem, jak mam zareagować. Po prostu nie wiem. Ściskam w dłoni mój cenny notes pełen rysunków, teraz poplamionych czymś brązowym. Nie chcę myśleć, że to krew, to przecież absurd. A jednak kiedy nasze spojrzenia spotykają się, nie mam wątpliwości, że to nie farba. Wpatruje się we mnie i z lubością przygryza usta. Jego oczy płoną chorym podnieceniem.

Co mam robić? Niech mi ktoś powie, błagam. Postanawiam nie odwracać wzroku. Choć w rzeczywistości jestem na granicy omdlenia, pukam się w czoło i przewracam oczami. Ku mojemu przerażeniu stwierdzam, że moja reakcja przypadła mu do gustu.

Próbuję skoncentrować się na lekcji, ale nie potrafię. Wciąż myślę o zeszytku, który schowałam w torbie. Nie wiem, kiedy mi go zabrał. Zawsze noszę go ze sobą. Kiedy przestaję panować nad emocjami, zaczynam rysować. Nie zawsze powstaje coś konkretnego. W większości to

bazgroły, takie jak w uczniowskich zeszytach. Pozbawione sensu i znaczenia, kierowane nie myślą, lecz potrzebą ręki prowadzącej długopis.

Analizuję każdy moment ostatniego tygodnia. Po zastanowieniu stwierdzam, że okazji na zwinięcie mojej własności miał więcej niż mnóstwo, lecz prawdopodobnie pomogła mu któraś z tych idiotek, z którymi dzielę pokój. Tylko skąd ta krew? Notes jest nią praktycznie przemoknięty. Może po prostu kupił sztuczną krew do charakteryzacji w tym dziwacznym sklepie na rogu. Tak, z pewnością tak było.

Nieważne, po prostu to zignoruję. To nic trudnego. Przecież to tylko kolejna zaczepka, niczym się nie różni od liścików, które dostaję co kilka dni.

Niczym się nie różni?! Dziewczyno, przejrzyj na oczy, ten chłopak to psychol!

Zamknij się, zamknij się, zamknij się. Nic mi nie będzie, to tylko szczeniacka zabawa. W końcu mu się znudzi.

Wymiotuję. Po raz drugi w tym tygodniu. Spuszczam wodę i przysiadam na chwilę. Jak tak dalej pójdzie, to wszystko źle się skończy. Może jednak powinnam komuś o tym powiedzieć? W sumie to ta siostra Rachela wygląda na ogarniętą. Powinna mi uwierzyć. Mam dowody. Mam liściki i zakrwawiony notes.

No dobrze, ale to nie rozwiązuje sprawy. Co oni mogą mu zrobić? Obniżyć zachowanie? Wysłać list do rodziców? Może cofną mu przepustki. A wtedy się wkurzy. Na samą

myśl o tym wstrząsa mną dreszcz. Mam ochotę się rozplakać. Chciałabym pobiec na przystanek i wrócić do domu. Błagać ich, żeby mi wybaczyli. Schować się w moim pokoju, wtulić nos w miękką sierść mojego kota.

Z zamyślenia wyrywa mnie odgłos otwieranych drzwi. Podnoszę się z podłogi i czekam, aż ten ktoś wejdzie do kabiny obok. Nic takiego się nie dzieje. Nie słyszę kroków, nie czuję niczyjej obecności. Może mi się przywidziało.

Łapię za zasuwkę i otwieram drzwi. Zanim zdążę wyjść, ktoś wpycha mnie z powrotem i zakrywa mi usta.

Nie, proszę.

Nawet nie próbuję się wyrywać, nie mam dostatecznie dużo siły. Poza tym muszę udawać twardą. Niech nie myśli, że tak łatwo mnie przestraszy. Chce grać – proszę bardzo.

Krzyżuję ręce na piersi i unoszę brwi. Kiedy tylko odejmuje dłoń od mojej twarzy, z chłodną obojętnością pytam:

- Nudzi ci się?

Uśmiecha się. Najwyraźniej nie ma zamiaru odpowiadać. Patrzy na mnie i na coś czeka. Zajmuje zdecydowanie za wiele miejsca. Ja, zamiast się jednak cofnąć, postępuję krok naprzód, zatrzymując twarz kilka centymetrów od jego szyi. Zdumiony rozchyła usta. Choć ten jeden raz udało mi się go wytrącić z równowagi. Prawdę mówiąc, to pierwszy raz od chwili, gdy się poznaliśmy, kiedy porozumiewa się ze mną inaczej niż za pomocą liścików. Oczywiście nie mam dowodu, że to właśnie on jest ich autorem. Właściwie to i one niewiele

znaczą, bo są puste. Za każdym razem widnieje na nich jedynie data. Wydaje mi się, że gdyby napisał w nich coś jeszcze, byłoby to mniej przerażające.

Kładę dłonie na jego klatce piersiowej i unoszę głowę. Wyraźnie nie wie, jak zareagować.

- Nie słyszałeś? Zapytałam, czy ci się nudzi.

Jego wargi rozciągają się w uśmiechu, jak gdyby kąciki chciały połączyć się z uszami. Ujmuje delikatnie moją brodę i przygląda mi się. Gdyby ktoś z boku nam się teraz przypatrywał, z pewnością uznaliby nas za najśłodszą parę roku. Ja jednak nie mam złudzeń, że cokolwiek ode mnie chce, nie ma w tym nic romantycznego.

- Oczekujesz szczerzej odpowiedzi?

- Jeśli można prosić.

- Nie, nie nudzi mi się. Już nie.

- Mogę ci zadać pytanie?

- Pytaj, o co tylko chcesz.

- Czym upaprany jest mój notatnik?

- Notatnik? Jaki notatnik? - Podnosi pytająco brwi, ale widzę, że doskonale wie, o czym mówię.

- Dobrze wiesz jaki.

- Obawiam się, że nie mam pojęcia, aniołku.

- Może więc zaoszczędzimy trochę czasu i od razu mi powiesz, czego ode mnie chcesz.

- Pozwolę ci zgadywać.

- Nie lubię zgadywanek.

- A ja oczywistości. - To mówiąc, przesuwa kciuk trochę wyżej. - Domyśl się - dodaje, z zamysleniem gładząc moje

wargi.

- Czy ja mam na czole jakiś cennik usług? - pytam cicho, boję się, że jeśli włożę więcej siły w to, co mówię, zadrży mi głos. Odsuwam jego dłoń. Nie protestuje. Wciąż przygląda się moim ustom. - Zadałam ci pytanie. - Żadnej reakcji. Gdzieś włącza mi się czerwona lampka. Muszę wyjść, natychmiast. - Przepuść mnie.

- Nie.

- Spóźnię się na lekcje.

- Trudno.

- Norbert, wypuść mnie albo...

- Albo co? - Przenosi spojrzenie na moje oczy. - Albo co? - powtarza dużo głośniej.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć, dlatego milczę. Ze złością wbijam wzrok w jego przerażające ślepie, usiłując przelać na niego tyle nienawiści, ile to tylko możliwe.

Ciszę przerywa dzwonek. Jak gdyby nigdy nic przeczesuje włosy palcami i wychodzi.

- Do potem, aniele.

Do końca dnia unikam go jak ognia. Chciałabym, żeby stanowił mój jedyny problem. Próżne nadzieje. Gdzie się nie ruszę, witają mnie pogwizdywania, zaczepki, w najlepszym razie śmiech i wyzwiska. Naprawdę chciałabym powiedzieć, że zasłużyłam. Że coś im zrobiłam. Ale nie zrobiłam nic. Tak najzwyczajniej w świecie. Po prostu mnie znienawidzili. A ponieważ człowiek jest zwierzęciem stadnym z tendencją do myślenia w kategoriach grupy, a nie jednostką - nawet

jeśli komuś nie przeszkadzałam, nie był na tyle głupi, by to pokazać.

Nie powiem, myślałam, że będzie inaczej. Jechałam tu z myślą o przygodach, przyjaźniach, o wspólnym buncie przeciwko każdej z zasad. Wyobrażałam sobie wspólne ryzykowne akcje, papierosy chowane pod poduszką i niezliczone przegadane noce. Tymczasem brałam prysznic w trakcie śniadania, w obawie, że ktoś odgarnie zasłonkę i zrobi mi zdjęcie. Na posiłki przychodziłam ostatnia, kiedy w stołówce robiło się pusto. Na przerwach chowałam się w bibliotece, starając się w dziesięć minut nauczyć do sprawdzianu. Nie było mowy o wyciągnięciu podręcznika w pokoju, chyba że nikogo akurat nie było w pobliżu. W pierwszym tygodniu mojego pobytu tutaj zachciało mi się uczyć. Po raz pierwszy i ostatni, bo z książki zostało niewiele. Moje współlokatorki szybko się z nią rozprawiły.

To nie tak, że siedziałam i płakałam gdzieś w kącie. Nic bardziej mylnego. Na początku stawiałam się, traktowałam ich tak jak oni mnie. Ale po dwóch tygodniach dałam sobie spokój. Zauważyłam, że dolewam w ten sposób oliwy do ognia. Najlepsza była obojętność.

Oczywiście, mogłabym starać się o powrót do domu. Jak by nie było, trafiłam tu na własne życzenie. Moi rodzice z pewnością pomogliby mi to załatwić. Ale to oznaczałoby przegraną. Przyznanie się do błędu. Wolę znieść piekło, niż prosić o wybaczenie.

Szybko nauczyłam się, jak z nimi postępować.

Po pierwsze: nie można wchodzić im w drogę. Im rzadziej się ich widzi, tym lepiej.

Po drugie: maska obojętności. Działa na zdecydowaną większość.

Po trzecie (i chyba najważniejsze): grać.

Z Norbertem rozmawiam na całkowitym luzie, a przynajmniej tak to wygląda.

Można pomyśleć, że nieustannie z sobą flirtujemy. W rzeczywistości to tylko pozory. Na razie jednak to mu wystarcza. Przestał nawet zostawiać mi karteczki, zdecydowanie woli męczyć mnie werbalnie. Zastanawiam się, co by było, gdybym nie bawiła się w tę jego dziwaczną grę. Może to by mnie uwolniło od niego? Może znudziłby się?

W głębi ducha wiem, że to niemożliwe. Widzę to za każdym razem, gdy na mnie patrzy. Wcale mu się nie spieszy, a czas działa na jego korzyść. Niby nie robi nic podejrzanego, nawet nie stara się mnie dotykać. Czasem trąci mnie łokciem, pogłaszcze po głowie, złapie za kosmyk włosów. Na tym koniec. Ale to wystarczy. Nie musi robić nic więcej i dobrze o tym wie. Poza tym – dopóki wszystko z pozoru wygląda tak, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi – jest bezpieczny. Ja zaś nie mam zamiaru sprawdzać, co by się działo, gdybym komuś powiedziała o...

Ech, nawet nie wiem o czym.

Karteczki i notes w pewnym momencie zniknęły, a on nie mówi ani nie robi niczego, co można uznać za przemoc. Zachowuje się jak uroczy podrywacz. Gdyby nie

wspomnienie o krwi i jego wzrok, może bym mu nawet uwierzyła. Ale czasem, gdzieś między wersami, przemyka cicha groźba, prawie niedostrzegalna. Z pozoru banalna uwaga, drobny gest, znaczący uśmiech. I oczy. Oczy, które mówią za niego.

- Lola.

- Jak?

- Lola, kotku. Od dziś właśnie tak do ciebie będę mówić.

Owiewa mnie zapach alkoholu. Wzdycham z rezygnacją, bo i co innego miałabym zrobić? Wolę go nie drażnić, kiedy jest pijany.

- W porządku, może być Lola. Zadowolony?

Nie odpowiada. Zamiast tego zgina się w pół i wymiotuje mi pod nogi. Odskakuję w ostatnim momencie. Z obrzydzeniem przyglądam się, jak świadectwo zjedzonej kolacji ląduje na śniegu, a on sam zatacza się i pada obok kałuży. Mogłabym go tak zostawić. Wróciłabym do pokoju, a on by sobie zamarzał. Tak po prostu. Może udławiłby się zawartością własnego żołądka. Nie mogę znieść tego widoku. Osoba, której tak panicznie się boję, leży półprzytomna. Wstawaj, idioto. Jak mam się ciebie bać, skoro pokonała cię butelka?

Podchodzę do niego i pomagam mu się podnieść. Zaprowadzę go do pokoju i będzie po sprawie. Może jak ktoś jutro mu uświadomi, że obroniłam go przed ewentualnymi odmarznięciami, to trochę mi odpuści. To tylko kilkadziesiąt metrów, w budynku prawdopodobnie

woźny pomoże mi go wtaszczyć po schodach. Suniemy powoli przez śnieg. Wokół panuje absolutna ciemność. Tylko ja i mój oprawca, złączeni w uścisku.

Wybucham śmiechem. Do czego to doszło...

Pokonanie tego krótkiego odcinka okazuje się ponad jego siły. Zwała się na drewnianą ławeczkę stojącą pod ścianą budynku. Siadam obok niego i przechylam go na drugą stronę, w razie gdyby zebrało mu się na mdłości. W zasadzie to mi się nie spieszy. Kogo to obchodzi, jak spędzam sylwestra? W ośrodku trwa zabawa, wychowawcy dawno dali sobie spokój i przestali sprawdzać, co tak naprawdę wszyscy piją. Kiedy jednak wymknęłam się na zewnątrz, myślałam, że jestem jedyną osobą, która na to wpadła. Niestety za budynkiem spotkałam Norberta z butelką. Król idiotów i jego kochanka witali razem nowy rok.

Mijają kolejne minuty. Powoli robi mi się zimno, ale chłód jest przyjemny. Chowam dłonie do kieszeni, chroniąc palce przed mrozem. Rozgwieżdżone niebo co jakiś czas rozświetla błysk fajerwerków. Obserwuję pokaz w milczeniu, chłonąc widok kolorowych pióropuszy światła całą sobą. Nie potrafię nie docenić tego widoku. Nawet będąc w tak okropnym położeniu.

Norbert przenosi ciężar ciała na lewo i kładzie mi głowę na ramieniu. W tym momencie jest tak żałosny, że nawet nie mam ochoty tego skomentować. Wracam do swoich rozmyślań.

- Przepraszam.

Nie reaguję. Jestem pewna, że się przesłyszałam.

- Przepraszam - powtarza.

Tym razem nie ma mowy o pomyłce. Choć jest zalany w trupa, jego słowa wyrywają mi serce. Przepraszam? Tylko tyle jest mi w stanie powiedzieć? Dobrze wie, co robi. Dobrze wie, co czuję. A jednak każdego dnia nie spuszcza ze mnie wzroku. Każdego dnia wita mnie tymi samymi słowami, wplatając ręce w moje włosy. Mam gdzieś jego przeprosiny. Gdyby nie było mi tak zimno, już dawno bym go udusiła.

Próbuję się złościć, ale nie mogę. Łzy napływają mi do oczu, kapią na podolek.

Rano wszystko wraca do normy. Zmienia się tylko moje imię. Ochrzcili mnie. Mój prześladowca nadał mi imię, a wszyscy wokół je podchwycili. Nawet siostra Rachela mnie tak nazywa. Nie wie, że za każdym razem wbija mi nóż w serce. Za każdym razem, gdy się tak do mnie zwraca, czuję jego oddech na karku.

Nienawidzę tego przezwiska i właśnie dlatego buduję z niego mur. Wznoszę wokół siebie barierę, wysoką aż do nieba. Co dzień dorzucam kolejną cegielkę. Budowla wygląda imponująco, wydaje się nie do przebiccia. Każdy, kto do mnie podchodzi, zdaje się obawiać tego, co kryje się za tą ścianą. Wyobrażają sobie wielkiego, rozwścieczonego potwora.

Tylko on wie, że jest tam zaledwie mała dziewczynka, kuląca się ze strachu.

Rozdział 7

Czy śniadanie w szpitalu różni się czymkolwiek od kolacji? Ba, nawet znacznie. Z radością zauważam, że robią naprawdę wyśmienitą owsiankę. Mam zamiar się nią żywić aż do wypisu. Siedzimy w ciasnej stołówce we troje: Czarna, Maciek i ja. Muszę przyznać, że Justyna mnie zadziwia, ta dziewczyna ma chyba rozdwojenie jaźni. Kiedy patrzę, jak skulona pochłania kromki chleba i popija je kawą zbożową, nie mogę uwierzyć, że to ta sama osoba, która jeszcze wczoraj stroiła miny do pielęgniarek.

Zwracam uwagę na Bet i Staśka. Ona wychodzi dzisiaj, on za tydzień. Nie powinnam więc zawracać sobie nimi szczególnie głowy. Wolę myśleć przyszłościowo.

- Czarna, ty nie powinnaś przypadkiem siedzieć razem z bulimiczkami? - Wskazuję na stolik obok chudzielców.

- Nie, jestem już w ostatniej fazie - odpowiada, ale widząc, że chcę pytać dalej, kontynuuje: - Plan naszego leczenia jest podzielony na fazy. Im dalej, tym więcej możemy. Faza zero jest superścisła. Z kolei moja, trzecia, to absolutna wolność. Mogę robić to samo, co wszyscy pacjenci. Mam przepustki, własne jedzenie, nie muszę

chodzić na każdy posiłek, a przede wszystkim nie muszę gnić na ośsiadkach.

Osoby, które trafiły tu przez jedzenie, po każdym posiłku muszą siedzieć na korytarzu przez pół godziny, nie mogą pójść nawet do toalety. Skąd taki pomysł? Nie wiem, mogę się jedynie domyślać. Zakładam, że anorektyczki zaraz pobiegłyby robić przysiady, a bulimiczki wymiotować.

Maciek i Czarna są w dobrym humorze, więc w końcu ryzykuję.

- Słuchajcie, mam pewien problem... Muszę się z kimś skontaktować, żeby powiedzieć mu, co ma mi przywieźć, a nie mam telefonu. Mogłabym napisać od kogoś z was?

- Nie masz telefonu? - dziwi się Maciek. - Wystarczy, że nie będzie mieć aparatu.

- Nie byłam na to przygotowana, poza tym... - zamyślam się - ...chyba w ogóle nie chcę go mieć, bo po co.

- Jak pamiętasz numer, to łap. - Rzuca mi ciężką cegielkę.

- Dziękuję.

Szybko podliczam w myślach, czego mi trzeba do przeżycia, następnie wystukuję numer Racheli, który wszyscy znamy na pamięć, w razie gdyby coś się stało. Najpierw mamy dzwonić po nią, a dopiero potem po straż pożarną.

Przedpotopowa komórka ciąży mi w ręce, a wpisanie tekstu topornymi klawiszami zajmuje więcej czasu, niż się spodziewałam.

To ja, Lola. Dzięki za rzeczy. Potrzebuję jeszcze: podręczników na lekcje, WSZYSTKICH moich ubrań i WSZYSTKICH moich kosmetyków. Kocham, do zobaczenia. A, i jeszcze możesz mi przywieźć coś słodkiego, jeśli chcesz. I książki, dużo książek.

Oddaję Maćkowi telefon. Wreszcie zobaczę szczotkę do włosów. Wreszcie.

Siedzimy w Dużej Sali Terapii, która znajduje się w tym samym korytarzu, co pokoje. Wokół ustawione są krzesła, pod ścianą stoi złożony stół do ping-ponga, z drugiej strony spory telewizor. Choć pomieszczenie jest duże, ledwo się mieścimy. Pacjenci rozsiedli się na krzesłach i matach. Kilku lekarzy i psychologów zajmuje fotele przy drzwiach. Jest i Rojkowski. Zaczyna się „społeczność”.

„Społecznik”, osoba prowadząca te codzienne, krótkie spotkania, wita nas i pokrótce omawia ważniejsze sprawy, takie jak przeciekający czajnik czy prośba o więcej sałaty do kolacji. Następnie żegna Bet, która po spotkaniu będzie wypisana. Dziewczyna zapytana, czy chce coś powiedzieć, kręci przecząco głową.

- Mamy również nowego pacjenta. Chcesz się przedstawić? - zwraca się w moją stronę „społecznik”.

- Wystarczy imię czy opowiedzieć pokrótce fascynującą historię mojego życia? - Patrzę na mojego lekarza, który wydaje się rozbawiony. Nie tylko on, Maciek chichocze jak mała dziewczynka.

- Możesz powiedzieć, co chcesz.

- Niech będzie.

Wszyscy czekają. Siedzimy tak i siedzimy, a ja się nie odzywam. W końcu moja zakochana para pojmuje żart i wybuchają śmiechem.

- Przedstaw się - wtrąca się łysiejąca góra sadła, wciśnięta w białą koszulę i czerwony krawat. Mówi to głosem nieznoszącym sprzeciwu. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, że ten wąsaty wieloryb to ordynator.

- Lola.

- Co proszę?

- Lola - powtarzam, a Rojkowski kręci głową w odpowiedzi na uniesione brwi wąsacza. Ten jednak kontynuuje: - To nie jest twoje imię.

To nie było pytanie, ale potwierdzam skinieniem głowy. Wszyscy przyglądają mi się z zaciekawieniem, dlatego podejmuję: - Wszyscy tak do mnie mówią, nawet rodzice - kłamię.

- Niech będzie - stwierdza po chwili zastanowienia. Widać, że nie podoba mu się moje zachowanie, ale najwyraźniej nie ma zamiaru marnować czasu na kłótnie z pacjentką. W końcu pyta: - Ktoś ma coś jeszcze do dodania?

- Cisza. - Nie? W takim razie zamykam poranną „społeczność”.

Mimo że nie mam podręczników, idę na lekcje. Nie mam nic lepszego do roboty, bo Czarna i Maciek zrobili to samo, choć niechętnie. W zasadzie to zostali zaciągnięci

siłą. Są jednak w drugiej klasie, dlatego czuję się trochę osamotniona. Witam się pokrótce z nauczycielem, mówiąc, że w przyszłym tygodniu już będę miała książki, a następnie zabieram się do notowania.

Zajęcia mijają szybko. Pacjenci są traktowani jak ostatnie sieroty, ale to chyba działa. Zdają się dzięki temu mniej stresować. W pewnym momencie wdaję się rozmowę z jakąś dziewczyną, która przyznaje, że praktycznie przestała chodzić do szkoły, tak stresowała się matematyką. Tutaj zaś okazuje się, że nie ma żadnego problemu z rozwiązywaniem zadań, nawet tych dodatkowych. Wystarczyło, żeby nauczycielka traktowała ją z szacunkiem i wyjaśniała wszystko z uśmiechem, cierpliwie, acz stanowczo. Wystarczyło, żeby nikt się nie śmiał, kiedy znowu popełniła błąd. Po dwóch tygodniach nadrobiła roczne zaległości i zaczęła wierzyć, że zda maturę.

Matura, kurka wodna, co z maturą? Jeszcze do stycznia mogę wybrać jakieś przedmioty, ale nie mam pojęcia jakie. Nie mam szczególnych zainteresowań, poza tym w ośrodku wcale nie jest łatwo się uczyć. Ledwo zaliczam sprawdziany. Może powinnam wykorzystać pobyt tutaj i trochę ogarnąć sprawę nauki. Jeśli chcę zdać na studia, powinnam... Studia? Ja na studiach? Dobre sobie. Już to widzę. Nie, ja nie mam przyszłości. Nigdy jej nie miałam. Chyba.

Szybko przekierowuję myśli na inny tor.

Po „społeczności” zaczepił mnie Rojkowski, pytając, jak się czuję. Odparłam, że jak nigdy dotąd, wyraźnie go rozbawiając. Kazał mi chodzić na wszystkie zajęcia

i oznajmił, że dwa razy w tygodniu mam spotkania z psychologiem, który przyjdzie po mnie do sali. Na samą myśl o zamknięciu w ciasnym gabinecie robi mi się niedobrze, ale co zrobić.

Idąc po obiedzie obok wysokiej, szczupłej kobiety, mam pewność, że nie będzie lekko. Następne pół godziny spędzamy w milczeniu. Ona przygląda mi się w zastanowieniu, ja bawię się włosami. Prawdopodobnie tak będzie wyglądać moja terapia, bo najwyraźniej terapeutka przyjęła postawę: pacjent pierwszy, która niekoniecznie do mnie przemawia. Poza tym i tak nie mam jej nic do powiedzenia. Wykorzystuję te minuty na planowanie, co powiem siostrze Racheli, kiedy już przyjedzie.

- Właściwie to od jak dawna tu jesteście?
- Ja od ponad miesiąca, Maciuś jakieś dwa tygodnie.
- Niedługo będą cię chcieli wypisać, co?
- Szesnastego.
- Żartujesz?! To za parę dni!
- Fajnie, prawda? Chociaż chyba trochę żałuję. Będę tęsknić. Polubiłam cię.
- Znajdziemy się jakoś, prawda?
- Pewnie!

Mam wrażenie, że ktoś podmienił mi mózg. Kiedy w sobotę czekam na odwiedzin, czuję się już zupełnie inną osobą. W ciągu paru dni wyśmiałam się za wszystkie czasy.

Z pewnością będę miała nieźle zmarszczki, kiedy stąd wyjdę.

Większość czasu spędzam z Czarną i jej chłopakiem, ale oni lubią być w towarzystwie, więc po chwili rozmawiam swobodnie z całym oddziałem. Zdecydowana większość zyskuje przy bliższym poznaniu, niczym się nie różnią od przeciętnych nastolatków. Jedynie trochę inaczej pojmują pewne sprawy. Wydaje mi się, że od reszty społeczeństwa odróżnia ich strach. Rozmawiamy o chorobach, nałogach, szkole, lekach i zmarnowanym życiu. O miłości, przyjaźni, rodzinie. O książkach, grach, muzyce. Nie ma tematów tabu.

Większość traktuje oddział jak poczekalnię. Mało kto jest tu na własne życzenie. Niektórzy starają się korzystać z terapii, inni odliczają dni do wypisu. Jednak wszystkich nas łączy jedno: telewizor. Co wieczór zbieramy się w piżamach, przykryci kocami i obładowani słodyczami. Niektóre dziewczyny przynoszą nawet misie. Czarna ma pluszowego węża, podobno od byłego. Jest tak długi, że kiedy we troje siedzimy obok siebie, wszyscy możemy go ścisnąć w dłoniach. Dziewczyna obejmuje głowę, ja zawijam jego brzuch wokół rąk, a Maciek bawi się ogonem.

Lista filmów, które chcemy zobaczyć, jest długa. Po każdej kolacji kłócimy się bez końca, nie mogąc zdecydować, co wybrać. Pod uwagę bierzemy wszystko, od bajek po horrory, chociaż te ostatnie musimy szybko wyłączać, kiedy tylko wchodzi któraś z pielęgniarek. Nie chcę, żebyśmy się niepotrzebnie „stresowali”. Idiotyczne.

Kiedy tak siedzę w ciemnym pomieszczeniu, które rozświetla jedynie światło ekranu, ośrodek zdaje się być gdzieś w innym świecie. Gdzieś bardzo daleko. Jest mi rozkosznie ciepło. Siedzę wśród rówieśników, a jednak nie czuję strachu. Uśmiecham się i chłonę każde ich słowo. Mam wrażenie, że jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Jeszcze nigdy nie czułam się tak potrzebna i rozumiana. Wiedzą, jak się zachowywać, by nikogo nie zranić. Oczywiście, to nie jest tak, że cały czas się śmiejemy, układając pasjansa. Skąd. Tragizm naszego położenia przenika nas, owiewa nas chłód świadomości, że kiedyś trzeba będzie wrócić do normalnego życia. Staramy się tego nie zauważać, ale tak się po prostu nie da. Każda godzina przetykana jest niemi bolesnych spojrzeń, pojedynczej łzy, niewypowiedzianego strachu przed przyszłością. Najzabawniejsze jest to, że kiedy tylko ktoś się gorzej poczuje, wokół zbiera się tłum gotowy rzucić mu się na pomoc. Wystarczy, że przysiądziesz na chwilę i schowasz twarz w dłoniach, a nad tobą już wisi kilka osób upewniających się, czy wszystko jest w porządku. Przyznaję, to trochę irytujące. Z drugiej strony dostaję od tych dziwacznych, niezdolnych do prawidłowego funkcjonowania jednostek tyle powodów do uśmiechu, że mogę im to wybaczyć.

Nie wiem, czy kiedy stąd wyjdę, będę miała z nimi kontakt. Powoli jednak zaczynam rozumieć, dlaczego zawsze, kiedy ktoś w ośrodku mówił o oddziale, to z sentymentem. Nawet nie wiem, kiedy zaczynam o nich

myśleć jak o przyjaciółach. Ledwie parę dni, a jednak mam wrażenie, że jestem otoczona przez kochającą rodzinę.

Sama nie wiem, czy nie lepiej byłoby jak najszybciej stąd wyjść. Nie mogę zmięknąć. Jak mam przetrwać pobyt w ośrodku po tym przyjemnym cieple, którego tu doświadczam? Załamie się chyba. Wskoczę pod prysznic i rozetnę szwy. Tym razem nikt nie wezwie karetki.

Nikt.

W weekendy odwiedziny trwają praktycznie cały dzień. Siostra Rachela zjawia się późnym popołudniem. Ignoruję pytające spojrzenie Czarnej na widok zakonnicy, którą sadzam na łóżku.

- Przyniosła siostra wszystko, o co prosiłam?

- Tak, kochana.

Po kolei kładzie torby na parapecie. Pomyślała nawet o kubku i całym arsenale herbaty, mimo że o tym nie pisałam. Przez chwilę wypytuję, czy działo się coś ciekawego w ośrodku, potem cierpliwie odpowiadam na jej pytania.

- A co z rodzicami?

- To znaczy? - Nie bardzo rozumiem, co ma na myśli.

- Chcą cię odwiedzić.

- Bardzo śmieszne. Niech lepiej zajmą się swoimi sprawami.

- Lola...

- Nie, po prostu nie. I koniec tematu.

Zapada głucha cisza. Moje współlokatorki zostawiły nas same. Patrzymy gdzieś w przestrzeń, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. W końcu kobieta odzywa się cichutko: - Rozmawiałam wczoraj z twoim lekarzem.

- Byłaś tu wczoraj?

- Tylko na moment, musiałam mu przywieźć parę dokumentów ze szkoły.

- I?

- Powiedział, żebym się nie martwiła.

- Tyle?

- W zasadzie to... - Zasepia się. - Tak w zasadzie to trochę rozmawialiśmy, wiesz, o tobie. O twojej chorobie...

- Że co? - Chyba się przesłyszałam. - Jakiej chorobie?

- Nie denerwuj się, dziecko. To nic takiego...

- Mów, do cholery. - Zaczynam się trząść. Jaka choroba?!

- Lola, panuj nad sobą - gani mnie. - Zdrowych osób nie zamykają w szpitalu.

- Ale mnie zamknięto tu przez pomyłkę i dobrze o tym siostra wie.

- Nie, nie wiem. Skończ wreszcie to drążyć.

- To niech mi siostra uwierzy! Nie jestem chora, nie próbowałam się zabić, nie powinno mnie tu być! - Gwałtownie wstaję i zaczynam chodzić w kółko, żywo gestykulując. - Dlaczego siostra tego nie rozumie? Zostałam wrobiona! To nie ja napisałam ten list, za wszystkim stoją...

- Dość! - Zakonnica podrywa się z łóżka i w mgnieniu oka przebiega salę. - Nie będziesz nikogo obrażać. Zaczynaj się wreszcie zachowywać jak dorosła, a nie rozpieszczony bachor!

- To zabierz mnie stąd!

- Nie ma mowy.

- Zabierz mnie! Chcę wrócić, zabierz...

- Wychodzę. - Wraca do łóżka i łapie torebkę.

- Nie, proszę, zaczekaj... - Łamie mi się głos, ale zakonnica nie reaguje. - Błagam, błagam, siostró, ja przepraszam, przepraszam...

- Zobaczymy się za tydzień, do tego czasu pomyśl, jaką krzywdę robisz mnie i wszystkim wokół. A przede wszystkim poszukaj winy w swoim sercu, a nie w bliźnich. Przestań zrzucać odpowiedzialność za swoje błędy na innych. - To mówiąc, odwraca się na pięcie i wychodzi.

Zostaję sama.

Stoję.

Rozpieszczony bachor...

Mijają sekundy, minuty, godziny.

Gdzieś w oddali tyka zegar.

A może to bomba.

Tik-tak, tik-tak.

Stoję.

Robisz krzywdę...

Czas płynie gdzieś obok. Pustka.

Gdzieś w środku. Gdzieś w środku. Gdzieś w środku jest pustka.

To moje serce czy umysł?

Dlaczego nic nie czuję?

Stoję.

Poszukaj winy...

Dlaczego nie czuję nic?

Raz, dwa, trzy, a może raz i dwa, krok naprzód, jeden po drugim. Raz, dwa, raz, dwa, trzy. Dziś ofiarą jesteś ty.

Piórnik, w piórniku temperówka, w temperówce ostrze. Promienie słońca wdzierają się przez szybę, odbijają się od zimnej tafli, mienią kolorami tęczy.

Śrubka.

Wystarczy wsuwka do włosów. Nie jest dokręcona mocno.

Raz, dwa, trzy, cztery, maszerują...

Drzwi zamykają się za mną. Smród papierosów koi zmysły.

Czyjś kwaśny oddech wypełnia mnie całą.

Czyjś cień dyszy mi w kark, czyjaś twarz kilka milimetrów od mych pleców.

Czeka.

Czuję go.

Poszukać winy w sobie.

To ty jesteś winna.

To twoja wina.

Tylko twoja.

Czerwona wstążka zdobi moje ramię.

Raz, dwa, trzy, dzisiaj trupem będziesz ty.

Nie czuję nic. Dlaczego?

Nie jestem smutna. Nie jestem zła.
Jestem martwa.
Pusta muszla.
Pusta skorupa.
Nie ma mnie.
Stoję gdzieś z boku i patrzę.
Czerwień wiję się jak wąż.
Dlaczego nic nie czuję?
Dlaczego.
Nic.
Nie.
Czuję.
Chcę coś poczuć.
Wyrwać się z tego transu.
Poczuć własne ciało.
Poczuć, że istnieję.
Ostrze chowa się w mojej skórze, ślizga się w moich
palcach.
Nic.
Mocniej.
Kropla uderza o ziemię.
Wciąż nic.
Może już jestem martwa?
Mocniej.
Nie czuję nic.
Mocniej.
Widzę czerwień. Ale nie czuję nic.

Raz po raz, raz i drugi. Próbuję zmusić mój umysł do połączenia się z ciałem.

Skoro nie czuję smutku, skoro nie czuję złości, może chociaż poczuję ból.

Kap, kap.

Bez sensu. Nie czuję nic.

Coś z brzękiem uderza o ziemię.

Siedzę.

Nie czuję nic.

Ile to już trwa?

Ręce giną pokryte lśniącym życiem.

Poczuj coś.

Cokolwiek.

Błagam.

Poczuj...

Poczuj.

Poczuj.

Zrywam się.

Podnoszę żyletkę.

Uderzam.

Raz, drugi, trzeci.

W nieskończoność.

Dłonie, ręce, łydki, uda.

Brzuch.

Piersi.

Szyja.

Ciało pokrywa się mozaiką czerwonych strumieni.

Ubranie lepi się do skóry.

Czuję.

Piecze.

Wreszcie.

Śmieję się.

Wreszcie coś czuję.

Śmiech staje się głośniejszy.

Czuję coś, czuję, czuję...

Śmiech rośnie mi w głowie.

Łzy płyną po policzkach, łącząc się z krwią. Wirują razem w szaleńczym tańcu.

Śmiech przeradza się w łkanie.

W szloch.

W płacz.

W histerię.

Wrzask rozdziera powietrze, a razem z nim moje serce, mój umysł, moje ciało. Kolana głucho uderzają o ziemię. Palce wczepiają się we włosy. Moje ciało kurczy się pod naporem rozpacz. Paznokcie wbijają się w głowę. Usiłuję zatrzymać skowyt wstrząsający moim ciałem. Przykładam pięść do ust i zaciskam na niej zęby. Wciąż słyszę krzyk. Nie mogę przestać.

Przegrałam.

Jestem nikim.

Piecze.

Podnoszę głowę.

Pielęgniarki przemywają moje ciało. W rogu stoi Rojkowski, patrząc na mnie ze smutkiem. Drzwi

zabiegowego są zamknięte. Uśmiecham się do kobiety, która dotyka mojej szyi. Patrzę jej w oczy. Co tu się dzieje? Dlaczego wygląda na zmartwioną?

Powoli opuszczam głowę i zerkam w dół.

Otwieram usta ze zdumienia.

- Co się stało? - pyta lekarz.

- Nie wiem.

- Jesteś pewna?

- Hm... - zastanawiam się przez chwilę. Nie mogę pojąć, dlaczego wyglądając jak mielonka, czuję się tak rozluźniona.

- Pokłóciłam się z siostrą Rachelą, tą, co mnie tu przywiozła.

- O co się pokłóciłyście?

- Nic ważnego. - Wzruszam ramionami. - Próbowałam ją przekonać, żeby zabrała mnie stąd na żądanie.

- Nie zgodziła się?

- Nie.

- A potem?

- Chyba się wkurzyłam.

- Chyba? - Unosi lekko brwi.

- Nie jestem pewna, nie bardzo pamiętam.

- Wyjaśnij. - Przygląda mi się z zastanowieniem.

- Wiem, że się wkurzyłam, a potem... A potem mnie nie było. Czasem tak mam.

- Co masz na myśli?

- To jest tak, jakbym obserwowała wszystko z boku - tłumaczę z łatwością. - Sama nie do końca to rozumiem.

- A teraz? Już jest lepiej?
- W zasadzie tak. Szczerze, to nie czułam się tak dobrze od dawna.

Pielęgniarki wymieniają zdziwione spojrzenia. Rojkowski jednak nie wygląda na zaskoczonego. Marszczy czoło i krzyżuje ręce.

- Skąd miałaś żyletkę?
- Rozkręciłam temperówkę.
- Czyli jednak byłaś przytomna.
- Na tyle, żeby odkręcić śrubkę? Tak - odpowiadam ze złością, która, nie wiedzieć czemu, nagle zapłonęła we mnie zdecydowanie zbyt dużym płomieniem. O co mu chodzi?

- No nic - wzdycha. - Pobędziesz parę dni na ścisłej. Pielęgniarki dadzą ci piżamę i...

- Co? Dlaczego?
- Dlaczego? Spójrz, co sobie zrobiłaś. - Wskazuje na czerwone pręgi.

- To przecież jednorazowa sytuacja. Panuję nad sobą.
- Panujesz nad sobą?
- Tak. - Powoli zaczynam się irytować.
- Więc dlaczego „nie bardzo pamiętasz”?

Grzecznie połykam dwie małe tabletki.

Gdy idę korytarzem, sztywny materiał błękitnej piżamy w kwiatki ociera się o świeże rany, potęgując ból. Ale to przyjemne uczucie. Przypomina mi, że żyję. Pacjenci patrzą na mnie z mieszaniną ciekawości i strachu w oczach. Jeżeli jest mi czegoś wstyd, to tej piżamki. Wkładam ręce do

kieszeni i znacząco przewracam oczami. Chyba właśnie zostałam królową świrów. Salowa przegania ich, każąc zająć się swoimi sprawami.

Kiedy wchodzę do pokoju, Czarna i Maciek czekają na mnie. Chcą się odezwać, ale prowadząca mnie pielęgniarka ich powstrzymuje. Gdy siadam na łóżku, przykrywa mnie kołdrą, a ja nie protestuję. Jestem potwornie zmęczona i dziwnie zadowolona. Nie, to nie to słowo.

Oczyszczona.

Budzę się pod wieczór. Moje współlokatorki kłóca się o coś zawzięcie. Powoli podnoszę się do pozycji siedzącej. Zegar w pustej dyżurce wskazuje czas leków. Nic dziwnego, że nikogo tam nie ma.

Jak na komendę wchodzi pielęgniarka i bez słowa podaje mi tabletkę. Ale nie tę co zwykle. Ta jest dużo mniejsza, okrągła, biała jak śnieg.

- Co to?

Ignoruje mnie i spokojnie przelewa wodę z butelki do mojego kubka.

- Co to jest? - ponawiam pytanie.

- Proszek.

- Jaki?

- Nie interesuj się.

Czuję, jak skacze mi ciśnienie. Zanim jednak zdążę wylać z siebie trochę jadu, obok mnie ni stąd, ni zowąd materializuje się Czarna. Siada w nogach mojego łóżka i uśmiecha się pokrzepiająco, mrużąc coś o moim

spokojnym śnie. W końcu posłusznie biorę podejrzany lek do ust. Gdy pielęgniarka wychodzi, moja współlokatorka zasypuje mnie pytaniami. Wyraźnie się martwi, ale uspokajam ją. A uspokajając ją - uspokajam i siebie. Nie należy się przejmować, to nic takiego. Po prostu nacięć jest więcej niż zwykle. Ot, dzień jak co dzień.

Kiedy Czarna kończy swój wywiad, opowiada, jak to wyglądało z jej strony. Trwały wtedy jeszcze odwiedziny. Nagle usłyszała, że ktoś wrzeszczy, więc pobiegła za dźwiękiem. Chwilę później cały oddział kłębił się na korytarzu. Kiedy wprowadzono mnie do zabiegowego, wyglądałam co najmniej przerażająco. Śmieje się, że będę jej się śnić po nocach. Ale w jej głosie nie słyszę wesołości. Słyszę strach.

Unikają mnie. Widzę to bardzo wyraźnie. Staram się tłumaczyć sobie, że na ich miejscu zareagowałabym tak samo. Trochę pomaga. Najbardziej boli mnie zachowanie Staśka. Nawet na mnie nie patrzy. Udaje, że jestem powietrzem. Kiedy podchodzę i chcę do niego zagadać, wytłumaczyć mu, że nie ma się czym przejmować, odwraca się i odchodzi. Tylko Czarna i Maciek wciąż zachowują się niezmiennie. Przechodzą samych siebie, usiłując mnie rozbawić. Dopiero po jakimś czasie zauważam, że coś między nimi nie gra. Kiedy jestem obok, nie widać tego, ale gdy przyglądam im się z daleka, są dziwnie spięci.

- Wszystko OK? - pytam Czarną, kiedy w niedzielny wieczór gasimy światło.

- Pewnie.

To jej ostatnia noc tutaj. Jutro po obiedzie wraca do domu. Wyleczona.

- Boisz się?

- Coś ty - śmieje się. Po chwili jednak dodaje: - Może trochę.

- Czujesz się zdrowa?

- To zależy.

- Jak to? - Nie bardzo wiem, co ma na myśli.

- To zależy, co przez to rozumiesz.

Przewracam się na plecy. Zdrowa. Czarna ma rację. Co to znaczy? To znaczy, że nie będzie wymiotować? Że będzie jeść tak jak inni? A może, że jest szczęśliwa, ma marzenia i determinację, by je spełnić? Co to może znaczyć? I co znaczyłoby dla mnie?

- Według lekarzy jestem zdrowa - zaczyna. - Nie mam objawów chorobowych, przynajmniej tych widocznych gołym okiem. Moje myślenie zmieniło się. Nie całkowicie, ale zawsze coś. Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

- Tu jest inny świat, Lola. Tutaj jestem pilnowana. Nie mam dostępu do lodówki, pieniędzy w kieszeni, wolnej woli. Co będzie, jeśli pokłócę się z ojcem? Jak sobie z tym poradzę? Co, jeśli stanę przed słodyczami w sklepie? Dla nich jestem zdrowa, ale jestem zdrowa *tutaj*.

Leżymy w milczeniu. Ma rację. Co z tego, że radzi sobie na oddziale. Przecież jakby sobie nie radziła, to zwyczajnie wsadziliby ją w piżamkę. A tego by nie chciała. Na samą

myśl o tym, że miałabym znowu siedzieć w tej szmacie, przewraca mi się w żołądku. Choćby nie wiem co, nie dałabym się złapać. Nawet jakby coś się działo, musiałabym kłamać. Och...

- Czarna...?

- Tak?

- Kiedy ostatni raz rzygałaś?

Moje pytanie wisi w powietrzu jak topór nad szyją skazańca. Po chwili słyszę ciche łkanie.

Dobry Boże.

- I będziesz pisać - po raz kolejny przypomina jej Maciek.

- Będę.

- I dzwonić.

- Tak jest!

- I spotkamy się, jak tylko będę miał przepustkę.

- Koniecznie!

Padają sobie w objęcia. Pożegnała się już ze wszystkimi pacjentami. Stoją razem w uścisku przy drzwiach. Ponury mężczyzna, zapewne jej ojciec, wyraźnie się niecierpliwi. Stara się nie zwracać uwagi na mój paskudny ubiór. Nerwowo wystukuje palcami skomplikowany rytm o torbę córki, przewieszoną przez jego ramię.

Uśmiecham się. Nie chcę, żeby widziała, jak bardzo mi przykro, że odchodzi. Przywołuje mnie gestem. Maciek z całej siły przytula nas obie. Stoimy tak, pociągając nosami. W końcu odsuwam się.

- No, maleńka, czas wracać do życia.
 - Dziękuję wam, dziękuję za wszystko. Trzymajcie się oboje. Lola, nie świruj. - Grozi mi palcem i choć jej usta się śmieją, oczy zdradzają prawdziwe uczucia.
 - W porządku, twój chłopak mnie przypilnuje. - Pokazuję język.
 - No właśnie tego się boję. - Lekko uderza mnie pięścią w brzuch.
 - Nie martw się, nie lubię używanego towaru.
- Jeszcze przez chwilę patrzymy na siebie, prawdopodobnie widzimy się po raz ostatni w życiu. Łzy uparcie napływają mi do oczu.
- Dobra, ja spadam, bo nigdy sobie nie pójdziesz - rzucam i odmaszerowuję w stronę kuchenki.
- I tak właśnie żegnam się z jedyną dziewczyną w moim życiu, którą mogłabym nazwać przyjaciółką. Dziewczyną, którą poznałam sześć dni temu.

Na oddziale jest dziwnie pusto. Minął tydzień, odkąd tu trafiłam. Stasiek, nie pożegnawszy się ze mną, znika za drzwiami zdającymi się prowadzić do innego wymiaru. A może to wcale nie złudzenie. W końcu za nimi jest naprawdę inny świat. Zupełnie inny.

Siedzimy z Maćkiem w klasie i rysujemy potworki. Bierzymy kolejne kartki i jak małe dzieci ozdabiamy je wszystkimi kolorami tęczy woskowych kredek. Zabawa dziecinnie prosta. Każde z nas rysuje inny fragment wymyślonego stwora. Nasz pacjent numer cztery ma

siedem nóg, obwisłe jak worki piersi, wyłupiaste oczy i żółtą chustę, gryzącą się z wściekle pomarańczowym odcieniem skóry. Chłopak podpisuje dzieło. Chwilę później ryczę ze śmiechu. „Skwarka”.

Minął dopiero jeden dzień, odkąd jego dziewczyna wyszła na wolność. Wciąż próbujemy znaleźć sobie jakieś zajęcie. Okazuje się, że ten nieodstępujący mnie nawet na moment chłopak w rzeczywistości jest bardzo spokojny i ma wręcz melancholijny stosunek do życia. Najwyraźniej bez energetycznej bomby, jaką jest Czarna, możemy wrócić do pielęgnowania tych spokojnych części naszych osobowości.

Siedzimy na dwóch końcach łóżka. To mój pierwszy dzień bez piżamki, który celebрую, czytając podręcznik do biologii. Maciek, oparty o wezgłowie, wpatruje się w telefon. Jego kręcone włosy są przyklapnięte.

- Martwię się o nią.

Przerywam lekturę i przyglądam mu się badawczo.

- Coś się stało?

- Sam nie wiem. - Drapie się po karku. - Niby pisze, że wszystko jest w porządku, ale coś mi tu nie gra. Jakby... Sam nie wiem. Gdzieś w środku mam wrażenie, że kłamie.

- Może powinieneś jej trochę zaufać - pocieszam go, chociaż sama w to nie wierzę.

- Lola, ona nie jest zdrowa.

- Wiem - szepczę po krótkiej chwili milczenia. Patrzy na mnie pytająco. - Domyśliłam się. W pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy może okłamuje wszystkich

wokół. Nie miałam specjalnego powodu, żeby tak myśleć. Samo mi się nasunęło - tłumaczę. - Ale kiedy zapytałam, kiedy ostatni raz pochylała się nad muszlą, zaczęła płakać. Oczywiście to tylko domysły, może po prostu było jej przykro

- dodaję szybko.

Maciek wyraźnie bije się z myślami. Odkłada telefon i odchyła głowę, głęboko wciągając powietrze.

- Dzień przed wypisem.

- Słucham?

- Ostatni raz robiła to w niedzielę. Chociaż nie mam pewności, czy i rano, przed wyjściem, nie odwiedzała toalety.

Nagle zaczyna boleć mnie brzuch. Staram się zapanować nad trzęsącymi się dłońmi.

- Ale przecież...

- Nie potrafili jej pomóc. A może i potrafili, ale ona tego nie chciała.

- Ale dlaczego? - wołam wzburzona. - Dlaczego, do cholery?!

- Bo jest chora.

- To żadne wyjaśnienie. - Gorące łzy napływają mi do oczu.

- Nie, Lola, to właśnie wszystko tłumaczy.

Po czym opiera głowę na kolanach i zaczyna bezgłośnie łkać.

Rozdział 8

Trzymam w dłoniach jego kruche, delikatne ciało, zimne jak lód. Kolana uginają się pode mną, padam na wyschniętą trawę. Opieram głowę o chłodne mury budynku. To niemożliwe, to nie może się dziać.

Coś dotknęło mojej nogi. Podskoczyłam jak oparzona, gotowa do ucieczki. Ku mojemu zaskoczeniu winowajcą był szczeniak. Zadowolony usiadł przy mojej stopie i merdał ogonkiem tak energicznie, że ruchy się zamazywały. Patrzył na mnie wielkimi oczami i posapywał z wywieszonym jęzorem.

Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu właściciela, ale w pobliżu nie było nikogo prócz nas. Spojrzałam w dół i zbadałam zwierzę wzrokiem. Obroży brak, a on sam wyglądał, jakby nosił w sierści cały brud tego świata. Cofnęłam się z obrzydzeniem. Nie oglądając się za siebie, poszłam dalej. Kiedy dotarłam do mojego ulubionego miejsca, usiadłam i przymknęłam oczy.

Byłam w niewielkim parku, do którego zaglądało niewiele osób. Szczególnie przy trzydziestostopniowym upale. Słońce grzało niemiłosiernie, torturując wszystkie żywe istoty na spękanej ziemi. Trawa już dawno przybrała żółty kolor, zapewne bezpowrotnie tracąc nadzieję na życiodajny deszcz. Nie pamiętałam takich upałów. Wychyliłam zawartość butelki i oblizałam z lubością usta. Cydr zrobił się ciepły, ale wciąż był smaczny. Postawiłam go między nogami i wyciągnęłam z torby kieszonkowe wydanie jakiegoś romansidła. Niestety, to jedyne, co udało mi się zwędzić z czytelnicy. Bibliotekarka wyrosła jak spod ziemi, nie miałam czasu się zastanawiać. Pozostawało liczyć na to, że główna bohaterka nie jest idiotką.

Powietrze było ciężkie i nieznośnie suche. Miałam wrażenie, że mogłabym pokroić je nożem. Wzięłam kolejny łyk. Nie mogłam skupić się na schematycznej historii. Nawet w cieniu wielkiego dębu temperatura była za wysoka. Pogładziłam jedną z niewielu kępek szorstkiej trawy, która się ostała. Park był praktycznie martwy. Goła ziemia przypominała wyschnięte koryto rzeki, bezustannie chłonna zabójcze promienie okrutnego słońca.

Nagle tuż obok mnie pojawił się piesek i znów przysiadł, wlepiając we mnie ciemne oczka. Język, który wystawał mu z pyszczki, wyglądał na przerażająco suchy. Po raz kolejny uważnie rozejrzałam się wokół. W końcu wyciągnęłam resztkę wody mineralnej i przelałam ją do dziury w ziemi. Zwierzę rzuciło się i łapczywie piło, dopóki spragniona ziemia nie odebrała mu sprzed nosa ostatniej

kropli. Jeszcze przez chwilę oblizywał dołek, po czym wrócił na swoje miejsce i z powrotem utkwiał we mnie spojrzenie.

Spojrzałam do góry. „Jak wiele dni przeżyje szczenię pozbawione dostępu do wody?” Być może powinnam była pytać o godziny. Jeszcze raz przyjrzałam się jego brudnej sierści. Wyciągnęłam rękę, przeklinając w duchu swoją głupotę. „W ośrodku się wkurzą, jeśli przytargam wściekliznę”. Po krótkiej chwili wahania mała, brązowawa kulka podetknęła mi pod dłoń swoją główkę. Okazała się być niewiarygodnie miękka. Podrapałam psa za uszami, odpychając od siebie myśli o ewentualnych pchłach pod paznokciami. W końcu jęknęłam z rezygnacją i zostawiając go samego, pognałam do najbliższego sklepu.

- Wiesz, jak już jesteś czysty, to całkiem ładny z ciebie jegomość, mój przyjacielu. Kiedyś będzie trzeba bronić cię przed osiedlowymi kochankami.

Suszyłam go ręcznikiem, podziwiając jego złote umaszczenie. Może staw nie był najlepszym miejscem na kąpanie zwierzęcia, ale trudno. Wybrałam ekologiczny szampon i liczyłam, że gdy wrócę tam kolejnego dnia, na powierzchni nie będą unosić się martwe ryby.

Siedziałam nad brzegiem niewielkiego zbiornika, który zwykle o tej porze roku służył za kąpielisko. Teraz jednak słońce drastycznie zmniejszyło jego wielkość, skutecznie zniechęcając ewentualnych gości. Ponadto woda stała się odpychająco mętna. Nikomu raczej nie przyszłoby do głowy się w niej zanurzyć.

Poranek, choć gorący, był całkiem przyjemny. Wiatr przyniósł orzeźwienie, schładzając minimalnie moje ciało, które dawno już nabrało ciemnej opalenizny. Szczeniak dokazywał, zapalczywie walczył z materiałem jak z największym wrogiem. Popiskiwał i gryzł ręcznik, skakał wszędzie dookoła, a ja bezskutecznie próbowałam go uspokoić. Nie po to szorowałam go trzy razy, żeby z powrotem się wybrudził. W końcu uznałam, że przecież jak wrócę do ośrodka, on i tak wytarza się w pierwszej lepszej kupie piachu, więc dałam sobie spokój i poszłam w stronę jego legowiska.

Zrobiłam mu je w niewielkiej jamie pod drzewem rosnącym na skraju wydmy. Przez lata podmywana przez wodę lipa drobnolistna wykształciła dziwaczne korzenie, wystające wysoko nad ziemię. Teraz, gdy poziom wody był zatrważająco niski, tworzyły coś na kształt małej jaskini. Przyniosłam parę starych ubrań i dwie miseczki. Zdawałam sobie sprawę z faktu, że przy takim upale woda wysycha szybko, ale pocieszałam się myślą o jeziorku. Dwa razy dziennie nalewałam psu świeżej źródlanej wody i dosypywałam suchą karmę. Nie zastanawiałam się, co będzie, kiedy skończą się wakacje. Może powinnam rozwiesić ogłoszenia?

Gdy tylko psiak usłyszał odgłos jedzenia uderzającego o dno naczynia, przybiegł i z zapalem zabrał się do posiłku. Po jego zakończeniu wskoczył mi na kolana i obróciwszy się parę razy wokół swojej osi, zwinął się w kłębek, czekając na pieszczoty. Z uśmiechem gładziłam jego grzbiet, muskałam

palcami jego delikatną sierść. Myślałam o tym, żeby zatrzymać ten moment na zawsze. Żeby nigdy nie zapomnieć szumu gałęzi, tańca cieni rzucanych przez liście nad nami, zapachu rumiankowego szamponu. Smaku ciszy.

Wolności.

Jak zawsze wymknęłam się z ośrodka bladym świtem. Mimo tak wczesnej pory już teraz z trudem wytrzymywałam skwar. Zacisnęłam jednak palce na reklamówce i nie zwalniałam tempa. Nienawidziłam tej wędrówki. Za każdym razem bałam się, że bezimienne szczenię zniknie.

Właściwie to nie wiedziałam, dlaczego go nie nazwałam. Może nie chciałam go urealnić? Było coś magicznego w tej relacji człowieka ze zwierzęciem. Nadając mu imię, zrobiłabym z niego zwykłego psa, takiego jak tysiące innych. A on był wyjątkowy.

Przeszłam w pośpiechu przez park, mijając zaspanego imprezowicza, który z trudem podnosił się z ławki. Otaczały go puste puszki po piwie. Nie zatrzymałam się. Szłam dalej, narzucając sobie szybkie tempo. Mniej więcej po czterdziestu minutach marszu wyszłam z niewielkiego lasu na teren kąpieliska. Zatrzymałam się przy stawie, by schłodzić ręce w wodzie.

Coś było nie tak.

Zwykle szczeniak witał mnie radosnym szczekaniem, gdy tylko wychodziłam z cienia drzew. Tym razem wokół panowała złowróźbna cisza. Z duszą na ramieniu rzuciłam się w stronę legowiska, wyobrażając sobie gnijące truchło. Bałam się, że zdechł. Jeśli okazałoby się to prawdą,

byłabym temu winna. W końcu zamiast znaleźć mu właściciela, wolałam trzymać go nad jakimś stawem.

Zajrzałam pod korzenie. Pusto. Drżącymi rękami wyciągnęłam ubrania, chcąc sprawdzić, czy się w nich nie schował. Kilkakrotnie przeszukałam niewielką jamę. Bezskutecznie. Z wściekłością rzuciłam jedną z misek. Mój okrzyk porwał wiatr.

I wtedy zauważyłam, że coś jest przyczepione do dna naczynia. Schyliłam się i oderwałam karteczkę przymocowaną gumą do zucia.

Była na niej dzisiejsza data.

Wymiotuję. W ręce wciąż ściskam martwego szczeniaka. Drugą przytrzymuję włosy. Kiedy torsje ustają, zmuszam się do popatrzenia na zwierzę raz jeszcze. Wlepiam w niego błagające spojrzenie i ściskam jego delikatny brzuszek, wciąż łudząc się, że zaraz wierzgnie, wyrwie się i polize mnie po twarzy. Ale nic takiego się nie dzieje.

To ja odebrałam mu życie. To ja go zabiłam. W momencie, w którym się nim zaopiekowałam. W chwili, w której dałam mu wody. Miesiąc temu skazałam go na śmierć.

Wyciągam z kieszeni spodni karteczkę. Nie mam wątpliwości, kto skręcił kark niewinnemu zwierzęciu. Z taką łatwością zniszczył życie. I po co? Po to, żeby mnie

zranić? Potwór. Ten chłopak to potwór. Nienawidzę go. Nienawidzę.

Słowa wypowiedziane w myślach powoli wypływają na zewnątrz. Syczę przez zaciśnięte zęby tylko jedno słowo: „Nienawidzę”. Powtarzam je jak mantrę, która pomaga mi zachować przytomność. Powtarzam je, gdy podnoszę się z ziemi. Powtarzam je, gdy wkładam martwego psa do torby. Powtarzam je, gdy wolno idę do kryjówki. Gdy chowam jego ciało wśród korzeni lipy. Gdy przypominam sobie zapach rumianku. Gdy wracam do ośrodka, odprowadzana przez coraz silniejsze promienie słońca.

Otwieram drzwi, wchodzę po schodach. Kończą jeść śniadanie. Wchodzę do stołówki. Szukam go wzrokiem. Siedzi w centrum sali, zaśmiewając się do rozpuku, najwyraźniej rozbawiony przez przyjaciół. Wpatruję się w niego.

- Nienawidzę cię.

Nie może mnie usłyszeć. Stoję w przejściu. Ignoruję osoby, które chcą wyjść.

- Nienawidzę.

- Co?

Tęga dziewczucha staje przede mną, zła, że blokuje przejście. Nie widzę jej. Widzę tylko jego uśmiech, jego oczy, jego pierś unoszącą się z każdym oddechem.

- Nienawidzę.

- Mogłabyś się... - zaczyna dziewczyna i opiera rękę na framudze, drugą wyciągając, by mnie przesunąć. Ale nie zdąża. Bo wybucham.

Łapię za drzwi i z całej siły miażdżę jej rękę. Słyszę trzask kości. Wrzeszczy. Ale nie zwracam już na nią uwagi. Pokonuję dzielącą nas odległość w ułamku sekundy. Zanim on pojmie, co się dzieje, uderzam go z taką siłą, że chwilę później jego twarz zalewa krew z rozwalonego nosa. Wrzeszczę. W szaleństwie próbuję złapać łyżkę, ale tłum rzuca się na mnie. Przytrzymują mnie, jest ich zbyt wielu, bym mogła się wyrwać. Pozostaje mi tylko krzyczeć z bezsilności.

Ale Norbert się nie boi. Ociera twarz rękawem, nie spuszczając ze mnie wzroku. Zanim mnie wyprowadzą, dostrzegam coś jeszcze.

Śmieje się.

Rozdział 9

Tydzień po wypisie Czarna wraca na oddział. Jak gdyby nigdy nic wita się ze wszystkimi, radosna i pełna energii. Z ekscytacją opowiada o tym, jak dobrze było jej na wolności. Kiedy ktoś pyta, dlaczego ją przyjęli z powrotem, odpowiada, że sama o to prosiła. Podobno to z tęsknoty. Nie wiem, czy ktokolwiek jej uwierzył. Z pewnością wie, że jej tłumaczenie jest idiotyczne, ale nie przejmuje się tym. Nie zależy jej. Z uśmiechem na ustach kłamie w żywe oczy, z zapalem nas przekonując. Może w ten sposób próbuje przekonać również samą siebie.

Nie wiemy, jak zareagować. Z początku jesteśmy w ciężkim szoku, bo jeszcze godzinę wcześniej czytaliśmy SMS, w którym zapewniała nas, że wszystko u niej porządku, jest szczęśliwa i z przyjemnością pakuje się do szkoły. A teraz pospiesznie wita się z pacjentami.

Maciek przysuwa się do mnie i szepcze:

- Co tu się dzieje, do cholery? Co ona tu robi?

Tak jakbym miała wiedzieć. Nic się nie zgadza. Czarna nie wygląda na chorą, nieszczęśliwą, nie kuli się ze strachu.

Jej śmiech niesie się po korytarzu. Zachowuje się, jakby nigdy nie opuściła oddziału.

- Na razie róbmy to, co ona.

- Czyli?

- Graj.

Kiedy podchodzi, ściskamy ją i cieszymy się z jej powrotu. Głośniej, niż to konieczne, mówimy o tym, jak nam było bez niej źle. Podkreślamy, że za długo kazała nam na siebie czekać. Ten teatrzyk trwa dobre parę minut, zanim pielęgniarka zaciąga ją do zabiegowego. Kiedy tylko znikają za drzwiami, siadamy na kanapie, przysłuchując się ożywionym dyskusjom wokół. Nie tylko my jesteśmy skołowani. Jedni jej wierzą, inni nie. Ktoś mówi, że nie należy próbować zrozumieć świra. Słyszając to, Maciek zaciska pięści.

- Wyluzuj. - Daję mu kuksańca w bok.

- Nic o niej nie wiedzą, nie wiedzą, co ona przechodzi, ja...

- Wystarczy. Nie są temu winni. Oceniają to, co widzą.

- To nie znaczy, że mogą ją nazywać świrem.

- A jak mają ją nazywać? Wróciła na oddział, a zachowuje się, jakby była na wakacjach.

Skutecznie zamykam mu tym usta.

W głowie kłębią mi się najróżniejsze myśli. Co takiego się stało? Raczej nie próbowała sobie nic zrobić, wygląda najzupełniej normalnie. Może rzeczywiście uznała, że potrzebuje pomocy, więc poprosiła o możliwość powrotu? To jednak mało prawdopodobne. Kolejka jest długa, wbrew

pozorem niełatwo się tu znaleźć. Jest wiele oddziałów, ale ten ma najlepsze opinie i jest świeżo wyremontowany. Niektórzy czekają po kilka tygodni. Musiałaby trafić na cito, a do tego potrzebne jest bezpośrednie zagrożenie życia. Poza tym Czarna prosząca o pomoc? Przyznająca się do słabości? To nie brzmi prawdopodobnie.

Otwierają się drzwi, moja przyjaciółka wychodzi z szerokim uśmiechem i rękami w kieszeniach. Kieszeniach piżamki. Maciek podrywa się z miejsca, chce coś powiedzieć, ale pielęgniarka powstrzymuje go ruchem dłoni.

- Pogadacie sobie za dwa dni. - Po czym prowadzi Czarną do drugiej sali obserwacyjnej.

Jak zakłęci obserwujemy sanitariusza wynoszącego szafkę, wysuwającego szafę. Nie wygląda na zadowolonego. Zaledwie parę dni wcześniej meble wróciły na swoje miejsce, kiedy Gabę przeniesiono do mnie. Z zamyślenia wyrzywa mnie salowa: - Lola, weź swoje rzeczy i przenieś się do czwórki.

Patrzę na nią jak na wariatkę. O co jej chodzi?

- Przenosisz się, potrzebujemy miejsca w obserwacyjnej, to nie jedyne przyjęcie dzisiaj - wyjaśnia, jakby czytając mi w myślach.

- Chodź, pomogę ci. - Maciek łapie mnie za rękę i prowadzi do jedyńki.

W milczeniu zbieramy moje rzeczy i przenosimy do mojego nowego pokoju. Jest niewielki, ledwo mieści szafę i dwa łóżka, już nie szpitalne, ale najzupełniej zwyczajne.

Na jednym z nich czeka na mnie wykrochmalona pościel. Chłopak bez słowa pomaga mi ją założyć. Układamy moje ubrania w szafie, wypełniamy szafkę nocną kosmetykami. Parapet zdobią piramidy z podręczników i książek.

- Czegoś tu brakuje... - Maciek krytycznym wzrokiem obejmuje pokój. - Wiem - rzuca i wychodzi.

Siadam na parapecie, stopy opieram na kaloryferze. Wyglądam przez kratę na pozbawiony kolorów świat. Coś musiało się stać. Coś złego. A ona po prostu robi dobrą minę do złej gry. Jest do mnie bardziej podobna, niż mogłoby się zdawać. Dwa dni, za tyle będziemy mogli z nią porozmawiać. Nie ma wątpliwości, trafiła na superścisłą. Oznacza to tylko jedno.

Próbowała się zabić.

Maciek bezszelestnie zjawia się w pokoju ze swoim kocem. Przykrywa nim moje łóżko i naciąga, wygładzając zmarszczki. Materiał ma czarny odcień, przygnębiającą tafłę przecinają pionowe białe paseczki, tak cienkie, że z daleka niewidoczne. To tylko koc, a jednak patrząc na niego, czuję coś dziwnego, czego nie potrafię nazwać.

- Teraz lepiej - stwierdza, po czym ciężko opada na poduszki.

- Co dalej?

- Nie wiem, siostra. I nie wiem, czy chcę wiedzieć.

Zapada głucho milczenie. Po dłuższym zastanowieniu kładę się obok niego i biorę go za rękę. Leżymy tak, gapiąc się w sufit, jakby to on znał tajemnice tego świata.

Patrzymy na niego błagalnym wzrokiem, ale nie odpowiada. Jest zimny. Martwy. Tak jak my i wszystko wokół.

Nie mogę znieść tej pustki. Obracam się i wtulam w sztywne ramię Maćka. Nawet się nie poruszył. On również nie wie, co zrobić. Zamykam oczy. Dwa dni. Będę czekać dwa dni, aż dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Dwa dni umierania ze strachu.

- Próbowwała się zabić - mówi nagle.

- Też tak myślę.

- Dlaczego mi nie powiedziała? Dlaczego nie zadzwoniła, nie poprosiła o pomoc? Mógłbym ją pocieszyć. Powiedzieć jej, że jest najpiękniejsza, najmądrzejsza, najzabawniejsza. Przyznać się, że potrzebuję jej bardziej niż kogokolwiek. - Odpowiadam mu milczeniem. - Zraniła mnie. Nie zaufała mi. Co zrobiłem źle, Lola? Powiedz mi.

- Nie obwiniaj się. Znasz ją. Nie chciała cię martwić.

Tym razem to on przez moment milczy.

- Nie wybaczę jej tego. Nigdy.

- Słuchaj...

- Nigdy - powtarza szeptem, a potem wstaje i pośpiesznie wychodzi.

Za każdym razem, kiedy przechodzę obok jej sali, leży w tej samej pozycji, odwrócona tyłem do szyby. Gdy stukam - nie reaguje. Wyrywam więc kartkę z zeszytu z zamiarem napisania jej wiadomości, którą później wsunę pod drzwi. Nie wiem jednak, co miałabym w niej zamieścić.

Będzie dobrze?

Zastanawiam się, co bym poczuła, widząc taki liścik. Pewnie bym się wkurzyła. W takim razie jak inaczej mam jej pomóc? Nawet nie wiem, co się stało. Ciekawe, czy czuje się winna, że nas okłamała.

Kiedy po kąpieli przechodzę obok jej sali, widzę, że płacze. W rękę ściska karteczkę. Łzy pewnie już dawno rozmazały dwa słowa, które jej przekazałam.

Wybaczam Ci.

Maciek przez te dwa dni praktycznie nie rusza się z pokoju. Na posiłki przychodzi nieobecny, myślami błądzi gdzieś zupełnie indziej. Najprawdopodobniej obwinia się o stan Czarnej. Albo myśli, że ona nic do niego nie czuje, dlatego go okłamała. Jakikolwiek nie byłby powód, nie mam zamiaru czekać w nieskończoność, aż on weźmie się w garść. Kiedy rano nie przychodzi na śniadanie, mimo że Czarna może znów jeść z nami, wściekam się.

- Idę po niego.

- Może lepiej go zostaw... - Dziewczyna pochmurnieje.

- Nie. Nie pozwolę mu tam gnić.

- Powinnam iść z tobą?

Kręcę głową.

- Poradzę sobie. Muszę go trochę urobić, zanim cię do niego dopuszczę.

To powiedziawszy, ignoruję talerz z niedokończoną kaszką manną i maszeruję do jedenastki. Nie pukam. Wchodzę do pokoju i zrywam z Maćka kołdrę.

Nawet się nie poruszył. Leży i gapi się gdzieś w przestrzeń.

- Maciek, wstań.

Nie reaguje.

- Maciek!

Kucam obok jego łóżka. Chłopak jest umysłem zupełnie gdzie indziej. Uderzam go w twarz. Wzdryga się, ale wciąż nie chce się odezwać. No dobra, skoro tak chcesz się bawić, proszę bardzo. Łapię jego dresy w pasie i mocno ciągnę w dół.

- Jezu Chryste! - W ostatniej chwili podciąga je z powrotem. - Pojebało cię?!

- Myślałam, że nie żyjesz.

- To nie jest powód, żeby ściągać mi spodnie! - Jego twarz jest równie czerwona jak najczerwieńszy z czerwonych pomidorów. A nawet bardziej.

- Ale podziałało - zauważam z uśmiechem.

Gromi mnie wzrokiem. Naprawdę chciałabym wiedzieć, co dzieje się w jego głowie. Pewnie ma ochotę mnie udusić. Ostatecznie decyduje się na pstryknięcie mnie w nos.

- Idiotka - prycha.

- Raczej taktyczny geniusz. Podbiłabym świat w kilka dni.

- Ściągając wszystkim spodnie?

- Tylko tym ważnym.

- Powinnaś się zastanowić nad swoim zachowaniem.

- Jasne, mamó.

- Wal się.

- I wzajemnie.

Jeszcze przez chwilę patrzy na mnie jak na karalucha, po czym wstaje i ścieli łożko. Kiedy tylko kończy, łapię go pod ramię i prowadzę do drzwi.

- Gdzie ty mnie ciągniesz, co?

- Na śniadanie, kochany. Nie pozwolę, żebyś padł z głodu.

- Nie jestem głodny.

- Jakoś mało mnie to interesuje, poza tym...

Urywam, bo oto prawie wpadamy na jego dziewczynę.

- Cześć - rzuca nieśmiało Czarna, poprawiając włosy, ale chłopak nie zatrzymuje się i tym razem to on ciągnie mnie, zostawiając ją wyraźnie zmieszaną.

Odwracam się, chcąc posłać jej pokrzepiające spojrzenie, ale zdążyła już zniknąć.

- Aleś ty miły - krzywię się.

- Nie twoja sprawa.

Wciąż uczepiony mojego ramienia, bierze bez słowa talerz ze śniadaniem i wchodzi do stołówki. Wskazuję mu stolik, na którym nadal czeka na mnie zimny posiłek.

- Proszę, proszę, Romeo się obudził. - Skwarka odsłania groźnie zęby.

- Zignoruj ją - mówię.

Puszczam mnie i siada na krześle obok mojego, jednak zamiast jeść, gapi się na swoje kanapki, jakby miał zamiar spalić je spojrzeniem. Postanawiam dać mu trochę czasu. Powoli kończę zimną kaszkę.

- Nienawidzę sera.

- Co?

- Powiedziałem, że nienawidzę sera.

Zdejmuję żółty plaster z chleba

- Popraw mnie, jeśli się mylę. Czy to nie ty wiecznie kłócisz się z Czarną, mówiąc, że jedyna prawidłowa kanapka to ta z serem? Czy może coś pomyliłam?

- Kłamałem.

- To głupie, wiesz? - Nie odpowiada. - Przynieść ci szynkę? Może mają w kuchni.

- Nie wygłupiaj się.

- Mówię serio. Chcesz?

Podnosi głowę i z zaciętą miną kręci głową. A potem kiwa. A potem jeszcze raz kręci.

- Zdecyduj się!

Patrzy przez okno. W końcu wolno przytakuje.

- Oj, dzieci, dzieci... - wzdycham i kieruję swoje kroki do sanitariuszki.

Po chwili wracam z dwoma plasterkami w dłoni. Bez większych ceregieli smaruję kromki masłem, kładę szynkę i kawałki ogórka. Maciek obserwuje mnie w milczeniu. Kiedy kończę, bezgłośnie mówi „dziękuję” i zabiera się do jedzenia.

Ech, gdyby ktoś mi powiedział, że będę niańczyć zakochanego nastolatka, wyśmiałabym go. Teraz jednak z lekkim uśmiechem obserwuję, jak wolno skubie śniadanie. Jak mogłabym im pomóc?

Kładę łokcie na stole i opieram brodę na kłykciach. Może w ogóle nie powinnam się wtrącać? To w końcu nie

moja sprawa. Najpierw powinnam wyciągnąć od Czarnej odpowiedź na pytanie, które spędzało mi sen z powiek.

Jednego nie rozumiem. Z pewnością wiedziała, że trafi na ścisłą. Po co więc te kłamstwa? Po co udawana radość? Przecież i tak wszyscy widzimy jak na dłoni, jaka jest prawda. Jest aż tak dumna, że brnie w zaparte, choćby nie wiem co? Jest dumna, podobnie jak ja. Ale ja zachowałabym się inaczej. Byłabym wściekła. Nie potrafiłabym udawać, bo i po co. Tutaj nie ma nikogo, komu chciałabym zagrać na nosie. Pewnie zgromiłabym wszystkich spojrzeniem i zamknęła się w pokoju, unikając wyjaśnień. A jeśli miałabym coś powiedzieć, to nasyciłabym to sarkazmem.

Ta dziewczyna jest dla mnie jedną wielką zagadką. Z jednej strony czuję, że jesteśmy do siebie podobne. Obie w maskach, choć różnych. Ona udaje osobę pełną życia, bezpośrednią, przepełnioną energią, wiecznie uśmiechniętą. Ja z kolei robię za chłodną, dumną, sarkastyczną sukę. Cóż, chyba jednak trochę się różnimy.

Ale powód ten sam. Strach.

Ciekawe, jaka jestem naprawdę. Tak długo udaję kogoś innego, że nawet nie wiem, jak to jest zachowywać się *naturalnie*. W sumie to tu, na oddziale, pozwalam sobie na więcej. Śmieję się, bawię, rozmawiam. Ale mam wrażenie, że to też nie jestem ja. Że to tylko łagodniejsza wersja Loli. Taka Lola 2.0, gdzie aktualizacja wprowadza luki w moim murze.

Boję się. Przyzwyczaiałam się do tego miejsca. Od mojego wybuchu minęło trochę czasu i wszyscy z powrotem

traktują mnie normalnie. Zresztą, obserwując codziennie innych pacjentów, można przywyknąć do dziwnych zachowań. Tych mniej i bardziej niepokojących. Jesteśmy trochę bardziej uodpornieni na widok wystających kości czy blizn niż zwykli ludzie. To, co dla kogoś jest nie do pomyślenia, dla nas stanowi codzienność.

Wyobrażam sobie mój powrót do ośrodka. Z pewnością wiedzą, gdzie jestem. Ciekawe, jak przywita mnie...

Wzdrygam się.

- Wszystko gra? - Maciek skończył jeść i teraz obserwuje mnie, rozrywając szynkę na coraz to mniejsze kawałki.

- Pewnie. - Uśmiecham się pocieszająco.

- Ty też? - Spogląda z szyderstwem, po czym wychodzi.

Mija trochę czasu, zanim dociera do mnie znaczenie jego słów. Wbijam wzrok w resztki kaszki. Potraktowałam go tak jak ona. Zraniłam go. Ale co ja mam mu powiedzieć? Że się boję? Że dostaję drgawek na samą myśl o tych oczach?

Potwór. Norbert to potwór. Żałuję, że nie zostawiłam go wtedy na śniegu. Że zamiast od razu złapać za łyżkę i wbić mu ją w oko, uderzyłam go w nos. Od tego zdarzenia minęły zaledwie dwa miesiące. Dwa bezsenne miesiące, kiedy to podskakiwałam jak oparzona przy każdym dźwięku. A kiedy tylko zamknęłam oczy, widziałam krew spływającą po jego twarzy. I ten uśmiech. Ten straszliwy uśmiech, który mówił mi, że popełniłam błąd. Że przegrałam.

Drzę. Nie przejmuję się talerzem. Idę wolno, z pochyloną głową.

Od tamtego czasu nie odezwał się do mnie ani razu. Nie zbliżył się do mnie ani na metr. Ale wiedziałam, że to tylko podstęp, bo za każdym razem, kiedy ośmieliłam się na niego popatrzeć, napotykałam jego spojrzenie. Gdziekolwiek bym się nie ruszyła, czułam na sobie jego wzrok. Nie było ucieczki. Nie mogłam nic zrobić. A on czekał na chwilę, w której stracę czujność.

Mijam sale obserwacyjne, mój pokój. Zrobię to. Po raz pierwszy w życiu powiem komuś, co czuję. Po raz pierwszy zaufam. A jeśli mnie wyśmieje? Jeśli znienawidzi? Wykorzysta moje słowa przeciwko mnie? Nie powinnam tego robić, nie powinnam...

Zamieram. Drzwi do jedenastki są otwarte. Stoją przy łóżku, złączeni. Cofam się i powoli wracam do pokoju, by schować się pod czarnym kocem. I na tym kończą się moje marzenia o zaufaniu.

Tu nie chodzi o zazdrość. Nie czuję do Maćka nic poza sympatią. Ale ta sytuacja uświadamia mi, że jestem kimś trzecim. Kimś zbędnym w ich relacji. Oni są parą, a ja piątym kołem u wozu. Mogę martwić się to o nią, to o niego, ale koniec końców tylko oni mają prawo o sobie decydować. Poza tym sami nigdy nic o sobie nie mówią. Czarna okłamała mnie tak samo jak jego, a jeśli chodzi o Maćka - nawet nie wiem, dlaczego tu trafił. Nie powinnam się nimi przejmować, tylko robić swoje.

To znaczy co?

Nie wiem. Cokolwiek. Nie tylko oni są na tym oddziale.

Zastanawiam się nad każdym z pacjentów. Niby są mili, ale czy potrafiłabym im zaufać? Tak naprawdę kompletnie ich nie znam. Te dwa tygodnie spędziłam w towarzystwie Czarnej i Maćka. Niby chcąc nie chcąc, złapałam kontakt z innymi osobami, ale bez nich... Jestem sama. Gdyby, dajmy na to, wyszli teraz ze szpitala, zostałabym sama jak palec. Nie miałabym do kogo się odezwać. Co innego plotkowanie w kuchence, a co innego przyjaźń.

Przyjaźń? Powinnam przestać używać tego słowa. Masz za swoje, idiotko. Dałaś się oswoić, a teraz za to zapłacisz. Bólem, łzami. Zostałaś upokorzona. Pokonana. Przegrałaś z samotnością.

Dość. Nie mam zamiaru się bać. Nie mam zamiaru płakać. Nie mam zamiaru przeproszać. Nie dam się zranić. Nigdy.

Jestem Lola.

I nie boję się niczego.

Kiedy Czarna wchodzi do pokoju, udaję, że śpię. Nie przychodzę na żaden z posiłków. Kiedy kilkakrotnie ją ignoruję, obrażona daje sobie spokój. Wieczorem, czekając w kolejce na leki, zagadują mnie. Ja jednak obrzucam ich tylko obojętnym spojrzeniem, po czym twardo wlepiam wzrok w jakiś punkt na ścianie. Nie wiedzą, co zrobić. Mam to gdzieś. Jeśli mają mnie znienawidzić, trudno. Przynajmniej później nie będę cierpieć.

- Nie idziesz na śniadanie? - Budzi mnie głos współlokatorki.

Dziewczyna ma nerwicę natręctw, obsesyjnie liczy. Zawsze i wszędzie.

Odwracam się do niej twarzą i mierzę ją takim wzrokiem, jakim pierwszego dnia tutaj potraktował mnie Rojkowski. Po chwili wychodzi, wyraźnie wystraszona.

Śmieję się w duchu. Są tacy słabi, tacy mali, z łatwością mogę ich zgnieść.

- Dobrze się czujesz? - Jego kowbojski chód denerwuje mnie, gdy idę obok.

- Oczywiście. Przepętnia mnie miłość do całego świata, każdego człowieka, każdej mrówki. Czuję, że serce we mnie rośnie na widok tych morelowych ścian, a dłonie drżą ze wzruszenia na widok wariacji na temat warzyw z całego tygodnia pod wdzięczną nazwą „surówka”.

Nie komentuje. Kiedy zaprasza mnie do gabinetu, dygam z widoczną przesadą, uśmiechając się od ucha do ucha. Chwilę później siadamy naprzeciwko siebie. Zakładam nogę na nogę, prostuję się, splatam dłonie na kolanie.

- W czym mogę ci pomóc, przyjacielu? - pytam. Przygląda mi się badawczo. - Zapomniałeś, jak się mówi?

Wciąż nie reaguje. Ku mojemu zdziwieniu wcale mnie to nie złości, lecz bawi. Śmieję się w głos, zasłaniając usta dłonią.

- Dobrze się bawisz? - pyta z kamienną twarzą.

- Jak nigdy dotąd.
- Co się stało, Lola? - Kładzie nacisk na ostatnie słowo.
- Czyżby zespół napięcia przedmiesiączkowego?
 - Och, nie cierpię na takie dolegliwości. U mnie jest wesoło przez cały miesiąc. - Mrugam porozumiewawczo.
 - Co próbujesz osiągnąć przez takie zachowanie?
 - Spokój ciała i ducha.
 - To znaczy?
 - Obawiam się, że nie mam ochoty o tym rozmawiać.
 - Czy kiedykolwiek masz ochotę na szczerość, księżniczko? - Jego usta rozciągają się w paskudnym grymasie.
 - Niekoniecznie.
 - Myślisz, że jesteś twarda, co?
 - To chyba oczywiste.
 - Ale nie jesteś - oświadczają.
 - To pan tak uważa.
 - A więc nie zgadzasz się ze mną?
 - Nie.
- Ciekawe, co dalej. Może zaraz zaczniesz mnie zasypywać radami z podręczników do psychologii. Rzuci paroma cytatami i każe je przemyśleć przed snem. Tępy idiota.
 - Dlaczego każeś do siebie mówić Lola?
- Nie takiego pytania się spodziewałam. Ale niech mu będzie.
 - Kwestia przyzwyczajenia.
 - Czyżby?
 - A co, będzie pan szukać drugiego dna?

- Kto cię tak nazwał?
- Tajemnica.
- Coś mi mówi, że to nie był przyjaciel - oznajmia, czujnie obserwując moją reakcję.
- Nie, nie był - potwierdzam, a krew zaczyna się we mnie burzyć.
- Czy nie powinnaś w takim razie nienawidzić tego imienia?
- Nie popieram walki z wiatrakami. - Śmieję się, ale śmiech ten brzmi ciemniej, niżbym chciała. Śmierdzi strachem.
- A więc podsumowując, twój wróg nazywa cię Lola, a ty godzisz się na to, bo nie widzisz sensu walki, tak?
- Dokładnie - przyznaję i chwilę później gryzę się w język.
- Cholera. Złapał mnie. Nie zwróciłam uwagi na przemycone słowo „wróg”.
- W takim razie - kontynuuje, a jego szare oczy przypominają stal - dlaczego przedstawiłaś się tym imieniem? Dlaczego każesz pacjentom tak się nazywać? Ba, nawet personel ci uległ.
- Nie odpowiadam. Patrzą na niego, próbując zrozumieć, o co mu chodzi. Jakie to ma znaczenie? Po prostu się przyzwyczaiłam. Wszyscy tak do mnie mówią od stycznia. Jaki sens ma doszukiwanie się w tym jakiegoś głębszego sensu?
- Nozdrza mężczyzny rozszerzają się. Wstaje i pochyla się, zatrzymując parę centymetrów od mojej twarzy. Jego

zimne oczy nie pozwalają mi się ruszyć.

- Powiem ci dlaczego, *Lola* - szepcze. - Jesteś przestraszoną dziewczynką, która panicznie boi się to przyznać. Nie stworzyłaś maski Loli. Ty *stałaś się* nią. Powiem więcej. Ty *chcesz* nią być. Lubisz to przezwisko. Wmawiasz sobie, że jest inaczej, ale w rzeczywistości, gdzieś głęboko, cieszysz się, kiedy ktoś cię tak nazywa. Cieszysz się, bo to potwierdza, że jesteś niezłomną, sarkastyczną buntowniczką. Potwierdza, że dziewczyna o imieniu widniejącym w papierach, której tak nienawidzisz za jej słabość, *nie istnieje*.

Tej nocy nie mogę zasnąć. Kiedy na ściennym zegarze wybija pierwsza, wstaję z łóżka i drepczę do dyżurki. Moje ciało jest dziwnie zmęczone, nogi uginają się pode mną. Z kolei umysł, jak na złość, jest pobudzony, choć nie potrafię wyłapać żadnej myśli. Przede mną unosi się ciężka kurtyna, za którą wyraźnie panuje chaos. Ja jednak nie widzę nic. Otacza mnie pustka.

- A panna czemu nie śpi? - pyta sanitariusz.
- Nie mogę zasnąć.
- Chcesz coś na sen? - wtrąca się pielęgniarka.
- Jeśli łaska.

Idziemy ciemnym korytarzem, oświetlanym jedynie przez światło z dyżurki. Za oknem panuje nieprzenikniona ciemność. Szukam księżyca, ale nie mogę go znaleźć. Prawdopodobnie zasłoniły go chmury. Budynek zdaje się

unosić w niebycie. Straszliwego mroku nie rozjaśnia nawet najcichsza z gwiazd.

Światło w zabiegowym oślepia mnie. Kiedy przyzwyczajam się do jasności, pielęgniarka podnosi słuchawkę telefonu. Widząc moje zdziwienie, wyjaśnia: - Nie jestem lekarzem, nie mogę dać ci leków bez jego zgody. Na szczęście zawsze jest ktoś na dyżurze. Zadzwoń i zaraz przyjdzie.

Czekamy. Wskazówki wolno przesuwają się na tarczy zegara. Jakiś czas liczę sekundy. W końcu się poddaję i chowam twarz w dłoniach. Po kilku minutach zjawia się zaspana pani doktor. Szybko przegląda moją kartę, po czym pyta: - Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie mogę spać.

- Często ci się to zdarza?

Zastanawiam się. Odkąd trafiłam na ścisłą i dostałam inne leki, właściwie nie miałam z tym problemów.

- Teraz mam nowe leki, więc śpię jak zabita. Ale dzisiaj jakoś nie mogę się zmusić.

- No dobrze, zobaczmy...

Przez chwilę szuka czegoś w przeszklonej szafce. W końcu podaje mi pół niewielkiej tabletki. Popijam ją wodą z kranu i życzę kobiecie dobrej nocy.

Zasypiam kilka minut później.

Trzy noce z rzędu skarżę się na brak snu. Za czwartym razem każą mi radzić sobie bez leków. Nie zasypiam aż do

poranka. Obojętnie obserwuję wschodzące, niedzielne słońce.

Przez te parę dni praktycznie nie wychodziłam z pokoju. Wyjątek stanowiło zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Ignorowałam wtedy spojrzenia pacjentów. Nie zwracałam uwagi na kolejne próby zagadania do mnie Maćka i Czarnej. Słowo „pustka” ostatnio mnie nie opuszczało. Urosło w mojej głowie i uciska mi mózg. Czasem coś przemknie mi przez głowę, ale nim zdołam to pochwycić – znika. Nie wiem, co robić. Pograżam się w marzeniach o innej rzeczywistości. Wyobrażam sobie świat, w którym nie jestem sama.

Rojkowski zjawia się tuż po śniadaniu, na które nie poszłam. Nie miałam siły. Ledwo mogłam ruszyć ręką, a co dopiero wstać. Opiera się o parapet. Nie odzywa się. Patrzę obojętnie na jego buty. W pewnym momencie ktoś otwiera drzwi, ale lekarz przegania go mruknięciem.

- Mogę usiąść?

Wciąż przyglądam się jego stopom. Siada obok mnie. Opiera ręce na nogach, wpatruje się w kaloryfer.

- Nie możesz spać?

Kręcę głową.

- Nie dostaniesz więcej leków, wiesz o tym?

Wzruszam ramionami. W rzeczywistości jednak czuję się zawiedziona. Najwyraźniej już nigdy nie zasnę.

- Mogę jednak zaproponować ci pewien układ. Jeśli się zgodzisz, zwiększę ci dawkę, żebyś mogła zasnąć.

Wszystko mi jedno. Cokolwiek każe mi zrobić, zgodzę się. Wizja spokojnego snu jest zbyt kusząca, bym mogła odmówić.

- Chcę, żebyś mi powiedziała, dlaczego nie odzywasz się do przyjaciół.

Wzdrygam się na dźwięk ostatniego słowa.

- Pokłóciliśmy się - mówię, a mój głos brzmi niezwykle krucho.

- Pokłóciliście?

- Uhm. - Kiwam lekko głową.

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać - oznajmia i wstaje, ku mojemu przerażeniu kieruje się do wyjścia.

- Nie, ja... - wołam za nim, wyciągając rękę w jego stronę.

- Szczerść, dziecko. Znasz to słowo? - pyta z ręką na kłamce.

Biję się z myślami. A potem kapituluję, bo nie pozostało mi już nic innego.

- Boję się.

Wciąż czeka. Biorę głęboki oddech i mocniej podciągam czarny koc.

- Boję się, że mnie zranią. Że zmięknę. Że dam się oswoić tylko po to, by później bolało dwa razy mocniej. Dlatego tak... Tak ich potraktowałam. - Policzki płoną mi ze wstydu, kiedy słyszę, jak drży mi głos. - Pomyślałam, że najlepiej będzie ich odrzucić. Wtedy to będzie moja decyzja, a...

- A nie ich? - Przypatruje mi się z uśmiechem. Ale nie szyderczym. Po raz pierwszy z jego oczu bije ciepło. Powoli podchodzi i kuca obok mnie. Kładzie mi dłoń na głowie i zaczyna głaskać. - Posłuchaj mnie, dziecko. Oni są tacy jak ty. Rozumieją twój strach, wierz mi. Jeżeli jest na świecie ktoś, kto potrafi pojąć, co czujesz, to właśnie osoby, które są tutaj. Bo choć każdy z was ma inny problem, koniec końców każdy z was boi się odrzucenia. Każdy z was boi się samotności. - Jego głos uspokaja mnie. Zamykam oczy, wtulając twarz w poduszkę. - Zawołam ich, a kiedy przyjdą, powiesz im to, co mi.

Kiedy zamykają się za nim drzwi, zaczynam płakać. Nie wiedzieć czemu nie mogę przestać się uśmiechać.

- Jesteś idiotką - mówi Czarna, mocno mnie przytulając.
- Ale nie martw się, ja też.

- Ty jesteś królową idiotów - śmieje się Maciek. - Skoro już wszystko jasne, może powiedz jej, dlaczego znowu mieszkasz z nami pod jednym dachem, co?

- A co to, dzień szczerości?

- Na to wygląda.

- Ech, niech będzie - wzdycha. - Kłamałam. Nie czułam się dobrze, ale kłamałam, żeby wyjść. Jak tylko trafiłam na wolność, rzuciłam się na lodówkę. Jeszcze tego samego dnia wszystko zwróciłam. A potem... - przez chwilę ciężko oddycha - ...potem poszłam do szkoły i... Nikt się do mnie nie odzywał. - Ocieram łzę, która płynie po jej policzku. - Prawdopodobnie dowiedzieli się, że byłam w szpitalu. Ignorowali mnie, odwracali wzrok. Tak przez kilka dni.

W weekend dostałam anonimowego SMS-a, w którym ktoś nazwał mnie spaszłą świnią. W ciągu kilku godzin dostałam dwadzieścia siedem podobnych wiadomości. Nie wytrzymałam, wpadłam w histerię.

To dziwne patrzeć, jak płacze. Nie wiem, co mam zrobić, więc biorę przykład z Maćka i kładę jej dłoń na kolanie, nic nie mówiąc.

- To wszystko działo się tak szybko. Pięć minut później siedziałam z tabletkami w jednej, a butelką w drugiej ręce. I wtedy dostałam kolejną wiadomość. Brakowało mi odwagi, żeby ze sobą skończyć, więc otworzyłam ją. Chciałam się dobić, chciałam stracić nad sobą panowanie. Ale to Maciek ją do mnie wysłał. - Patrzy na niego, zalana łzami. - Pisał, że za mną tęskni. - Z powrotem przenosi na mnie uwagę. - Wstałam i poszłam do sypialni rodziców. Rozbeczałam się jak dziecko i powiedziałam im, co chciałam zrobić. W poniedziałek rano przywieźli mnie na oddział.

- No dobrze, ale po co ten cały teatrzyk, gdy już tu wróciłaś?

- Było mi wstyd. Nie chciałam nikomu o tym mówić. Przepraszam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, że was okłamałam.

Przyglądam się jej opuchniętym oczom i smutnemu uśmiechowi. Uderzam palcem w jej czoło. Odchyła się, zaskoczona.

- Zapomniałaś, głupia?

- Nie rozumiem...

- Przecież już ci wybaczyłam.

Rozdział 10

Żwir chrzęści mi pod stopami, zakłócając ciszę majowego wieczoru. Z mojej piersi wyrywa się westchnienie na widok pejzażu barw, malowanego przez zachodzące słońce. Niebo zdaje się żegnać dzień wszystkimi barwami tęczy. Chmury, nabrawszy różowej barwy, leniwe suną, popychane delikatnymi podmuchami wiosennego wiatru. Przytrzymuję włosy, które uparcie próbują przesłonić mi ten wspaniały widok. Gdzieś w oddali szczeka pies, dzieci śmieją się radośnie, przebiegając przez pustą drogę. Wszystko wokół sprawia wrażenie głęboko uśpionego. Tylko zagubione chrabąszcze wciąż emanują energią, nie czując zmęczenia po całym dniu lotu. Jeden z nich spada mi na głowę. Rozbawiona próbuję go wyciągnąć z płataniny prawie białych kosmyków. Jego nóżki uczepliły się ich za pomocą malutkich haczyków. W końcu, z wypiekami na twarzy, trzymam go w dłoni. Nie ucieka. Wczepił się w skórę i siedzi jak zaklęty. Lekko dmucham w jego błyszczący pancerzyk. Kiedy nie reaguje, sadzam go na ramieniu i znów wędruję.

Ścieżka powoli się kończy, odsłaniając trzy drogi. Jedna prowadzi do miasta, najbliższy przystanek jest niecałe dziesięć minut stąd. Druga biegnie do niewielkiego lasu, skąd można trafić nad jezioro, które zapewne za parę miesięcy oblegać będą licealiści. Ta, którą wybieram, kończy się placem zabaw.

O tej porze większość dzieci jest już w domach. Zapewne nim się obejrzę, zapadnie noc. Nie przeszkadza mi to. Nie boję się ciemności, nie sprawia mi problemu spacerowanie po zmroku. Czasem nawet wydaje mi się przyjemniejsze, bo nie spotykam tylu ludzi co za dnia. Pozwala mi się to odprężyć, zebrać myśli.

Wymykam się, kiedy to tylko możliwe, niezależnie od tego, czy jest luty, czy sierpień. Z uśmiechem znoszę nawet największe mrozy. Każda chwila, której nie spędzam zamknięta z nim w jednym budynku, jest na wagę złota. Wychowawcy wiedzą, że włóczę się po okolicy, ale nie reagują. Chyba nie widzą w tym większego sensu. Prawdopodobnie zdają sobie sprawę, że nie ma siły, która utrzymałaby mnie w tym więzieniu.

Unoszę lekko brodę, chcąc złapać ostatnie ciepłe muśnięcia złotej tarczy, która z minuty na minutę robi się coraz mniejsza. Przymykam oczy. Wszystko zdaje się tak odległe. Ciemny pokój, zimna stołówka, bezlitosne oczy. Tak daleko, tak przyjemnie daleko.

Kamyczki zostają w tyle. Miękka trawa ugina się pod ciężarem moich stóp. Zdejmuję buty. Soczyście zielony dywan pieści moje stopy. Wdycham zapach natury,

rozkoszując się wonią kwitnącego nieopodal czarnego bzu. Jego słodki zapach uderza mi do głowy i wypełnia mnie przyjemnym ciepłem.

Plac zabaw jest niewielki, a przy tym zaniedbany. Mimo wielokrotnych próśb mieszkańców jego stan od lat się nie zmienia. Porwana kartka, zawieszona na wyłamany płotku sięgającym mi do pasa, głosi, że korzystanie z tego miejsca może być niebezpieczne, dlatego prosi się o ostrożność. Nic dziwnego, wszystko jest potwornie zardzewiałe. Zjeżdżalnia wygląda, jakby miała się rozpaść pod naporem najbliższego podmuchu wiatru.

Przechodzę przez ogrodzenie i zbliżam się do huśtawki postawionej w najdalszym kącie. Zanim usiądę, dokładnie sprawdzam, czy wytrzyma mój ciężar. Łańcuchy dzwonią niebezpiecznie.

Kołysanie wprawia mnie w rodzaj dziwnego transu. W moim umyśle panuje błogi spokój. Nie liczy się nic prócz szumu drzew. Nawet nie wiem, kiedy zapada zmrok. Jeszcze tylko chwilę, jedną, małą chwilę. Parę cennych minut, dzięki którym odwlokę moment powrotu do piekła.

Zauważam, że owad odleciał. On i jego pobratymcy mają wolne, wartę przejęły świerszcze. Ich koncert niesie się w przestrzeni, nadając nocy dodatkowe kolory. Spoglądam w górę. Na kurtynie bezchmurnego nieba wiszą gwiazdy. Mrugają do mnie, odpędzając złe myśli. Gdzieś w dali widzę pulsujące światełka helikoptera.

Czyjeś ostrożne kroki wyrywają mnie z zamyślenia. Nie muszę widzieć jego twarzy. Drżenie moich dłoni mówi samo

za siebie. To tak, jakby moje ciało automatycznie wyczuwało jego obecność. I choć tak bardzo go nienawidzę, choć tak bardzo się go boję, nie mogę powstrzymać cichego jęku na jego widok.

Staje w odległości około dwóch metrów. Nie patrzy jednak na mnie, lecz na księżyc. Srebrzyste światło oblewa jego twarz, nadając jej jakiś mistyczny wyraz. Jest tak piękny, niemal jakby pochodził z innego świata. Wiatr mierzwi mu ciemne włosy, które teraz, w mroku, wyglądają na kruczoczarne. Są dłuższe niż wtedy, kiedy się poznaliśmy. Niesforne kosmyki opadają na czoło, rozkosznie falując. Kiedy obserwuje niebo, jego oczy nie wyglądają na puste. Widać w nich głębokie zamyślenie, melancholię... Smutek?

Dłonie trzyma w kieszeniach ciemnych jeansów, biała koszula odcina się w mroku nocy. Jej rękawy są podwinięte, odsłaniają prawdopodobnie najpiękniejsze przedramiona, jakie kiedykolwiek będzie dane mi zobaczyć. Nie tylko jego fryzura się zmieniła. Znacznie urósł przez te półtora roku. Musiałabym wspiąć się na palce, by dosięgnąć jego...

Ręce, którymi oplatom łańcuchy huśtawki, opadają gwałtownie. Ze złości drżą mi wargi. O czym ja właśnie pomyślałam? O czym?! Złość uderza z hukiem o moje żyły. Krew bulgocze jak w czarcim kotle. Wbijam wzrok w moje stopy. Świat wokół mnie zamazuje się.

- Płaczesz? - Jego szept rozrywa mnie od środka.

Zaciskam zęby, usiłuję bezskutecznie powstrzymać łzy. Wstyd odbiera mi zdolność logicznego myślenia. Ignoruję

obecność wroga i podrywam się z miejsca. Choć chciałabym biec, nie potrafię. Mój umysł jest zamroczony. Stawiam kroki ostrożnie, usiłując nie potknąć się o niewidzialną przeszkodę.

- Wybierasz się gdzieś?

Wciąż brnę przed siebie. Moje mechaniczne ruchy doprowadzają mnie do szaleństwa. Czuję, że idzie za mną, nie muszę się odwracać. Zachowuje odległość, nie zatrzymując się nawet na moment.

Świerszcze przestały grać. Wokół panuje dziwna cisza. Świat stanął w miejscu, czas się zatrzymał. Jestem tylko ja i pustka. A razem z nami on. Serce bije mi coraz głośniejsze, zdradzając strach. Do ośrodka idzie się pół godziny. Jesteśmy daleko. Jeśli coś mi zrobi, nie będzie nikogo, kto mógłby mi pomóc. Zresztą nawet gdyby skrzywdził mnie na oczach wszystkich, nie mogłabym liczyć na wsparcie. Nikt nie ruszyłby się nawet na krok. Być może dobrze by się bawili.

Przyspieszam kroku. Mój cień bierze ze mnie przykład. Powinnam biec, powinnam uciec, ale nie mogę. Moja duma mi na to nie pozwala. Gwałtownie obracam się twarzą do niego. Nie dam się zastraszyć. Nie jestem tą samą dziewczyną co kiedyś. Nie ucieknę. Już nigdy więcej.

Zbliża się powoli, uważnie zaglądając mi w oczy. Pozostaje mi modlić się, że w ciemności nie zauważy, że są niebezpiecznie szkliste. Jest nieprzewidywalny, być może to tylko bardziej by go zachęciło. A potem dzieje się coś, czego

nie miałam prawa się spodziewać. Coś, czego nie miałam prawa zrozumieć. Coś, co miażdży mi serce.

- Nie uciekniesz - szepcze, a w jego głosie pobrzmiewa nieukrywana groźba.

A kiedy odchodzi, wybucham płaczem, usiłując wymazać wspomnienie jego ust.

Kiedy wchodzę do pokoju, jest już późno. Zanim uspokoiłam się na tyle, by móc utrzymać równowagę, minęło dużo więcej czasu, niż mogłabym się spodziewać. Pomijając sylwestrową noc, jeszcze nigdy nie wróciłam tu o podobnej porze.

Podskakuję ze strachu na widok Racheli, która czeka na moim łóżku. Gdy tylko chcę wsunąć się do środka, zatrzymuje mnie gestem i wyprowadza na korytarz. Ściskając boleśnie moją dłoń, prowadzi mnie po schodach na górę. Po chwili stoimy już w pokoju wychowawców. To niewielkie, zagracone pomieszczenie, którego centrum stanowi stolik otoczony przez fotele, każdy inny. Każe mi usiąść na jednym z nich, po czym w milczeniu zabiera się do parzenia herbaty. Choć stara się zachować kamienny wyraz twarzy, jej drżące barki zdradzają gniew. Szykuje się awantura.

- Jak chce siostra pokrzyknąć, to niech sobie daruje te konwenanse.

Zdaje się mnie nie słyszeć. Krząta się przy blacie, wysuwa po kolei szuflady, najwyraźniej czegoś szukając. W końcu wyciąga opakowanie herbatników, które mi

podaje. Bez słowa rozrywam opakowanie i wkładam jedno ciastko do ust. Zakonnica w tym czasie zalewa torebki gorącą wodą, po czym stawia wyszczerbione filiżanki na ławie. Zajmuje fotel obok mnie. Po krótkim milczeniu pyta, wyraźnie napięta jak struna:

- Gdzie byłaś?

- Na placu zabaw. - Nie widzę powodu, żeby ją okłamywać.

- Po co?

- Musiałam pomyśleć - odpowiadam, usilnie próbując odrzucić myśli o...

- Możesz mi łaskawie wyjaśnić, o czym tak myślałaś, że wracasz o tej godzinie?

Oho, żarty się skończyły. Jej obwisłe policzki trzęsą się z wściekłości. Ale przecież nie powiem jej prawdy. Poza tym dla kogoś, kto stoi z boku, to przecież nic takiego. Ot, romantyczny pocałunek w parku. Z prześladowcą. Tylko że dla mnie to wyrok śmierci. Na razie jednak muszę skupić się na tym starym pingwinie, potem będę rozpaczać nad swoim losem. Wrócę do łóżka i zatopię się w rozmyślaniach o śmierci.

- Przysnęłam - kłamię. - Wybacz, siostrze, to się więcej nie powtórzy.

- Oczywiście - potwierdza po krótkim namyśle. - Bo już więcej nie wolno ci opuszczać tego budynku bez mojej zgody.

Szeroko rozwieram oczy ze zdumienia.

- C-co?

- Nie mogę pozwolić, by uczennica wałęsała się po nocy nie wiadomo gdzie. Nie mam zamiaru ponosić odpowiedzialności, jeśli coś ci się stanie.

- Ale, siostrze, ja... - zaczynam.

- Bez dyskusji - ucina. - Mam nadzieję, że to cię czegoś nauczy.

Nie, ona zupełnie nie rozumie, ile to dla mnie znaczy! Miałabym siedzieć w tym pokoju co wieczór? Miałabym... Miałabym dać się uwięzić? Nie ma mowy, nie zabiorą mi tego. To jedyne, co mam, te spacerki to cały mój świat. Jedyna chwila, kiedy mogę zapomnieć.

- Siostrze, wysłuchaj mnie... - proszę, powstrzymując napływające do oczu łzy.

- Mam dość, Lola - oznajmia głucho, wciąż wpatrując się w jakiś punkt wysoko na ścianie. - Mam dość.

- Ale...

- Dość! - Podrywa się z wrzaskiem z krzesła. - Mam dość, Lola! Mam dość ciebie i twoich humorów, twojego zachowania, twoich szyderstw, mam dość! - krzyczy, wbijając we mnie spojrzenie pełne nienawiści. - Jesteś zakochaną w sobie egoistką, wykorzystującą ludzką dobroć!

O czym ona...

Biorę do ręki filiżankę z wrzątkiem, licząc na to, że jej ciepło mnie uspokoi.

- Spójrz, co narobiłaś, głupia dziewczyno - cedzi przez zaciśnięte wargi. - Odrzuciłaś bliskich, odrzuciłaś przyjaciół, odrzucasz i mnie. Ranisz wszystkich dookoła. Znęcasz się nad nami z uśmiechem na ustach. - Tama

puszcza, słowa wypływają z jej ust jak rwący potok, którego już nic nie powstrzyma. - Jesteś potworem, moja droga. Skrzywdziłaś swoich rodziców, sprawiłaś, że cierpią, nie oszczędziłaś nawet siostry. Każdego dnia traktujesz wszystkich jak nic niewarte śmieci, z wyższością zwracasz się do starszych. Uważasz się za pępek świata, ale to nieprawda. Nawet tu, w ośrodku, nie potrafisz się powstrzymać. Co oni ci zrobili? Co zrobiły ci dziewczęta, z którymi mieszkasz, że traktujesz je jak powietrze?!

Ja chyba śnię.

- Co zrobili ci nauczyciele, że nie potrafisz się do nich normalnie odezwać?!

Tak, to z pewnością sen.

- Co zrobił ci ten biedny chłopiec, że wciąż go odrzucasz?!

- woła, ściskając mnie za łokieć.

Moje serce na chwilę się zatrzymuje. Przez ułamek sekundy po prostu wpatruję się w nią, zapewne z głupim wyrazem twarzy. A potem czuję złość. Taką jak nigdy dotąd. Nienawiść, która zalewa mnie całą, od czubka głowy po koniuszki palców.

I wszystko nagle rusza.

Wylewam zawartość filiżanki na rękę, która mnie trzyma. Kobieta zatacza się z bolesnym grymasem na ustach. Ale nie patrzę na to.

Biegnę przed siebie.

„Wrócę, Lola”.

Nie zatrzymuję się nawet na sekundę.

„Nie uciekniesz”.

Rozpędzona wpadam do łazienki.

„Chcę ciebie”.

Zimna woda moczy mi ubranie.

„Co zrobiły ci dziewczęta, z którymi mieszkasz, że traktujesz je jak powietrze?!”

Woda spływa po twarzy.

„Co zrobili ci nauczyciele, że nie potrafisz się do nich normalnie odezwać?!”

Spojrzenie zatrzymuje się na czymś srebrnym.

„Co zrobił ci ten biedny chłopiec, że wciąż go odrzucasz?!”

Ręce podnoszą kawałek metalu.

Usta.

Uśmiech.

Oczy.

„Ranisz wszystkich dookoła”.

Rozdział 11

Czas spędzony w szpitalu to przede wszystkim czas przemian. Są to przemiany głębokie i prawdopodobnie trwałe, które zostaną we mnie już do końca życia. Zaczynam to silnie zauważać w trzecim tygodniu mojego pobytu. Nie tylko moje zachowanie uległo zmianie. Wpływ tych dni widzę przede wszystkim w sposobie myślenia.

To, co może zauważyć każdy, to uśmiech. Moi przyjaciele zarażają mnie nim, nasiąkam jak gąbka ich pozytywną energią, mimo że znajdujemy się w tragicznym położeniu. Choć morelowe ściany łapczywie piją słabe promienie jesiennego słońca, z trudem przebijające się przez warstwę chmur, w powietrzu wciąż wisi napięcie. Bez względu na to, ile filmów obejrzymy, ile żartów opowiemy, ile bitew o ostatni kawałek suchego sernika rozegramy, wciąż uciekamy przed oddechem śmierci.

Z pozoru wszystko tu wygląda jak na letnim obozie. W stołówce bez końca rozmawiamy o głupotach, wieczorami gramy w karty lub oglądamy filmy, zaśmiewając się do łez. Rozwiązujemy kolejne krzyżówki, jedna po drugiej. Czasem ktoś coś zaśpiewa, ktoś kogoś porwie do

tańca, choć nie gra muzyka. Wszystko lśni jakimś cichym, tajemniczym blaskiem. Wydajemy się szczęśliwi, tu, w innym wymiarze. Dlaczego?

To może zdawać się absurdalne. W końcu jesteśmy zamknięci w czterech ścianach, a widok przesłaniają nam zardzewiałe kraty. Nie możemy otworzyć sami okna, bo na oddziale jest tylko jeden uchwyt, znajdujący się pod okiem sanitariusza. Cały nasz świat, całe życie zamykają się w tych trzech korytarzach biegnących na kształt litery „h”. Na zewnątrz możemy wyjść tylko z wychowawcami, a spacer trwa mniej więcej piętnaście minut. Kiedy wyrywamy się na chwilę z budynku, świeże powietrze odbiera nam rozum. Listopadowy szum liści, zamiast koić, napawa nas strachem. Jesteśmy jak zwierzęta wychowane w klatce na swoim pierwszym spacerze. Czasem nie potrafimy się nim cieszyć, marząc o powrocie do dusznego betonowego bloku. Mijając inne oddziały, zaglądamy ciekawsko w okna. Kiedy jednak przechodzimy obok sądówki, zapada milczenie. Nie muszę pytać, by wiedzieć, że wszyscy myślimy o tym samym. Przez te kilkadziesiąt sekund, zanim ją wyminiemy, uświadamiamy sobie, że żyjemy niecałe sto metrów od morderców. Od szaleńców. Prawdziwych.

Prawdziwych? Co to znaczy? Wielokrotnie się nad tym zastanawiałam. Czy można powiedzieć, że ktoś jest bardziej lub mniej chory? Czy nasz cichy płacz w łóżku przed snem można równać z czynami, których dopuścili się ci... Czy to jeszcze są ludzie? Gdzie kończy się człowiek, a zaczyna

bestia? Co takiego zdecydowało o tym, że stali się okrutnymi katami? Nie wiem, czy mam im współczuć, bać się ich, nienawidzić, nie wiem. Czasem wydaje mi się, że pewnie są tak samo nieszczęśliwi jak my. Niczym nie różnią się ode mnie, kiedy przykładam żyłkę do ręki. W głowie przecież mamy to samo. Złość, a pod nią strach. Bez względu na to, czy ranimy siebie, czy innych, łączą nas te same uczucia. Nie próbuję ich usprawiedliwiać, o nie. Nic nie zrekompensuje zdrowia i życia osób, które skrzywdzili. Nic nie pocieszy płaczącej matki czy żony. A jednak, choć jeszcze trzy tygodnie temu nie czułabym nic prócz obrzydzenia, teraz zaczynam patrzeć głębiej, dalej. Nie chcę jednak zatrzymywać się przy tych rozważaniach. Myśl, że w jakiś sposób jesteśmy do siebie podobni, jest dla mnie bolesna bardziej, niż jestem gotowa przyznać. Boję się ich.

Pamiętam, jak ktoś do nas pomachał. Stał w otwartym oknie, uśmiechał się. Z wyglądu zwyczajny mężczyzna. Zaczęliśmy się śmiać, ktoś z tyłu potknął się o własne nogi. Odmachaliśmy mu z radosnymi uśmiechami. Ot, zwykły gest. Przywitać się z mordercą. Zastanawiam się, o co nam wtedy chodziło. Ja również uniosłam rękę, a potem rżałam jak głupia wraz z Czarną i Maćkiem. Ale kiedy budynek zniknął nam z oczu, a razem z nim mężczyzna, z powrotem zapadło milczenie.

Dlaczego to zrobiliśmy? Czyżbyśmy postradali zmysły? I dlaczego ten człowiek się uśmiechał, dlaczego szczyrzył zęby do grupki nastolatków? Z takiej odległości nie dało się odczytać, co kryło się za jego zachowaniem. Szyderstwo?

Naigrywał się? A może gdybym podeszła, nie zobaczyłabym nic prócz szaleństwa?

Spacerzy przypominają nam o naszym położeniu. Słyszemy hałas ulicy przebiegającej niedaleko, widzimy ludzi przemykających w pośpiechu za ogrodzeniem. Nie wstydzimy się. Maszerujemy z wysoko podniesionymi głowami, jakby chcąc wmówić sobie, że jesteśmy kimś więcej niż garstką niedoszłych trupów.

Nie każdy z nas próbował się zabić. Nie każdy się głodził czy okaleczał. Są przecież i tacy jak ten chłopiec z fobią społeczną, którego w końcu wypisano. Czy fakt, że na jego ciele nie było brzydkich blizn, świadczy o tym, że nienawidzi siebie i swojego życia mniej niż reszta pacjentów? Jestem pewna, że tak jak i my najchętniej by zniknął. Poza tym robienie sobie fizycznej krzywdy nie różni się od skazywania się na psychiczne cierpienie. Za każdym razem, kiedy ten chłopak chował się pod kołdrę, zamiast porozmawiać z terapeutą, na jego duszy powstawała kolejna rysa. Po raz kolejny robił krok w tył.

Podobnie jak Czarna. Nie muszę pytać, czy chciałaby umrzeć. Tu, na oddziale, nauczyłam się czytać między wierszami. Niczego nie należy traktować dosłownie. Aby znaleźć prawdziwe znaczenie naszych słów czy gestów, trzeba sięgnąć o wiele dalej, w głąb nas, zajrzeć w nasze przestraszone oczy. Wszyscy tutaj jesteśmy aktorami. Jedni lepszymi, tak jak Czarna, inni gorszymi. Stajemy się mistrzami podwójnego znaczenia, schowanego za uśmiechem. A moja przyjaciółka jest w tym niezrównana,

ponieważ ona sama wierzy najmocniej w maskę, którą zakłada każdego ranka. W przeciwieństwie do mnie nie szuka odpowiedzi na to, kim jest. Ona to doskonale wie. A przynajmniej tak myśli.

Wszędzie wokół wisi odór śmierci. Oddział obrazuje nasze życie. Zagmatwane, ciemne, przygnębiające, przetykane ledwie zauważalnymi nićmi radosnych chwil. Żyjemy tu w oczekiwaniu na cud. Niektórzy marzą o wyzdrowieniu, inni kochają swoją ułomność niczym najpiękniejszy skarb. Boimy się być normalni, zwyczajni. Boimy się stracić coś, co tak dobrze znamy.

Pamiętam, jak rozmawiałam z jedną z motylków o jej chorobie. Było to na początku pobytu i wtedy trudno mi było zrozumieć znaczenie jej słów.

- Jest przy mnie zawsze.

- Anoreksja?

- Tak. Cokolwiek by się nie stało, ona mnie nie zdradzi.

Zostanie przy mnie.

Dla zwykłego człowieka to nie do pojęcia, nie do zrozumienia. Przerasta to jego zdolności postrzegania świata. Dla mnie to coś normalnego. Tak jak normalne stają się wychudzone twarze, zakrwawione nadgarstki, puste oczy. To wszystko wypełnia teraz moją codzienność. Przesyca mnie niepokój. Boimy się. I właśnie dlatego uśmiech nie schodzi nam z ust. To jedyny ratunek.

Powoli odkrywam samą siebie. Mam tu aż za dużo czasu na przemyślenia. Rozmawiając z innymi, dostrzegam w sobie mnóstwo uczuć czy zachowań, które kwalifikują

mnie do nazwania „chorą”. To, co do tej pory uznawałam za cechy charakteru, w rzeczywistości okazują się objawami. Nie wiem, czy bardziej mnie to smuci, czy cieszy, bo chyba... Chyba zaczynam to lubić. To sprawia, że do nich pasuję.

Z zapałem zbieram informacje o kolejnych chorobach. Pod wieloma opisami mogłabym się podpisać. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, aż Rojkowski poda diagnozę. Do tej pory miałam tylko imię. Teraz, kiedy będą mnie grzebać, mogą dodać, że jestem chora na to czy tamto. Zawsze coś. Stanę się osobą. Będę miała jakieś określone cechy, których się złapię. Nie będę musiała zastanawiać się w nieskończoność, ile we mnie jest Loli, a ile tej dawnej dziewczyny.

To by mi wszystko ułatwiło. Wszystko.

Pytanie „kim jesteś?” prześladowuje mnie każdego dnia. Kiedyś byłam strachliwą dziewczynką. Potem buntowniczką. A teraz? Kim jestem? Pustą kartką? Nikim?

Do tej pory myślałam, że Lola to maska. Taka jak każda inna. Wmawiałam sobie, że po prostu zakładam ją rano i zdejmuję wieczorem. Ale to nieprawda. Przesiąkłam nią. Wypaczyłam własną osobowość. Granica między prawdą a kłamstwem bezpowrotnie się zatarła. Bacznie obserwuję moje emocje, myśli, uczucia. Próbuję w ten sposób zebrać wszystko do kupy. Chcę wiedzieć, kim jestem. A jednak im bardziej się na tym skupiam, tym bardziej się gubię. Bo w moim zachowaniu nie ma żadnych reguł. Jednego dnia kocham, drugiego nienawidzę. Najpierw nazywam kogoś

przyjacielem, by chwilę później wyczuć podstęp, wystraszyć się i przesunąć go do rubryki „wrogowie”.

Nagle orientuję się, że podaję w wątpliwość każdy najmniejszy gest, również mój. Kiedy się uśmiechnę, od razu spadają na mnie niekończące się pytania: dlaczego? Dlatego że chcę? Z grzeczności? Z przymusu? To fałszywy uśmiech? A może prawdziwy? Która z nas się uśmiecha? Ja, Lola czy ktoś jeszcze inny? Czy ten uśmiech cokolwiek znaczy?

Nie wiem, kim jestem. Ile Loli jest w Loli. A skoro nie wiem, kim jestem, to czy w ogóle mogę mówić „jestem”?

Jestem zakreśloną pustą kartką. Z jednej strony idealnie czystą. Z drugiej - w całości zapisaną. Prawda pewnie leży gdzieś pośrodku. Ale nie potrafię jej odnaleźć. Błądzą. A kiedy człowiek traci własną tożsamość, szuka sobie nowej.

I dlatego staję się taka jak Czarna. Uświadamia mi to dopiero jedna z pacjentek, która nazywa nas klonami. Choć śmieję się z jej słów, gdzieś w środku czuję ból. Stałam się kopią. Nie znalazłszy siebie, stałam się własną przyjaciółką. Nie, ja stałam się jej nową wersją. Jesteśmy uśmiechnięte i pełne energii. Różni nas chyba jedynie stopień okraszania mowy ironią. U mnie jest zdecydowanie wyższy. Poza tym jednym zachowujemy się identycznie. Kopiuję jej grymasy, gesty, staję się identyczna. Wmawiam sobie, że mi to nie przeszkadza. Że dzięki temu jestem *kimś*. Ale w głębi ducha wiem, że to tylko pogarsza sprawę. Kolejna maska. Kolejny teatr. Schemat wciąż ten sam.

Zazdroszczę innym chorob. Ja wciąż nie zostałam zdiagnozowana. Czuję się jakaś taka... Niekompletna. Bezimienna. Jakby nie liczyło się nic prócz tej nazwy. Choć przejmuję wiele nieszkodliwych drobnostek, takich jak nadpobudliwość przyjaciółki, powoli zaczynam zauważać u siebie również objawy chorobowe innych pacjentów. Tak jakby można było zarazić się depresją czy psychozą. Patrząc w lustro, doszukuję się zbędnych kilogramów. Ograniczam jedzenie, żeby nie czuć się winna, że się objadam. Liczę kroki. Myję ręce częściej, niż to konieczne, a robiąc to, sięgam wodą aż po łokcie. Zaczynam widzieć i słyszeć rzeczy, które nie istnieją. Popadam w paranoję.

Czarna i Maciek stają się moimi powodami do zaczerpnięcia kolejnego oddechu. Wstaję dla nich z łóżka i biegnę, biegnę, żeby jak najszybciej ich przytulić. Spędzam z nimi każdą wolną chwilę, coraz bardziej bojąc się wypisu.

Tutaj czuję się rozumiana, bezpieczna. Nie chcę już wyjść. Najchętniej zostałąbym jak najdłużej. A przynajmniej do matury. Kto wie, może na studiach poznam fajnych ludzi? Takich, którzy będą mnie akceptować, choćby nie wiem co. Matura brzmi tak absurdalnie. Jeśli udałoby mi się zostać tu do maja, zdałabym ją z palcem w nosie. Tutaj mogę się uczyć ile wlezie. Ale nikt nie siedzi tu tak długo. Pół roku? Dziewczyna, która jest najdłużej, została przyjęta niecałe trzy miesiące temu. Dlatego też nie uczę się wcale i nie chodzę na lekcje, bo po co? I tak za parę tygodni

wrócę do ośrodka. Po co robić sobie nadzieję. Lepiej od razu odpuścić, by później nie być zawiedzionym.

Jeśli chodzi o moją terapię, to cóż...

Stoi w miejscu.

To nie dlatego, że nie chcę się leczyć. Po pierwsze, jeszcze nie wiem z czego. Po drugie, ci ludzie to idioci. Młoda psycholog cierpliwie czekała, aż się odezwę, ale w końcu powiedziała, że skoro mam zamiar siedzieć w milczeniu, to równie dobrze mogę to robić bez jej towarzystwa. Posłuchałam tej rady. Jeśli zaś chodzi o grupową terapię, to jest to dla mnie raczej powód do śmiechu. Osoby, które je prowadzą, wyraźnie powtarzają podręcznikowe rady. Nie potrafią nas zrozumieć, nie chcą nawet próbować. Ponieważ to zachowanie mnie denerwuje, nie chodzę na spotkania. Pielęgniarki co prawda czasem wrzeszczą i próbują mnie zmusić, ale olewam je. Wiem, że ocieram się o hipokryzję. Sama nie robię nic w kierunku poprawy mojego stanu, a upominam i ganię innych, kiedy tylko zaczynają sobie odpuszczać.

Nie zależy mi już na niczym. Chcę tylko móc zostać tu jak najdłużej. Chcę zapomnieć, zapomnieć i jeszcze raz zapomnieć. Nie wiem, kiedy mnie wypiszą. Decyzja zapadnie wraz z końcem czwartego tygodnia, który nieuchronnie się zbliża. Drzę na samą myśl o tym, że miałabym wrócić tam, skąd przyszłam. Zaczynam się zastanawiać, czy nie udawać objawów, byle tylko móc jeszcze trochę cieszyć się wolnością.

Wolnością trzech korytarzy.

Kiedy zbliża się dzień, w którym dowiem się o moich losach, jestem już najgłośniejszą, najbardziej energiczną osobką w tym miejscu. Ludzie lgną do mnie, usiłując zarazić się fałszywą pozytywną energią. Czuję się wspaniale, kiedy zagadują mnie przy byle okazji. Wykorzystuję każdy moment, by im zaimponować. Nie chcę, żeby się mną znudzili. Określenie „królowa świrów” przylega do mnie jak druga skóra. Jestem wszędzie. Władcza, ale wyluzowana. Pełna energii, sypiąca żartami jak z rękawa, pozytywnie zakręcona. Razem z Czarną i Maćkiem wymyślamy kolejne intrygi, kopiąc dołki pod pielęgniarzkami. Wszyscy chcą być obok mnie, spędzać ze mną czas, ale ja staram się nie oddalać od moich przyjaciół choćby na moment. Boję się, że bez nich ta cała otoczka, którą wokół siebie stworzyłam, zniknie.

Królowa świrów. Brzmi naprawdę zachwycająco. Byłoby śmiesznie, gdyby Rojkowski stwierdził, że nic mi nie jest. Ale to mało prawdopodobne. Okaleczam się od pół roku, od tej majowej nocy, kiedy to mój świat na chwilę stanął w miejscu. Zdrowi ludzie nie robią sobie krzywdy. Ciekawe tylko, jak to nazwą. Depresja?

Nie chciałabym mieć depresji. Brzmi pospolicie, jakoś tak... Bez polotu. Może dlatego, że w dzisiejszych czasach co drugi twierdzi, że jest na to chory. Internet zalewa nas poradami na temat „jesiennego obniżenia nastroju”. Ale nie, to nie ma nic wspólnego z prawdziwą depresją. Nic. Zero. Osoba cierpiąca na depresję jest martwa. Nie

wychodzi z łóżka, nie je, nie pije. Pogrąża się, nie jest w stanie wykonać najprostszych czynności. Marzy o śmierci, nie zdając sobie sprawy z tego, że już dawno przestała żyć.

Co do mojego cięcia się... Och, sama nie wiem, co o tym myśleć. Kiedy zrobiłam to po raz pierwszy, byłam wściekła. Na siostrę Rachelę, na siebie, na *niego*. Pamiętam, jak dzień później patrzyłam na rany. Nawet nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie minął jednak tydzień, a okaleczanie się weszło mi w krew. To nie tak, że robiłam to w jakimś konkretnym celu. Przyznaję, po wszystkim czułam się oczyszczona. Nigdy jednak nie robiłam tego świadomie. Kiedy emocje brały górę, traciłam kontakt z rzeczywistością. Niby byłam, widziałam, czułam. A jednak wszystko wyglądało tak, jakbym obserwowała się z boku. Ściany wokół niebezpiecznie się wiły, dźwięk zdawał się przytłumiony przez szybę. Zadawałam sobie ból tak długo, aż przywracał mnie na ziemię.

Z rozmów z innymi pacjentami wypływa jasny obraz, że większość robi to, żeby się ukarać. Za coś. Za bycie gorszym, słabszym, głupszym. Innych ból uspokaja, pomaga im zebrać myśli. Są i tacy, którzy robią to, żeby zaimponować rówieśnikom. Ostatni powód jest dla mnie zupełnie niezrozumiały. Chociaż...

Do tej pory traktowałam to jak dowód słabości. Czułam się jak tchórz, kiedy patrzyłam na blizny. Teraz nie widzę powodu, by je zakrywać, w końcu nie tylko ja je tu noszę. Czasem spieram się, kto ma ich na ciele więcej. Wygrywam

w tych zawodach. Kiedyś robiłam, co mogłam, żeby inni ich nie zobaczyli. Niestety dość szybko się wydało. Dostarczyłam im kolejnych powodów do drwin. Ale to nie tym się przejmowałam. Bardziej pochłaniało mnie dociekanie, co *on* myśli na ten temat. Bałam się, że wykorzysta to przeciwko mnie. Całe szczęście zdawał się tego nie zauważać. Wciąż obserwował, uśmiechał się. W kółko to samo. Powoli zataczał krąg, a mnie zaczynało brakować powietrza.

Wiem, że jeśli ma coś mi zrobić, to zostało mu coraz mniej czasu. Zanim stąd wyjdę, będą już święta, a potem nim się obejrzymy, skończy się szkoła. A wtedy zobaczy mnie po raz ostatni. Na samą myśl o zbliżającym się punkcie kulminacyjnym całych dwóch lat trzęsę się jak osika. Nie chcę wiedzieć, co planuje. Mogę się jedynie domyślać.

Z drugiej strony czuję ulgę. To wszystko lada moment się skończy. W końcu on zrobi to, na co ma ochotę, a dzień później będę już wolna. Odejdę gdzieś daleko, a on znajdzie sobie inną ofiarę.

Nie wiedzieć czemu ta wolność wcale nie wydaje się być tak kusząca, jak powinna.

Dwudziestego dziewiątego listopada nadchodzi, nim zdążę się obejrzeć. Niedzielny dzień niczym nie różni się od poprzednich. Siedzimy w klasie, lepiąc z modeliny.

- Kurczę, Lola, masz talent, dziewczyno! - woła Maciek, widząc kolczyki wyglądające jak miniaturowe babeczki.

- To nic takiego. - A jednak czuję się mile połączona.
- Tak w ogóle, to co zdajesz na maturze? - pyta Czarna.
- Nie zbliża ci się jakiś tam ostateczny termin, o którym mówiłaś? Ten, po którym nie możesz już nic zmienić?

Zasępiam się. Nie przepadam za rozmowami o przyszłości. Skupiam się na kształtowaniu małej truskawki. Przyjaciółka potrząsa mną gwałtownie.

- Mówię do ciebie!
- Nie wiem - prychem. - Nie ma nic, co chciałabym robić. Poza tym mam kiepskie oceny.
- I właśnie tego kompletnie nie rozumiem - wzdycha. - Przecież jesteś naprawdę mądra. I szybko się uczysz. W życiu nie widziałam kogoś, kto tak łatwo wszystko zapamiętuje.

- Dzięki, ale to nie wystarczy. - Zbywam ją, jednocześnie czując, że na moje policzki wstępuje pąsowy rumieniec.

- Może po prostu powinnaś... No wiesz...
- Hm...?
- Poszukać czegoś... - Przygryza wargi. - Dla siebie?
- Co masz na myśli?
- No nie wiem... Jest tyle rzeczy, które można robić. Nie musisz koniecznie iść na nie wiadomo jakie studia. Ważne, żebyś się spełniała, prawda?

- Problem w tym, że ja nie mam zainteresowań. Żadnych.

- Nigdy nie miałaś?
- Nie, nie mia... - urywam.

- Wszystko gra?
- Właściwie... właściwie to kiedyś miałam parę.
- To znaczy?
- Lubiłam rysować. Malować. Rzeźbić. Do tej pory mi to zostało, choć nie pamiętam, kiedy ostatnio coś...
- I to jest myśl! - Maciek podrywa się z krzesła. - Tego powinnaś się trzymać!
- Nawet jeśli to jest jakiś pomysł, to nie mam możliwości go zrealizować.
- Dlaczego? - pyta jego dziewczyna, przechylając głowę.
- A dlatego, że nie mam warunków do nauki.
- Nie masz jak się uczyć w domu? - Jej oczy wpatrują się we mnie z ciekawością.
- Z pewnością pamięta, kto odwiedzał mnie trzy tygodnie temu. Wie też, że to był mój jedyny gość. No i nie mam nawet telefonu, żeby z kimkolwiek się skontaktować.
- Nie bardzo - przyznaję. Nie mogę jej powiedzieć prawdy.
- W takim razie czemu tu się nie puczysz?
- Miśka, ja nawet nie wiem, kiedy mnie stąd wypuszczą. Puczę się parę dni tylko po to, żeby...
- Jesteś straszną pesymistką! - woła. - Jakbyś naprawdę chciała, to znalazłabyś możliwość, by przygotować się do matury.
- Spadaj, nic nie wiesz, więc nie oceniaj.
- To może oświeć nas wreszcie, o co ci chodzi - złości się Maciek. - Za każdym razem, gdy pytamy o twój dom,

ty...

- Koniec tematu - ucinam.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Są dotknięci do żywego.

- Dobra, Lola - cedzi Czarna. - Nie wiem, co ty masz, kurde, za problem, ale strasznie mnie to wkurza. Strasznie, czaisz? - Poprawia się na krześle. - Ja nie wiem, czemu ty nam nie ufasz. My też nie mówimy o sobie więcej, niż to konieczne, ale twoje zachowanie to już chyba lekka przesada. Cholera, my nawet nie wiemy, jak ty masz na imię!

- Żaden problem - rzucam. - Idź do dyżurki i zapytaj.

- Tu nie o to chodzi!

- A o co?

- O to, że ty nas cały czas okłamujesz!

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz.

- A właśnie że prawda - wtrąca Maciek.

- Dobra, odwalcie się, okej? Mam swoje powody.

- Powody, powody - obrusza się Czarna. - Ty wiecznie tylko „nie chcę o tym gadać”, „nieważne”, „kiedyś wam powiem”, bla, bla, bla... Gówna prawda. Nigdy nam nie powiesz.

- Po prostu nie lubię o tym wspominać. - Zbywam ją wzruszeniem ramion.

- Ty w ogóle coś lubisz?

- Was.

Patrzą się na mnie, wyraźnie nie wiedząc, jak zareagować. W końcu Maciek kładzie jej rękę na ramieniu.

- Będzie chciała, to nam powie. A teraz chodźmy, zaraz moja rodzina przyjdzie. Obiecałem, że cię im przedstawię. - Uśmiecha się szeroko.

Jeszcze przez kilka mrugnięć okiem Czarna wpatruje się we mnie z wyraźną gotowością do kłótni, ale Maciek w końcu zdecydowanie popycha ją w stronę drzwi. Urażona fuka ze złością, ale pozwala się wyprowadzić.

Kończąc kolejny kolczyk, pogrążam się w zamyśleniu. Właściwie to nie wiem, czemu nie powiedziałam im jeszcze prawdy. To nie tak, że boję się odrzucenia. Stawiam, że nie zrobiłoby to na nich większego wrażenia. A jednak nie potrafię się przemóc. Kiedy tylko wraca temat świata poza oddziałem, momentalnie moje żyły wypełnia lód. Może kiedyś im powiem. Jak Maciek będzie wychodzić.

Jeszcze tylko dwa tygodnie. Ciekawe, czy Czarna to przeżyje.

Choć sama nie mówiłam o sobie nic, dość szybko mi zaufali. Prawda jest zaskakująca. Okazało się, że Maciek ma problemy z agresją. A raczej miał. Na tyle poważne, że potrzebował specjalistycznej pomocy, żeby nad sobą zapanować. Kiedy mi to powiedział, myślałam, że spadnę z krzesła. Był najspokojniejszą, najbardziej zrównoważoną osobą w moim wieku, jaką znam. Zwłaszcza gdy w pobliżu nie ma Czarnej. Podobno zanim tu trafił, było zupełnie odwrotnie. Byle drobiazg rozsierdzał go do tego stopnia, że tracił nad sobą panowanie. Aby nie zrobić nikomu krzywdy, walił pięścią w ścianę. Dopiero gdy o wszystkim się

dowiedziałam, zauważyłam, że jego dłonie pokryte są bliznami od regularnie zdzieranej skóry.

To, że ostatni jego wybuch miał miejsce pierwszego dnia pobytu, nie było zasługą leków czy terapii. Może nie powinnam silić się na romantyczne cytaty o miłości, która leczy, ale faktem jest, że przy Czarnej Maciej stał się kimś zupełnie innym. Co nie znaczy, że można było rozbić mu doniczkę na głowie i nie doczekać się żadnej reakcji. Teraz jednak, kiedy zaczynał się denerwować, zamiast robić krzywdę sobie lub komuś innemu, szedł do niej. I czekali. A kiedy emocje opadły, wszystko wracało do normy.

To również wyjaśnia, dlaczego przy poznaniu powiedział, że „uwalili go w szkole”. Choć jest lubiany, wiele osób wykorzystywało jego skłonność do wybuchów, aby załatwić własne sprawy. Wystarczyło go zawołać, a chwilę później problem leżał z rozbitym nosem. Tylko że kilka miesięcy temu rozbiła się głowa. Chłopak, który grzmotnął potylicą o krawężnik, miał wstrząśnienie mózgu. Tym razem nie było mowy o obniżonym zachowaniu czy naganie. Rodzice pokrzywdzonego wnieśli sprawę do sądu, domagając się ukarania osoby odpowiedzialnej za cierpienia ich syna. Ponieważ to nie był pierwszy taki incydent, szybko zaczęły się rozmowy o ośrodku wychowawczym. Niektórzy naciskali nawet, by sądzić go jak dorosłego. W końcu po rozmowie z psychologiem sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Okazało się, że to, co do tej pory nazywano bandyckim zachowaniem, to objaw

zaburzeń. Niedługo później chłopak został skierowany na przymusowe leczenie.

Czarną wysłał tu jej psychiatra. To jej drugi pobyt, choć wcześniej była na innym oddziale. Kiedy jej stan gwałtownie się pogorszył, lekarz wypisał skierowanie. Rodzice, mimo protestów córki, zawieźli ją do szpitala. Być może uratowali jej tym życie. Albo chociaż je przedłużyli.

Cóż... Ja nie musiałam tęsknić za nikim. Krewnych widzieć nie chciałam, a oprócz nich nie było nikogo, kto mógłby chcieć mnie odwiedzić. Tej niedzieli jednak okazało się, że to nie do końca prawda. Kiedy salowa krzyknęła: „Lola, odwiedziny!”, uspokoiłam oddech i wyszłam na spotkanie z zakonnica. Tylko ona mogłaby tu przyjść.

Tak bardzo się myliłam.

Rozdział 12

- Dawno nie rozmawialiśmy, prawda?
- Dzięki Bogu.
- Tęsknisz za mną?
- Oczywiście, w każdej najdrobniejszej chwili mojego cudownego życia.
- Dlaczego mam wrażenie, że to sarkazm?
- A więc jednak nie jesteś tak głupi, jak mogłoby się zdawać.
- Próbujesz mnie obrazić, aniele?
- Mogłbyś się tak do mnie nie zwracać?
- Odpowiadasz pytaniem na pytanie.
- To źle?
- Sam nie wiem.
- No proszę! A więc jest coś, czego nie wiesz?
- Nie wiem o wielu rzeczach.
- Dobrze się czujesz?
- Nie rozumiem.
- Jesteś naćpany czy jak?
- Daj spokój, nie mam nastroju.
- Zdecydowanie jesteś naćpany.

- Nie psuj tej rozmowy.
- Pierwszy raz się odzywasz po tak długim milczeniu.
Co cię do tego skłoniło?
- Po prostu się nudzę.
- W takim razie jestem zaszczycona, mogąc pomóc ci to zwalczyć.
- A ja niezmiernie się cieszę, mogąc spędzić z tobą trochę czasu.
- Nawet nie chcę wiedzieć, co planujesz.
- Nie rozumiem.
- Oczywiście, bo ci uwie... Hej! Zostaw moje włosy, idioto!
- Dlaczego ci to przeszkadza?
- Dobra, mam dość. Nie wiem, dlaczego nagle ze mną rozmawiasz, ale nie mam zamiaru tego ciągnąć. Idź, znajdź sobie jakieś zajęcie. Albo po prostu usiądź i gap się na mnie. Tylko mnie nie dotykaj, rozumiesz?
- Nie lubię, gdy mi się czegoś zabrania.
- Zdążyłam to zauważyć.
- Wiesz, jesteś naprawdę urocza.
- Wszyscy mi to mówią.
- Tak bardzo się mnie boisz. Sam nie wiem, co o tym myśleć.
- Boję się? Postradałeś zmysły?
- Widzę to. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie cudowne, kiedy tak uciekasz wzrokiem.
- Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że próbujesz mnie poderwać.

- Ale mnie znasz.
- Tak. Znam.
- Nienawidzisz mnie?
- To chyba oczywiste.
- Czasem też siebie nienawidzę.
- Jakoś w to wątpię.
- Mam odejść?
- Jeślibyś mógł.
- Mogę ci zadać pytanie?
- Wolałabym nie.
- Obiecuję, że to będzie tylko jedno. Do końca roku się do ciebie nie odezwę, słowo harcerza.
- To żadne pocieszenie. Wystarczy, że ciągle się na mnie gapisz.
- To mogę?
- Czego ty chcesz, co?
- Powiem ci, jak odpowiesz mi na pytanie.
- Nie odpowiem. Jesteś psycholem. Trzymaj się ode mnie z daleka.
- Psycholem? Mówisz tak, jakbyś sama była normalna.
- A co, o czymś nie wiem?
- Jesteś straszną hipokrytką.
- Bywa.
- To co, mogę ci zadać pytanie?
- Nienawidzę cię.
- Wiem, Lola, wiem. Mogę czy nie?
- A zostawisz mnie w spokoju?
- Do końca roku. Umowa stoi?

- Stoi. Nie żebym ci wierzyła.
- W takim razie powiedz mi jedno. Dlaczego się wtedy nie odsunęłaś?
- Byłam w chwilowym szoku.
- Naprawdę?
- Myślałam, że mnie zgwałcisz.
- Zawiedziona?
- No pewnie. O niczym innym nie marzę.
- Usta ci drżą.
- Bo mnie wkurwiasz, człowieku.
- Jesteś pewna, że to o to chodzi?
- Odpowiedziałam. Teraz stąd idź.
- Zdziwiasz mnie.
- Cieszę się. A teraz wynoś się z mojego pokoju.
- Jesteś jedną wielką zagadką.
- Wynocha.
- Słodkich snów.
- Kiedyś cię zabiję.
- Nie bądź śmieszna.
- Już raz ci zrobiłam krzywdę.
- Masz na myśli mój rozkwaszony nos?
- Dokładnie.
- To tylko kłótnia kochanków, nic wielkiego.
- Dość. Wynoś się.
- Boisz się mnie?
- Wyjdź.
- Boisz?
- Wynocha z mojego pokoju!

- I tak wrócę, Lola. Nigdy nie uciekniesz.

Rozdział 13

Nie.

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia.

Zatrzymuję się w pół kroku.

Nie.

To nie jest możliwe.

Stoi przede mną. Ręce skrzyżował na piersi. Jego oczy wpatrują się we mnie, zachłannie nadrabiając miesiąc odwyku. Są puste. I wściekłe. To pierwszy raz, gdy z taką łatwością odczytuję jego emocje. Źle. Bardzo źle.

Spokojnie, Lolcia. Spokojnie, maleńka. Nie jesteś tu sama. Nie zrobi nic głupiego. Prawda? Jestem w szpitalu. Wokół roi się od ludzi. Nie jest w stanie mnie skrzywdzić. Usiądzie i będzie się na mnie gapić, tak jak zwykle. Chociaż jeszcze chyba nigdy nie widziałam go wkurzonego. A tym bardziej wkurzonego na mnie. Ciarki przebiegają mi po plecach. Próbuje zmusić się do postawienia kroku, ale nie potrafię. Stoję jak zaklęta i przymykam na chwilę oczy. Kiedy je otwieram, wciąż tam jest. Nic z tego. Graj, Lola. Graj.

Podchodzę z promiennym uśmiechem. Mogłabym go wygonić, ale to nic nie zmieni. Muszę się z tym zmierzyć. Muszę udawać, chociażby po to, by nie narobić sobie wstydu przed innymi. Najwyższa pora odegrać najlepszy spektakl w moim życiu.

- Norbert! Co za niespodzianka!

- Prawda? - Wyciąga do mnie rękę.

Kiedy podaję mu dłoń, oczekuję silnego uścisku. On jednak pochyła się i delikatnie muska ją ustami, wciąż wpatrując się w moje oczy. Nie mogę tego znieść. Robi mi się duszno, ledwo mogę oddychać. Boję się. Nie wiem, co on tu robi. Ale z pewnością nie jest tu tylko po to, by mnie drażnić.

- Hamuj się, chłopcze. - Cmokam z dezaprobatą. - Siostra Rachela pozwoliła ci tu przyjść? Na jej miejscu nie zostawiałabym nas samych w pokoju. Kto wie, różne pomysły mogą ci przyjść do głowy, prawda?

- Nie przejmuj się, Lola. Siostra Rachela to rozsądna kobieta. Wie, że może mi zaufać. - Kładzie nacisk na ostatnie słowo.

- Jest tylko jeden problem. Jestem potwornie zajęta, a wystarczy jedno moje słowo, a wywalą cię za drzwi.

Przez jego twarz przebiega dreszcz. Jest wściekły. Nie, to za mało. On kipi ze złości.

- Chodź za mną - rzucam i prowadzę go do pokoju.

Nie czekając na specjalne zaproszenie, siada na moim łóżku. Nie powinien widzieć, że się przejmuję. Podchodzę do parapetu, żeby poprawić książki. Dziwnie się czuję

odwrócona do niego tyłem. Tak jakby w każdej chwili miał na mnie skoczyć. On jednak nie robi nic. Mijają kolejne sekundy.

- Co tu robisz?
- Nudziłem się - odpowiada zdawkowo.
- To chyba nic nowego.
- Od jakiegoś miesiąca to moja codzienność.
- Aż tak ci mnie brakuje?
- Oczywiście.
- Rozumiem, że nie znalazłeś dla mnie zastępstwa?
- Mówiłem ci już. Chcę tylko ciebie.

Nie reaguję.

Po co tu przyjechał? Jaki ma w tym wszystkim cel? Przecież lada moment tam wrócę. Aż tak brakuje mu wpatrywania się we mnie? To idiotyczne. Po prostu idiotyczne. Przecież sam to powiedział, prawda? Nie ucieknę. Nigdy. Wystarczy, że zaczeka. Kwestia...

- Jak się ruszysz choćby o cal, nie wiem, co ci zrobię. - Jego głos przeszywa ciszę.

Serce podchodzi mi do gardła. Próbuję się uspokoić myślą, że oddział jest pełen ludzi. Powinnam jakoś zareagować, ale pokornie wypełniam jego prośbę. Nie dlatego, że chcę. Ton jego głosu zwyczajnie odbiera mi władzę nad ciałem.

Słyszę, jak wstaje. Bardzo powoli zbliża się do mnie. Chowa twarz w moich włosach, obejmując mnie niespiesznie. Boże, ratuj... Co tu się dzieje?!

Jego klatka piersiowa unosi się i opada. Czuję na głowie podmuchy jego oddechu. Napiera na mnie coraz mocniej. Stoję jak sparalizowana. Instykt każe mi uciekać gdzie pieprz rośnie, ale czuję się jak w nocnym koszmarze, w którym nogi przyrastają do ziemi, kiedy próbujesz biec.

- Dlaczego?

Wzdrygam się na dźwięk jego głosu. Najwyraźniej ledwo nad sobą panuje.

- Dlaczego co? - pytam, starając się nie zauważać zdradzającego mój strach drżenia.

- Dlaczego próbowałaś się zabić?

- Nie próbowałam.

- Zostawiłaś list.

- Co?

O co mu teraz chodzi? Nawet jeśli to nie on go napisał, z pewnością wie, że ja też nie. Przecież na pewno ktoś już dawno się pochwalił, że w tak sprytny sposób uwięził mnie w psychiatryku.

- List pożegnalny - powtarza tonem napiętym jak struna.

- Zostałam wrobiona. - Już nawet nie próbuję zapanować nad głosem. Nie ma to większego sensu.

- Co?

Zastygam. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa.

- Coś ty powiedziała? - podnosi głos.

- J-ja...

- Co ty powiedziałaś?! - wrzeszczy, gwałtownie obracając mnie twarzą do siebie.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

Nigdy.

Zawsze towarzyszył mu szyderczy uśmiech. Nawet kiedy złamałam mu nos. Teraz jednak na jego twarzy nie było nawet cienia ironii.

- Masz mnie za idiotę?

Strach mnie paraliżuje. Jego oczy wypalają we mnie resztki pewności siebie. Boję się.

- Zadałem ci pytanie. Masz mnie za idiotę? - syczy.

Czuję, że po policzkach spływają mi łzy.

Co się z nim dzieje? Boję się... Boję się...

- Wszystko gra? - Maciek pyta przez uchylone drzwi.

- Odpowiedz mu - szepcze Norbert.

Milczę.

- Lola? - Chłopak powoli wchodzi do środka.

- Odpowiedz.

- Tak - mówię cicho. - Wszystko gra - dodaję już głośniej.

- Zostawisz nas w końcu samych czy mam ci pomóc? - Głos Norberta jest lekko zachrypnięty.

Odpowiada mu odgłos zamykanych drzwi.

Przepadłam.

Ile to już trwa?

Łapie mnie za brodę i zmusza do spojrzenia mu w oczy. Płoną z nienawiści.

- Uciekłaś.

- Nie uciekłam. - Głos mi się łamie. - Mówię ci, że...

- Przecież ci powiedziałem. - Jego źrenice niebezpiecznie się rozszerzają. - Nie pamiętasz? - Ogień gaśnie, ustępując miejsca bezdennej pustce. - Nie uciekniesz. - Po czym zaciska mi z całej siły palce na twarzy, boleśnie raniąc ją paznokciami, i zbliża usta do mojego ucha. Łzy spływają mi po szyi, wpadają w dekolt. - Nigdy więcej mnie nie okłamiesz, Lola.

I wtedy decyduję się na coś, co prawdopodobnie jest największym błędem, jaki mogę w tej chwili popełnić. Nim jego usta przywrą do moich, wołam imię jedynej osoby, która może mi pomóc.

Drzwi otwierają się gwałtownie. Norbert odskakuje o ułamek sekundy za późno. Maciek rzuca się na niego z dziką furią. Czarna krzyczy, próbując go zatrzymać. Opadam na kolana. Jak sparaliżowana patrzę na jednostronną walkę. Podobno strach wyzwala adrenalinę. Ale to nic w porównaniu z tym, jak złość działa na mojego przyjaciela. Ten szczupły chłopiec, który co wieczór ogląda filmy, ściskając pluszowego węża, zniknął. Zamiast niego widzę rozwścieczoną bestię. Widzę szaleńca. Okłada przeciwnika kolejnymi ciosami. Norbert nie ma żadnych szans. Może być wysportowany. Może radzić sobie z każdym. Ale nie z Maćkiem. Jego twarz szybko pokrywa się krwią.

Maciek rzuca nim jak szmacianą lalką. Kark Norberta uderza o parapet. Chłopak nieprzytomny osuwa się na ziemię. Maciek jednak wciąż okłada go pięściami, twarz

wykrzywia mu paskudny grymas, który zmienia go nie do poznania. Z jego oczu bije nienawiść. Ale to nie wszystko. Dostrzegam również rozpacz.

Tysiąc lat później do środka wpada dwóch sanitariuszy. Kobieta, najprawdopodobniej matka mojego przyjaciela, szlocha. Chowa twarz w ramionach męża. Czarna klęczy obok drzwi. Wpatruje się przerażona w ukochanego. Z jej szeroko otwartych oczu nieprzerwanie płyną łzy. Pielęgniarka pospiesznie sprawdza Norbertowi puls. Druga w tym czasie wbija strzykawkę w nogę Maćka. Salowa dzwoni po pomoc.

Wokół panuje chaos. Ignoruję Norberta. Dla mnie może być nawet martwy. Ruszam za sanitariuszami niosącymi mojego przyjaciela.

- Lola, uspokój się albo i ty poleżysz w pasach - warczy Skwarka.

- To wpuśćcie mnie do środka!

- Natychmiast wróć do swojego pokoju.

- Ty cholerna...

- Wystarczy - wtrąca się Czarna. Wciąż trzęsie się na całym ciele.

Siadam na pufie obok niej.

Dwójka robi teraz za izolatkę. Czarna już jakiś czas temu została przeniesiona do innej sali. Teraz dwie nowo przyjęte dziewczyny biegają w tę i z powrotem, taszcząc swój skromny dobytek.

Choć szybka w drzwiach zasłonięta jest kocem, doskonale wiemy, co jest za nią ukryte. Maciek, obezwładniony przez hydroksyzynę, leży przypięty pasami. Modlimy się, żeby spał. W innym razie najprawdopodobniej walczy z halucynacjami.

- To moja wina - stwierdzam.

- Przestań.

- Czarna, ja...

- Po prostu skończ, dobra?

Wiem, że nie mówi tego złośliwie. Martwi się o chłopaka.

- Jeżeli ktoś tu jest winny, to ja.

- Czekać, o czym ty mówisz? - dziwię się.

- O tym, że to ja mu wmówiłam, że nie potrzebuje leków i terapii. Dobrze się czuł i panował nad sobą. Byłam egoistką, Lola. Myślałam, że go wyleczyłam.

- Bo to prawda. Przecież...

- Nie. To nie jest prawda. Panuje nad sobą, kiedy jestem przy nim. Kiedy mnie nie ma, to już nie jest takie łatwe.

Zasepiam się. Ciężko przewidzieć, jak będzie wyglądał jego powrót do szkoły. A jeśli nie uda mu się zwalczyć napadów szaleństwa? Na samą myśl o grymasie na jego twarzy robi mi się zimno z przerażenia.

- Boję się, Lola. Ja... Ja chyba nie dojrzałam do tego.

- Co? - Nie rozumiem, co ma na myśli.

- Po prostu... To naprawdę cudowny chłopak i strasznie go lubię, ale... On mnie chyba trochę przerasta, wiesz? A przecież mamy po szesnaście lat!

- Nie powinnaś tak myśleć.

- Nie będę z nim przez całą wieczność. Chodzimy do różnych szkół. Nawet jeżeli będziemy razem po wyjściu ze szpitala, to nieczęsto będziemy się widywać. On jest w dobrym liceum, musi się dużo uczyć i...

- Dramatyzujesz.

- Ja po prostu...

- Boisz się odpowiedzialności, co?

Na ułamek sekundy zamiera.

- Tak. Chyba tak.

Na korytarzu wciąż panuje poruszenie. Odwiedzający są wyraźnie przestraszeni. Trudno im się dziwić. Spędziłam tu miesiąc, a jednak z trudem panuję nad drgawkami. A jeszcze trudniej przychodzi mi zapanowanie nad myślami.

Czuję się winna. Wykorzystałam go tak jak inni. Może byłoby lepiej, gdybym po prostu zaczekała, aż Norbert zrobi swoje. Maciek nie byłby teraz unieruchomiony. Poza tym to zajście może mieć wpływ na termin jego wypisu. Co gorsza, nie wiadomo, w jakim stanie jest mój prześladowca. Jeśli Maciek zrobił mu większą krzywdę niż siniaki czy złamany nos, będzie w tarapatkach. Dobrze widziałam, jak szyja tego potwora uderza głucho o parapet. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Ze względu na przyjaciela, a nie dlatego, że się martwię o tamtego. Prawdę mówiąc, na myśl o truchle mojego wroga czuję chorą satysfakcję. Chciałabym, aby umarł. Albo został przykuty do wózka. Niech cierpi na wszystkie możliwe sposoby.

Jego słowa wciąż dźwięczą mi w czaszce. Powód jego złości staje się dla mnie jasny. Myślał, że próbowałam od niego uciec. Najwyraźniej nie wiedział, że to nieporozumienie. Założył, że próbą samobójczą chciałam mu się wymknąć, a on nie mógł na to pozwolić. Za dobrze się bawił. Teraz żałuję, że nie powiedziałam pielęgniarce, żeby go wygoniły. Chociaż z drugiej strony przynajmniej wiem, że... Że nie należy tam wracać. Jest jak najbardziej zdolny zrobić mi krzywdę, a groźby, choć wypłynęły z jego ust nie po raz pierwszy, tym razem nabrały nowego znaczenia. Wiem, co chciał mi przekazać. Kiedy tylko wrócę do ośrodka, spotka mnie kara. Będzie odliczać dni do mojego wypisu, a potem w końcu zrobi to, na co czeka od tak dawna.

Nieważne, co powie jutro Rojkowski. Zrobię wszystko, by zostać tu jak najdłużej. Choćbym miała tłuc głową o kaloryfer. Nie wrócę tam. Nigdy. Za bardzo się boję.

- Właściwie to co się tam stało?

- Masz na myśli...

- Dlaczego zaczęłaś krzyczeć? - Czarna drapie się po głowie, spoglądając na mnie pytająco spod ciemnych rzęs. - Wyglądałaś na nieźle spanikowaną...

- Bo tak było.

- Bo?

- Po prostu... - Nie mam pojęcia, co jej powiedzieć.

- Może wreszcie dowiem się prawdy?

To nie jest dobry pomysł. Nikt nie powinien o tym wiedzieć. To sprawa między mną a nim. Poza tym nie po to

robię za taką odważną, żeby teraz powiedzieć, że boję się kogoś, kto nawet nic mi nie zrobił. Na razie.

- Chciał coś zrobić wbrew mojej woli. I tyle.
- Jak to? - Oczy Czarnej rozszerzają się ze zdumienia.
- Tak to. Nie chcę o tym gadać.
- Dlaczego w takim razie nie zawołałaś pielęgniarek?

Dobre pytanie. Oszczędziłabym Maćkowi kłopotów. Zachowałam się jak egoistka. A może po prostu zawołałam jedyną osobę, której podświadomie ufam?

- Ma szczęście. Gdyby ten chłopak uderzył mocniej, mógłby umrzeć na miejscu. A w najlepszym razie zostać kaleką. - Głos pielęgniarki niesie się po korytarzu.

- Ale nic mu nie jest? - pyta sanitariusz.

- Nie, dzięki Bogu. Oczywiście pomijając, że jest strasznie posiniaczony. No i ten złamany nos...

- Dobrze, że tylko tyle - przerywa jej mężczyzna. - Maciek to wrażliwy dzieciak, nie poradziłby sobie z poczuciem winy.

Głosy powoli oddalają się. Czekam, aż obydwójce znikną za rogiem. Jest krótko po północy, kiedy skradam się do sali obserwacyjnej. Nikt nie może mnie zauważyć. Muszę z nim porozmawiać. Muszę mu wszystko powiedzieć. I podziękować. Nie będę go przeproszać. Chcę, żeby widział, że czuję się wdzięczna, a nie winna. Może wtedy łatwiej będzie mu to znieść.

W ciemności Maciek wygląda jak kukła, nieruchomy, sztywny. Zerkam w lewo, szyba jest prawie całkowicie

zasłonięta. Najwyraźniej szczęście mi sprzyja. Podkradam się na palcach, ostrożnie stawiając gołe stopy na zimnym linoleum. Jego ręce przymocowane są do łóżka skórzanymi paskami. Drżącymi palcami dotykam metalowej klamry. Nie zastanawiam się nawet przez moment. Gdy go uwalniam, otwiera oczy. Błyszczą w ciemności nieopisanym smutkiem. Nie tego chciałam. Ma być dumny, do cholery. Uratował mnie.

Z trudem powstrzymuję płacz. Zaciskam szczękę i głaszczę go czule po twarzy. Nie pamiętam już, co chciałam mu powiedzieć. Nie pamiętam, po co przyszłam. Wpatrujemy się w siebie w nieskończoność. Łza skapuje z mojego policzka na białą pościel. W odpowiedzi Maciek przesuwają się lekko, jakby chciał zrobić mi miejsce. Niewiele myśląc, wślizguję się, naciągając kołdrę aż na nos. Wtulam się w niego i głęboko wdycham lekki zapach pomarańczy. Najwyraźniej Czarna nie tylko ze mną dzieli się żelazem pod prysznic.

Czarna... Nawet nie wie, jaki skarb ma w garści. Ile ja bym dała za to, żeby ktoś przy mnie był. Chyba po raz pierwszy w pełni zdaję sobie sprawę z mojej samotności. Mam przyjaciółkę, mam i przyjaciela. Ale jedyny dotyk, na jaki mogę liczyć, to ten niechciany. Najwyraźniej boli mnie to bardziej, niż do tej pory sądziłam.

Nie obejmuje mnie. Równie dobrze mogłabym przytulić ścianę. Jest zimny, słyszę jego cichy oddech. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że mimo pozbycia się więzów niezmiennie leży jak sparaliżowany. Podnoszę się na łokciu.

- Maciek, wszystko gra?

Wciąż patrzy gdzieś w przestrzeń. Przesuwam się trochę wyżej, wciskam twarz w jego szyję. Sięgam po jego dłoń i wolno masuję ją kciukiem, jakbym chciała uwolnić go od wszystkich zgromadzonych napięć. On jednak wciąż się nie rozluźnia.

Cholera, mam to gdzieś. Dość tych bezsensownych kłamstw. Najwyższa pora powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Jestem mu to winna. Nie ma nikogo innego, komu mogłabym zaufać. Oczywiście, Czarna, ale mam wrażenie, że nie zrozumiałaby mnie. Poza tym nie wyobrażam sobie okazania przy niej słabości. Myślę, że nawet nie do końca domyśla się, że coś w moim zachowaniu nie gra, że jest sztuczne. Jej chłopak zaś zdaje się widzieć prawdę. Dostrzegam to w jego drobnych gestach, przelotnych spojrzeniach. On wie. A jednak nie pyta. Domyśla się, że to dla mnie niełatwe. Dlatego tym większe będzie to miało znaczenie, że powiem mu wszystko właśnie teraz, a nie ciągnięta za język. W tej ciszy, ciemności, w jednym łóżku, ogrzewając go ciałem i sercem.

Biorę głęboki oddech, a potem mówię mu wszystko. Wszystko, co dręczy mnie od tylu lat. Nie przerywa mi ani razu. A kiedy kończę, jego zegarek wskazuje czwartą nad ranem. Zanim zasnę w jego mocnym uścisku, z ciepłym oddechem muskającym moje włosy, mówi tylko jedno słowo:

- Dziękuję.

Rozdział 14

No to mam problem.

Tak. Zdecydowanie mam problem.

Jeżeli istnieje coś, co można bez przeszkód za problem uznać, to jest to właśnie obudzenie się w ramionach chłopaka twojej przyjaciółki.

Z twarzą Skwarki pochylającą się nad tobą.

I zaciekawionymi spojrzeniami pacjentów rzucanymi z korytarza.

Plus morderczym wyrazem twarzy głównej zainteresowanej.

Mówiłam już, że mam problem?

- Kurczę, Czarna, to nie tak...

- Wiem.

- C-co? - Szczeka mi opada ze zdumienia. - W takim razie o co chodzi?

- O nic - warczy.

Siedzimy na stołówce, wpatrując się w puste talerze. Skwarka z uśmiechem na spalonej twarzy obserwuje naszą rozmowę, licząc pewnie na ewentualną rozrywkę. Obok niej

siedzi Maciek, który wydaje się kompletnie zdezorientowany. Nic dziwnego, Czarna zupełnie go zignorowała.

- Dobra, moment, bo nie rozumiem. Ufasz mi, że po prostu tam zasnąłam. Zgadza się?

- Tak.

- Więc? - Nie daję za wygraną.

- Więc nic.

Spoglądam na pacjentów. Dawno nie było tu tak cicho. Wszyscy jedzą w milczeniu, jakby starali się wyłapać każde, najmniejsze słówko.

- Jesteś wkurzona, że wszyscy myślą inaczej? - ryzykuję.

- Też. - Przewraca oczami. - Pewnie mu powiedziałaś, prawda?

- To znaczy?

- No o sobie.

- Byłam mu to winna. - Wzruszam ramionami.

- Nie ufasz mi? - pyta, skubiąc paznokcie.

- To nie jest kwestia zaufania. Ja po prostu nigdy o tym nie mówiłam, nigdy nie chciałam o tym mówić. I wciąż nie chcę. Cała ta sytuacja na chwilę odebrała mi panowanie nad... Nad sobą. Musiałam. I nie chcę do tego wracać. Żałuję, że mu się zwierzyłam.

Zdaję sobie sprawę z faktu, że ją okłamuję. Prawda jest taka, że jeśli jest coś, czego nie żałuję, to właśnie tego ponurego monologu, którym uraczyłam przyjaciela. Co prawda głupio mi, bo mam wrażenie, że trochę go dobiłam,

ale czuję ulgę. Jakby ktoś zdjął mi z pleców wielki ciężar. Wreszcie ktoś wie. I jestem pewna, że wierzy w każde moje słowo.

- No dobra - zaczynam ponownie. - Ale to nie wyjaśnia, dlaczego ze mną rozmawiasz, a z nim nie. Czy to nie jest trochę bez sensu?

- No właśnie nie. - Czarna kręci głową.

- Jak to nie?

- No wiesz, wszyscy myślą, że mnie zdradził.

- Czyli będziesz udawać obrażoną, żeby nie było, że...

- Że tak po prostu mu wybaczyłam - kończy za mnie.

- Ale czy mnie też nie powinnaś unikać?

Przez chwilę patrzy na mnie zdziwiona. Chyba do niej dociera słaby punkt jej planu obrony własnej dumy.

Nagle wstaje i uderza mnie w twarz.

- Dziwka - rzuca, próbując się nie uśmiechać. Po czym wychodzi, nie oglądając się za siebie. Dam głowę, że zaśmiewa się do rozpuku. Szkoda tylko, że teraz wszyscy się na mnie gapią. No dobra, jak mus, to mus.

Wstaję i podchodzę do Maćka, który siedzi z buzią otwartą ze zdumienia. Łapię go za łokieć i wyprowadzam na korytarz. Potyka się o własne nogi. Jest tak skołowany, że żal ściska mi serce, kiedy na niego patrzę.

- Spokojnie, udajemy - pocieszam go.

Chyba się uspokaja, bo zaczyna iść pewniej. Chwilę później wchodzimy do piątki. Czarna czeka na nas, siedząc na parapecie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Szczerzy się szeroko jak gdyby nigdy nic.

- Jak tam nocka, Macieju? Wybawiłeś się?
- Kamila, ja... - wyraźnie waha się, co powiedzieć.
- Spokojnie, wszystko wiem. - Dziewczyna zeskakuje z parapetu i podchodzi do niego sprężystym krokiem. - Nic się nie stało.

Po krótkim milczeniu w końcu się obejmują. Wydaje mi się, że Czarna coś do niego mówi, ale nic nie słyszę. Może powinnam zostawić ich samych...

- Lola, wybacz, kochana, ale mogłabyś...

Kiwam głową i wychodzę. Niech się dogadają między sobą. Mam nadzieję, że nie narobiłam im problemów. Zresztą nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego Maciek chciał z nią zerwać. Teraz wiem, że Czarna nie do końca jest pewna, czy ten związek ma sens, ale to tylko pozory. Widzę, jak się cieszy z każdej chwili. Ma wątpliwości jak każda dziewczyna w jej wieku. Maciek również wygląda na szczęśliwego. Skąd więc pomysł, by to zakończyć? Koniecznie muszę go o to zapytać. Teraz, kiedy powiedziałam mu o sobie wszystko, co mogłam, musi być ze mną szczery.

Wracam do swojego pokoju, czekam na „społeczność”. Ciekawe, czy ordynator poruszy sprawę naszej wspólnej nocy. Ciężko mi powstrzymać chichot. Matko, jak to brzmi! Z drugiej strony może byłoby zabawnie wmówić im, że do czegoś między nami doszło. Złamałabym regulamin. To doskonały pomysł. Chociaż naszym gołąbkom może się nie spodobać. Chyba dam sobie spokój.

Z zamyślenia wyrywa mnie pukanie. Do środka wchodzi Rojkowski. No tak! Kompletnie zapomniałam!

- Panie doktorze! - Zrywam się na równe nogi.

Przygląda mi się z zaciekawieniem.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak, tak, tak, jest okej - zbywam go, nie mogąc się doczekać mojej diagnozy.

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- No wiem, wiem. - Mam ochotę skakać. Jestem tak blisko, tak bliziotko...

- Wiesz? - dziwi się. - W takim razie czemu jesteś taka radosna?

- Wreszcie się dowiem czegoś o sobie - odpowiadam, obdarzając go uśmiechem tak promiennym, że słońce przy nim blaknie. Autentycznie.

- Ach, masz na myśli swoją diagnozę. Tak, to zaraz, po „społeczności”...

- Ale... - próbuję mu przerwać.

- Chciałbym porozmawiać o wczorajszym zdarzeniu.

Ogarnia mnie chłód. Zdążyłam zapomnieć o Norbercie. Byłam tak skupiona na Maćku, że jego osoba spadła na dalszy plan.

- Powiesz mi, co się stało?

Cała radość wyparowuje w mgnieniu oka.

- Nic takiego - warczę.

- Naprawdę? Bo mam wrażenie, że twój gość padł wczoraj ofiarą ata...

- Zamknij się. - Wytrzeszcza oczy. Nie tego się spodziewała. Nie pozwalała mu dojść do słowa. - Zamknij się, człowieku, po prostu się zamknij. - Zaciskam z całej siły pięści. - To nie twój cholerny interes. A Maciek nie zrobił nic, co zasługiwałoby na noc w pasach.

- Pragnę ci przypomnieć, że nie masz prawa się tak do mnie zwracać.

- Mam gdzieś twoje zdanie, rozumiesz? - Odwracam się tyłem i podchodzę do okna. Cała się trzęsę ze złości. Nie pozwolę mu się wtrącać. - Zdarzyło się, a tobie nic do tego. Nie będę o tym rozmawiać.

- W takim razie może porozmawiamy o twoim pustym łóżku dzisiejszej nocy? - Jego głos jest tak wyzuty z jakichkolwiek emocji, że aż mrozi mi krew w żyłach. - Co? Okażesz mi tę łaskę?

- Wykradłam się w nocy z pokoju, bo chciałam mu podziękować - wyjaśniam, usilnie próbując się uspokoić. - Zagadaliśmy się i zasnęłam. Nic więcej.

- W takim razie posłuchaj mnie teraz uważnie - zaczyna, przybrawszy chłodny ton. - Nie interesują mnie twoje nastoletnie dramaty. Jesteś pacjentem i masz przestrzegać wszystkich zasad bez wyjątku. Również tych niepisanych. Jeśli jeszcze raz złamiesz jedną z nich, choćby najdrobniejszą, zostaniesz wypisana.

Gwałtownie się prostuję.

- Rozumiesz?

Wypisana. Zostanę wypisana. Nie ma mowy, nie mogą mi tego zrobić. Nie teraz. Nie po tym, jak Maciek pobił tego

potwora. Przecież Norbert mnie zabije.

- Zadałem ci pytanie. - Przelykam ślinę i kiwam głową.
- Wspaniale. W takim razie do zobaczenia po „społeczności”. Widzimy się w gabinecie ordynatora.

Nie. Po prostu nie.

W mojej głowie toczy się zażarta bitwa. Co powinnam zrobić? Mam od teraz grać pod ich dyktando, żeby móc tu zostać? O to mu chodzi? Najwyraźniej nie mam wyboru. Muszę się powstrzymywać. Nie mogę wrócić do ośrodka. Ani teraz, ani nigdy. Mogę sobie tylko wyobrażać, co planuje dla mnie Norbert. Nawet najbardziej optymistyczna wizja przyprawia mnie o mdłości. W najlepszym razie on mnie ukatrupi.

Boję się. Boże, jak ja się straszliwie boję. Nogi mi drżą. Dłonie też. Właściwie to cała się trzęsę. Obejmuję się rękoma. Nie dam mu szansy. Nigdy więcej mnie nie zobaczy. Jeśli mnie wypiszą - ucieknę. Za wszelką cenę. Na razie jednak muszę zrobić wszystko, by tu zostać. Chociaż... Jeśli nawet mieliby mnie wypisać przez złamanie regulaminu - mogę to obejść. Dam im powód, żeby bali się zostawić mnie bez opieki. Wtedy, nawet jeżeli stanę się kłopotem, zostaną przeniesiona na inny oddział, a nie do ośrodka. Nie muszę więc trzymać się tych głupich zasad. Jak już będę wiedziała, kiedy wychodzę, upozoruję próbę samobójczą. To takie proste.

Drgawki mijają. Chichoczę, dumna z mojego planu.

Tak łatwo się mnie nie pozbędziecie. Jeszcze mnie znienawidzisz, doktoru.

Nie pojawiam się na „społeczności”, a do gabinetu ordynatora wchodzę spóźniona, ostentacyjnie trzaskając drzwiami. Niech wiedzą, że nie mają nade mną władzy. Rojkowski popełnił błąd. Jestem podatna na ideę zakazanego owocu. Mogłabym po prostu zachowywać się tak jak zwykle, ale świadomość robienia czegoś wbrew jego woli niezmiernie mnie podnieca.

Nie witam się z żadnym z nich. Z szyderczym uśmiechem opadam na fotel i zakładam nogę na nogę. Możemy zaczynać, panowie.

- Nie byłaś na „społeczności” - stwierdza ordynator, nie komentując mojego spóźnienia. - W odpowiedzi jedynie szerzej się uśmiecham. - Nie potrafisz mówić? - pyta, wyraźnie zde gustowany.

- Czasem tak ma - odpowiada za mnie Rojkowski. - Najlepiej to zignorować.

- No dobrze - wzdycha góra tłuszczu ubrana w szarą kamizelkę. - Jutro mija miesiąc, odkąd trafiłaś na oddział. Najwyższa pora porozmawiać o twojej diagnozie i ustalić plan leczenia, a co za tym idzie, termin wypisu.

- Przejdźmy do rzeczy. - Pałeczkę przejmuje psychiatra. - Po pierwsze: nie jesteś chora - i zanim zdążę się wtrącić, ciągnie dalej: - masz osobowość z pogranicza. Kiedyś rzeczywiście traktowano to jak chorobę, dziś oznacza to nie więcej jak zaburzoną osobowość. Nieprawidłową. To rzadka diagnoza u młodych osób, ponieważ w tym wieku nasz charakter wciąż się kształtuje. W twoim przypadku możemy

jednak taką ocenę przyjąć. Po drugie: twój plan leczenia. Obejmuje on cztery tygodnie.

Cztery tygodnie? A więc za trzy powinnam się targnąć na życie. Dam radę.

- Na razie zostaniemy przy tych samych lekach - kontynuuje lekarz. - Wyglądasz na w miarę wyciszoną, nie ma więc potrzeby ingerować w to, co przecież działa. Przynajmniej na razie. Wstępnie planujemy wypis po Nowym Roku, a konkretnie... - zerka w notatki - ósmego stycznia. Oczywiście jeśli twój stan na to nie będzie pozwalać, data ulegnie zmianie. Mam nadzieję, że to jasne?

Kiwam głową.

- Co zaś się tyczy samej terapii, zauważyłem, że ostatnio jej unikasz. Mam nadzieję, że schowasz jednak dumę do kieszeni i zatroszczysz się o swoje zdrowie.

Nie mogę się powstrzymać od parsknięcia. Zatroszczyć się o swoje zdrowie? Przecież podobno nic mi nie jest. Jestem tylko „zaburzona”. Ale przynajmniej mam jakąś osobowość. Wygląda na to, że wygrałam zakład. Czarna stawiała na typ impulsywny. Wreszcie na pogrzebie będą mogli powiedzieć coś ciekawego. *Borderline*.

- Widzę, że jak zwykle podchodzisz do wszystkiego z nieukrywaną pogardą. Postaram się to jednak puścić w niepamięć i...

- Może powinniśmy wytłumaczyć naszej pacjentce - wtrąca nagle ordynator - na czym dokładnie polega jej zaburzenie.

- Nie trzeba - odpowiadam szybko. - Spędziłam wystarczająco dużo czasu w Internecie, by wiedzieć, o czym mowa - tłumaczę z zimnym uśmieszkiem na wargach.

- W takim razie może podzielisz się z nami obserwacjami?

- To takie wszystko i nic - oznajmiam, zadartszy podbródek, z jednej strony lekko rozdrażniona słowem „nic”, z drugiej podekscytowana słowem „wszystko”. - Dziesięć w jednym, pełno objawów innych chorób pod jedną nazwą...

- Rzeczywiście można to ująć w ten sposób - przerywa mi Rojkowski. - Myślę, że wszyscy jesteśmy niezmiernie ciekawi, jakie objawy znalazłaś u siebie.

- Mam wymienić? - pryham z nieskrywanym lekceważeniem.

Obaj równocześnie kiwają głową.

- Zaraz, jak to było... - Udaję, że szukam odpowiedzi w pamięci, mimo że tak naprawdę tyle razy wczytywałam się we wszystkie możliwe zaburzenia, że znam ich opisy na pamięć. - Wahania nastrojów z akcentem na gniew, poczucie pustki, działania autodestrukcyjne - wyliczam na palcach - problemy w kwestii ewentualnego odrzucenia, a przy tym odrzucanie innych... To brzmi idiotycznie - zauważam nagle, ale szybko kręcę głową i kontynuuję: - Co do gniewu, to rzeczywiście czasem nad nim kompletnie nie panuję. No może nie kompletnie - poprawiam się - ale zdarza się, że mnie tak jakby... Zalewa? I to z powodu najmniejszych błahostek...

- A co z poczuciem tożsamości? - wtrąca lekarz.

Przełykam głośno ślinę.

- Ja... Ja chyba nie wiem...

- Kim jesteś, Lola?

Nie odpowiadam. Nie chcę teraz myśleć o czymś, co jest przecież tak... Bolesne.

- Tak, możemy się zgodzić ze wszystkim, co powiedziałaś

- przyznaje ordynator. - Fakt, że dostrzegasz u siebie te cechy, z pewnością jest ważny dla terapii. *Borderline* rzeczywiście jest na pozór jak obszerny worek, do którego możemy wrzucić nieskończoną ilość objawów. To osobowość, którą charakteryzuje popadanie w skrajności i niemożność znalezienia się pomiędzy nimi. I to właśnie ta cecha dominuje w każdym możliwym aspekcie życia takiej osoby.

- Jest albo maksimum, albo minimum - wtóruje mu Rojkowski. - Albo nie czujesz nic, albo czujesz wszystko. Z tym wiąże się również myślenie zero-jedynkowe. Albo ktoś jest twoim przyjacielem od serca, albo najgorszym wrogiem. Widzisz u siebie takie wartościowanie?

- Nie bardzo - stwierdzam.

- Nie? - dziwi się. - A jeśli przyjrzymy się twoim relacjom choćby z dorosłymi? Wystarczy, że ktoś się z tobą nie zgodzi, ośmieli się - ostatnie słowo mocniej akcentuje - nie przyznać ci racji, a ty już atakujesz, przyjmując równocześnie postawę obronną.

- Atakuję w obronie? - powtarzam.

- Atakujesz, bo się boisz - mówi, a następnie szybko dodaje, widząc, że chcę mu przerwać: - W każdym razie albo ktoś jest z tobą, co oznacza całkowitą zgodę na wszystko, co mówisz czy robisz, albo jest przeciwko tobie. Nie ma neutralności.

- Nie ma w tobie szarości - dopowiada ordynator.

Na chwilę zapada milczenie, w trakcie którego obaj bacznie mi się przyglądają, czekając na jakąś reakcję, ja zaś skwapliwie unikam ich wzroku, usilnie dusząc w sobie wszystkie emocje, które próbują wydostać się na zewnątrz.

- Do tego jeszcze wrócimy. Jest jeszcze sporo cech, które z łatwością można u ciebie zaobserwować, a teraz... Na czym to... - Psychiatra na chwilę zamyśla się. - Ach, no tak. Punkt trzeci: terapia rodzinna.

- Co? - wyrywa mi się.

- Te-ra-pia ro-dzin-na - sylabizuje.

- Nie mam rodziny - oznajmiam.

- To ciekawe, twoi rodzice nie wspominali, że nie istnieją.

Podrywam się z miejsca.

- Rozmawiał pan z nimi?!

- Usiądź.

- Niech pan odpowie - ponaglę, ale grzecznie siadam z powrotem.

- Tak, rozmawiałem. Przyjechali w dniu twojego przyjęcia. Rozmawiam z nimi przynajmniej raz w tygodniu.

- Co?! - Znów wstaję. - To... To niemożliwe! - wołam. - To absolutnie niemożliwe - dodaję już ciszej.

- Bo? - wtrąca się ordynator.
- Nie utrzymują ze mną kontaktu - oświadczam, siląc się na obojętność.
- Oni z tobą czy ty z nimi? - pyta Rojkowski.
- Dlaczego pan z nimi...
- Dlatego że na tym polega moja praca. Zwykle mówimy o tym pacjentom. Ze względu na waszą... trudność w relacji postanowiłem najpierw trochę rozeznaczyć się w sytuacji.

- Nie miał pan prawa.
Jak on w ogóle śmie! Nikt mnie nie zapytał o zdanie. Nie chcę, żeby tu byli.

Zaraz... Terapia rodzinna? To znaczy, że...
- Będą tu jutro.
- Nie - szepczę.
- Najwyższa pora, żebyście porozmawiali.
- Nie zgadzam się. A wy nie możecie mnie zmusić.
- Cóż, to prawda. Powinnaś jednak się zastanowić.
- Nie mam się nad czym zastanawiać. Dla mnie oni nie istnieją, rozumie pan? A teraz przepraszam, ale nie czuję się najlepiej. Powinnam wrócić do pokoju. - Po czym nie czekając na pozwolenie, wychodzę.

Co za palant! Jak on mógł mnie tak wodzić za nos? I tak mam szczęście, że w ogóle mnie uprzedził. Gdybym dowiedziała się minutę przed spotkaniem, pewnie wpadłabym w panikę. Nie jestem gotowa na rozmowę z nimi. Nie chcę być. Nie chcę ich widzieć, nie chcę ich znać. Równie dobrze mogliby być martwi.

Ciekawe, dlaczego zgodzili się przyjechać. Pewnie chcą jak zwykle obarczyć mnie odpowiedzialnością za wszelkie życiowe niepowodzenia. Nie ma mowy, nie wezmę w tym udziału. Nie mam obowiązku pojawienia się na tej durnej terapii. A Rojkowski? Niech sam sobie z nimi gada. W końcu *oni* z pewnością wiedzą wszystko najlepiej. Co z tego, że nie widzieliśmy się od dwóch lat.

Ze złością rzucam się na łóżko. Mojej współlokatorce nie ma, zapewne poszła na lekcje. Całe szczęście. Muszę mieć chwilę dla siebie. Za dużo myśli gromadzi się w mojej głowie. Jest ich całe tysiące, z trudem udaje mi się skupić.

Sprawa mojej diagnozy nie wymaga większych wyjaśnień. Czytałam o tym sporo, rzeczywiście mogłabym się z czystym sercem podpisać pod tym zaburzeniem. Jak to było... F60.3? Chyba tak. *Borderline*. To nawet ładnie brzmi. Jakoś tak... Majestatycznie. Coś w tym jest. Wreszcie jakaś wskazówka. Wiem już, kim jestem. Teraz tylko wystarczy wypełniać to, co widnieje w charakterystyce. Nareszcie mam charakter, cechy. Istnieję.

Szkoda tylko, że wszystko psuje myśl o rodzinie. Może skoro odmówiłam, nie pojawią się? Rojkowski chyba nie jest na tyle głupi, by fundować mi terapię szokową. To ostatnie, na co mam teraz siłę. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę ją miała.

Do wypisu został mi miesiąc. Pomyślmy... Za dwa tygodnie są święta, potem sylwester. Między nim a wypisem będę miała cały tydzień. Wtedy powinnam zacząć działać. Nie mogę kombinować zbyt późno, bo domyślą się, co

planuję. To musi wyglądać autentycznie. Okres świąteczny mi w tym pomoże - w końcu to czas, który powinno się spędzać z rodziną. Moja zaś nie istnieje. Wystarczy, że włączę wyrzuty sumienia, trochę się nakręcę i zrobię, co trzeba. Bułka z masłem.

Do tego momentu mam zamiar wybawić się po wszystkie czasy.

Rozczesuję splątane włosy, kiedy do pokoju wchodzi Maciek.

- Można?

- Pewnie.

Siada na łóżku. Wyraźnie toczy ze sobą jakąś wewnętrzną walkę. Jego dłonie w poszukiwaniu zajęcia bawią się suwakiem białej bluzy. Nerwowo spogląda to na mnie, to na swoje nogi. W końcu jednak zbiera się w sobie.

- Wiesz - zaczyna - chciałbym pogadać o dzisiejszej... nocy. - Uśmiecham się leciutko, ale nie odpowiadam. - Widzisz... - Nabiera powietrza pełną pierś i wolno je wypuszcza. - Po pierwsze, to chciałbym ci podziękować. To dla mnie naprawdę dużo znaczy, że właśnie mi wszystko opowiedziałaś. Nie chciałem ci przerywać, by nie wybić cię z rytmu. Poza tym chyba musiałem to wszystko przemyśleć. Właściwie to zasnąłem parę minut przed przyjściem Skwarki i dlatego powinienem cię przeprosić, bo to przeze mnie nas...

- Nakryli?

Chrząka, a jego twarz oblewa najbardziej uroczy rumieniec, jaki kiedykolwiek było mi dane zobaczyć.

- Och, jaki ty jesteś słodki! - piszczę i rzucam się na niego, by zmierzić mu włosy.

- Lola, ogarnij się. - Odpycha mnie, ale jego oczy wyraźnie się śmieją.

- Oj, to nic takiego. Za to jaką masz teraz opinię na oddziale - chichoczę.

- Bardzo śmieszne - prycha. - Wracając do tematu. Chcę z tobą omówić parę spraw. Poza tym chyba jestem ci winien jakąś rekompensatę.

- Nic mi nie jesteś winien. - Kręcę głową.

- Ale i tak ci powiem. O sobie.

- Jesteś pewien, że chcesz?

- Tak. Potrzebuję tego. Też muszę się wygadać.

- Oczywiście z chęcią posłucham, ale czy nie masz od tego Czarnej?

- No właśnie nie bardzo.

- Jak to? - pytam zdumiona. - Przecież...

- To bardziej skomplikowane, niż myślisz, Lola. - Pochmurnieje. - Ale mam jedną prośbę, dobrze?

- Wal śmiało.

- Zdradzisz mi swoje imię? To prawdziwe?

- Masz na myśli to, które mam w dokumentach? - Śmieję się, ale wcale nie jestem zadowolona z jego warunku.

- Dokładnie.

- Ale na sam koniec. Zrozumiano?

Podajemy sobie ręce na znak zawarcia umowy. Jego skóra jest przerażająco zimna i nieprzyjemnie mokra. Najwyraźniej stresuje się tym, co ma zaraz nastąpić. Przysuwam się więc bliżej i kładę mu dłoń na miękkich włosach. Z początku patrzy na mnie podejrzliwie, ale nim nadgarstek zaczyna mnie boleć od głaskania, udaje mu się trochę rozluźnić.

W tym momencie rozlega się pukanie.

- A co wy tu robicie? - pyta Czarna.

- Rozmawiamy - odpowiada jej Maciek.

- No właśnie widzę. - Dziewczyna mruży oczy.

- Jak skończę, to przyjdę - rzuca chłopak, a potem z powrotem skupia się na mnie.

Drzwi zamykają się z trzaskiem.

- O co chodzi? - pytam, nie kryjąc zaskoczenia. - Pokłóciliście się?

- Nie. Chyba nie - odpowiada zamyślony.

- Chyba?

- Nieważne. Potem do tego wrócimy. Teraz - pochyła się lekko w moją stronę - powiedz mi, dlaczego do mnie wtedy przyszedłeś.

- Ja po prostu... Uratowałeś mnie. - Staram się nie odwrócić wzroku, gdy to mówię. - Choć nie musiałeś. Co więcej, zrobiłam ci tym krzywdę.

- Nieprawda, nie opowiadaj głupot.

- Ale...

- Jeśli zwierzyłeś mi się tylko w ramach zapłaty za to, co zrobiłem, to chyba nie mamy o czym rozmawiać.

- To nie tak. To znaczy... Rzeczywiście czułam, że jestem ci to winna. Ale to nie dlatego ci o sobie opowiedziałam. Przede wszystkim chciałam, żebyś zrozumiał, o co w tym wszystkim biega. Dlaczego ten chłopak... - zacinam się na chwilę. - Po prostu nie znając całej historii, ciężko byłoby ci to ogarnąć. Poza tym - dodaję pewniejszym głosem - ufam ci.

- No właśnie na tym chciałbym się zatrzymać. Dlaczego prosiłaś, bym nic nie mówił Czarnej? Myślisz, że zaczęłyby cię inaczej traktować?

- Sama nie wiem. Chyba tak.

Przygląda mi się badawczo, ale nie komentuje. Po krótkim milczeniu zaczyna ponownie: - Żałujesz?

- Że ci powiedziałam? - Potakuje. - Nie. Jeżeli jest coś, czego z pewnością nie żałuję, to właśnie tej nocy. Czuję, że wreszcie udało mi się zrzucić trochę ciężaru, który dźwigam. Chociaż przyznaję, to trochę dziwne uczucie tak o tym mówić.

- Trochę jak terapia, co?

- Ale taka przyjemna.

- Bo dobrowolna?

- Dokładnie - śmieję się. - A jutro mam mieć rodzinę.

- Żartujesz? Kurczę... I co teraz? Pójdziesz?

- Nie ma mowy. Zresztą powiedziałam już, co o tym myślę, zarówno Rojkowskiemu, jak i ordynatorowi.

- Powinnaś uważać - ostrzega mnie.

- Dlaczego?

- Mogą cię wkręcać. Niby pójdziesz do klasy, a tam będą czekać twoi rodzice.

Czyli moje obawy nie są wcale bezpodstawne. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ten lekarzyna mnie oszukał. Ale to nic nie zmienia, po prostu ich oleję. Przecież nie przywiążą mnie do krzesła.

- Nieważne, dam sobie radę.

- Jesteś pewna? - Lekko ściska moją dłoń, jakby chcąc mnie pocieszyć. W odpowiedzi puszczam oczko.

Po chwili zaczyna bawić się moimi palcami, a ja obserwuję to z mieszanymi uczuciami. Nie chcę na razie myśleć o tym, co może się jutro stać. To tylko mogłoby mnie dodatkowo zdołować. A przecież powinnam być teraz wsparciem dla Maćka. Muszę wziąć się w garść. Natychmiast.

- Więc... powiesz mi wszystko?

- Wszystko? - pyta.

- Możesz zacząć od tego, dlaczego chciałeś zerwać z Czarną.

- Ach, to - przypomina sobie. - To niełatwa sprawa.

- Mów.

Przysuwam się jeszcze bliżej. Oboje siedzimy po turecku, stykając się kolanami.

- No dobra - wzdycha z rezygnacją i odchyła się lekko.

- Ja... Nie czuję się... Jakby to powiedzieć... - Jego palce wędrują znów do suwaka. - Nie czuję się bezpieczny. Bezpieczny dla innych.

Czekam, aż postanowi kontynuować. Nie mam zamiaru mu przerywać.

- Nie panuję nad sobą, Lola. Niby teraz jest dużo lepiej. Dzięki Czarnej. Tylko że... - Jego głos zaczyna drżeć. - Ja już do niej nic nie czuję.

- Co?! - wyrywa mi się, nim zdążę ugryźć się w język.

- Rzeczywiście, przez te pierwsze dwa tygodnie mojego pobytu było świetnie. Już drugiego dnia zaczęliśmy ze sobą być. Sama wiesz, jak tutaj wygląda zawieranie znajomości.

Tak, doskonale to wiedziałam. W normalnych warunkach ludzie potrzebują mnóstwa czasu dla zbudowania relacji. Na oddziale czasoprzestrzeń ulega jednak dziwnemu zagięciu. Praktycznie po kilku godzinach od poznania kogoś czujesz się, jakbyście byli najlepszymi przyjaciółmi przez całe życie. Dlatego ich tak szybkie zdecydowanie się na związek wcale mnie nie dziwi. Przebywamy tu ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, stąd wszystko dzieje się nieporównywalnie szybciej.

- Byłem nią oczarowany. Myślałem, że śnię. Widzisz, dziewczyny raczej mnie unikają, zresztą wcale im się nie dziwię. Mam opinię, jaką mam. Oczywiście są wyjątki. Ale szybko kapitulują, kiedy... kiedy zaczynają się mnie bać.

To musi być dla niego straszne. Dlaczego nigdy o tym nie myślałam? Przecież on musi być straszliwie samotny.

- W każdym razie w dniu przyjęcia byłem wściekły. Nie mogłem się pogodzić z nową sytuacją. Cały czas ledwo nad sobą panowałem, w końcu wybuchnąłem. To było na

stołówce. Nawet nie wiem, o co mi chodziło, jak zwykle jakaś drobnostka.

- Kropla, która przelała czarę?

- Dokładnie. Talerze, sztuce, wszystko zaczęło latać. Pielęgniarki nawet nie starały się mnie powstrzymać. Od razu pobiegły po pomoc, przy okazji wyprowadzając pacjentów. Ale oczywiście *ona* była mądrzejsza. Została i próbowała mnie uspokoić. Zachowała się idiotycznie. Naprawdę nie wiem, co jej strzeliło do głowy. Jej starania jeszcze bardziej mnie wkurzyły. Wrzeszczałem, żeby dała mi spokój, zostawiła mnie samego. A ona wciąż stała z przyklejonym uśmiechem. Zacząłem... - głośno przełyka ślinę

- ...jej grozić, że... Że jak nie wyjdzie, to ją...

Głos mu się łamie. Nachylam się do niego i mocno obejmuję. Chowa twarz w moich włosach, ciężko dysząc. Trzęsie się, jakby panował straszliwy mróz.

- Spokojnie, nic się nie dzieje.

- Uderzyłem ją - szepcze.

Szloch wstrząsa jego ciałem. Nie wiem, co mu powiedzieć, co mu poradzić, jak go pocieszyć. Jak mam mu pomóc?

Nigdy o tym nie myślałam w ten sposób. Zawsze wyobrażałam go sobie po prostu jako chłopaka z problemem. Mniej panującego nad emocjami. A jednak dopiero teraz zaczynam rozumieć, że jego choroba jest straszniejsza, niż może się wydawać. Bo ja mogę się pociąć, kieruję ból tylko do wewnątrz, skupiam go na sobie. Jak

straszne wyrzuty sumienia musi mieć Maciek, jeśli przeleje złość na kogoś innego? A co, jeśli kiedyś zrobił krzywdę komuś z rodziny? Jakie uczucia muszą się kryć za tym smutnym uśmiechem?

Przytulam go tak mocno, jak potrafię. Tak jakbym bała się, że nie tylko on rozpadnie się pod naporem tych emocji. Jakbym próbowała chronić i siebie.

- To, że wtedy nic nas jeszcze nie łączyło, nie ma żadnego znaczenia - tłumaczy. - Zrobiłem jej krzywdę, Lola. Nie tylko jej. Zanim ją spotkałem, to działo się częściej, niż myślisz. A najczęściej dostawało się tym, którzy... Którzy byli najbliżej.

Nie musi mówić nic więcej. Rodzina, to oczywiste. Za wiele o nich nie mówi. Wiem tylko, że bardzo go wspierają. Są tu co weekend, czasem wpadają w ciągu tygodnia. Jego brat dzwoni do niego co wieczór. Nie na długo, ale to zawsze coś. Okazuje mu miłość, chociaż być może niejednokrotnie został przez niego skrzywdzony. Wybacza mu błędy, bo wie, że to choroba, a nie Maciek.

Wybaczenie. Ciekawe, czy i mnie by wybaczone...

- Nawet nie wiesz, jak to jest - łka, a jego płacz łamie mi serce. - Uderzyłem ojca. Matkę. Brata. Potrafię zaatakować każdego. Kiedy wpadam w złość, przestaję być sobą. Ten chłopak, któremu rozbiłem głowę... Lola, ja go przecież mogłem zabić. Mogłem go zabić! - woła, rozpaczliwie wbijając palce w moje plecy. - A jeśli kiedyś nie skończy się na siniakach? Albo na szpitalu? Co będzie,

jeśli kiedyś wyślę kogoś do grobu, bo nie potrafię poskromić własnych emocji?!

- Wystarczy. - Odsuwam go siłą. - Nakręcasz się.

- Ale taka jest prawda. - Ociera łyzy rękawem. - Jestem nieobliczalny. Niebezpieczny.

- Jesteś najspokojniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam - oświadczam. - I nie pozwolę ci myśleć inaczej. Musisz tylko nauczyć się... Nauczyć się rozpoznawać ten moment na chwilę przed wybuchem. Wtedy wystarczy, że...

- Próbuję, ale...

- Masz Czarną. Masz mnie. Masz kochających rodziców. Może być tylko lepiej, rozumiesz? Spójrz na siebie. Półtora miesiąca bez żadnych sensacji! To dopiero osiągnięcie. A i ta bójka wczoraj była z mojej winy, więc się nie liczy.

- Pielęgniarki mówią, że grzmotnąłby trochę mocniej i byłby trupem.

- A wtedy ja całowałabym cię po stopach z wdzięczności. Wybacz, nie powinnam tak żartować - dodaję szybko, widząc, jak się krzywi.

- Nic nie szkodzi.

- Jeśli mogę ci jakoś pomóc...

- Właśnie to robisz. - Posyła mi słaby uśmiech. - Dzięki, Lola.

- Polecam się na przyszłość. Ale to wciąż nie wyjaśnia, czemu chciałeś z nią zerwać. To tak z ostrożności? Boisz się, że coś jej zrobisz?

- Nie do końca. To znaczy też, ale... Powiedzmy, że ja się trochę zmuszam.

Otwieram usta ze zdziwienia. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

- Zmuszasz?

- Bo widzisz, na początku byłem nią bardzo zauroczony. Ale dość szybko się okazało, że ona mnie trochę... Męczy. Tak, myślę, że to dobre słowo. I ten jej charakter... Jest wredna, narcystyczna i straszliwie... dominująca. Zrobiła sobie ze mnie więźnia, przecież widziałas. Chodzę uczepiony jej jak na smyczy. Jestem tu półtora miesiąca, a praktycznie tylko z nią rozmawiam, żeby nikomu nie narobić problemów. Jak zauważa, że przenoszę uwagę na kogoś innego niż ona, zaraz zaczyna świrować. Tylko ciebie toleruje, ale nie wiem, ile to jeszcze potrwa. Prawda jest taka, że jestem z nią, bo czuję, że tak trzeba. Pomogła mi się trochę ogarnąć. Nie mogę jej teraz odrzucić. Liczę na to, że będziemy ze sobą tak długo, jak się da.

No teraz to jestem już kompletnie zdezorientowana.

- Czekał, bo chyba się pogubiłam. Nie kochasz jej?

- No nie.

- Jesteś z nią, bo masz u niej dług?

- Tak.

- Najchętniej byś z nią zerwał, bo już nie wytrzymujesz?

- Dokładnie.

- W takim razie...

- To pierwsza dziewczyna, która się mnie nie boi.

- Czekał...

- Nie wierzę, że spotkam kogoś, kto mnie zaakceptuje.

A ona to robi. Dlatego mimo całego tego bałaganu, mimo że

nie odwzajemniam jej uczuć, zostanę przy niej. Tak długo, jak będzie tego chciała. Choćbym miał ją okłamywać do końca świata.

Wytrzeszczam oczy ze zdumienia. To się nie trzyma kupy.

- Jesteś chory - oświadczam, nie bardzo wierząc w jego słowa.

Maciek wybucha głośnym śmiechem.

- Wszyscy jesteście.

- Ale...

- Jak masz na imię? - zmienia temat.

- Maciek, przecież...

- Umowa! - Trąca mój policzek palcem wskazującym.

- Jesteś okropny.

- Wiem - przyznaje. Chyba mu ulżyło, bo wygląda na dużo spokojniejszego niż na początku rozmowy. - To jak masz na imię, Lola?

Siedzimy w sali terapii, oglądając jakiś durny film. Jeśli mam być szczerą, to właśnie takie ogląda nam się najlepiej. Oczywiście często sięgamy po klasyki czy inne pozycje wymagające ruszenia mózgowicą. Nie ma jednak nic bardziej odprężającego niż głupawe amerykańskie komedie. Kiedy jeszcze raczysz się nimi w gronie świrów, wśród zapachu dwunastu rodzajów herbaty, każda scena wydaje się być zabójczo zabawna.

Zabójczo to dobrze powiedziane, bo już po kilku minutach chłopak z autyzmem krztusi się swoim budyniem,

o mało nie przyprawiając nas o zawał serca. To dobry dzieciak. Na ogół nie bardzo ogarnia, co się wokół niego dzieje, ale zdarzają się momenty, w których zachowuje się tak jak każdy z nas. Pomijając okazjonalne wybuchy złości, jest naprawdę w porządku. To ze względu na niego do repertuaru weszło tyle lżejszych „dzieł”. Niech ma coś od życia.

Próbuję sobie wyobrazić, jak zareagowałiby na niego moi rówieśnicy. Pewnie albo by go unikali za wszelką cenę, albo zrobili z niego powód do drwin. Cóż, ja raczej bym wybrała tę pierwszą opcję. Teraz jednak, kiedy widzę, jak cieszy się, mogąc siedzieć tu z nami, wstyd mi za siebie. Człowiek tak bardzo boi się nieznanego. A to przecież chłopiec jak każdy inny. Równie żywy, ciepły i potrzebujący miłości. Może tylko trochę... uszkodzony.

Siedzę obok Maćka, który tęsknie spogląda na Czarną, skrytą w kącie. A może patrzy tak na jej pluszowego węża. Muszę przyznać, że dziwnie się bez niego czuję. Z początku moja przyjaciółka chciała się do mnie dosiąść, ale przypomniała sobie, że podobno zdradził ją ze mną jej chłopak. Uśmiechnęła się więc przeprasząco i usiadła z dala od nas.

- Ciekawe, ile tak wytrzyma - szepcze Maciek, najwyraźniej czytając mi w myślach.

- Pewnie niedługo. Przecież ją znasz.

- Mogłaby chociaż podzielić się tym głupim wężem.

- Co, zimno ci w łapki? - pytam uszczypliwie.

- Raczej pusto. Chcesz mi w tym pomóc? - Błyska zębami.

- Zboczeniec! - Uderzam go lekko łokciem.

- No nie bądź taka, chociaż daj mi rękę do potrzymania. Niech to widzi.

- Czarna cię zabije - oświadczam zupełnie poważnie, ale podaję mu dłoń.

Tej nocy nie mogę zasnąć. Myślę o wszystkim po kolei. O Norbercie, ośrodku, Maćku, Czarnej, rodzinie, mojej diagnozie. Czas płynie, a ja wciąż nie mogę się uspokoić. W nieskończoność analizuję każdą sekundę ostatnich dwóch dni.

Co będzie dalej? Mam dziwne wrażenie, że jutrzejszy dzień okaże się przełomowy. Może to dlatego, że minie pełny miesiąc mojego pobytu na oddziale. Czuję się, jakbym była przyjmowana ledwie wczoraj. Te tygodnie przeleciały w mgnieniu oka. Zapewne z kolejnymi będzie podobnie. Dobrze, że nie muszę się tym martwić. Mój plan jest banalnie prosty i z pewnością zadziała. Należy się cieszyć każdą chwilą w tym miejscu.

W końcu zrezygnowana podnoszę się z łóżka. Dawno nie prosiłam o dodatkowe leki. Nie powinno być problemu.

Po wyjściu z pokoju zauważam, że w dyżurce nikogo nie ma. Drzwi są zamknięte, a światła zgaszone. Najwyraźniej wszyscy są w zabiegowym. Ciekawe, co tam się dzieje. Niestety przez dziurkę od klucza nic nie widać. Pozostaje mi przytknąć ucho do zimnej powierzchni i nasłuchiwać.

- Przepraszam...

Czarna! Co ona tam robi?

- Nic się nie stało, kochanie. Każdemu może się zdarzyć
- odpowiada jej kobiecy głos.

- Ale nie pójde na ścisłą?

- O tym zadecyduje lekarz. Dzisiaj prześpisz się na korytarzu, zaraz rozłożymy ci łóżko polowe, dobrze?

Kroki robią się coraz głośniejsze. Z prędkością światła odskakuję i pędzę do pokoju, Drzwi jednak zostawiam uchylone, by móc wyjrzeć na zewnątrz. Po chwili w dyżurce robi się jasno. Pielęgniarka sadza skuloną dziewczynę na krześle. Na korytarzu coś trzeszczy. Chwilę później pojawia się sanitariusz.

- Przyniosę ci pościel - rzuca, po czym kieruje się w moją stronę.

Szybko zamykam drzwi i wskakuję do łóżka.

Co ona znowu narobiła?

Czuję się, jakby przejechał po mnie czołg. Kilka razy. Jakieś kilka tysięcy razy. W końcu nie udało mi się zmrużyć oka. Moje ciało zdaje się ważyć tonę, kiedy podnoszę się z łóżka. A więc to już miesiąc. Może powinnam zrobić coś specjalnego?

Staję twarzą do okna i powoli zaczynam się rozciągać. Moje mięśnie rwą się na znak protestu, ale nie przestaję. Już wystarczająco długo pozwalałam im odpocząć. Czuję, że dzisiejszy dzień będzie wyjątkowy. Trzeba to uczcić. Najlepiej seria przysiadów. I paroma innymi

nieprzyjemnymi ćwiczeniami. Po kilkunastu minutach dyszę jak pies. Ledwie minął miesiąc, a moja kondycja leży. Właściwie nie ma co się dziwić. Tutaj prowadzimy siedząco-leżący tryb życia. Całe szczęście jak na razie nie odbiło się to chyba na mojej sylwetce. Chociaż... Chyba stanik zrobił się jakiś ciaśniejszy. A to przecież dobry znak. Brzuch wciąż płaski, nogi szczupłe, ramiona w normie.

Oto nadszedł ten dzień. Przełom w dziejach kobiecości. Poszło w cycki.

Wciągam szybko bawełnianą sukienkę. To nie czas na spodnie. Należy uczcić ten cud. I to porządnie. Dlatego też łapię za kosmetyczkę i pospiesznie wysypuję jej zawartość na łóżko. W szpitalu nie widzę potrzeby noszenia makijażu. Ale nie dziś. Dziś bowiem jest dzień szczególny. Kończę chwilę przed śniadaniem. Pospiesznie przeczesuję włosy i wiążę je wysoko w kucyk. Jeszcze raz przeglądam się w małym lusterku. Jeszcze tylko umyć zęby i będzie idealnie.

Pospiesznie wychodzę na korytarz, kierując się do łazienki. Coś jednak mi nie pasuje. Zresztą nieważne. Wchodzę do środka i w pośpiechu nakładam pastę. Coś mi tu nie gra...

Czarna!

Z wrażenia opluwam sobie brodę. Brawo, geniuszu.

Łóżko polowe zostało już zabrane. Może chcą ukryć przed pacjentami tę sytuację? Powinnam jak najprędzej znaleźć przyjaciółkę. Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia, pospiesznie odkładam szczoteczkę i tubkę pasty

do pokoju. Chwilę później stoję już przy stołówce. Nie zajmuję jednak miejsca w kolejce. Zaglądam do pomieszczenia, szukając Czarnej wzrokiem. Nic z tego. Szybko wycofuję się z zamiarem zapytania o nią w dyżurce.

- Lola, czekaj!

Nawet się nie odwracam. Muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest.

- Lola, stój! - Maciek łapie mnie za ramię.

- Nie mam czasu. Coś nie tak z...

Nie kończę, bo oto moja przyjaciółka jak gdyby nigdy nic wychodzi z zabiegowego. Wygląda najzupełniej normalnie. Widząc nas, podchodzi z uśmiechem.

- Proszę, proszę, już od rana razem, co?

Chłopak momentalnie mnie puszcza.

- Zazdrosna?

- Niezbyt. - Wzrusza ramionami.

- Wszystko w porządku? - wtrącam się.

- Tak. Dlaczego pytasz? - dziwi się.

- Spałaś? - atakuję trochę zbyt szybko.

Maciek patrzy na mnie jak na upośledzoną. Czarna z kolei wygląda na zaskoczoną. Ale za dobrze ją znam. Widzę, że udaje. Jej oczy rzucają ostrzegawcze błyski.

- A co, ty nie? - pyta, równocześnie prawie niedostrzegalnie kręcąc głową.

- Chyba nie bardzo - potwierdzam.

- Nie stójmy tu. Śniadanie czeka.

Myślę, że nawet osoby postronne wyczuwają napięcie między naszą trójką. Choć Czarna dwoi się i troi, by zachować pozory, Maciek nie do końca radzi sobie z dotrzymaniem jej kroku. Ja z kolei obserwuję całą sytuację z przymrużeniem oka. To jedyny ratunek przed wzbierającą we mnie złością. Nie dość, że wisi nade mną spotkanie z rodziną, a dwie godziny drogi stąd Norbert planuje krwawą zemstę, to jeszcze muszę znosić ich nastoletnie problemy. Oczywiście nie mówię o moim przyjacielu. Jego całkowicie rozgrzeszam, ponieważ powiedział mi prawdę, mimo że na pewno dużo go to kosztowało. Ale jego dziewczyna?

Chociaż wiem, że ja również jej nie zaufałam. Obawiam się, że mimowolnie wyrosła między nami jakaś ściana uniemożliwiająca normalne porozumiewanie się. Być może to moja wina, bo zwróciłam się do jej chłopaka, nie do niej. Zauważam jednak, że ten dystans, który pojawił się w naszej relacji, wcale mi specjalnie nie przeszkadza. Nie w sposób, którego można by się spodziewać. Nie czuję bowiem smutku. Żalu również nie. Jestem raczej poirytowana. Sama nie wiem, skąd takie, a nie inne odczucia. To chyba dlatego, że powoli zaczynam mieć dość jej kłamstw. O ile ja rzeczywiście ukrywałam wszystko, to jednak otwarcie o tym mówiłam, nie wykręcałam się sztucznymi uśmiechami. Kiedy czasem padało jakieś niewygodne pytanie, wołałam powiedzieć: nie chcę o tym rozmawiać. Było mnie stać choć na tyle szczerości. Ją to najwyraźniej przerastało.

Przez ten miesiąc byłam tą dziewczyną szczerze zafascynowana. Jej energia pociągała mnie, lgnęłam do niej jak ćma do światła. A jednak powoli ta jasność zaczyna mnie męczyć. Czarna jest sztuczna, zakłamana, a ja nie wiem, na ile to kwestia choroby, a na ile jej charakteru. Może to hipokryzja, sama nie jestem lepsza. Ale, na Boga, mogłaby chociaż Maćkowi wyznać prawdę, zamiast rzucać mi porozumiewawcze spojrzenia: „jak mu powiesz, to zabiję”. Korci mnie, by powiedzieć mu o jej nocnych przygodach. Ciekawe, jak by zareagował. Zanim jednak ewentualnie się tego podejmę, muszę znać prawdę. Kiedy tylko chłopak znika w łazience, łapię Czarną pod ramię i ciągnę na stronę.

- Co tu się wyrabia, do cholery? - szepczę. - Dlaczego spałaś na korytarzu?

- Nieważne - odpowiada, unikając mojego spojrzenia.

- Mów. - Szturcham ją.

- Nie chcę o tym gadać, jasne? - rzuca, po czym odwraca się i rusza w kierunku pokojów.

Nawet nie próbuję jej zatrzymać. Jak chce się obrażać - proszę bardzo. Ja nie będę się angażować w jej głupie zagrywki. Chwilę później Maciek wychodzi z łazienki, zdziwiony, że tylko ja na niego czekam. Chyba pora zaryzykować.

- Musimy pogadać - oświadczam.

- Domyślam się - mówi, po czym wkłada ręce do kieszeni i odchyła głowę do tyłu, ciężko wypuszczając powietrze. - Dobra, jestem gotowy. O co jej chodzi?

- A więc nie tak łatwo cię oszukać - stwierdzam z podziwem. - Chodź, wszystko ci opowiem. Ale główna zainteresowana ma nic nie wiedzieć, dobrze?

Na „społeczności” Czarna patrzy na nas spode łba. Nie tak łatwo ją zwieść. A może to Maciek zbyt nerwowo się zachowuje, kiedy tylko ta na niego spojrzy. Obawiam się, że nasza wielka przyjaźń to przeszłość, być może ich związek również.

Czuję dziwne klucie w okolicach serca. Weszłam między nich. Wtrąciłam się w ich relację i podkopałam zaufanie między nimi. Nie chciałam jednak tego, co dzieje się teraz. Pragnęłam tylko szczerości. Najwyraźniej się przeliczyłam.

- Coś się stało? - szepcze mi do ucha Maciek.

- Nie rozumiem.

- Jakoś inaczej dziś wyglądasz.

- Mistrzem podrywu to ty nie jesteś - wzdycham.

Uśmiecha się lekko. Po chwili jednak ostrożnie zerka na Czarną. Chyba sam nie wie, co do niej czuje. A ja nie wiem tym bardziej.

Mam dosyć tych dramatów. Muszę się trochę rozluźnić. Natychmiast.

Rozdział 15

Leżę na kanapie. Leżę, leżę, leżę. I nic.

Nudzi mi się.

Czarna uparcie się do mnie nie odzywa. Do Maćka też nie. Nie, nie, nie, nie odzywa się.

Boże, powoli zaczyna mi odbijać.

Gdy wyszliśmy ze „społeczności”, oboje pognali w swoją stronę. Maciek do siebie, Czarna do siebie. A kilka minut później obrali ten sam kierunek. Klasę.

Powinnam iść na lekcje, ale nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. Już postanowiłam. Idę pod prąd. I koniec. Kropka. Mam zamiar całkowicie skupić się na przyjemnościach, przy okazji łamiąc wszelkie możliwe

zasady.

I właśnie dlatego leżę w szlafroku. Ordynator mnie za to znienawidzi.

No więc leżę sobie w szlafroku, całym czarnym, podobnie jak moje zepsute serce. Nogi przewiesiłam przez kanapę i bezustannie gapię się w sufit. Cóż, to może nie jest zbyt ekscytująca forma buntu, ale zawsze jakiś początek. Wbrew pozorom, kiedy już się nad tym zastanowić, niewiele

jest tu okazji do stawiania się. Mogę co najwyżej pójść zapalić. Tylko że ja nienawidzę tego robić. Zawsze mogę się położyć na podłodze. Najlepiej na środku, uniemożliwiając innym przejście przez korytarz.

Kładę się na lekko ciepłym linoleum. Ale nie w poprzek, bo jednak nie chcę, żeby ktoś nade mną przechodził. Opieram podbródek na rękach i zawieszam wzrok na drzwiach wyjściowych. Właściwie to chętnie poszłabym na spacer.

Och, jestem genialna.

Mam plan.

- A panna co tak chichoczesz? - pyta sanitariusz, przechodząc obok.

- Wpadłam na arcyministrzowski pomysł, panie Krzysiu - oświadczam dumnie, przeciągając sylaby.

- To przez oddziaływanie podłogi? - śmieje się.

- Ha! Pewnie! Pan sam sprawdzi - proponuję.

Po chwili siwiejący już mężczyzna kładzie się na ziemi obok mnie.

- Wie pan - zaczynam - to działa tylko na brzuchu.

Wypełnia polecenie. Leżymy tak przez chwilę.

- Myśli pan, że szaleństwo jest zaraźliwe?

- Zważywszy na to, że tu leżę - zamyśla się na moment - chyba tak.

- Ma pan żonę? - Wystawiam język.

- A co, zainteresowana?

- No wie pan... - oburzam się. - Za dwadzieścia lat pogadamy.

Cisza.

- Długo jeszcze? - pyta mężczyzna.

- Ale co?

- Czy długo tak trzeba leżeć, żeby wpaść na arcymistrzowski pomysł?

- A to różnie - odpowiadam, przybierając śmiertelnie poważną minę.

W tym momencie z dyżurki wychodzi Skwarka.

- Matko jedyna, panie Krzysiu! Co pan robi?

- Myślę.

- Ale na podłodze? Lola, co ty znowu kombinujesz?

- Plan ucieczki, *madame*.

- Słucham?!

- Na mnie już pora - oświadczam i szybko się podnoszę.

Pan Krzyś bierze ze mnie przykład. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Mężczyzna zagaduje kobietę, nim ta zdąży mnie zaatakować serią niewygodnych pytań. A przecież nie musi nic wiedzieć.

Do obiadu wałęsam się po oddziale bez wyraźnego celu. Odwiedzam praktycznie każdego pacjenta, w tym chłopca z autyzmem, którego udaje mi się namówić na wspólną grę w ping-ponga. Co prawda ma trochę trudności z prawidłowym posługiwaniem się raketką, ale zabawa jest naprawdę przednia. W końcu połowa oddziału zbiera się w sali terapii. Ustalamy kolejność tak, żeby każdy mógł zagrać. Turniej pozostaje jednak nierozstrzygnięty, bo w pewnym momencie jeden z pacjentów w złości rozdeptuje jedyną piłeczkę. Jeszcze przy posiłku wciąż trwa narzekanie

na zaistniałą sytuację. W końcu Skwarka obiecuje kupić parę nowych.

Znów wszyscy troje siedzimy razem, ale nie potrafimy przeskoczyć ciszy między nami. W końcu nie wytrzymuję. Nie mam zamiaru czekać w nieskończoność. Co z tego, że to trwa tak krótko? Czas tutaj płynie inaczej, problemy należy więc rozwiązywać równie szybko.

- Słuchajcie mnie teraz uważnie - zaczynam. - Daję wam jeden pieprzony dzień na załatwienie tych waszych spraw. Dopóki tego nie wyjaśnicie, oboje się do mnie nie odzywajcie. Weźcie wreszcie odpowiedzialność za samych siebie.

Oboje są oszołomieni. Może gram nieczysto, przesadzam i tylko pogarszam sprawę, ale dziś ostatecznie zadecydowałam. Mam dość. Najwyższa pora zacząć ryzykować.

Kiedy wychodzę ze stołówki, dosłownie wpadam na Rojkowskiego.

- Jesteś.

- No co ty nie powiesz, doktorku.

Jego brwi podjeżdżają aż do sufitu, przebijają się przez dziewięć piętér i łączą z chmurami.

- Co za przemiana, jestem pod wrażeniem - stwierdza z podziwem.

- Ha, no wiem. Tak sobie pomyślałam, wie pan, że należy zacząć żyć.

- Chcesz mi powiedzieć więcej? Może w gabinecie?

- Pańską propozycję uważam za niemoralną i niesmaczną

- odpowiadam i zostawiam go całkowicie zdębiałego.

Nawet nie powstrzymuję uśmiechu. To takie proste. Wystarczy mówić i robić to, na co ma się ochotę. Dlaczego wcześniej tak nie czyniałam?

W tym momencie spostrzegam nieznaną dziewczynę, która przerażona wychodzi z zabiegowego za pielęgniarką. Jej brązowe włosy poskręcane są w sprężynki. Zabawnie podskakują przy nawet najmniejszym ruchu ich drobnej właścicielki. Sięgają mniej więcej do łopatek i zdają się mieć więcej życia niż cały nasz oddział. Zafascynowana przyglądam się nowej pacjentce. Wygląda na młodszą ode mnie. Karnację ma przerażająco bladą, piegi wyraźnie odcinają się od skóry. Kiedy jej zielone oczy na chwilę chwytają moje spojrzenie, nowa w lekkiej panice przygryza brzoskwiniowe wargi, równocześnie kuląc się w przydużym swetrze, przywodzącym na myśl jesienne liście. Szybko odwraca wzrok, wyraźnie zakłopotana. Za to ja czuję, jakby walnął we mnie piorun. Nie bardzo wiem, o co chodzi w tym dziwnym uczuciu, którego właśnie doświadczam, ale udaje mi się sformułować jedną myśl.

To jest to.

Wciąż stoję jak słup soli, gdy dziewczyna jest prowadzona w stronę pokojów. Mam wrażenie, że odkryłam właśnie coś niezwykle ważnego. Że ta dziwna osóbka to ktoś absolutnie przełomowy dla całego mojego życia.

Jeszcze nie wiem, czy to kwestia mojego dzisiejszego postanowienia, stuknięcia miesięcznicy, za małej miseczki, nieprzespanej nocy czy czegoś innego. Ale wiem za to, że zbliżę się do niej. Za wszelką cenę. I nawet wiem już jak.

- Mam dla ciebie misję, wujaszku.
- Tak? - pyta pan Krzyś, wyraźnie zainteresowany.
- Kojarzy pan tę nową?
- Pewnie. O co chodzi?
- Musi się pan upewnić, że pójdzie dziś na spacer.

Nie trzeba mu mówić nic więcej. Puszczą do mnie oczko i podkreca w zadumie iście zbójckiego wąsa. Kiedy odchodzę, odprowadza mnie wzrokiem.

Wciągając na stopy lśniące skórzane botki. Zakładając dopasowany czarny płaszcz, zastanawiam się, czy nogi nie zmarzną mi w tych cieniutkich rajstopach. Niestety musiałam się przeprosić z sukienką. Mówi się trudno. Jakoś dam radę. Na dworze najprawdopodobniej jest ujemna temperatura, nie dziwi mnie, że znalazło się jedynie pięcioro chętnych na spacer. Wśród nich jest i nowa pacjentka.

Wychodzimy z oddziału. W poczekalni jedna z dwóch pilnujących wychowawczyń podlicza nas ponownie. Tak jakby ktoś miał magicznie zniknąć, przechodząc przez drzwi. Najzabawniejsze jest jednak to, że gdy przekraczamy kolejne, robi to znowu. Nawet nie próbuję się powstrzymywać.

- Dzięki Bogu, że panią mamy. Przecież mogliśmy się dwukrotnie zgubić - szydę.

Nawet nie zwracam uwagi na jej odpowiedź. Wciąż z dwuznacznym uśmiechem obserwuję nową. Widząc przerażenie malujące się na jej twarzy, czuję jakąś chorą satysfakcję. A to przecież jeszcze nie koniec. Gra się dopiero zaczyna.

Kiedy idziemy, zakładam słuchawki i włączam odtwarzacz pożyczony od jednego z pacjentów. Stawiam kroki w rytm energicznej piosenki, kołysząc biodrami i nucąc melodię. Czuję się jak w jednym z tych teledysków, których tak nienawidzę. Teraz jednak daje mi to siłę potrzebną do tego, co mam zamiar zrobić. Muzyka nakręca mnie do granic możliwości, pobudzając lepiej niż narkotyki. Suniemy przez szpital, dom choroby, śmierci. A ja z przyjemnością łamię kolejną z zasad, nie okazując powagi nawet w najmniejszym stopniu.

Automatyczne drzwi otwierają się przed nami, uderza mnie orzeźwiający chłód. Mroźny wiatr owija mnie swoimi ramionami, zapraszając do tańca. Z rozkoszą daję się ponieść. Zeskakuję ze schodków, o mało nie tracąc równowagi na zlodowaciałej ziemi. Okręcam się wokół własnej osi i nie czekając na resztę grupy, ruszam przed siebie tanecznym krokiem, smakując każdy migotliwy błysk śniegu. Mrok grudniowego popołudnia kusi mnie swą głębią. Nie mogę utrzymać myśli w ryzach. Nie wytrzymam tych kilkunastu minut!

Kiedy okrążamy budynek, krew we mnie wrze. Podniecenie uderza we mnie nieznośnymi falami obezwładniających iskier. Raz po raz przebiega mnie

dreszcz. Ryzykuję. Ryzykuję wszystko. I ta myśl działa na mnie lepiej niż najsilniejszy z psychotropów.

Nie dadzą rady się mnie pozbyć. Mogę robić, co chcę. I właśnie dziś zagram im wszystkim na nosie. Nie tylko lekarzom czy pielęgniarce. Całemu światu. Wzniecę mój mały bunt przeciwko sobie. Przeciwko płaczącej dziewczynce, zbuntowanej gimnazjalistce, przeciwko Loli. To będzie chrzest. Narodzę się na nowo właśnie dziś, ósmego grudnia. W dzień, kiedy mija czwarty tydzień mojego pobytu.

Spacer powoli dobiega końca. Jeszcze tylko trochę, jeszcze parę kroków. Wokół panuje kompletna ciemność. Za kilka sekund minimy róg budynku. To moja szansa. Pilnujące nas kobiety idą z tyłu, ledwo nadążając za tempem, które narzuciłam całej grupie. Nie domyślają się, że nie bez powodu maszeruję tak szybko.

Wtem odwracam się i łapię nową za rękę. A potem puszczam się biegiem, jakby jutra miało nie być. Zanim dociera do niej, co się dzieje, jesteśmy już w budynku. Światło lamp wiszących przez chwilę nas oślepia, ale wytrwale ciągnę ją za sobą, zaciskając palce na jej nadgarstku. Jest tak oszołomiona, że nawet nie próbuje się wyrwać. Posłusznie biegnie za mną. Wpadamy w korytarz kończący się oddziałem. Nie kierujemy się jednak do drzwi. Gwałtownie skręcam w lewo. Dziewczyna przez moment się chwieje, jakby miała upaść. Ostatkiem sił wpycham ją do ciasnej windy i szybko wciskam guzik z czwórka.

Wykorzystuję tę chwilę, by złapać oddech. To jeszcze nie koniec. Zerkam na moją towarzyszkę. Opiera się o ścianę. Na jej czole lśnią krople potu. Nie patrzy na mnie, lecz przed siebie. Nim udaje jej się odpocząć, drzwi otwierają się, a ja już wlokę ją za sobą, wcześniej wcisnąwszy guziki odpowiadające trzem pierwszym piętrům.

Doskonale wiem, co robić. Każdemu z nas robią podstawowe badania neurologiczne w ciągu pierwszych kilku dni pobytu. Jeździmy wtedy aż na samą górę. Kiedy to mnie prowadziła na nie pielęgniarzka, winda była zepsuta. Dzięki temu miałam okazję zwiedzić pół bloku. Biegnę korytarzami, próbując przypomnieć sobie trasę, którą wtedy pokonałam. Najpierw na klatkę schodową, dwa piętra w górę, korytarzem w stronę dziwnego obrazu przedstawiającego kubistyczną wersję jamnika, następnie w prawo, aż do kolejnej windy. Tym razem na ósme.

Gdy wysiadamy, wybieram znowu najniższe piętra. Teraz najgorszy moment. Musimy dostać się na dziewiąte niezauważone. Na szczęście nie ma tu kamer. Podejrzewam jednak, że nasza grupa już zdążyła wrócić na oddział i teraz szuka nas pół szpitala. Możemy się skradać, dzięki czemu będziemy mogły jako tako przewidzieć niebezpieczeństwo, ale za to ryzykujemy utratę cennych sekund. Druga opcja daje nam czas, ale to niejako misja samobójcza.

- Szybka decyzja. Raz kozie śmierć czy nadmierna ostrożność? - pytam, przerzucając na nią odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenie.

Przełyka głośno ślinę. Oczy jej płoną, na policzki wstępuje rumieniec. Po chwili oznajmia zdecydowanym głosem:

- To pierwsze.

Uśmiecham się zwycięsko. Wiedziałam, że będzie ciekawie.

- Gotowa?

Kiedy tylko przytakuje głową, zrywam się po raz ostatni do biegu. Pokonujemy odległość między windą a schodami w takim tempie, że nawet nie podejrzewałam się o możliwość nabrania takiej prędkości. Po drodze miga mi przed oczami parę postaci, ale zaciskam zęby i skupiam się na dotarciu do celu. Przeskakujemy po kilka schodków naraz. Wbiegamy w ostatni korytarz mieszczący się na dziewiątym piętrze. Zatrzymujemy się na samym jego końcu.

Oto chwila prawdy. To w tym momencie okaże się, czy cały ten wysiłek nie poszedł na marne. Z duszą na ramieniu kładę dłoń na klamce drzwi opatrzonej napisem: „Wyjście na dach. Wstęp tylko dla personelu technicznego”.

Powietrze wita nas mroźnym pocałunkiem. Wiatr łopocze połamami mojego płaszcza, plącze mi włosy, wije się wokół nas, niosąc ze sobą nieskończenie wiele białych drobinek. Pod naszymi stopami rozciąga się pulsujące miasto z milionem świateł przejeżdżających samochodów. Rozglądam się, łapczywie chłonąc każdy szczegół, chcąc wryć ten moment trwale w pamięć, by kiedyś do niego wrócić.

Z góry wszystko wydaje się całkowicie abstrakcyjne, magiczne, jakbyśmy patrzyły na zupełnie inny, nierealny świat. Wnet zapominam o wszelkich zmartwieniach. Myśl o charakterze budynku, na którego szczycie stoimy, umyka gdzieś daleko. Stoję w innym wymiarze, gdzie gwiazdy są niemal na wyciągnięcie ręki. Żałuję, że przez chmury tak niewiele ich widać. Śnieg sypie coraz mocniej. Zamyka nas w ciasnym kręgu, skutecznie przesłaniając widok. Mrok powoli przechodzi w zgaszoną purpurę, złączywszy się z bielą płatków śniegu.

Nigdy nie przepadałam za zimą. Nie lubiłam marznąć, nie zjeżdżałam na sankach, nie lepiłam bałwana. Wolałam grzać się przy kaloryferze, popijając za słodką herbatę mamy. Nigdy nie robiłam sobie własnej. Gdy tylko zapomniała o czekającym na nią kubku, szybko go przejmowałam i uciekałam w kąt. Teraz jednak, stojąc tak wysoko w samym środku żywiołu, nie mogę zaprzeczyć, że to najwspanialszy grudzień, jaki kiedykolwiek dane mi było zobaczyć. Śnieg skrzypi pod naszymi krokami, hałas ulicy wydaje się wytłumiony przez niewidzialną szybę, wokół słychać tylko podmuchy wiatru.

Nowa stoi obok mnie, również całkowicie pochłonięta pięknem tej chwili. Uśmiecha się od ucha do ucha, jej oczy są dziwnie szkliste, jak od łez. Odwraca się w moją stronę. Jest wyraźnie wzruszona, podobnie jak ja. Powoli wyciąga do mnie dłoń.

Stoimy obok siebie, trzymając się za ręce. Dwie nieznanym, które nawet nie znają swoich imion. Kim

jesteśmy, dwie małe kropki na białej powierzchni, wobec siły całego świata? Zaciskamy mocno palce, nie zwracając uwagi na ziąb boleśnie szczypiący nasze policzki. Czuję się jak małe dziecko. Jak dziewczynka, którą kiedyś byłam. Jakby obok mnie stała siostra, a nie obca. Nie wiem, kim jest. Ale czuję coś, czego nie czułam w sobie od dawna. Nie potrafię tego nazwać. Myślę, że to podobne do zakochania. Ale to zupełnie inna kategoria. Czuję, jakbym po latach poszukiwań bliżej nieokreślonej rzeczy nagle na nią trafiła. Wciąż jednak nie potrafię jej nazwać, nie wiem, czym jest i jaką rolę ma odegrać. Ale wiem, że to właśnie to. Odpowiedź. Którą, nie wiedzieć czemu, Bóg ubrał w blade ciało człowieka, otoczywszy burzą drobnych loków.

Wpatrujemy się w siebie, jakbyśmy chciały powiedzieć coś ważnego, ale wciąż nie wiedziały co konkretnie. A potem przedstawiam się jej.

Moim imieniem.

Kiedy to robię, mam wrażenie, że coś we mnie pęka. Boleśnie czy nie, nie wiem. Ale właśnie zdarzyło się coś bardzo ważnego, bardziej, niż mogłoby się zdawać. I choć chwilę później już się z tego wycofuję, czuję zmianę. Gdzieś głęboko w sobie.

- Ale mów do mnie Lola. I pamiętaj - dodaję - nigdy nikomu nie zdradzaj, jak mam na imię.

Przygląda mi się z zainteresowaniem. Po chwili wolno potakuje.

- Agnieszka.

Jej głos jest niebywale spokojny. Przywodzi na myśl poranek w kuchni, posiłek zjedzony przy stole z całą rodziną. Przypomina mi łąki i lasy, które otaczały mój pierwszy dom.

- Ale... - Jej palce wędrują do białego szalika, odcinającego się od puchowej ciemnogrnatowej kurtki, która teraz wygląda na zupełnie czarną. - Dlaczego nie chcesz, by do ciebie mówić... To znaczy zwracać się...

- Nie wiem. - Moja odpowiedź zaskakuje nawet mnie samą. Nie rozumiem, dlaczego nagle pragnę jej powiedzieć dokładnie to, co myślę. - A może po prostu boję się, że bez mojego przydomka stanę się taka jak każdy - mówię bardziej do siebie niż do niej.

Moje słowa wprawiają mnie w zakłopotanie. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałam. A jednak właśnie powiedziałam to na głos. Co więcej, czuję, że jest w tym wiele prawdy. To tak jak z tym bezimiennym szczeniakiem. Gdybym go nazwała, stałby się taki jak wszystkie inne psy. Ja zaś, wyrzekając się mojego imienia, wyrzekam się przeciętności. Jestem wyjątkowa. Nieważne, czy to oznacza bycie dobrym, czy złym, zdrowym, czy chorym. Ważne, że w jakiś sposób czyni mnie to...

Lepszą? Naprawdę tak myślę?

- Wiesz, wydaje mi się, że udając, stajesz się taka jak inni

- oznajmia, po czym dosłownie łapie się za głowę. - Przepraszam, nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak...

Nie słucham jej dalej. Wpatruję się w nią z oczami wytrzeszczonymi tak mocno, że zapewne stały się całkowicie okrągłe. Powoli docierają do mnie jej słowa.

Udając, staję się taka jak inni.

Taka jak Czarna, której fałsz trawi dziurę w żołądku. Jak Maciek, który wmawia sobie, że ją kocha, bo boi się samotności. Jak Norbert, który ukrywa swoje okrucieństwo za maską uroczego chłopca. Jak siostra Rachel, która w rzeczywistości wierzy nie w czyny, lecz w słowa. Jak Stasiek, który tak łatwo mnie odrzucił.

Aktorzy. Najlepsi z najlepszych.

A ja jestem ich królową.

Nie wiem, kim jestem. Nie mam imienia, a choroba, której tak pragnęłam, w rzeczywistości jeszcze bardziej wszystko komplikuje. Tym bardziej rozbija mnie na kawałeczki. Nie mam tożsamości. Nie mam zainteresowań, osiągnięć, przyjaciół, rodziny. Nie mam ulubionej piosenki czy filmu. Nie mam nic. Nie mam nic prócz wspomnień.

Łzy napływają mi do oczu.

To przecież takie proste. Całe życie udaję. Tyle lat... Tyle kłamstw. Tyle dni w masce zakładanej co rano. Noszonej tak często, że wtopiła się w skórę. Wszystko się wymieszało, tworząc dziwną mieszankę nieokreślonej barwy. Nikt nie jest czarny czy biały. A ja jestem brunatną plamą, powstałą ze złączenia wszystkich możliwych kolorów. Będąc wszystkim, jestem nikim.

Jak dawno to się zaczęło? W gimnazjum? A może gdy byłam jeszcze małą dziewczynką? Ile lat temu dobrowolnie

zamknęłam się w więzieniu, które sama sobie zbudowałam?

Chlipię. Obejmuję się rękami i lekko pochylam. Łzy kapią mi z brody. Dziewczyna zbliża się do mnie z wahaniem, po czym delikatnie mnie przytula. Co się dzieje? Przecież nie powiedziała nic wyjątkowego. To ten śnieg wokół? A może to kwestia stuknięcia miesiąca w kalendarzu? Dlaczego czuję się tak, jakbym odkryła coś straszliwie ważnego? I dlaczego osobą odpowiedzialną za to odkrycie jest ktoś mi całkowicie obcy?

Powiedziała to w taki sposób, jakby było to zupełnie oczywiste. Jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. A jednak dla mnie oznaczało uderzenie młotkiem prosto między oczy.

Boję się jej. Ale teraz nie mogę się zatrzymać. Muszę się do niej zbliżyć.

Jej włosy pachną wanilią.

Wybucham śmiechem.

- Wszystko w porządku? - pyta zaniepokojona.

- Pewnie - odpowiadam, ocierając łzy. - Chyba muszę ci podziękować.

- Ale za co? - Przechyla lekko głowę.

- Jeszcze nie wiem. Kiedyś ci powiem - obiecuję.

Patrzę na biały dywan pod nami. Aga robi to samo. Wpatrujemy się w śnieg chyba trochę bezmyślnie. Przynajmniej ja. Chwilę później strzepuję z twarzy płatki. Nie wiem, ile to trwa. Śnieżki przeszywają mrok jak błyskawice. Po czwartym spotkaniu trzeciego stopnia z podłożem przestaję liczyć upadki. Jest niewiarygodnie

ślisko. W końcu Agnieszce udaje się złapać mnie za rękę i powalić. Drę się jak opętana, kiedy śnieg dotyka moich pleców. Dziewczyna pada obok. Bardziej przypomina yeti niż człowieka. Ja zapewne też. Zimny puch wdarł mi się chyba wszędzie.

- Porobimy aniołki? - pytam.

- Czemu nie. Możemy nawet pokryć cały dach - chichocze.

- Do jutra i tak śnieg zdąży je zasypać. Nikt ich nie zobaczy.

- Ale my tak - rzuca, po czym zabiera się do roboty.

Z rozbawieniem obserwuję, jak ustawia się w rogu, po czym na przemian kładzie się i wstaje, pozostawiając po sobie ulotną pamiątkę naszej ucieczki.

Och, dobra.

Zaczynam od przeciwległego punktu.

- Żałuję, że nie możemy zobaczyć tego z góry - mówię, gdy tylko kończymy nasze dzieło.

- Możemy się wspiąć na komin - proponuje, zakładając włosy za ucho.

Chwilę później podziwiamy zaśnieżony dach. Wygląda jak ręcznie robiona biała serweta z delikatnej koronki o isticie anielskim wzorze. Chyba jeszcze nigdy moje leżenie nie okazało się tak produktywne. Wprawdzie odciski naszych ciał znajdują się w nierównych odstępach, trochę psując efekt, ale i tak żałuję, że nie mogę zrobić zdjęcia.

- Powinniśmy wracać - wzdycham z nieukrywanym żalem.

- Zanim pójdziemy, chcę ci podziękować.

Po raz kolejny mocno mnie obejmuje. Jest mi niewiarygodnie ciepło.

Stoimy przed drzwiami oddziału. Teoretycznie powinni byli już wezwać policję. Z pewnością nie spodziewają się, że tak po prostu wrócimy. Dzwonię domofonem. Po kilku sygnałach wita nas głos jednej z pielęgniarek.

- Tak?

- Dobry wieczór, Lola z tej strony. Można?

Przez moment po drugiej stronie panuje głucha cisza, tak jakby ktoś nakrył świat ciężkim kocem. Potem jednak rozlega się nieprzyjemny trzask, a chwilę później drzwi zaczynają nieprzyjemnie buczeć, zapraszając nas do środka.

Wymieniamy z Agą porozumiewawcze spojrzenia. W windzie uświadomiłam jej możliwe konsekwencje naszej ucieczki. Kiedy ją przeprosiłam za ewentualne kłopoty, rzuciła się od razu do zapewniania mnie, że nie pamięta, kiedy ostatnio się tak bawiła. Chyba jednak nie zdaje sobie za bardzo sprawy z powagi sytuacji.

I całe szczęście. Bo ja chyba też nie.

Z poczekalni odbiera nas jedna z wychowawczyń, wściekła jak osa. Brutalnie wpycha nas na oddział. Korytarz jest pełen. Na nasz widok wszyscy zamierają. Wciąż trzymamy się za ręce. Aga jest wyraźnie przestraszona, ale ja jak gdyby nigdy nic uśmiecham się od ucha do ucha.

- Gdzie wyście byli?! - woła jedna z pielęgniarek. - Cały szpital, ba, policja nawet was szuka!

- Potrzebowałyśmy chwili... - Zawieszam głos dla lepszego efektu - prywatności.

- Obie zostaniecie surowo ukarane! - wygraża, a następnie zwraca się do mnie: - A ty tylko poczekaj, zostaniesz wypisana, to pewne!

- Ależ to przecież nagroda, a nie kara. - Uśmiecham się, równocześnie lekko przesuwając nową tak, by mogła się za mną schować.

Pielęgniarka zauważa, co robię. Szybko podchodzi i łapie Agnieszkę w przegubie, ciągnąc ją w swoją stronę.

- Na drugi raz przynajmniej nie mieszaj w to innych, Lola. Może i traktujesz pobyt tutaj jak wakacje, ale nie wszyscy mają takie podejście. Nie wykorzystuj niczego nieświadomych pacjentów do swoich gier. Przez ciebie będziemy musieli ją ukarać.

Dziewczyna wyrywa rękę i zawieszam na mnie przestraszone spojrzenie. Nie mogę pozwolić na to, by ją nastawili przeciwko mnie.

- Proszę tego nie robić. - Przenoszę wzrok na rozzłoszczoną kobietę.

- A to dlaczego? - pyta zirytowana.

- A to dlatego, że ją zmusiłam - oświadczam, wciąż unikając wzroku Agi.

- Chwileczkę, ja...

- To prawda? - przerywa dziewczynie pielęgniarka, odwracając twarz w jej stronę.

- Najprawdziwsza - odpowiadam za nią i kręcę prawie niedostrzegalnie głową, chcąc powstrzymać nową przed

głupim pakowaniem się w kłopoty.

Ona na przemian otwiera i zamyka usta, zupełnie jak ryba. W końcu jednak się poddaje. Zwiesza głowę i smutno potakuje, potwierdzając tym samym moją wersję.

- No dobrze, w takim razie jesteś wolna - wtrąca się sanitariuszka. - Najlepiej będzie, jeśli poszukasz sobie lepszego towarzystwa - radzi jej, nawet nie próbując ściszyć głosu.

Potem obejmuje ją lekko w pasie i prowadzi do pokoju. Aga posyła mi przepaszające spojrzenie, ale szybko odwracam wzrok. Później się nią zajmę. Teraz trzeba się przygotować na baty. Opieram ręce na biodrach i unoszę lekko podbródek, przy okazji omiatając korytarz lekceważącym spojrzeniem.

- Dla ciebie ścisła, moja droga - informuje mnie pielęgniarka.

- Hm... Pomyślmy... - Przygryzam wargi, udając, że się zastanawiam. - Nie.

Kobieta unosi rzadkie brwi.

- Słucham?

- Nie - powtarzam. - Nie zgadzam się.

- Myślisz, że masz tu coś do gadania? - Zanosi się śmiechem. - Natychmiast do zabiegowego - rzuca i rusza w stronę gabinetu.

Krzyżuję ręce na piersi. Wyłapuję przerażone spojrzenia Czarnej i Maćka. Chyba myślą, że oszalałam. Pewnie mają rację. Szaleństwo jest cholernie przyjemne. Kiedy kobieta zauważy, że za nią nie idę, druga pielęgniarka podchodzi do

mnie, chcąc złapać mnie za rękę, ale obie chowam za plecami. Ona jednak nie poddaje się i zaciska palce na moim płaszczu.

- Mogłaby pani łaskawie mnie puścić? - pytam głosem pozbawionym emocji. - Obawiam się, że nie stać pani na uszkodzenie go. Prawda?

Puszczam materiał, chcąc tym razem uczepić się mojego łokcia, ale jej dłoń zamiast niego odnajduje jedynie powietrze. Ja bowiem jestem już dwa metry dalej. Biegnę przed siebie nie po to, żeby przed nimi uciec. Doskonale wiem, że to niemożliwe. Ale za to trochę je podenerwuję.

Zatrzymuję się na końcu korytarza. Dołączyła do nich sanitariuszka i teraz wszystkie trzy patrzą na mnie jak na pijaną. Ja zaś kołyszę się, przestępując z nogi na nogę. Kiedy tak czekam, aż powoli się do mnie zbliżą, wpadam na pewien pomysł. Bardzo głupi. I właśnie dlatego tym bardziej go zrealizuję. Wygląda na to, że takie są najlepsze.

- Lola, wracaj tu, nie mamy czasu na jakieś bzdurne zabawy - woła jedna z kobiet.

Wciąż uśmiecham się, cierpliwie obserwując, jak się do mnie zbliżają.

- Lola, jak natychmiast tu nie podejdziesz, to...

Nagle ruszam, wykorzystując zdezorientowanych pacjentów. Biegnę w stronę pokoju, a tłum oddziela mnie od pielęgniarek i sanitariuszki. Wpadam do pokoju nowej. Zrywa się z łóżka i podbiega, chcąc coś powiedzieć. Nie mam jednak czasu na rozmowy.

- Zaufaj mi - rzucam i w pośpiechu mierzwię jej włosy.

Nim zdąży zareagować, wypadam na korytarz, prawie zderzając się z sanitariuszką. Szybko cofam się o kilka kroków, wyciągając ręce w obronnym geście.

- Już idę, idę.

Przez chwilę patrzy na mnie podejrzliwie. W końcu odsuwa się, a ja grzecznie zmierzam do gabinetu. Po drodze macham przyjaciółom, nie patrzę jednak na nich.

- Siad - rozkazuje mi pielęgniarka.

- Dziękuję, postoję.

- Siadaj!

Opieram się o ścianę gabinetu i z niewzruszoną miną zaczynam skubać skórki przy paznokciach. Sanitariuszka została na zewnątrz, pacjenci muszą być pod opieką. Ciekawe, co dla mnie planują. Raczej nie rozbiorą mnie siłą i nie wsadzą w pizamkę. To by było idiotyczne. Poza tym chyba niezgodne z prawem.

Po kilku minutach drzwi otwierają się. Dołącza do nas lekarka, której nie znam. Nie zwracając na mnie większej uwagi, kieruje się do pielęgniarek i wszystkie trzy zaczynają o czymś szeptać. Nie podoba mi się to. Po co wezwały psychiatrę? Pewnie dostanę jakąś tabletkę na uspokojenie. Właściwie wcale mi to nie przeszkadza.

Doktorka odwraca się do mnie.

- Rozbierz się i połóż na boku. Musimy cię obejrzeć.

- Na leżąco?

- Tak, na leżąco.

- Nie można tego zrobić na stojąco? - pytam drwiąco.

Pielęgniarki wymieniają spojrzenia. Jedna z nich po chwili wychodzi. Co tu się dzieje? Zdecydowanie to jakiś podstęp. Chyba nie mają jednak zamiaru siłą mnie przebrać?

- Coś nie tak? - zwracam się do lekarki, ta jednak milczy.

Każdy nerw w moim ciele każe mi wiać. Cokolwiek się szykuje, na pewno mi się nie spodoba. Wszyscy wokół zachowują się jednak tak tajemniczo, że nie mam zielonego pojęcia, o co może im chodzić.

Drzwi znowu się otwierają. Pielęgniarka pojawia się w towarzystwie dwóch rośłych sanitariuszy.

- Kładź się - ponawia lekarka.

- Nie - odpowiadam, a mój głos zdaje się płynąć z bardzo daleka.

- Lola, połóż się albo ci pomożemy - dołącza się jedna z pielęgniarek.

- Nie ma mowy.

Jest źle. Bardzo źle. Próbuję się oddalić, byle tylko nie stać w zasięgu rąk nowo przybyłych, ale na próżno. Chwilę później leżę na brzuchu, z boleśnie wykręconymi rękoma. Nie mogę ruszyć się nawet o milimetr.

- Co wy robicie, do cho... - zaczynam, ale momentalnie milknę, bo wprawna ręka w ciągu ułamka sekundy podnosi mi sukienkę, drugą ściągając rajstopy na wysokość uda.

Ach. No tak.

Coś ostrego wbija mi się w pośladek.

Znam ten ból, ale jakoś tak z daleka... To znaczy z dawna. Znam go z dawna dawien. W każdym razie okropnie boli mnie tyłek. Siadam na leżance. W zasadzie to jest okej. Ciekawe, kiedy to zaczną działać. Wtedy praktycznie padłam trupem. Teraz jednak jestem absolutnie przytomna. Przynajmniej na tyle, by widzieć satysfakcję w ślepiach zgromadzonych przy mnie osób. Lekarka błyska ostrymi zębami, w których odbija się szkarłatne światło lampy. Nawet nie mam ochoty z nimi dyskutować. Obrażam się. To nie fair!

Wstaję.

Jest w porządku.

No dobra, to idziemy.

Obserwuję mnie, kiedy moja ręka dotyka zimnej klamki. Naciskam ją, ale nic się nie dzieje. Gdzieś z tyłu słyszę śmiech. Napieram na drzwi z całej siły. Jeden z sanitariuszy w końcu otwiera je za mnie.

Och. Do wewnątrz.

Śmieję się jak idiotka.

- Lola, kotku, masz tu piżamę.

Pielęgniarka wręcza mi szarawy komplet. Jest nieprzyjemnie szorstki i dziwacznie ciężki. Nie chcę go zakładać.

- Nie chcę go zakładać.

Powiedziałam to na głos?

- Ale założysz, prawda?

Przechyliłam głowę, leci daleko, daleko, aż ucho dotyka ramienia, a może łokcia.

- Nie - odpowiadam, a moje słowa wibrują w przestrzeni.

Sanitariuszka coś mówi, ale już jej nie słyszę. Rzucam ubranie na ziemię i wychodzę na korytarz. Idę w stronę pokoi, nie zwracając uwagi na pacjentów. Podróż dłuży mi się niemiłosiernie. Żałuję, że nie wzięłam niczego do picia. Albo do jedzenia. Albo poduszki, bo chętnie bym się przespala na kanapie. Jej zieleń wydaje się być przyjemnie miękka...

- Auć! - wyrywa mi się.

Siadanie to nie najlepszy pomysł. Trudno, idę dalej. Wciąż mam na nogach buty. Nie powinniśmy w nich chodzić po oddziale, sanitariusz się wścieknie, jeśli zostawię ślady. Rozglądam się wokół, po czym schylam do stóp. A razem ze mną schyla się sufit, schylają się lampy, schyla się świat. Podłoga w odpowiedzi gwałtownie się podnosi. To jedyne wytłumaczenie, dlaczego nagle jest tak blisko.

Ostrożnie ląduję, od razu przerzucając ciężar ciała na prawą stronę. Nie chcę, żeby mnie bolało. To wcale nie jest przyjemne. Ranka jest pewnie niewidoczna, ale ból...

Zaraz, zaraz.

Siadam porządnie.

Och, nie boli. Może to ta podłoga...

A może leżenie nie zadziałało na pana Krzysia, bo skupił się na samym akcie bycia w pozycji poziomej? Może to kwestia świadomości oddziaływania podłogi? Podłoga koi, lecz, dzieli się pomysłami na ucieczkę... Niczym jeden z moich lepszych kumpli.

Suwadło mknie jak pociąg wśród drzew. Prawie słyszę metaliczny szum, kiedy rozpinam buty. Kiedy moje stopy są już wolne, wyginam palce. Duży posłusznie kłania się to w przód, to w tył. Za nim, jak kaczuśki za mamą kaczką, kłania się reszta paluszków. Dzieci jednak kiedyś dorastają, dlatego staram się je usamodzielnąć.

Nie tak łatwo oddzielić młode od matki.

Ujmuję je dłońmi i po kolei uczę każde z maleństw, jak się kłaniać. Nic z tego. Bez rąk nie chcą współpracować.

Nie to nie.

Głupie bachory.

Ostrożnie stawiam buty na linoleum koloru spranej pomarańczy. Potem wstaję i po raz kolejny podejmuję wędrówkę. Jak tak dalej pójdzie, to do pokoju dotrę na Nowy Rok. Ponoszę głowę i zerkam na sufit.

- Och.

Jest niesamowity. Faluje niczym morze. Jego powierzchnia przetacza się tuż nade mną, nie roniąc żadnej kropli białej wody. Wyciągam rękę, chcąc jej dotknąć. Wyciągam i wyciągam, i wyciągam i... I nic. Podskakuję. Wciąż nic. Chyba jestem za niska. Z rezygnacją przyglądam się pasom światła przecinającym w poprzek kołyszącą się płaszczyznę. Wielkie kwadratowe płytki to wznoszą się, to opadają. Widok zaczyna mnie męczyć. Mam wrażenie, że wciąga mnie do środka.

Opuszczam głowę.

Korytarz.

W prawo zwrot!

Drzwi.

Moje?

Moje.

Naciskam klamkę. Ustępują. W środku pali się światło. Tajemnicza istota czyta dziwaczne zwoje. Mijam jej łożę, dociskając się do ściany. Jak będę wystarczająco daleko, nie zobaczy mnie. W końcu dotykam parapetu. Wciąż kurczowo się go trzymając, wyciągam przed siebie nogę. Potem drugą. A potem puszczam się i prędko wskakuję na czarną połąć. Owijam się nią jak dywanem.

Jestem bezpieczna.

Po chwili słyszę jakieś głosy.

A po kolejnej - śpię.

Na parapecie coś się rusza.

Boję się.

Rozdział 16

Z trudem otwieram oczy. Powieki ciążą mi, jakby były z ołowiu, a nie cieniutkiej skóry. Całe szczęście na dworze jest ciemno, nie zniosłabym okrutnego słonecznego światła. Słyszę za sobą spokojny oddech współlokatorki. Przecieram oczy i odwracam się twarzą do niej, by spojrzeć na zegarek na jej szafce. Jest dopiero szósta nad ranem. Do śniadania mam sporo czasu.

Na myśl o posiłku robię się potwornie głodna. Nic dziwnego, nie jadłam wczoraj kolacji. Teraz nieprzyjemne ssanie w żołądku doprowadza mnie do obłądu. Rzucam się na pościeli, szukając wygodniejszej pozycji. W końcu wstaję. Może i brzuch mam pusty, ale pęcherz za to wyraźnie pełny. Równowaga świata jest więc zachowana.

Zaraz, stop.

No oczywiście, wciąż jestem w tej cholernej sukience. Czyli jednak nikt nie wykorzystał okazji, by mnie przebrać. No i dobrze. Poza tym nie spałam ani na polówce, ani w obserwacyjnej. Najwyraźniej albo uznali zastrzyk za wystarczającą karę za moją niesubordynację, albo ta właściwa dopiero mnie czeka.

Wyciągam z szafy bieliznę, dresy i krótką koszulkę, kończącą się między piersiami a pępkiem. Zazwyczaj noszę ją latem albo do snu. Sama nie wiem, dlaczego to na nią mam ochotę. Grudzień to zdecydowanie nie jest pora na odkryty brzuch. Ale co mi tam. Jak szaleć, to szaleć. Wkładam pod pachę kosmetyczkę, a ręcznik przerzucam przez ramię. Tak przygotowana wychodzę z pokoju.

Kiedy przechodzę obok dyżurki, jedna z pielęgniarek uśmiecha się drwiąco. Pokazuję jej język. To jeszcze bardziej ją rozbawia. Wchodząc do łazienki, nawet nie patrzę w lustro, nie chcę się dołować. Makijaż zmyję pod prysznicem. Pospiesznie się rozbieram, by jak najszybciej się odświeżyć. Chwilę później woda zmywa ze mnie całe zmęczenie. Żałuję, że nie mam żelu Czarnej. No, a jeśli Rachela szybko mnie nie poratuje, to nie będę miała czym się myć.

Mam wrażenie, że wczorajszy dzień trwał niesamowicie długo. W gruncie rzeczy uważam go za całkiem udany, gdyby nie to zakończenie. Najważniejsze jednak, że Agnieszka nie zostanie ukarana. Dobrze się bawiłam na dachu. Na myśl o śladach w śniegu lekko się uśmiecham. Chyba odebrało mi rozum. I dobrze. Podobno głupi ludzie są szczęśliwsi.

Całkiem zapomniałam o sprawie terapii rodzinnej. Najwyraźniej mi się upiekło. Ciekawe tylko na jak długo. Nie potrafię sobie wyobrazić spotkania z *nimi*. Nie mam pojęcia, co miałabym im powiedzieć, jak się zachować. Nie

chcę ich za nic przeproszać, bo nie czuję się winna. Czym mielibyśmy się więc zająć? Rozmową o pogodzie?

Ktoś wchodzi pod prysznic obok. Ciekawe, komu chciało się wstać o tej porze. Pewnie jakaś desperatka. Ale za to ładnie pachnie. Pomarańczą.

Pomarańczą?

Myję się najszybciej, jak potrafię, po czym szybko owijam ręcznikiem. Nie chcę jej tłumaczyć, co się wczoraj działo. Przynajmniej nie teraz. Ubieram się i znikam w kolejnym pomieszczeniu, przed lustrem. Próbuję doprowadzić moją twarz do jakiegoś stanu. Gdy tylko kończę, orientuję się, że zapomniałam o wzięciu wczorajszych ubrań z wieszaka. Przemykam na palcach obok pryszniców. Zasłonka gwałtownie się odsuwa.

Czarna mnie jeszcze nie widzi. Obraca się do mnie tyłem i starannie wyciera ciało. Najwyraźniej myśli, że już zdążyłam wyjść. Nagle moją uwagę przykuwają jej ręce. Serce podchodzi mi do gardła.

- Czarna... - wykrztuszam, na więcej mnie nie stać.

Wzdryga się. Owija się ciasno ręcznikiem, po czym powoli odwraca do mnie twarzą, starannie ukrywając rany.

- Lola, nie wiedziałam, że tu jesteś. - Obdarza mnie ciepłym uśmiechem.

- Co masz na ręce? - pytam chłodno.

- Na ręce? - Unosi brwi. - Nie wiem, o czym...

Upuszczam rzeczy i z całej siły ciągnę ją w swoją stronę. Zmuszam ją do wyprostowania ramion. Cienkie

kreski pokrywają odległość od nadgarstka po łokieć. Czuję, jak wzbiera we mnie złość.

- To właśnie próbowałaś przed nami ukryć? - syczę, patrząc jej w oczy.

Próbuje się oswobodzić, ale silnie ją przytrzymuję. Przez ułamek sekundy wygląda na spanikowaną, ale szybko przywołuje uśmiech.

- To nic takiego.

- Nic takiego?

Na dźwięk mojego głosu przebiega ją dreszcz. I dobrze. Moje żyły zdają się być skute lodem, krew zaś burzy się i gotuje, napierając na tafle mroźnych ścian. Czuję, że zaraz wybuchnę. Powinnam ją puścić, wziąć głęboki oddech, uspokoić się. Wyczuwając jednak pod palcami delikatne wybrzuszenia na jej skórze, mam wrażenie, że cały świat wokół mnie zaczyna się rozpadać. To uczucie narasta gdzieś głęboko we mnie, burząc całe szczęście, którego wczoraj udało mi się doświadczyć. Niszcząc radość, którą pozostawiła po sobie ucieczka. Spokój, który podarował mi grudniowy śnieg.

Czarna zaczyna się krzywić.

- Lola, to boli.

A więc to o to chodziło. Okaleczyła się. A potem nie przyznała się ani mnie, ani Maćkowi. Okłamała nas.

- Lola, puść mnie...

Jak ona może być tak okrutna? Dlaczego to przed nami zataiła? I dlaczego w ogóle to zrobiła? Złe jej było? Ludzie mają gorsze problemy niż ona. Wymagający ojciec, dążenie

do doskonałości, pożądanie piękna, którego nie jest w stanie osiągnąć? To ma być nieszczęście?!

- Lola!

Choroba czy egoizm? Tak bardzo próbuje zwrócić na siebie uwagę? Nikt cię nie zauważa, nie istniejesz. Nie masz imienia. Masz tylko maskę. Znasz tylko ból.

- Lola, puszczaj, do cholery!

Znam tylko ból.

Czarna wyrywa się i zatacza do tyłu. Oczy ma pełne łez, usta wykrzywione w grymasie ni to śmiechu, ni to płaczu, ni strachu. Zaciska palce na przedramieniu, z którego spływa kilka czerwonych kropli. Tyłem zmierza do drzwi. Wychodzi, wciąż nie spuszczać ze mnie wzroku.

Sztuczna, zakłamana idiotka.

Schylałem się, by podnieść rzeczy. Kiedy wyciągam ręce, zatrzymuję się. Powoli podnoszę się z powrotem, wciąż nie odrywając oczu od palców.

Pod paznokciami mam krew.

Wróciwszy do pokoju, odkładałem rzeczy i rzucam się na łóżko. Zerkam na zegarek. Minęło ledwie piętnaście minut. Co mam począć z tym czasem? Nie chcę zostawać sam na sam z pustką w głowie. Czuję się jak wzburzone morze schowane pod kloszem. Gdzieś głęboko kłębi się we mnie mnóstwo emocji. Na zewnątrz jednak pozostaje trudna do określenia pustka, której nie mogę pokonać. Nie potrafię nazwać swoich uczuć, bo w tym momencie w ogóle ich nie rozumiem.

Spoglądałam na książki leżące na parapecie. Dawno do nich nie zaglądałam. Powinnam się zmusić i zdobyć parę ocen. Może i nie wiem, co z sobą zrobić po szkole, ale maturę wypada zdać. Nie ma co się oszukiwać, tak naprawdę chciałabym pójść na studia. Trzeba jednak gdzieś mieszkać, coś jeść, a bez pracy się nie utrzymam. Nie mam zamiaru prosić kogokolwiek o pomoc. Z pewnością pogodzenie nauki i zarabiania pieniędzy jest niełatwe. Najprościej byłoby pogadać z rodzicami, ale tego zrobić nie mogę. Nie zniosłabym upokorzenia. Zawsze mogę też uczyć się na tyle dobrze, by dostać stypendium. Musiałabym włożyć w to mnóstwo wysiłku, ale przynajmniej wpadłoby trochę kasy. Resztę bym dorobiła.

Jakoś to będzie. Najwyższa pora zastanowić się nad swoim życiem. Siostra Rachel z pewnością wpadnie przed świętami. Jeśli chcę zdawać dodatkowy przedmiot na egzaminie, muszę jej to zgłosić. Na razie jednak nie mam pojęcia, co by to miało być.

Nie mam żadnych pasji. Rzeczywiście całkiem nieźle rysuję czy rzeźbię, ale to chyba za mało na planowanie przyszłości. Takich osób jak ja jest mnóstwo. Gdybym jednak dobrze napisała historię sztuki, mogłabym się załapać na jakiś artystyczny kierunek. A potem coś by się wymyśliło. Mam tu mnóstwo czasu. Tak, tak zrobię.

Uśmiecham się.

Może i cel wybrany po omacku, ale mam zamiar się go trzymać. Nie ma co się zastanawiać nad tysiącami możliwych kierunków. Pójdę gdziekolwiek, byle sprawiało

mi to minimum satysfakcji. Do tego zdam język na poziomie rozszerzonym, żeby móc dorzucić jakieś językowe do puli. W razie gdybym się nie dostała na coś związanego ze sztuką, to zawsze mogę pójść na lingwistykę. Cokolwiek. Byle mieć zniżkę w autobusie.

Z zamyślenia wyrывa mnie pokasływanie współlokatorki. Mam nadzieję, że nie jest chora. Nie żebym jej współczuła, po prostu nie chcę się zarazić jakimś badziewiem. Nie przepadam za nią. Tak po prostu. Czasem tak jest, że spotyka się kogoś, kogo nie da się polubić. Brakuje jakiegoś małego współczynnika, generującego nawet nie przyjaźń, a jakąkolwiek nić porozumienia. Między nami jej nie ma i nie będzie.

Nie chcę wiedzieć, dokąd zmierza moja relacja z Czarną. Mam wrażenie, że zupełnie się rozminęłyśmy i niełatwo będzie nam wrócić na wspólną ścieżkę. Chociażby dlatego, że nie jestem pewna, czy chcę. Chyba jestem nieczuła. Powinnam starać się ją zrozumieć, siedzieć z nią teraz i przeproszać za moje zachowanie. Prosić, by wyznała mi, co się z nią dzieje. Z jakiegoś powodu nie widzę takiej potrzeby. Nie chcę walczyć o tę znajomość. Uszkodziłyśmy coś, czego nie da się naprawić bez ciężkiej pracy, na którą mnie nie stać. Pogrzebałyśmy zaufanie. Trudno. To ona pierwsza mnie oszukała.

A Maciek? Jego też nie rozumiem. Najpierw chce z nią zerwać, potem płacze za nią, gdy ta wychodzi. Twierdzi, że ją kocha, a chwilę później przyznaje się do kłamstwa. Nie wiem już, co jest prawdą. Wydaje mi się, że chłopak

zwyczajnie zakłamuje rzeczywistość. Czuje coś do niej, a z jakiegoś powodu wmawia sobie, że jest inaczej. Nie chcę się w to zagłębiać.

Wszyscy wokół udają, grają, symulują. Wydawało mi się, że właśnie tutaj mogę liczyć na bezgraniczną szczerość. A jednak oddział wcale tak bardzo nie różni się od tego, co poza nim. Różnica polega na tym, że ci tutaj przede wszystkim okłamują samych siebie. Bardziej lub mniej świadomie. Co gorsze?

Ale jest też nowa. I to w nią teraz zainwestuję. Całą sobą.

Właściwie czemu nie zacząć już teraz?

Dochodzi wpół do siódmej. Z pewnością śpi.

Wstaję z łóżka i ostrożnie wystawiam nos na korytarz. Nie chcę wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Nie po wczorajszym wieczorze. Prędko przemykam do trójki. Po drodze wyłapuję spojrzenia pielęgniarek, ale nie reagują. Wcale mnie to nie martwi.

Nie pukam do drzwi, zamiast tego bezgłośnie wsuwam się do środka. To trzyosobowy pokój, na moje szczęście Agnieszka śpi tuż przy wejściu. Jest odwrócona tyłem do mnie. Leży z podkulonymi nogami, przykryta dodatkowo zielonym kocem. Dosłownie na paluszkach podchodzę do jej łóżka. Delikatnie unoszę pościel, tak żeby jej nie obudzić. Kiedy wydaje z siebie odgłos pomiędzy chrząknięciem a jęknięciem, serce na chwilę mi staje. Słyszając jednak jej spokojny oddech, momentalnie się rozluźniam. Wkradam

się pod kołdrę, próbując nie spaść. Dziewczyna zdecydowanie za bardzo się rozpycha.

Leżę tak jakiś czas, wdychając zapach wanilii. Powoli zaczyna mi się kończyć cierpliwość. Lekko pukam śpiącą w plecy palcem wskazującym. Żadnej reakcji. Przysuwam się bliżej. I jeszcze bliżej. Obejmuję ją w talii rękoma, chłonąc jej rozkoszne ciepło. Mogłabym tak zasypiać. Czuję się cudownie bezpieczna.

Nagle oddech Agi urywa się. Najwyraźniej już nie śpi. Teraz powoli odwraca się na drugi bok. Kiedy tylko jej twarz ląduje tak blisko mojej, że prawie stykamy się nosami, nie mogę powstrzymać śmiechu. Wygląda, jakby zobaczyła ducha.

- Jak tam pierwsza noc? - pytam, lekko trącając ją nosem.

Jej dłoń błyskawicznie mknie do twarzy. Oczy, okrągłe jak pięcioletówki, wpatrują się we mnie z trwogą. Wygląda na to, że porządnie napędziłam jej stracha. Będzie musiała się przyzwyczaić.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - szepczę, po czym naciągam wyżej kołdrę i wtulam się w jej wzorzystą koszulkę.

Słyszę bicie jej serca. Dziwię się, że nie obudziło jeszcze jej współlokatorek, bo dudni naprawdę głośno. Owijam ją ciasno rękami, przysuwając do siebie. Zatapiam twarz w jej niewiarygodnie miękkim biuście i chłonę słodką woń każdą komórką ciała. Prawie jak u mamy. Tylko trochę dziwniej.

Czuję, że ruszyła nogami. Oplatom je własnymi, uniemożliwiając ucieczkę. Teraz ma ważniejsze rzeczy do roboty. Potrzebuję jej. Muszę się... zresetować.

- Nie jest ci zimno?

Zmartwienie w jej głosie wyraźnie wybija się na wierzch, kiedy zadaje mi to pytanie. W odpowiedzi jedynie kręcę głową. Wreszcie i ona mnie przytula. Chyba oszalałam. Ale nie zamieniłabym tej chwili na żadną inną. Jest mi obrzydliwie przyjemnie.

Wsuwam ręce pod jej ubranie. Wodzę palcami po jej plecach. Nie mam zielonego pojęcia, czemu to robię, tym bardziej nie wiem, czemu ona nie reaguje. Jest w tym coś magicznego. W pokoju panuje półmrok, który przyjemnie koi zmysły. Leniwe pochrapywanie jednej z nastolatek nadaje ciszy określony kształt. Jestem tylko ja, miarowy puls tuż obok i dotyk ciała.

- Lola?

- Hm?

- Mam wyrzuty sumienia.

Nieruchomieję na kilka dobrych sekund, po czym moje palce znów gładzą jej skórę.

- Nie bądź śmieszna. To ja cię naraziłam, więc ja muszę ponieść konsekwencje. A jeśli - dodaję szybko, czując, że zaraz mi przerwie - chcesz mi podziękować, to po prostu o tym nie wspominaj i staraj się cieszyć. To naprawdę wiele dla mnie znaczyło, wiesz?

Gładzi moje włosy. Bez protestu poddaję się pieścizocie. Czuję się teraz jak bezbronne kocię, chciwie

podtykające głowę pod rękę właściciela. Rozpływam się.

- To prawda, że jesteś... królową świrów?

Słyszając to, na chwilę zamieram, po czym podnoszę się do góry, by spojrzeć jej w oczy. Jej palce wciąż są zaplątane w moje lekko wilgotne włosy. Ujmuję je i zaczynam się nimi bawić, chcąc ukryć emocje. Królowa świrów? Naprawdę ktoś mnie tak nazwał? Rzeczywiście parę razy to przezwisko pojawiała się w żartach, a ja nie protestowałam. Nie wiedziałam jednak, że używają go również przy nowych.

- Kto ci tak powiedział?

- Właściwie nikt konkretny... To znaczy ktoś to powiedział w pewnym momencie, a reszta zaraz podłapała. Podobno... Podobno jesteś trochę...

- Trochę jaka? - dopytuję, widząc, że waha się, co odpowiedzieć.

Wolną ręką drapie się po szyi. Nie odpuszczę jej jednak. Ściskam lekko jej dłoń i pytam ponownie:

- Jestem jaka, Aga?

Wpatruje się we mnie zmieszana, po czym spuszcza wzrok i smutno odpowiada:

- Nieobliczalna...

Nieobliczalna? Zaraz, chwileczkę. To nie dlatego zaczęli mnie tak nazywać, prawda? Byłam pewna, że to wyraz uznania, coś pozytywnego, co pojawiło się wraz z moją energią. Ale bycie nieobliczalnym to nie to samo, co bycie nieprzewidywalnym. Nie o taki wydźwięk mi chodziło. Brzmi to jak obelga.

- Mówili coś jeszcze? - pytam, a mój głos jest zdecydowanie zbyt szorstki.

- N-nie...

- Mów - rozkazuję, przeszywając ją spojrzeniem na wylot.

- Jak już zaczęłaś, to skończ, proszę.

- Opowiadali... Mówili, że jesteś dziwna... Że zrobiłaś coś z chłopakiem przyjaciółki, który wcześniej pobił twojego gościa. I że raz zrobiłaś sobie krzywdę i wtedy strasznie krzyczałaś. No i że wtedy wyglądałaś jak...

- Jak świr? - kończę za nią.

Nie musi odpowiadać. Najwyraźniej źle zrozumiałam zachowanie kolegów. Oczywiście traktowali mnie po przyjacielsku, ale widocznie za tym wszystkim kryło się coś więcej. Czyżby się mnie bali? Przecież nie zrobiłam nic ponadto, co dzieje się tu codziennie. Może nikt nie wrzeszczy jak opętany, a do największych sensacji należy walenie anorektyczek i zakłady, czy spadną do poprzedniej fazy, ale bez przesady! Nie jestem wariatką! Nic mi nie jest, to tylko głupie żarty...

Och.

Wczorajszy wieczór.

No świetnie, ciekawe, co teraz o mnie pomyślą.

Zerkam na Agę. Wciąż wpatruje się we mnie z mieszanymi uczuciami wypisanymi na twarzy. Nie chcę jej stracić. Zdaję sobie sprawę z tego, że moje nagłe przywiązanie do obcej osoby jest dość lekkomyślne i być może stanowi kolejny objaw mojego zaburzenia, ale to

wszystko w myśl mojego postanowienia. Chcę robić, co mi się żywnie podoba. Oczywiście w granicach rozsądku. Ale nie zasad.

- Słuchaj - mówię - nie chcę, żebyś wierzyła w te brednie. Wolę, żebyś to mnie zapytała, a nie ich, gdy będziesz chciała się czegoś o mnie dowiedzieć. Nie okłamię cię. Nie mam powodu, by to robić.

- A innych okłamujesz? - pyta, po czym oblewa się rumieńcem. - Kurczę, znowu najpierw mówię, potem dopiero myślę. Nie musisz odpowiadać.

- Czy innych okłamuję? - zastanawiam się. Przekręcam się na plecy. Nowa ma dar do zadawania niewygodnych pytań. Ale muszę być szczerą, w końcu obiecałam. Już zaczynam tego żałować. - Tak. Myślę, że tak - stwierdzam gorzko. - Wszystkich wokół. To nie tak, że ich oszukuję, ja po prostu... - Milknę w poszukiwaniu odpowiednich słów.

- Okłamujesz też samą siebie?

- Nie, no co ty - parskam. - To by było idiotyczne. Przecież...

Nagle robi mi się niedobrze. Powinnam coś zjeść. Do śniadania zostało zdecydowanie za wiele czasu. Zwijam się w kłębek, ściskając brzuch.

- Wszystko w porządku?

Jej ciepła dłoń ląduje na moim ramieniu. Lekko mną potrząsa, jakby chciała sprawdzić, czy żyję. Kładzie się w podobnej pozycji i opiera swoje czoło na moim.

- Kiedyś odnajdziesz samą siebie.

O czym ona mówi? I dlaczego to tak łatwo do mnie trafia? W sam środek tarczy? Przecież jej słowa nie różnią się niczym od tych, które wypowiada psychiatra. A jednak omijają wszystkie bariery, które wokół siebie wzniosłam, bez problemu odnajdują niewielkie luki i docierają do celu. A kiedy to się dzieje, gdzieś we mnie coś pęka. Tak jak wczoraj, gdy nagle, po raz pierwszy, odkąd Norbert nazwał mnie Lolą, przedstawiłam się prawdziwym imieniem. To o tyle ważne, że wcześniej również unikałam mojego imienia, posługując się różnymi pseudonimami lub choćby nazwiskiem. I teraz, przed chwilą, coś się zadziało. Na myśl o okłamywaniu innych i siebie. Czy rzeczywiście tak jest? Przecież nikogo nie oszukuję. Nie mówię nieprawdy. Należę raczej do szczerych osób. Chyba że robię coś nieświadomie.

Okłamywać samą siebie... Może coś w tym jest. Ale czy poszukiwanie własnej tożsamości można uznać za nieuczciwość? Przecież ja sama nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Nie wiem nawet, czy lubię zielony, czy niebieski. Nie wiem o sobie nic. Jestem odważna? A może udaję? Bezczelna, pyskata i arogancka? To też fałsz?

A co, jeśli w rzeczywistości te kilka lat nic nie zmieniło? Wciąż jestem zagubionym dzieciakiem, płaczącym po nocach za wiecznie nieobecnym ojcem? Chowającym się za plecami starszej siostry? Rozpaczliwie poszukującym kochających ramion matki?

Maska. Mam ją na sobie od wielu lat. Tylko że do tej pory nazywałam to aktorstwem, udawaniem. Ale czym to się różni od zwyczajnego, pospolitego kłamstwa? Zmyśliłam

nową siebie. Nadałam sobie cechy osoby, którą być chciałam. A teraz nie potrafię powiedzieć, czy ta osoba naprawdę istnieje, czy może zwyczajnie żyję w niekończącej się obłudzie.

Znów słyszę w głowie to zdanie.

Będąc wszystkim, jestem nikim.

Zgubiłam się.

„Kiedys odnajdziesz samą siebie”.

Nie wiem, czy właśnie tego pragnę. Boję się, że prawda mogłaby mi się nie spodobać. Pewnie koniec końców okazałabym się tą strachliwą dziewczynką, której tak nienawidzę. Lola jest przyjemniejsza. Odważna, nieugięta...

Świr.

Co to ma wspólnego?! Bo raz trochę pokrzyczałam? To wystarczy? Tylko tyle trzeba, żeby obdrzeć mnie z godności i nazwać... Słabą? Bycie nieobliczalnym może i wzbudza strach, ale w gruncie rzeczy to oznaka niedoskonałości.

Idioci. Nie jestem taka. Niewzruszona, inteligentna, całkowicie samowystarczalna. A nie *słaba*.

Powtarzam tę myśl w nieskończoność, ale wracają do mnie słowa Agnieszki, które wypowiedziała wczoraj wieczorem. Wpadłam w pułapkę. Chcąc być wyjątkowa, stałam się obrzydliwie pospolita. Jestem przesiąknięta fałszem. Żyje on we mnie jak choroba, każdego dnia coraz bardziej zatruwając mój organizm. Krew robi się coraz ciemniejsza, a narządy po cichu umierają w oczekiwaniu na pomoc, która nie nadejdzie. Dopiero gdy czarne macki

wyjdą na wierzch, zorientuję się, że gniję. Ale będzie już za późno. To co mam zrobić? Mam wyrzec się Loli na rzecz kolejnej maski?

Pozostaje mi jedno. Robić to, co wydaje mi się słuszne. Nawet jeśli nie jest. Zaryzykować pomyłki, byle tylko mieć okazję obserwowania własnych uczuć. Tak jak wczoraj. Krocze po kroczu. Nie będę działać na siłę. Żadnego imponowania innym. Tylko ja. Ja i ta dziewczyna leżąca obok mnie. Moja przepustka do prawdy.

Bilet w stronę wolności.

- Za co tu trafiłaś? - pytam ostrożnie.

Cóż, gdybym rzeczywiście chciała być ostrożna, to poczekałabym choć kilka dni z zadawaniem takich pytań. No i nie pytałabym na stołównie. Brawo ja.

Aga smutnym wzrokiem studiuje zawartość talerza. Najwyraźniej nie jest fanką zupy mlecznej. Zdecydowanie woli bawić się płatkami kukurydzianymi, niż włożyć je do ust. A może po prostu próbuje mi zakomunikować, że nie chce o tym mówić. Przy stoliku siedzimy same, co można nazwać cudem. Miejsc jest trochę mniej niż pacjentów. Ciekawe, czy zapewniona nam potrzeba prywatności ma jakiś związek z wczorajszym wieczorem.

Wiara w ludzkość przywrócona. Maciek zajmuje miejsce obok mnie. Od razu przechodzi do sedna.

- Co ci odważyło, Lolcia?

Słyszac zдробnienie, krztuszę się kawałkiem kanapki. Chłopak bezceremonialnie obdarza mnie kilkoma uderzeniami w plecy. Biorę łyk gorącej herbaty, która tylko

pogarsza sprawę. Przyjaciel cierpliwie czeka, kiedy ja walczę o oddech.

- Nic mi nie odważyło - mamroczę niewyraźnie.

- Jak chciałaś uciekać, to trzeba było mnie zabrać. Chętnie bym sobie pozwiedzał szpital - marudzi, po czym zerka na Agę. - Porwała cię czy wiedziałaś?

- Chyba coś pomiędzy - odpowiada, bez wątpienia zadowolona ze zmiany tematu.

- Musisz na nią uważać - Maciek wskazuje na mnie palcem - to wariatka.

- Bardzo śmieszne. A ty to niby lepszy, co? - odgryzam się.

- Ja jak bym uciekł, to bym nie wrócił. Jesteś nienormalna, serio.

- Nie chciałam zwać. Potrzebowałam dłuższego spaceru - tłumaczę.

Maciek przewraca oczami, rozbawiając tym nową. Po chwili wdają się w lekką dyskusję na temat szpitalnych posiłków. Zastanawiam się, czy rozmawiał z Czarną. No i czy wie o jej ręce udekorowanej lepiej niż urodzinowy tort. Być może przyczyniłam się do tego. Podejrzewam, że ma to jakiś związek z ostatnimi wydarzeniami. Może poczuła się odrzucona, kiedy trochę zbliżyłam się do jej chłopaka. Albo to zwykła próba zwrócenia na siebie uwagi. Chociaż to raczej odpada, nie ukrywałyby przed nami tych ran tak skrętnie.

- Maciek... - wtrącam się do rozmowy, nie zważając na to, że przerwałam mu w pół zdania - jak tam sprawa

z Czarną? Doszliście do porozumienia?

- Nie bardzo. - Zwiesza głowę, lecz już po chwili gwałtownie się prostuje. - Ale jak będzie gotowa, to mi powie. Nie uważasz?

- A co, jakbym ci powiedziała, że się pochlastała?

- Nie bądź śmieszna!

- Ale...

Urywam, bo rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Chyba nie powinnam poruszać tego tematu przy Agnieszce. Ale nie daję za wygraną.

- Słuchaj, ja mam dość kłamstw i dwuznacznych spojrzeń

- oświadczam. - Jesteśmy tu zamknięci ze sobą, czy tego chcemy, czy nie. Najwyższa pora zacząć komuś ufać. Ja ufam tobie i nowej.

- Właśnie nam? - pyta z powątpiewaniem. - A czy Agnieszka nie dołączyła do nas ledwie wczoraj?

- To będzie moja przyjaciółka, zobaczysz - odpowiadam, nie przejmując się tym, że Aga jest wyraźnie zbita z tropu.

Chłopak uśmiecha się lekko i wraca do wiosłowania łyżką w mleku.

- Poza tym - kontynuuję, niezrażona jego milczeniem - mam zamiar zacząć chodzić na wszystkie lekcje, terapie i tak dalej.

Teraz to jego trzeba ratować przed uduszeniem.

- Co?! - wykrztusza z trudem. - Ty?

- O co ci chodzi? To takie dziwne?

- Wiesz, chodziłaś na zajęcia może przez tydzień. Skąd ta zmiana?

Kieruję końcówkę skórki od chleba na Agnieszkę.

- Czyli rozumiem, że po „społeczności” grzecznie idziesz się uczyć?

- Dokładnie.

- Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć. A tak w ogóle to w której jesteś klasie? - zwraca się do nowej, która wciąż nawet nie tknęła swojego śniadania.

- Pierwsza liceum - odpowiada, od razu przenosząc wzrok na dłoń.

- Czyli będziesz w klasie z twoim nowym prześladowcą - śmieje się Maciek.

- Jak to?

- Ze mną. - Podnoszę rękę. - Trzecia i pierwsza są połączone. Nie mają tu tylu nauczycieli i sal, żeby każdy rocznik mógł mieć osobno lekcje. Jesteś więc na mnie skazana - dodaję i puszczam do niej oczko.

Ku mojemu zdumieniu sprawa wczorajszej ucieczki odpywa w niebyt. Nie zostaje poruszona na „społeczności”, a Rojkowski zwyczajnie mnie olewa, kiedy się mijamy. Prawdopodobnie bolesny zastrzyk to jedyne, co miało mnie spotkać. Nie żebym prosiła się o jakąś poważniejszą karę, ale chyba czuję się trochę zawiedziona. Musiałabym przeskrobać coś naprawdę strasznego, żeby grozili mi wypisem. A przecież dopiero co ten kowboj mówił, że jeśli

złamię jakąkolwiek zasadę, zostanę wyrzucona. Cóż za obruszająca niekonsekwencja. Nieładnie, oj, nieładnie.

Dzień mija w szaleńczym tempie. Przechodzę tylko z lekcji na lekcję, plus przerwa na obiad. Kiedy po raz ostatni odkładam podręczniki na parapet, czuję się wykończona. Jak ja chodziłam przed szpitalem do szkoły? Przecież to jest okropnie wyczerpujące. Ale przynajmniej czas szybko leci. No i mogłam uniknąć konfrontacji z Czarną.

Maciek!

Z krótkiej rozmowy jasno wynika, że chłopak wszystkiego się domyślił. Niestety jego związek wisi na włosku, bo za każdym razem, gdy próbował z nią porozmawiać, otrzymywał jedynie kolejne kłamstwa okraszone radosnym uśmiechem. Nawet dla niego to już za wiele. Ponadto, mimo że udało mu się wrócić do swojej sali, kwestia jego przedświątęczego wypisu stoi pod znakiem zapytania. On nie nalega na wyjście w terminie, bo nie czuje się wyleczony. Do osiemnastego grudnia zostało ledwie półtora tygodnia. Nic nie zdąży się zmienić na lepsze. Za to pogorszyć może się choćby w ciągu jednego dnia.

W duchu postanawiam sobie poświęcić mu tyle czasu, ile tylko zdołam. Agnieszka, choć jest bardzo niepewna, wydaje się akceptować jego towarzystwo. A jeśli chodzi o Czarną, to ich nie pogodzę. Może jeśli chłopak wróci do domu właśnie na czas Bożego Narodzenia, to będzie mu choć trochę łatwiej? Rodzina dobrze na niego wpływa. A w

razie czego poproszę Rachelę o jakiś telefon, bym miała z nim kontakt. Będę dzwonić codziennie. Jeszcze będzie miał mnie dość.

Rozdział 17

Siostra Rachela odwiedza mnie w sobotę, dokładnie w południe. Kiedy wychodzę jej na spotkanie, liczę na to, że nie zapomniła ani telefonu, ani kosmetyków, o które ją prosiłam. Kiedy widzę jej minę, przypominam sobie o małym fakcie, o którym zapomniałam.

O Norbercie.

- Szczęść Boże - witam się po krótkim wahanu.

Wolę jej niepotrzebnie nie drażnić. W końcu jej ulubieniec został dotkliwie pobity.

- Masz. - Wyciąga w moją stronę rękę z dość sporą reklamówką.

- Dzięki.

Zakonnica przeszywa mnie wzrokiem. Jeśli ma zamiar mnie ochrzanić, to wołałabym, żeby nikt tego nie widział. Już chcę poprowadzić ją do pokoju, kiedy odzywa się oziębłym tonem: - Nie zapytasz, jak się miewa twój kolega?

- Jak się miewa mój kolega? - posłusznie pytam.

- Na szczęście nic mu nie jest. To tylko parę siniaków.

- Super - rzucam od niechcienia.

Wygląda, jakby połknęła kij od szczotki. Chyba nie bardzo jej się spodobała moja odpowiedź. Po chwili moje domysły zostają potwierdzone. Rachela odwraca się bowiem w stronę sanitariuszki i prosi o wypuszczenie z oddziału. Wychodzi, nawet się na mnie nie oglądając. Chyba kolejna osoba wpisała moje imię na listę wrogów. Trudno, jej strata.

Wracam do pokoju i zawijam się w koc. Jestem dziwnie zmęczona.

Ukulele.

Maciek dostał od brata ukulele.

Wściekle różowe ukulele.

Piłeczki odbijają się to od stołu, to od ścian, zależnie od umiejętności grających. Co jakiś czas słyhać przekleństwo. W telewizorze dziennikarka podziwia świąteczne dekoracje, zapraszając do ich oglądania, najlepiej jeszcze dziś. Chłopiec z autyzmem, niezrażony chłodem wykładziny, siedzi na podłodze, chłonąc słowa kobiety jak gąbka. Na szyi ma zawiązany srebrny łańcuch choinkowy, który to ściąga, to zakłada, wyraźnie nie mogąc się zdecydować. Czarna z kilkoma innymi pacjentkami ubiera drzewko w kącie. Trajkoczą jak najęte o prezentach, ciasteczkach i pierogach. Planują również wspólnego sylwestra. Najwyraźniej dostaną przepustkę. Dodatkowo pozwolono im spędzić święta w domu. Zazdroszczę im, ale nie mówię tego nikomu. Mnie bowiem czeka Wigilia na oddziale.

Nawet Agnieszkę wypuszczają na trzy dni, mimo że dopiero ją przyjęli. Chociaż ja i tak nie miałabym się gdzie podziąć.

Siedzimy z Maćkiem w kacie, co jakiś czas podbieramy mu ukulele. Żadna z nas nie umie na nim zagrać, co nie powstrzymuje nas od licznych, dość żałosnych prób. Agnieszka coraz swobodniej czuje się na oddziale. Nie mówi zbyt wiele. Zwykle ogranicza się do ciepłych uśmiechów i słuchania naszych rozmów. Zauważyłam też, że tylko z nami spędza czas. Nie sądzę jednak, by to był jej wybór. To raczej kwestia jej straszliwej nieśmiałości, która skutecznie odgradza ją od reszty pacjentów.

- Może coś pośpiewamy? - pyta chłopak.

- To ty śpiewaj, a my będziemy klaskać - proponuję.

- Cicho, Lola. Nawet ty znasz kilka kawałków - naigrawa się.

- Nawet ja? - Z przyjemnością daję się wciągnąć w zasadzkę.

Po chwili uderza palcami w struny. Gdybym zamknęła oczy, czułabym się jak na wakacjach. Wyobrażam sobie pacjentów w trawiastych spódniczkach, Czarną obwieszoną kwiatami, Maćka całego w złocistym piachu, Agnieszkę popijającą fantazyjnego drinka, Rojkowskiego tańczącego wśród palm... Niech szlag trafi moją bujną wyobraźnię. Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Ktoś się przyłącza do Maćka. Dziewczęcy głos nie trzyma nijak intonacji. Po chwili dołącza do niego kolejny. A po nim jeszcze jeden. Nie mija wiele czasu, a cała sala nuci wraz z Maćkiem, coraz głośniej i głośniej, mimo że nie

każdy zna tekst. Na czas zwrotek zostaje tylko kilka głosów, ale refren po kilku razach już wszyscy znają doskonale. Choć piosenka już powinna się skończyć, wciąż powtarzamy go bez końca, coraz lepiej rozumiejąc jego znaczenie.

W naszych głosach jednak nie słychać radości. Może żal? Ciężko mi to nazwać, bo sama nie do końca rozumiem, jakie uczucia budzą we mnie słowa, które wydobywają się z moich ust. Przyglądam się chłopcu, który ich nie rozumie, lecz kołysze się do rytmu, podrzucając srebrzącą się ozdobę. Chłonę zapach niewielkiej choinki, której wyłysiałe gałęzie uginają się pod ciężarem zbyt wielu bombek, zupełnie do siebie niepasujących. Spoglądam na Czarną, która w zadumie bawi się kantem kremowej spódniczki. Na Maćka, którego głos lekko drży. Na Agnieszkę, która patrzy na mnie z jakimś niewysłowionym smutkiem.

Ciekawe, co myśli ktoś, kto przechodzi teraz obok Młodzieżowego Oddziału Psychiatrycznego numer cztery. Z pewnością nie rozumie znaczenia piosenki, śpiewanej przez kilkunastu nastolatków, zgromadzonych wokół chłopca z różowym ukulele.

*But I'm a creep, I'm a weirdo.
What the hell am I doing here?
I don't belong here.*

Człowiek wychodzi z psychiatryka, ale psychiatryk z człowieka nigdy. Jak wielki wpływ na moją osobowość, postrzeganie świata czy przyszłe wybory będzie mieć ten

pobyt? Przynależę do niewielkiej grupy ludzi, którzy prędzej czy później będą musieli zapomnieć o tych tygodniach. Za parę lat dotrze do nas powaga tych chwil. Jeszcze przez jakiś czas będziemy przypominać sobie ten czas z sentymentem. Ale jak długo? Czy kończąc studia, nie będę o tym myśleć jak o etapie, którego należy się wstydzić?

Próbuję sobie wyobrazić, jak wpadam w autobusie na Czarną. Nie wiem, czy miałybyśmy sobie coś do powiedzenia. Być może rzuciłybyśmy się sobie w objęcia, zalały łzami, a potem spędziły cały dzień, wspominając naszą krótką przyjaźń. A może zwyczajnie udałaby, że mnie nie widzi. Ta myśl jest dziwnie bolesna. Czy jest coś gorszego niż wrzucenie do jednego worka z chorobą tylko dlatego, że poznała mnie w takim, a nie innym miejscu? Umieszczenie w tym samym rozdziale, co bulimia?

Chyba jednak niczego nie boję się równie mocno jak utraty Maćka. Nie powinnam myśleć w ten sposób, ale chciałabym, żeby mu się pogorszyło. Wtedy zostałyby ze mną. Mogłabym cieszyć się z każdego jego gestu, uścisku, z każdego momentu, w którym zaczynam wierzyć w instytucję przyjaźni. W szczerłość. W zaufanie.

Jestem egoistką. Przynajmniej jedna cecha, której mogę być pewna. Chociaż... Zwyczajnie chcę mieć go na oku. Z pewnością wolałby mnie nie martwić. W razie trudności nie powiedziałaby mi prawdy. Na pewno nie całej. Nie chciałabym umierać co wieczór ze strachu, doszukując się fałszywych nut w jego głosie. Poza tym pragnę go jeszcze spotkać. Nie raz, nie dwa. W cichych marzeniach

wyobrażam sobie, że nasza przyjaźń trwa latami. Spacerujemy zgarbieni pod ciężarem upływających lat brzegiem morza, trzymając się za ręce i nie mówiąc nic. Rozumielibyśmy się bez słów. Dwójka przyjaciół, których nie pokona ani czas, ani odległość, ani tym bardziej choroba.

A co z Agnieszka?

Na razie nie wiem. W jej towarzystwie czuję się niezwykle komfortowo. Pozostawia mi mnóstwo przestrzeni, w której świetnie się odnajduję. Poza tym jej nieśmiałość sprawia, że czuję się potrzebna. Wyciągam ją z pokoju, prowadzę na lekcje czy posiłki, mówię do niej non stop, zmuszając do rozmowy. Mam wreszcie jakiś cel, zakotwiczony w konkretnej osobie.

Teraz jednak muszę się skupić na Maćku. Został niecały tydzień.

Poniedziałek.

W piątek Maciek wychodzi.

Powoli zaczynam wpadać w panikę.

Nie mogę przestać bać się o niego. W kółko i w kółko wyobrażam sobie jego powrót. Kiedy w ciągu dnia udaje mi się zdrzemnąć, budzę się złana potem. Śnił mi się, umazany krwią. Zrozpaczony, porzucony, odtrącony przez wszystkich. Z każdą godziną strach we mnie narasta, wieczorem nie mogę już powstrzymać dygotania. Jest mi potwornie zimno, a przy tym jestem cała mokra. Na przemian okrywam się kocem i zrzucam go. Świruję.

Agnieszka kuli się obok mnie, naciągając perłowy sweter aż na stopy. Patrzy na mnie zmartwiona, nie wiedząc, jak mi pomóc.

- Da sobie radę, zobaczysz - usiłuje mnie pocieszyć.

- A jeśli nie? - pytam, starając się powstrzymać drżenie rąk.

- Wtedy i tak nic nie zrobisz.

Sama nie wiem, czy jej zdolność do mówienia rzeczy oczywistych bardziej nienawidzę, czy Kocham. Ma rację, nic nie zrobię. Mogę go tylko...

- Możesz go tylko wspierać, Lola.

A więc to już etap czytania sobie w myślach. Albo jestem tak przewidywalna.

Wspieranie go jednak nijak sprawy nie rozwiązuje, bo co ja mogę? Na drugim końcu słuchawki pozostaje mi jedynie powtarzanie pustych frazesów i złotych rad, w które sama nie wierzę.

- A może spróbuj się z nim spotkać na przepustce?

- Ja nie mam przepustek - odpowiadam.

- Czemu? Przecież są święta, a ty jesteś tu tak długo! To kara za ucieczkę?

- Nie, to nie jest kara. Po prostu... Nie miałby mnie kto pilnować.

- A rodzina?

Niech ją cholera weźmie, czy ona zawsze musi trafiać na drażliwy temat?

- Lola - nie daje za wygraną - dlaczego nie spędzasz z nimi świąt?

Nie mam pojęcia, co jej odpowiedzieć. Przyrzekłam sobie, że nie będę jej okłamywać, więc muszę się tego trzymać. Ale jak mam wybrnąć z tego pytania?

- Wiesz - podejmuje, widząc moje zakłopotanie - wydaje mi się, że święta powinno się spędzać z bliskimi. Nawet jeśli coś między wami nie gra, to właśnie jest moment, żeby wszystko sobie wybaczyć. Przyznać się do błędu, posypać głowę popiołem, popłakać... I myślę, że to nie byłaby oznaka słabości, lecz siły. Najłatwiej jest zamknąć się w sobie i zrzucić winę na innych.

- To nie takie proste...

- A właśnie że to *jest* proste! - Zrywa się. - Przecież wystarczy głupie „przepraszam”. Jestem pewna, że cokolwiek między wami się zadziało, będziecie potrafili się pogodzić. Wystarczy chcieć.

- Proszę, tylko nie złote rady z podręcznika. - Mówiąc to, przewracam oczami. - To nie takie łatwe. Poza tym nie zależy mi.

- Zależy, tylko nie potrafisz tego przyznać.

- Nie wiesz, to się nie mądrz - irytuję się.

- To mi powiedz!

- Dobra! - Teraz to ja gwałtownie się podnoszę. - Całe gimnazjum pilnowałam, by zrobić mojej rodzinie piekło z życia na każdy możliwy sposób. A potem, w liceum, znienawidziłam ich tak bardzo, że specjalnie wpakowałam się w kilka bardzo nieprzyjemnych sytuacji tylko po to, by trafić do ośrodka. Nie cierpię ich. Rzygam na myśl o tej ich doskonałości, na myśl o idealnie zawiązanym krawacie ojca,

perfekcyjnym makijażu matki czy wzorowych ocenach siostry. Nie pasuję do nich, rozumiesz? Nie jestem jedną z nich. Nie potrafię być taka jak oni! - Nawet nie zauważam, kiedy wybucham płaczem. Chowam twarz w dłoniach. Słowa jednak same cisną mi się na usta. - Skoro nie potrafię być idealna, skoro nie mogę być najlepsza w byciu dobrym, to mogę chociaż być najlepsza w byciu złym. Nie będę pierwsza w klasie, więc chcę być ostatnia. Najgorsza. Nie zniosę mojej przeciętności.

- Lola...

- Zawsze byłam słabym dzieciakiem. Bojaźliwym, zamkniętym w sobie. Co noc płakałam jak idiotka. Nienawidzę tego, kim byłam, wiesz? Nienawidzę! A jeszcze bardziej nienawidzę tego, jakimi ludźmi stali się moi rodzice. Są jak roboty. Tylko praca i spotkania, przeplatane posiłkami, w trakcie których mówią bez przerwy o mojej siostrze. Kiedyś... Kiedyś tacy nie byli.

- Może zmienili się, bo ty się zmieniłaś?

Na chwilę milknę. Podnoszę głowę i patrzę jej w oczy, usiłując zobaczyć coś przez tafłę łez. Obraz jest nieprzyjemnie zniekształcony.

Zmienili się, bo ja się zmieniłam?

To niedorzeczne.

Przecież to oni najpierw...

To nie ja zaczęłam.

To nie ja...

- To nie ja... - chlipię. - To nie ja...

Świat kiwa się to w jedną, to w drugą stronę. Słyszę tylko „to nie ja”, „to nie ja”, „to nie ja”. W kółko. Zagryzam zęby, a słowa przeradzają się w jęk.

Co się dzieje?

Czuję się, jakby nagle coś zaczęło we mnie rosnać. Coś zdecydowanie zbyt wielkiego, bym mogła to pomieścić. Zaciskam szczękę jeszcze mocniej, wbijam paznokcie w ramiona, wciąż kołyszę się to w przód, to w tył. Nie mogę przestać. Ktoś oddzielił mój umysł od ciała.

Aga nagle zeskakuje z łóżka i wybiega z pokoju. Nie zostawiaj mnie, idiotko. Nie teraz.

Dreszcze wstrząsają moim ciałem, przechodząc w nieustanne drgawki, jak w ataku padaczki. Puszczam ramiona i wkładam dłoń do ust, z całej siły nagryzając palce. Do pokoju wpada Skwarka, tuż za nią Aga. Pomagają mi wstać. Trzęsę się jak galaretka, ale posłusznie idę z nimi, wciąż miażdżąc ciało zębami. Ledwo się poruszam. Na korytarzu kilku pacjentów patrzy na mnie z przestrawieniem. Chciałabym coś powiedzieć, ale jedyne, co potrafię z siebie wydobyć, to dziwaczne skomlenie.

Pielęgniarka prędko otwiera drzwi zabiegowego, nakazując Adze, by posadziła mnie na leżance i naląła wody do kubka. Sama zaś szybko wyjmuje coś z szafki i chwilę później stoi nade mną z tabletką.

- Lola, otwórz usta.

Chciałabym, ale ręka wciąż tkwi między zębami, nie chcąc się ruszyć. Straciłam władzę nad ciałem. Skwarka łapie mnie za przegub, próbując ją wyrwać.

- Nie wygłupiaj się!

Kiedy tylko ust nic już nie zasłania, jęk przeradza się w skowyt. Pielęgniarka bez ceregieli wpycha mi lek do ust i zaciska palce na moim nosie, skutecznie zmuszając mnie do połknięcia, nim gorzki smak rozplynie się na języku.

Agnieszka przysiada w kuckach, opierając brodę na moich kolanach. Obserwuje mnie uważnie, czekając, aż się uspokoję. Nie wiem, czy substancja rzeczywiście zaczęła działać, czy może to efekt placebo, ale powoli zaczynam się uspokajać. Skwarka siada obok i głaszcze mnie po karku. Mija kilka minut, ale w końcu przestaję się trząść.

- Nie trzeba tego opatrzyć? - pyta Agnieszka, wskazując na moją dłoń.

- Pokaż.

Pielęgniarka ogląda moje palce. Wskazujący nosi prawie purpurowe ślady zębów.

- Nie, nie trzeba. Lola - zwraca się do mnie - dałam ci coś silnego, lepiej będzie, jak pójdziesz od razu do łóżka, zrozumiano?

Kiwam głową.

- Jutro porozmawiasz z lekarzem o tym, co się stało.

Znów potakuję. Nie chcę się teraz kłócić. Ale jest coś jeszcze, o co chcę zapytać, a to chyba całkiem dobry moment.

- Czy Aga może spać ze mną?

- Słucham? - dziwi się Skwarka. - Co masz na myśli?

- Współlokatorka Loli - szybko podejmuje Agnieszka - chętnie by się ze mną zamieniła. A ja lepiej bym się czuła...

- To nie ze mną rozmawiajcie na ten temat, tylko z lekarzami. Wszelkie przenosiny należą do ich kompetencji, nie do moich. Jak wam pozwolą, to wtedy pogadamy, jasne? Poza tym po tej waszej ucieczce raczej nie liczyłabym na ich zgodę.

Rozmowa wygląda na zakończoną, dlatego wychodzimy z gabinetu.

- Aga...

- Przepraszam, Lola, znów trafiłam w bolesne miejsce...

- Nie o to chodzi. A tamtym się nie przejmuj. Zaraz zapomnę, co się działo. Tak sobie jednak myślę, że...

Kiedy tylko wszyscy gromadzą się przy porannych lekach, w ekspresowym tempie Aga i moja współlokatorka przenoszą rzeczy do swoich nowych pokoi. Obie wcześniej wszystko sobie uszykowały, żeby móc przenieść tobołki za jednym podejściem. W ten sposób nikt nie ma czasu zorientować się w sytuacji. Oczywiście niczyjej zgody nie mamy. Liczymy, że zignorują nasze zachowanie wymownym milczeniem.

Oby tylko nie kazali im się z powrotem przeprowadzać.

Siedzimy w pokoju we trójkę, żegnając razem wtorkowy dzień. Maciek rozsiadł się na łóżku Agi, a ona na moim. Najwyraźniej siedzenie z nim na jednej pościeli wciąż ją przerasta. Kiedy tylko kończymy obgadywać zachowanie Czarnej, Agnieszka zwraca się do chłopaka poważnym

tonem: - Czy twoi rodzice mogliby wziąć Lolę na przepustkę?

- Nie rozumiem - odpowiada zdziwiony.

Ja też nie do końca wiem, o co może jej chodzić, ale nie wtrącam się.

- Lola chciałaby się z tobą spotkać - tłumaczy - ale nie ma kto jej zabrać. Może gdyby twoi rodzice wzięli odpowie...

- Przepraszam, to niemożliwe - ucina krótko.

Zabrzmiało oschle. Nie podoba mi się to.

- Słuchaj, nie musisz być taki niemiły, to tylko luźna propozycja, zapomnij o tym - dołączam się.

- Nie, czekaj, to nie tak. Po prostu w razie gdyby coś się stało, nie chcę, żeby czuli się winni - wyjaśnia. - Chciałbym się z tobą zobaczyć, ale na razie to niemożliwe. Będziemy jednak cały czas w kontakcie i umówimy się, jak już wyjdiesz, okej?

- Pewnie - mamrocze bez większego przekonania.

Chyba jednak trochę mnie to zabolalo. Więc Maciek bierze pod uwagę fakt, że mogę stanowić problem. Mogłabym narobić im kłopotów. Świetnie, dobrze wiedzieć.

- A Czarna? Spotkasz się z nią, jak wyjdzie? - pytam, udając obojętność.

- Mam nadzieję, że wpadnie do mnie w czasie świąt.

- Co?! - wykrztuszam. - Ale jak to? To znaczy wiem, że ma przepustkę, ale...

- Przepustkę? - Teraz to on jest zaskoczony. - Ach, ty nie wiesz! Wypisują ją razem ze mną. Dzisiaj zapadła

decyzja, zapomniałem ci przekazać.

Wypisują? Przecież ledwo ich ubłagała, by dali jej przepustkę. Zgodzili się, choć po cofnięciu do pierwszej fazy nie powinni byli tego robić.

- Rodzice zabierają ją na żądanie - wyjaśnia. - Namówiła ich na to. Zrobiła parę smutnych min i w końcu jej ulegli.

- Przecież dopiero co planowała samobójstwo! Czy ci ludzie oszaleli?! - podnoszę głos. - To się nie mieści w głowie!

Nie odpowiada. Z pewnością wie, że to idiotyzm w najczystszej postaci.

Wypisy na żądanie to tutaj codzienność. Nowi pacjenci przyjmowani są prawie codziennie, od poniedziałku do piątku, jednak wielu z nich w ciągu tygodnia wychodzi na własną odpowiedzialność. Wystarczy, że popłaczą trochę rodzicom. A ci ich zabierają, myśląc, że ratują dzieci przed nie wiadomo jaką krzywdą. W rzeczywistości zaś narażają ich na niebezpieczeństwo. Bo nikt nie próbuje się zabić bez przyczyny.

Ludzie są głupi.

W nocy ze środy na czwartek nie mogę zasnąć. Tym razem zamiast iść po leki, odwracam się do Agnieszki.

- Śpisz? - pytam cichutko.

- Już nie - odpowiada zaspanym głosem.

- Pogadamy?

- O czym?

- O czymkolwiek.
- Nie możesz spać?
- Niezbyt.

Wzdycha ciężko. Podnosi się z łóżka, targając za sobą koc, i kładzie się obok mnie. Ledwo się mieścimy, leżąc na plecach, dlatego szybko obracam ją tyłem i mocno obejmuję. Przez chwilę się wierci, w końcu jednak rozluźnia się i naciąga lekko kołdrę.

Słyszę tykanie zegarka na jej ręce. Odgłos ten lekko mnie irytuje, a im bardziej staram się nie zwracać na niego uwagi, tym głośniejszy się staje. Chowam twarz w jej włosach z cichym jęknięciem. Mam ochotę zerwać jej zegarek z ręki i wyrzucić przez okno.

- Możesz go zdjąć? - Dotykam go palcem.
- Po co?
- Denerwuje mnie to tykanie.

Usłużnie rozpina skórzany paseczek i chowa przedmiot do szuflady.

- Dziękuję.

Leżymy tak jakiś czas, zatopione we własnych myślach. Już jutro Maciek zostanie wypisany. Czarna też. Nie mogę tego znieść. Czuję się winna, że nasza dobra relacja odeszła w zapomnienie. Byliśmy tak zgrani...

- Chciałaś pogadać - przypomina mi Aga.

Tylko o czym? Może powinnam poruszyć temat wypisu moich przyjaciół... Albo wreszcie spróbować się dowiedzieć, jak ona tu trafiła. To drugie zostawię na później, najpierw trochę ją zmęczone. Nie bardzo chcę o tym rozmawiać, ale

zauważam, że dzielenie się z nią moimi myślami przynosi mi ulgę. O ile przy okazji niechcący nie trafia w czuły punkt, próbując mi coś doradzić.

- Jest mi przykro, że Maciek wychodzi. Boję się o niego. Ale to już wiesz. Jest jednak coś jeszcze. Chodzi o Czarną. Ja... - przerywam na moment - ...wtrąciłam się między nich. Dość nieświadomie. To trochę skomplikowane i nie ma potrzeby ci tego tłumaczyć, ale długo byliśmy nierozłączni, a potem się wszystko schrzaniło. Teraz, kiedy ona też wychodzi, mam wrażenie, że powinnam coś zrobić, coś powiedzieć, ale nie wiem co. Chciałabym to jakoś porządnie zamknąć. Mam na myśli ten rozdział. Znajomość z nią.

- Więc po prostu to zrób - bełkocze Aga, walcząc ze snem.

- Dzięki, to naprawdę cenna rada.

- Daj spokój, jest pierwsza w nocy - marudzi.

- Nie narzekaj. Poza tym jak chcesz, to mogę cię rozbudzić.

W ostatniej chwili powstrzymuje moją rękę przed dość brutalnym naruszeniem pewnych granic.

- Lola! - woła, odwracając się do mnie twarzą. - Co ty wyprawiasz?!

- Molestuję cię. To taki niezawodny sposób na rozbudzenie.

- Nigdy więcej tak nie rób.

- Bo co? - śmieję się.

Znów przekręca się tyłem do mnie. Nim zdążę ją objąć, sama łapie mnie za rękę i robi to za mnie. Nawet nie

próbuję ukryć rozbawienia. Po chwili boleśnie uderza mnie łokciem.

- Ej! - Łapię ją w przegubie. - Bo jak ci oddam, to rano nie wstaniesz.

Ku mojemu zaskoczeniu znów chce mnie uderzyć, ale tym razem ją powstrzymuję i zostawiam ślad po kolanie na jej udach. Szamoczemy się tak w ciszy dobre kilka minut. W pewnym momencie udaje mi się dość brutalnie ugryźć ją w ramię. Nie pozostaje mi dłużna, łapie za poduszkę i okłada mnie nią, dopóki nie udaje mi się jej przygwoździć, unieruchamiając jej rękę.

Oczy jej błyszczą w ciemności, a klatka piersiowa faluje szybko. Jest wyraźnie zdyszana. Może i jestem silniejsza od niej, ale zdecydowanie jej przejście w tryb hiperwentylacji jest niepokojący.

- Dobrze się czujesz? - pytam przestraszona.

Nie odpowiada. Wciąż wpatruje się we mnie, próbując uspokoić oddech.

Pochyliam się nad nią i zatrzymuję twarz parę centymetrów od niej.

- Aga?

Zero reakcji. Gapi się na mnie, jak gdybym miała na czole coś niezwykłego. O co może jej chodzić? Może powinnam ją puścić. Zaczynam się podnosić, a wtedy ona szybko podrywa się do góry, lekko muskając mnie ustami, po czym z powrotem opada na poduszki.

Patrzę na nią zdumiona. Czy ona właśnie...?

Matko jedyna.

No dom wariatów.

Śmieję się. Aga za to wygląda, jakby miała się popłakać. Szybko pochylam się i mocno odciskam pocałunek na jej wargach, po czym śmiejąc się do rozpuku, kładę obok.

- Jesteś szalona - stwierdzam.

W odpowiedzi próbuje wstać, ale przyciągam ją do siebie i oplatom rękoma. Chwilę później zasypiam, wciąż z uśmiechem na twarzy.

Budzę się w genialnym humorze. Agnieszka wciąż śpi. Nie bardzo wiem, co myśleć o jej zachowaniu, ale z pewnością mi ono nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Ciekawe tylko, na ile to był nagły przyptyw jakichś dziwnych emocji, a na ile coś więcej. Na to drugie raczej specjalnej ochoty nie mam. Zabawa zabawą, ale nie chcę jej skrzywdzić.

Po chwili moje myśli z powrotem biegną do przyjaciela. Z wahaniem sięgam po telefon i wybieram numer Maćka. Po kilku sygnałach słyszę zaspany głos: - Czego...

- Chodź do nas.

- Zaraz.

Jeszcze nie wiem, po co kazałam mu przyjść. Chcę jednak spędzić z nim cały dzień. Od początku do końca. Tylko do łazienki pozwolę mu iść samemu. Powinniśmy zrobić dziś coś wyjątkowego, to w końcu jego ostatnie godziny tutaj. Poza tym chętnie bym mu coś dała na pamiątkę. Może spróbuję zrobić mu w klasie jakiś prezent,

coś narysuję, ulepię... Nie, to idiotyczne. Nie mam pięciu lat.

Mija kilka minut, a Maciek wciąż się nie pojawia. Dzwonię do niego raz jeszcze.

- Hm?

- Rusz tyłek i...

Krótkie piknięcie sygnalizuje mi zakończenie połączenia. Najwidoczniej nie ma ochoty na poranne spacerki wzdłuż korytarza. Powinien się uczyć od anorektyczek. One potrafią wstać bladym świtem, byle móc zrobić choć kilka przysiadów, nie narażając się na spojrzenia personelu.

Drzwi otwierają się. Chłopak, zawinięty w kołdrę, wchodzi do pokoju i pada na łóżko Agi, nawet się nie odzywając. Po kilku spokojnych oddechach otwiera leniwie oczy i patrzy na mnie z rezygnacją.

- Mam zamiar spędzić z tobą cały dzień - informuję go.

W odpowiedzi wypuszcza głośno powietrze i zamyka oczy. Mija może kilkanaście sekund, a on już śpi jak zabity. Świetnie, czyli sobie nie pogadam. Wracam więc do myśli o dziecinnym prezenciku. Mogłabym coś narysować... Nic mi nie przychodzi do głowy. Najlepiej byłoby dać mu coś, co może mieć ze sobą zawsze.

- Aga - szepczę, lekko nią potrząsając.

- No...?

- Co mogę dać Maćkowi na pożegnanie?

- Siebie...

Za karę dotkliwie wbijam jej palec w brzuch. Najwyraźniej to nie do końca działa, bo wciąż leży niewzruszona. Za trzecim razem zatrzymuje moją rękę i przytula. Nie daję jednak za wygraną i szybko kieruję ją trochę do góry, by...

- Jasna cholera! - Dziewczyna podskakuje jak oparzona, prędko zasłaniając się rękoma. - Odbiło ci?!

- Porozmawiaj ze mną - rozkazuję, próbując ukryć cichą satysfakcję.

- To nie jest powód, żeby mnie obmacywać - syczy, groźnie mrużąc oczy.

- Trzeba było udzielić mi poważnej odpowiedzi. - To mówiąc, kładę jej dłoń na głowie i zaczynam ją głaskać.

Aga patrzy na mnie podejrzliwie, pokryta szkarłatnym rumieńcem. W końcu jednak zamyka oczy i wtula twarz w moją szyję, opierając nos w zagłębieniu.

- I tylko dlatego... - zaczyna, ale w tej chwili z drugiego łóżka dochodzi do nas cichy śmiech.

Maciek podpira się na łokciu, obserwując nas z rozbawieniem. Wygląda na to, że zdążył się jako tako rozbudzić. Jego włosy zdają się rozpaczliwie wołać o ratunek. Wyglądają, jakby jeszcze nigdy nie widziały szczotki.

- Nie przeszkadzajcie sobie - drwi. - Całkiem dobrze się bawię.

- Możesz się bawić razem z nami - proponuję. - Tylko nic nie mów młodej - dodaję teatralnym szeptem, wskazując palcem Agnieszkę.

Chłopak rzuca nam jeden z tych swoich uroczych uśmiechów, po czym z zaskakującą prędkością pokonuje odległość między łózkami, rzucając się na nas razem ze swoją kołdrą. Ignorując nasze jęki bólu, wskakuje między nas, rozpychając się łokciami. W ostatniej chwili łapie Agę, zanim ta zdąży grzmotnąć o podłogę.

- Debil - śmieję się, w nagrodę otrzymując buziaka w czoło.

Moja współlokatorka nie wygląda jednak na zadowoloną. Bliżej jej do paniki. Chcąc jakoś uratować sytuację, przeczołguję się nad Maćkiem, ku jego zadowoleniu zresztą, i zamieniam się z nim miejscami, tak żeby oddzielić go od struchlałej dziewczyny. Obejmuję ją w pasie, równocześnie czując owijające się wokół mojej talii ramię.

Leżymy tak w milczeniu, przerywanym co jakiś czas przez stłumiony śmiech Maćka i pociąganie nosa Agi, która wygląda, jakby miała się rozplakać. Zdecydowanie najlepiej z całego towarzystwa bawi się mój przyjaciel, co chwila mnie podszczypując. W końcu nie wytrzymuję.

- Ogarnij się, bo powiem twojej dziewczynie.

Uśmiecha się szerzej i znowu zaciska palce na wgłębieniu nad biodrem. Bezskutecznie próbuję się uwolnić. Postanawiam cierpliwie czekać, aż się uspokoi. W końcu przysuwa się maksymalnie blisko, podobnie jak Agnieszka opiera brodę na szczycie moich ramion. Nie wiedząc, do kogo zwrócić twarz, wpatruję się w sufit. Sytuacja jest lekko pokręcona, ale po cichu marzę

o możliwości zatrzymania czasu, byśmy mogli tak grzać się w jednym łóżku przez całą wieczność.

- Maciek... Co byś chciał dostać na pożegnanie?

- Aga ci już powiedziała - mamrocze.

- A tak poważnie? - dopytuję, wciąż badając wzrokiem białą powierzchnię.

Czuję jego oddech na skórze. Lekko mnie łaskocze, próbuję jednak powstrzymać się przed zasłonięciem szyi ręką.

- Tak poważnie, to możesz mi ulepić zawieszkę do kluczy.

- Naprawdę? - dziwię się.

- Będę mieć cię zawsze w kieszeni - mówi, zacieśniając uścisk.

- To brzmi niepokojąco - stwierdzam.

Odpowiada mi milczeniem.

Niech mu będzie. Jeszcze tylko jakiś kształt...

Maciek z szerokim uśmiechem przygląda mi się, kiedy lepię różowe ukulele. Nie komentuje jednak. Popija herbatę z mojego białego kubka z napisem „Bo nie.”, jedną ręką pisząc coś w zeszycie. Co jakiś czas zerka na mnie. Za każdym razem mam wrażenie, że ktoś wbija mi nóż między żebra. Już jutro wychodzi. Mój jedyny przyjaciel. Czy prawdziwy? To się okaże.

Boję się. Straszliwie. Nie chcę, by mnie odrzucił po wyjściu.

Cały dzień chodzimy za rękę. Uciekam od myśli o Czarnej, bo kiedy próbuję z nią porozmawiać, zwyczajnie mnie ignoruje. Rzucam więc za nią tylko kilka słów, najbardziej okrutnych, na jakie mnie stać. Na chwilę nieruchomieje, po czym szybko odchodzi w swoją stronę. Do końca dnia ukrywa się w swoim pokoju.

- Maciek, co w końcu z tobą i sam wiesz kim?

- Chyba nic. - Wzrusza ramionami.

Siedzimy u niego w pokoju, czekając na Agnieszkę, którą odwiedza mama. Jego wiecznie nieobecny współlokator jak zwykle gdzieś wyparował, dlatego mamy wreszcie czas na rozmowę.

- Braciszku, bądź ze mną szczerzy - proszę go, przeciągając się.

Parapet jest wyjątkowo zimny. Część do tej pory zajmowana przez książki mojego przyjaciela teraz jest pusta. Większość rzeczy już spakował. Wychodzi od razu po „społeczności”.

- Rozmawiałem z nią rano przez chwilę. Postanowiliśmy dać sobie spokój - oświadcza obojętnie, pochłonięty układaniem domku z kart na szafce nocnej.

- Przecież mówiłeś, że będziesz o nią walczył.

- Tak, ale dopóki ona będzie tego chciała.

- Ale...

- Nie rozumiesz, Lola - odzywa się. - Ona nie chce ze mną być, a ja nie mam zamiaru jej przymuszać. Poza tym dotarło do mnie, że nie jest jedyną osobą na świecie, która mnie akceptuje. Mam przecież jeszcze ciebie. - To mówiąc,

mruga do mnie. - Nie poddam się. Nie wiem, ile to potrwa, ale spróbuję znaleźć prawdziwych przyjaciół. Może niekoniecznie w szkole.

- I co wtedy? - pytam, czując przyływ złości.

- Co masz na myśli? - Unosi brwi.

- Odrzucisz mnie? Jak już nie będę ci potrzebna? - Ręce zaczynają mi drżeć.

- O czym ty mówisz? - obrusza się. - Dlaczego miałbym to robić?

Nie odpowiadam. Cholera, zaraz znowu się rozplączę. Parę tygodni tutaj, a ja znowu rozklejam się z byle powodu.

Wstaje i ostrożnie do mnie podchodzi. Przez chwilę patrzy na mnie, ale odwracam wzrok. Przytula mnie mocno, a ja bez większych protestów pozwalam mu bawić się moimi włosami.

- Boję się, że wyjdiesz stąd i nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz.

- Jesteś moją starszą siostrzyczką, Lola, nie przeżyłbym nawet jednego dnia bez twojego głosu - śmieje się.

Odpycham go lekko i patrzę mu prosto w oczy.

- Obiecuj - rozkazuję.

Uśmiech schodzi mu z twarzy, wyparty przez smutek, który owija mnie chłodem. Lekko całuje mnie w policzek.

- Obiecuję.

W piątek zjadamy śniadanie w milczeniu. Na „społeczności” zarówno Maciek, jak i Czarna dziękują wszystkim pacjentom za wspólne chwile, personelowi zaś

za opiekę. Słucham ich słów, ale jestem nieobecna. Mój umysł znów wypełnia pustka. Prawdopodobnie mój organizm próbuje się chronić przed silnymi emocjami poprzez wyparcie. Przynajmniej tak twierdzi Rojkowski. W tym tygodniu przemogłam się i zapytałam go o to uczucie, które tak często mi towarzyszy. To podobno dość częste u osób takich jak ja. Sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle. To pomaga mi się obronić. Ale z drugiej strony...

Chciałabym płakać.

A nie potrafię.

Nie wtedy, kiedy tego potrzebuję.

Obserwuję przyjaciela, oparta o framugę drzwi, kiedy po raz ostatni sprawdza, czy niczego nie zapomniał. Zatrzymuje się przede mną, trzymając rękę na uchwycie walizki. Stoję z założonymi rękami i uparcie wpatruję się w okno. Nie tak powinno to wyglądać. Powinniśmy się śmiać, planować wspólne spotkanie, życzyć sobie wszystkiego dobrego. A jednak w pokoju panuje okrutne milczenie, zabarwione jedynie odgłosami z korytarza.

Przygarnia mnie do siebie i po raz ostatni przytula. Wsuwam mu do kieszeni różowy breloczek.

- Dziękuję - szepcze.

Wychodzi.

Nie odprowadzam go.

Zamiast tego siadam na jego łóżku i chowam twarz w dłoniach.

Nie potrafię uwierzyć, że ta przyjaźń może przetrwać.

Rozdział 18

Nie potrafię tego przełknąć.

Nie mogę się z tym pogodzić.

Nie chcę.

Leżę na wznak cały piątek.

Sobotę.

Niedzielę.

Wybudzam się tylko, gdy słyszę dźwięk telefonu.

Agnieszka co jakiś czas przynosi mi herbatę.

Odwołuje odwiedziny.

Kładzie się obok mnie.

W poniedziałek rano najwyraźniej dochodzi do wniosku, że trzy dni umierania mi wystarczą. Ściąga ze mnie kołdrę i rzuca ją na swoje łóżko. Wyjmuje z szafy czarne ubrania, kosmetyczkę i ręcznik. Stoi z nimi nade mną w nieskończoność, aż w końcu zwlekam się i posłusznie daję się zaprowadzić do łazienki.

Korytarz jest nieprzyjemnie zimny. Pusty. Śmierdzi wonią rozkładu, strachu. Cuchnie człowiekiem. Za oknem śnieg zamienił się w burą papkę. Wyschnięte krzaczki

wyglądają tak, jakby miały się rozpaść od byle podmuchu wiatru. Powietrze stoi w miejscu. Jesteśmy w próżni. W metalowej puszcze.

Łapię dłoń Agnieszki.

Wchodzimy do łazienki. Powoli się rozbieram, dziewczyna obserwuje mnie, gotowa w każdej chwili udzielić mi pomocy. Wyjmuje kosmetyki i ustawia je w brodziku. Puszczą wodę, sprawdza temperaturę. Nawet nie zwracam na nią uwagi, kiedy zdejmuję bieliznę. Jestem zbyt oszołomiona, by martwić się o swoją nagość. Nieśmiałym ruchem wpycha mnie do środka i zaciąga zasłonkę.

Stoję nieruchomo, powstrzymując chęć ucieczki. Nie mam ani siły, ani ochoty, by sięgnąć po szampon. Wpatruję się tępo w beżowe kafelki. Brzydkie wzorki pływają mi przed oczami. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Siadam. Głowę wkładam między kolana, obejmując się rękoma.

Pustka.

Nic nie czuję.

O niczym nie myślę.

Wciąż siedząc, wyciągam rękę po szampon. Nie otwierając oczu, myję włosy, a potem namydlam ciało. Nie czuję zapachu. Próbuję się skupić na wyłapaniu rumiankowej woni. Bezskutecznie. Mój mózg mnie nie słucha. Owinął się kocem i schował głęboko pod łóżkiem.

Spoglądam na moje ręce, poznaczone białymi bliznami. Ta na nadgarstku jest dziwacznie przerośnięta w stosunku do innych. Wyraźne wybrzuszenie na skórze. Kreska

grubsza niż inne. Do końca życia będę ją nosić, zresztą tak jak pozostałe. Za kilka lat ktoś mnie zapyta, czy próbowałam się zabić. Co odpowiem? Że zostałam wrobiona?

Coraz mniej wierzę w przypadkowość tego zdarzenia. Zaczynam sądzić, że gdzieś na górze ktoś wyczuł, że zbliżam się do kresu wytrzymałości, więc przyspieszył cały proces, by móc mnie wyratować. Być może pobyt tutaj uratował mi życie. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy dotrzymałabym do matury.

Najwyższa pora przyznać przed samą sobą, że ta moja odwaga to tylko pozory. Wmówiłam to sobie, by łatwiej było mi oszukać innych. W gruncie rzeczy co noc marzyłam o tym, by zniknąć. Słowo „śmierć” raczej nie pojawiało się w mojej głowie. Ale kto wie, może w końcu połączyłabym jedno z drugim.

Wydaje mi się, że odkrywam w sobie wadliwe obszary, których wcześniej nie zauważałam. Tak jakbym od kilku lat coraz bardziej się pogrążała, by dopiero teraz zauważyć raka toczącego moje ciało.

Im bardziej się sobie przyglądam, tym bardziej jestem przerażona.

Nie działałam. Jestem uszkodzona, zepsuta.

Tylko dlaczego dopiero teraz to widzę? Co takiego się zmieniło, że udało mi się choć odrobinę odblokować świadomość? Na terapiach byłam niewiele. Teraz rzeczywiście zaczęłam się na nich pojawiać, ale wciąż milczałam. Jest tylko jedno rozwiązanie. Uwierzyłam, że

ktoś może mnie akceptować. Lubić. Chcieć kontaktu ze mną. Ta myśl pozwoliła mi się przed sobą otworzyć. Równocześnie jednak mnie osłabiła. Zaczęłam im ufać, pragnąc ich bliskości. Bać się odrzucenia.

Przypomina mi się fragment „Małego Księcia”, ten o lisie: „Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś”.

Już nic nie będzie takie samo. Zmienili mnie. A co najgorsze, po kolei odchodzą, zostawiając mnie samą. Utwierdzając w przekonaniu, że przyjaźń nie istnieje. Koniec końców można liczyć tylko na siebie. Relacja z Czarną wytrzymała miesiąc. Teraz, gdy Maciek został wypisany, mogę zacząć liczyć dni. A Agnieszka? Ile mi zostało? Jak długo będę mogła się cieszyć jej towarzystwem?

Boję się tego, co nastąpi później. Po moim wyjściu, po maturze, po studiach. Być może nigdy nie uda mi się zbudować trwałej relacji. Będę zmuszona przeskakiwać z jednej do drugiej, wciąż narażając się na ból samotności, spotęgowany chwilowymi rozbłyskami nadziei. Nie podoba mi się to. Nie chcę tak funkcjonować. Łatwiej byłoby od razu wzmocnić mur wokół siebie.

Nie mam jednak na to siły. Poddaję się. Co ma być, to będzie.

Wstaję i zakręcam wodę. Po chwili Agnieszka podaje mi górą ręcznik. Pozwalam jej mnie niańczyć. Gdzie się podziała Lola?

Święta zbliżają się wielkimi krokami. W czwartek ma się odbyć uroczysta oddziałowa Wigilia. Po niej większość pacjentów zostanie wypuszczona na przepustkę. Oprócz mnie będzie tu tylko dwójka nastolatków. Każde zamknie się pewnie w swoim pokoju. Tak też spędzałam czas rok temu, tylko że zamiast oddziału miałam do dyspozycji ośrodek. I byłam jedyną osobą, która nie jechała do domu.

Udaje mi się namówić Agnieszkę, by spotkała się z Maćkiem zamiast mnie. Chcę, żeby przekazała mu infantylny prezent, który zrobiłam dziś po południu. To styropianowa bombka, którą ozdobiłam najlepiej, jak potrafiłam. Identyczną mam zamiar dać Adze. Mam nadzieję, że powieszą je na choinkach. Nic więcej nie mogę im dać. Strasznie tego żałuję.

Przyznam szczerze, że trochę się boję. Zostanę sama z moimi myślami. Na prawie trzy dni. Niektórzy dostali przepustki tylko na wigilijny wieczór, ale cała reszta wraca dopiero w sobotę. Spróbuję coś poczytać, może obejrzę jakiś film... Dam radę.

Będzie dobrze.

Chyba.

Siedzimy na jednym łóżku, rozwiązując wspólnie krzyżówki. Aga nie nadąża z pisaniem. Po wypełnieniu dwóch książeczek mój umysł pracuje na zupełnie innych obrotach. Kiedy po raz kolejny wpisuję hasło, dzwoni telefon.

- Hej, siostra - odzywa się wesoły głos.

- Maciek! - wołam uradowana.

- Melduję, że żyję i na razie nie zamierzam przestać - informuje mnie.

- Cieszę się. Pamiętasz o spotkaniu z młodą?

Aga przewraca oczami.

- Pewnie. Mam nawet coś dla ciebie.

- Jak tylko wyjdę, to...

- ...się spotkamy - kończy za mnie. - Będę czekać.

- A jak tam przygotowania do świąt? Radzisz sobie jakoś?

- Cóż... Jest trochę napięta atmosfera, ale jakoś idzie.

Żałuję, że przez telefon nie mogę skontrolować, czy aby na pewno mówi prawdę. W normalnych warunkach wystarczyłoby jedno spojrzenie, bym mogła się upewnić.

- Trzymam kciuki.

- A ja trzymam za ciebie. Jestem pewny, że z tego wybrniesz - próbuje mnie pocieszyć. - W razie czego dzwoń. Rodzinka może poczekać. Prezenty zresztą też - śmieje się.

- Dzięki...

- Dobra, Lola, ja muszę lecieć. Mama mnie zabije, jak zaraz nie posprzątam w pokoju. Tylko pamiętaj: zawsze możesz zadzwonić.

- Jasne. - Mówiąc to, mam nadzieję, że nie słyhać drwiny w moim głosie.

- Kocham cię, wiesz o tym?

- Wiem. Ja ciebie też, braciszku.

- Dobranoc.

Rozłączam się. Ta rozmowa wcale mi nie poprawiła humoru.

- Nie masz wrażenia, że dzwoni do mnie, bo musi? - zwracam się do Agi.

- Przesadzasz - odpowiada, bawiąc się długopisem.

Czy rzeczywiście tak jest? Nie da się jednak zaprzeczyć, że każda rozmowa szybciej się kończy. Tak jakby Maciek powoli odchodził. Jakby więzy ze szpitalem rozluźniały się. Staję się jego przeszłością.

Czwartek nadchodzi dużo szybciej, niżbym chciała. Nim zdążę się zorientować, pielęgniarki wraz z kilkoma pacjentami ustawiają wzdłuż głównego korytarza stoły. Konstrukcję przykrywają prawie białym obrusem. Jestem zdumiona liczbą potraw, jakie przygotowano. Nie sądziłam, że tak się wysilą, by nas zadowolić. Chociaż to może z tego powodu, że nie tylko pacjenci, ale przede wszystkim personel będzie świętować. Może więc mnogość ciast jest uzasadniona.

Podchodzę do wszystkiego z dobrze mi znaną obojętnością. Co prawda ostatnio towarzyszy mi dość kiepski nastrój, ale jak co dzień wstaję, ubieram się, jem śniadanie, myję zęby, a potem kładę się do łóżka. Ani mnie, ani mojej współlokatorce za bardzo nie chce się rozmawiać, dlatego milczymy, zajęte własnymi myślami.

W ten niezbyt produktywny sposób mija nam czas aż do uroczystego obiadu. Agnieszka co i rusz sięga po telefon, ja zadowolam się krótką rozmową z Maćkiem i mdłym SMS-

em od siostry Racheli. Muszę przyznać, że jestem trochę zawiedziona. Liczyłam, że zadzwoni. Wiem, że w jej odczuciu wyglądam jak dziecko opętane przez szatana, ale mogłaby dać sobie w końcu spokój. Norbert wyszedł bez szwanku, ja zaś dalej tkwię tutaj. Nawet nie zadała sobie trudu zapytania mnie, co wtedy zaszło. Najwyraźniej jego wersję uznała za w pełni zadowalającą. Nie ma jednak sensu się nad tym głowić. Nic to przecież nie zmieni. Oczywiście jest mi przykro, że zostałam tak potraktowana. Nawet jeśli zakonnica dość często podawała moje słowa w wątpliwość, wciąż po cichu liczyłam na to, że pewnego dnia to się zmieni. Wydawało mi się, że osoba taka jak ona powinna mi ufać. A ja powinnam móc ufać jej.

Nadzieja matką głupich.

Powoli zaczynam mieć dość słowa „zaufanie”. Cóż ono znaczy? Finalnie nic mi dobrego z tego nie przychodzi. Odkrywam twardą skorupę, odsłaniając miękkie, bezbronne wnętrze. Pokazuję, że można mnie zranić. Łatwiej, niż ktoś mógłby przypuszczać.

Przykład pierwszy? Oczywiście siostra Rachela. Wiedziała, że się okaleczam, zresztą jak wszyscy. Kilkakrotnie dawałam jej do zrozumienia, że moja samotność nie wynika z tego, że nienawidzę wszystkich wokół. Do samego końca byłam pewna, że właśnie na jej zrozumienie mogę liczyć. No i się przeliczyłam.

Dwójeczka, czyli Maciek. Znów wałkuję tę kwestię. Ale może powinnam szczerze sobie odpowiedzieć na pytanie, czy nie żałuję tamtej nocy. Może i chwilowo poczułam ulgę,

ale prawdę mówiąc, powiedziałam mu dosłownie wszystko. Nawet najbardziej bolesne dla mnie sprawy. A teraz go nie ma. Zniknął i prawdopodobnie już się nie pojawi. Umieram ze strachu, że Aga wróci z liścikiem, w którym mój przyjaciel dziękuje mi za znajomość i życzy pomyślnej przyszłości.

Nie należy nikomu ufać. A jednak wciąż szukam pocieszenia przy Agnieszce. Choć powstrzymuję się z całych sił, mam ochotę paść na kolana i rozpłakać się jak małe dziecko. Marzę o tym, by mnie przytuliła, powiedziała mi do ucha coś znaczącego, co pozwoli mi się poczuć...

Bez sensu. Takie myślenie nic mi nie da.

Nagle do naszego pokoju wchodzi jedna z wolontariuszek. Co weekend przychodzą do nas z fundacji. Grają z pacjentami w gry, wymyślają różne kreatywne zajęcia, za każdym razem coś innego. W zeszłym tygodniu robiliśmy ozdoby choinkowe. To znaczy ja nie robiłam, uznałam, że to dziecinne. Wykorzystałam jednak wiedzę Agnieszki, która w tym uczestniczyła, by później móc w samotności zająć się bombkami.

Kobieta silnej postury, z mocno zarysowaną szczęką, omiata wzrokiem pokój i wesoło proponuje, byśmy dołączyły się do wspólnego śpiewania kolęd. Do oddziałowej Wigilii została prawie godzina, a oni chcą ją sobie umilić radosnym śpiewaniem. Założę się, że zebrali dużo chętnych. Dlatego też dochodzę do wniosku, że nikt się nie obrazi, jeśli odmówię. Kiedy jednak Agnieszka bierze ze mnie przykład, przywołuję setki argumentów, mających

namówić ją na wzięcie udziału w kolędowaniu. W końcu zrezygnowana wychodzi.

Czterdzieści minut... Idealny czas na drzemkę.

Drzwi do sali terapii widocznie są otwarte, bo wyraźnie słyszę melodię i słowa. Z siły głosów wnioskuję, że udało im się zebrać prawie cały oddział. Znajoma pieśń powoli otacza mnie swą magią. Przymykam oczy.

Mam wrażenie, że czuję zapach barszczu. Niewykluczone, że stoi gdzieś blisko pokojów. Zdaje mi się, że widzę mamę uwijającą się w kuchni w poplamionym fartuchu. Piękne włosy zebrała w luźny koczek, który co chwila musi poprawiać, gdyż kosmyki uparcie wysuwają się. Moja siostra łapczywie wkłada palce w każdą potrawę po kolei, gdy tylko mama odwraca wzrok. Ich złote włosy odbijają światło lampek wiszących na oknie. Mienią się to czerwienią, to srebrem.

Oczami wyobraźni przyglądam się suszonym kawałkom pomarańczy, zawieszonym gdzie się da. Szafkom, z których zdjęliśmy zbędne rzeczy, by móc je zastąpić świątecznymi dekoracjami. Okres świąteczny zawsze kochałyśmy najbardziej. Wtedy ojciec dostawał najdłuższy urlop. Przed jego powrotem uwijałyśmy się w pocie czoła, chcąc doprowadzić dom do perfekcyjnego stanu. Podłoga była tak czysta, że można by z niej jeść, okna szorowałyśmy, aż ręce opadały nam z sił, odsuwałyśmy meble, by dotrzeć do każdego pyłku kurzu. Tylko w kuchni panował chaos. Tata z rozbawieniem obserwował żonę i starszą córkę, jak

wzajemnie wyrywały sobie jedzenie z rąk. Co jakiś czas patrzył na mnie. Nigdy nie brałam w tym udziału. Chętnie bym pomogła, ale nie potrafiłam nawet równo pokroić chleba. Zawadzałam. Pozostawało mi jedynie przygotowanie stołu.

Kiedyś, gdy byłam dużo mniejsza, kolędy rozbrzmiewały w całym domu. Ojciec włączał radio, a my przyłączaliśmy się do piosenkarzy, próbując wpasować się w dziwaczne *covery*, które zwykle okrutnie niszczyły pierwowzory. Im jednak dalej, tym takie zachowanie stawało się coraz bardziej krępujące. W końcu nawet głośniki zamilkły. Zostało sprzątanie, gotowanie, jedzenie i prezenty. Ale muzyki już nie było. Coś się skończyło.

Przykrywam się kołdrą, chroniąc przed chłodem. Dobrze wiem, że to nie kaloryfery zawiodły. To ta kolęda. Przywołuje wspomnienia, których nie chcę widzieć. Im dłużej to trwa, tym mróz wokół przybiera na sile. W końcu nie wytrzymuję i wychodzę z pokoju.

Kiedy już docieram do sali terapii, by zamknąć drzwi, zamieram z ręką na klamce. Przyglądam się jak zahipnotyzowana nastolatkom zgromadzonym w pomieszczeniu, z uśmiechem śpiewającym kolędę. Wolontariusze rozdali im drobne instrumenty, takie jak kołatki czy trójkąty. Agnieszka siedzi w kącie i z lekkim uśmiechem wybija rytm grzechotką. Mam wrażenie, że wdarłam się do innego wymiaru. Patrzę na nich, nie mogąc pojąć jednego.

Jak oni mogą się cieszyć?

Czy nie powinni tak jak ja chować się w pokoju?

Dlaczego się śmieją?

Dlaczego śpiewają?

Jesteśmy w szpitalu. Ułomni. Niechciani. W święta.

Dlaczego więc nie płaczą?

Czuję narastającą we mnie rozpacz.

Może to tylko ja nie potrafię być dziś radosna. Może to tylko ja z każdą nutą czuję, jak tysiące igieł wbija mi się coraz bardziej w ciało, a lód wypełnia moje żyły. Zimno ogarnia mnie, ciało zaś reaguje drżeniem.

Czym prędzej zamykam drzwi. Gdy się wycofuję, płaczą mi się nogi i w efekcie zaliczam bolesny upadek. Lekko oszołomiona podnoszę się z podłogi i nie zwracając uwagi na wołającą mnie pielęgniarkę, chowam się w pokoju. Z trudem podchodzę do łóżka i zrywam z niego czarny koc, przeplatany cienutkimi złotymi niciami. Patrzą na niego przez dłuższą chwilę, ze znajomą pustką w głowie, po czym owijam się nim i kładę na pościeli, podkulając nogi.

Melodia, choć wyciszona, dudni mi w głowie. Nie mogę tego znieść. Zaciskam zęby. Ściana zaczyna lekko falować. Prędko zamykam oczy, ale gdy tylko to robię, mam wrażenie, że łóżko pode mną delikatnie się przesuwa to w jedną, to w drugą stronę.

Cholera, panikuję.

Zrywam się na równe nogi i mknę do dyżurki.

- Źle się czuję - oświadczam, usiłując utrzymać się na nogach. Mam wrażenie, że zaraz się rozpadnę.

- A ja jestem wróżką i chętnie ci pomogę - kpi Skwarka.

- Mówię poważnie. Źle się czuję.

Czuję, że gdzieś głęboko we mnie coś się wyłącza. Tak jakby ktoś po kolei odłączał bezpieczniki. Jeden po drugim. Nie wiem, co się dzieje, ale wiem, że muszę działać. Natychmiast.

- Zdrzemnij się - zbywa mnie pielęgniarka, po czym wraca do lektury gazety.

Nie mam czasu. Rojkowski.

Ciągnąc za sobą koc, idę do gabinetu. Chciałabym przebiec ten odcinek, ale powoli tracę panowanie nad nogami. Zdają się iść coraz wolniej. Z każdym krokiem są coraz cięższe, a połączenie mózg-ciało słabnie.

Nie potrafię nazwać dokładnie tego, co właśnie się dzieje. Wiem jednak, że na usta ciśnię mi się jedno słowo.

Niepokój.

Pukam do drzwi jego gabinetu, ale nikt nie odpowiada. Dobijam się więc do wszystkich pomieszczeń w korytarzu. W końcu jedna z lekarek informuje mnie, że mój psychiatra jest zajęty rozmową z ordynatorem. Powłóczę nogami, kieruję się do pokoju tłustego wieloryba. Po kilku lekkich uderzeniach kłkociami drzwi otwierają się.

Ignoruję osobę, która stoi przede mną, i podchodzę do Rojkowskiego siedzącego na jednym z foteli. Pochyliam się nad nim, skupiając całą uwagę na tym, żeby się nie przewrócić. Świat rozjeżdża mi się przed oczami, rozciąga się we wszystkich kierunkach. Widzę ruch każdego centymetra ściany przede mną.

- Źle się czuję - bełkoczę.

- Słucham? - pyta lekarz, najwyraźniej nie zrozumiałwszy.

- Źle. Się. Czuję - powtarzam, tym razem głośniej.

- I? - wzdycha z rezygnacją.

- Potrzebuję pomocy, teraz - wykrztuszam.

On jednak patrzy na mnie z powątpiewaniem. Obrzuca mnie spojrzeniem pytającym: „Czego ona znowu chce”. W końcu krzyżuje ramiona na piersi i oświadcza: - Idź się położyć. Widzimy się na posiłku.

Niewidzialna ręka unosi ostatnią klapkę.

Przepadłam.

Nie ma mnie.

Jeden za drugim, krocze po krocze. Wchodzę do pokoju. Kładę się i zamykam oczy. Przez chwilę myślę, że dam radę.

Chwilę później słyszę kolędę.

Zaciskam poduszkę na głowie.

Zamknijcie się, do cholery.

Zasłaniam uszy.

Zamknijcie się.

Natychmiast.

Nie wytrzymam.

Nie chcę tego słyszeć.

Pragnę tylko ciszy.

Spokoju.

Chcę zapomnieć.

Zniknąć.

Teraz.
Natychmiast.
Skupiam się na oddechu.
Spokojnie, Lola.
Tylko spokojnie.

Drgawki ustają.

Powoli dochodzę do siebie. Udało mi się nad tym zapanować. Wyciszyłam się w ostatniej chwili. Kulę się pod ciemnym kocem, wciąż ledwie przytomna. Mam wrażenie, że ktoś odebrał mi część świadomości. Czuję się trochę jak w tych momentach, kiedy się okaleczałam. Jak gdybym stała gdzieś z boku, oddzielona od ciała.

Kiedy otwieram oczy, powierzchnie wciąż lekko falują. Zaciskam więc z powrotem powieki, w oczekiwaniu na sen, który nie chce nadejść.

Jakiś czas później głos Agnieszki rozlega się tuż nad moim uchem. Wciąż nieobecna mamrocę, że nigdzie nie idę. Mówi coś jeszcze, a do niej przyłącza się pielęgniarka. Ja jednak potrafię się skupić jedynie na własnym oddechu.

Leżę i leżę. Choć znów czuję się w miarę normalnie, dziwaczne odrętwienie nie pozwala mi odpocząć.

Cisza przed burzą.

Do końca dnia nie podnoszę się z łóżka. Nie reaguję, nawet kiedy Aga wychodzi na przepustkę. Całuje mnie ostrożnie w nos, po czym szepcze parę słów na pożegnanie. Wszystko dociera do mnie jak przez ścianę.

Bariera.

Jestem w dziwacznej bańce, oddzielającej mnie od reszty świata.

Nie ma mnie.

Słyszę dzwonek telefonu. Melodia powtarza się kilka razy. W końcu zwlekam się z posłania, chcąc wyłączyć urządzenie. I wtedy to zauważam.

Zapomniała o bombce dla Maćka.

Z trudem wycofuję się, by móc opaść na łóżko. Chowam twarz w dłoniach. Nie jest mi przykro. Jestem wściekła. Przerażająco wściekła.

Podnoszę głowę i patrzę na bombkę. Doskakuję do niej. Zaciskam na niej palce. Raz po raz uderzam nią o parapet, próbując zmienić ją w pył. Nie ustępuje. Cekiny i koraliki odpadają, ale ozdoba wciąż pozostaje nienaruszona. Z wrzaskiem ciskam nią o ścianę. Odbija się lekko i toczy aż do moich nóg. Z całej siły depczę ją, wciąż nie widząc odpadających kawałków styropianu. Łapię więc za długopis i zabieram się do dziurawienia jej. Kiedy już traci swój kulisty kształt, uśmiecham się z ulgą. Wstaję z łóżka, by wyrzucić resztki do kosza na śmieci.

Jak ona śmiała zapomnieć o najważniejszym! Tyle razy jej przypominałam. Maciek z pewnością poczuje się dotknięty. Co, jeśli uzna, że tak naprawdę mam go gdzieś? Przez jakąś głupią bombkę?

Na nikogo nie można liczyć.

Nieważne, muszę się czymś zająć, bo zaraz zwariuję. Sięgam po stertę książek leżącą pod oknem. Kiedy chcę zanieść je do łóżka, nagle otwierają się drzwi, a ja przestraszona wypuszczam kilka z nich na podłogę.

- Wszystko gra? - pyta pan Krzyś. - Wydawało mi się, że krzyczałaś.

- Jest okej - rzucam niedbale, schylając się po podręczniki.

Sanitariusz wychodzi, ja zaś dostrzegam, że pod opasłym słownikiem leżą kawałki szkła. Próbka perfum. Musiała wypaść spod poduszki, gdzie ją trzymam, a teraz rozpadła się pod naporem upuszczonych książek. Odkładam je na szafkę i sięgam po odłamki. Ostrożnie zbieram je z podłogi, nie chcąc się zranić. Słodki zapach kwiatów unosi się w pokoju. Siadam na kolanach, oparta o kaloryfer. Bawię się ostrymi kawałeczkami buteleczki w dłoni.

Mój wzrok ześlizguje się na kosz stojący w kącie.

Zaciskam z całej siły pięść. Ból przeszywa moje ciało i umysł, rozprowadzając lekką falę rozkoszy, która po chwili znika.

Ponownie ściskam szkiełka, ale tym razem nie puszczam. Przymykam oczy, odchylam głowę i głęboko oddycham, napawając się tym uczuciem. Emocje powoli mnie opuszczają. Czuję lekko metaliczną woń krwi przedzierającą się przez moje palce. Z każdym wydechem jakaś część złości ulatuje, pozostawiając po sobie czyściutką przestrzeń, którą niedługo będę mogła ponownie wypełnić.

Kiedy czuję się już oczyszczona, otwieram oczy i ostrożnie rozwieram pięść. Kawałki szkła tkwią w mojej skórze w towarzystwie czerwieni. Precyzyjnie wyjmuję je jeden po drugim, za każdym razem krzywiąc się z bólu. Powinnam wyrzucić je do kosza, ale nie robię tego. Zawijam je w kawałek chusteczki i chowam na dnie szuflady, zakrywając jedną z książek. Mogą jeszcze się przydać.

Ręka straszliwie mnie kłuje, ale krwawienie ustaje, by niedługo później przypominać o sobie jedynie przyjemnym szczypaniem. Nie ukrywam ran, to tylko zwróciłoby uwagę pielęgniarek. Jakikolwiek opatrunek wyczułyby na kilometr. Dużo łatwiej jest trzymać ręce w kieszeni i uważać, by nie pokazywać wnętrza dłoni.

Kiedy ostatni raz coś sobie zrobiłam?

Minął ponad miesiąc. Poza tym wtedy chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co robię. Teraz jednak dokładnie wszystko pamiętam. Wiedziałam, co robię, i nie żałuję tego. Powstrzymałam się przed wybuchem.

Wszystko jest tak, jak być powinno.

Rozdział 19

Dzień dobiega końca. Włączam telefon, chcąc sprawdzić, kto próbował się do mnie dodzwonić. Maciek, Agnieszka... Serce podjeżdża mi do gardła, gdy widzę numer ojca. Może jednak powinnam do nich zadzwonić? Choć na chwilę... Albo wysłać wiadomość... Wiem jednak, że to nic nie zmieni. I tak nie dojdę z nimi do porozumienia. Wybrałam ścieżkę i teraz muszę nią kroczyć. Nie ma sensu rozdrapywać starych ran.

Bezskutecznie usiłuję skontaktować się z przyjacielem, ale nie odbiera. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego. Z pewnością Aga powiedziała mu o prezencie. Może więc chciał raz jeszcze złożyć mi życzenia? Oby u niego Wigilia minęła w ciepłej, rodzinnej atmosferze, bez niepotrzebnych spięć. Ciekawe, jak sobie radzi na wolności. Zawsze mówi, że jest dobrze. Boi się jedynie powrotu do szkoły. W domu bowiem jest bezpieczny, otoczony miłością, zrozumieniem. To z pewnością dobrze na niego wpływa. Nie mogę jednak powstrzymać się przed wspomnianiem analogicznej sytuacji z Czarną, kiedy wmawiała nam nieprawdę. Modlę się, by Maciek okazał się mądrzejszy.

Dzwonię do Agi. Mam nadzieję, że jeszcze nie śpi. Po kilku sygnałach słyszę jej głos:

- Hej.

Hej? Tylko tyle? To przecież ona do mnie dzwoniła. Teraz jednak po tym krótkim słówku milczy jak zaklęta. Coś jest nie tak.

- Wszystko w porządku? - Odpowiada mi cisza. Gdyby nie lekki szum, którego źródłem prawdopodobnie jest jej oddech, pomyślałabym, że się rozłączyła. Coraz bardziej wystraszona ponawiam próbę: - Co się dzieje?

Szum nasila się. Może to zakłócenia? Może to i nowy telefon, ale model sprzed Titanica. Pewnie...

Zaraz.

Ona płacze?

- Agnieszka! - wołam. - Co się stało?

- Przepraszam - ucina i odkłada słuchawkę.

Od razu próbuję się z nią ponownie połączyć. Moja wyobraźnia podsuwa mi straszliwe obrazy, kiedy przyjaciółka nie odbiera. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś się jej stało. Przecież ja nawet nie wiem, za co ona tu trafiła. Co za idiota puścił ją na przepustkę tak szybko?

Nagle rozlega się trzask.

- Aga? Jesteś tam?

- Chcę wrócić...

Jej szloch zdaje się najsmutniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałam. Wyciąga mi z piersi serce i rozdeptuje je na zimnej posadzce, rozbryzgując krew na wszystkie strony.

- Czekam - odpowiadam, usiłując zapanować nad emocjami.

Znów się rozłącza.

Zwariuję z tą dziewczyną.

Wciąż ściskając telefon, krążę po pokoju, zagryzając usta.

Co takiego się wydarzyło, że chce wrócić wcześniej? Może pokłóciła się z rodzicami? Nawet nie wiem, czy ma rodzeństwo. Tylko mama ją odwiedzała. Wyglądały na mocno związane, trudno mi więc uwierzyć, żeby miało to z nią coś wspólnego.

To nie ma sensu. Nic o Agnieszce nie wiem. Mogę jedynie zgadywać.

Krążę tak i krążę, czując narastającą panikę.

Nawet nie wiem, kiedy paznokcie wrzynają mi się w skórę, rozrywając jeszcze bardziej rany na dłoni. Orientuję się dopiero, gdy widzę krople krwi na podłodze. Próbuję je zetrzeć stopą, ale tylko pogarszam sprawę. Oliwkowe linoleum zdobi szpetna plama. Z rezygnacją wyciągam chusteczki i dokładnie wszystko wycieram.

Nie dam rady.

Wychodzę na korytarz. Stół został sprzątnięty. Szkoda, w końcu nic nie zjadłam. Ale trudno. I tak nie czuję świątecznej atmosfery. Muszę się czymś zająć, żeby nie myśleć o Agnieszce. Skoro jedzenie odpada, została mi herbata.

Wchodzę do kuchenki. To wąskie pomieszczenie, z którego jednej strony znajduje się rząd szafek sięgający

sufitu, z drugiej zaś lodówka, zlew i długi blat. Zwykle są tu jeszcze krzesła, ale najwyraźniej komuś były potrzebne do wyższych celów. Wlewam wodę do czajnika i nastawiam ją, po czym wracam do pokoju po kubek i torebkę earl grey. Cukier jest pod kluczem, a nie chcę teraz narażać się na niebezpieczne pytania pielęgniarek. Z pewnością wszyscy zwrócili uwagę na moją nieobecność w trakcie wspólnej Wigilii. Dziwię się, że Rojkowski nie przyszedł po mnie do pokoju.

Zbyt gwałtownie zalewam herbatę wrzątkiem. Podskakuję z piskiem, kiedy kilka kropel ląduje na moich nogach. Ból jednak znika równie szybko, jak się pojawił. Lekko zirytowana siadam na blacie.

Co dalej? Może coś poczytam.

Wiem! Telewizja. Nic tak nie odmóżdża.

Kiedy wchodzę do sali terapii, zauważam, że lampki na choince są wyłączone. Po chwili wahania zapalam je, gasząc za to światło. Stawiam herbatę na podłodze i kładę obok matę. Mogłam najpierw znaleźć pilota, a dopiero potem wyłączać oświetlenie. Pomagam sobie latarką telefonu i w końcu udaje mi się włączyć wielki telewizor.

Klasyka.

Lepiej trafić nie mogłam.

Rozsiadam się i skupiam na filmie, który większość społeczeństwa ogląda rokrocznie. Komedia szybko robi porządek w mojej głowie, zostawiając jedynie tyle funkcji, bym mogła rozumieć, co się dzieje na ekranie. Czas płynie i płynie, a ja coraz bardziej się oddalam. Jedynie otwarte

drzwi trochę mnie rozpraszają. Nie mam na to jednak wpływu. Nie wolno nam się zamykać.

W takim razie to właśnie powinnam zrobić.

Wykorzystując tysięczną przerwę na reklamy, podnoszę się z ziemi i niespiesznie zmierzam w stronę wyjścia. Kiedy jednak trzymam rękę na klamce, słyszę poruszenie na korytarzu. Z nieukrywaną ciekawością wyglądam w poszukiwaniu sensacji. Udaje mi się jednak dostrzec jedynie jakąś postać znikającą w moim pokoju.

Stop.

W moim pokoju?

Z mieszanymi uczuciami ruszam w tamtą stronę. Zupełnie zapominam o włączonym telewizorze i kubku zostawionym na podłodze. Domyślam się, kogo zastanę w środku. Aga siedzi oparta o łóżko, wpatrzona w swoje nogi. Podchodzę do niej i kucam tuż obok. Odgarniam jej włosy z twarzy, chcąc wyczytać jakieś emocje. Gdy to robię, podnosi wzrok. Oczy ma pełne łez. Opieram kolana o podłogę, przerzucając ciężar ciała na jedno z nich, po czym nachylam się, by ją przytulić. To pierwszy raz, gdy przy mnie płacze. Bardzo często wyglądała jak na skraju hysterii, ale nigdy nie widziałam jej łez.

Nie odwzajemnia uścisku. Kołyszę ją lekko, czując, jak materiał bluzki robi się mokry. Jestem pewna, że wkłada niemało wysiłku w powstrzymanie się przed wydaniem z siebie jakiegokolwiek odgłosu. Zaciskam palce na jej drżącej, przerażająco zimnej dłoni i odsuwam się, by spojrzeć jej w twarz. Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem,

jakby oczekiwała, że jakoś jej pomogę. Nie wiem jednak jak. Puszczam jej palce i delikatnie ujmuję twarz, ocierając kciukami łzy z policzków.

- Płacz, Aga, płacz - szepczę, posyłając smutny uśmiech.

Usta zaczynają jej drżeć. To nie potrwa jednak długo. Jej cicha walka zaraz się zakończy. Powinna to z siebie wyrzucić, oczyścić się. Nie mogę na to patrzeć, serce mi się kraje, gdy widzę jej cierpienie. Przyciskam czoło do jej skroni, wbijając w nią spojrzenie. Próbuje odwrócić głowę, ale szybko ją przytrzymuję. Niewiele się zastanawiając, muskam wargami kącik lekko spuchniętych ust. Jej źrenice gwałtownie się rozszerzają, a powieki unoszą tak wysoko, że zdaje się ich w ogóle nie posiadać.

Nagle zaczyna się śmiać.

Odskakuję jak porażona, chwilowo oszołomiona jej reakcją. Dziewczyna obejmuje się rękoma, a jej śmiech przeradza się w stłumiony jęk, tak cichy, że początkowo wydaje mi się, że mam omamy. Łapie się za głowę i wybucha głośnym płaczem. Kiedy tym razem przygarniam ją do siebie, otacza mnie rękami i przyciska się do mnie, jakby lada moment miała otworzyć się pod nami przepaść. W innej sytuacji zaraz by jej się dostało, że próbuje mnie udusić. Kątem oka dostrzegam twarz pielęgniarki za szybką. Wpatruje się w nas przez chwilę, po czym odchodzi w swoją stronę. Całe szczęście.

Głaszczę przyjaciółkę po włosach i karku. Co jakiś czas cmokam ją lekko, to w głowę, to w ucho, wciąż powtarzając

jej, by się nie bała. Mówię, że jestem obok i nie opuszczę jej. Cierpliwie czekam, aż dojdzie do siebie na tyle, by wszystko mi opowiedzieć. Po jakimś czasie cichnie, z nosem tuż obok mojego obojczyka. Czuję na skórze jej ciepły oddech.

Nagle gwałtownie się prostuje.

- Co to jest? - woła, łapiąc mnie za dłoń.

Już otwieram usta, żeby powiedzieć, że nic takiego, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. Nie mogę jej zbyć, kiedy sama liczę na szczerść.

- Źle się czułam. Niechcący zbiłam perfumy i... Sama nie wiem.

- To wygląda potwornie - oświadcza, wpatrując się we mnie z przerażeniem. - Powinnaś to opatrzyć.

- Wolałabym nie dostać ścisłej na święta.

- A odłamki? - pyta. - Wyrzuciłaś? - Nie odpowiadam. Mój wzrok ucieka w stronę szuflady. Aga podąża za nim. - Weź je

- rozkazuje. - Wyrzucimy je w toalecie.

Wypowiadam bezgłośnie soczystą wiązaną przekleństw, ale posłusznie wstaję i otwieram szafkę nocną. Chusteczka wraz z zawartością ląduje w mojej kieszeni. Przez chwilę kusi mnie, by zostawić choć jedno szkiełko, ale powstrzymuję się.

Kiedy wychodzimy z pokoju, pielęgniarka woła nas do dyżurki. Przygotowuję się na serię niewygodnych pytań, ale ku mojemu zaskoczeniu kobieta wyciąga w naszą stronę pierniczki.

- Częstujcie się - mówi z uśmiechem. - Lola, zostawiliśmy ci po trochę jedzenia z każdego półmiska. - Wymieniamy z Agnieszką zdumione spojrzenia. - To co, podgrzać wam coś?

Potakuję energicznie głową, bo właśnie w tym momencie mój żołądek przypomina mi o sobie bolesnym skurczem w okolicach pępka.

Kiedy kobieta znika w kuchni, w pośpiechu wysypujemy odłamki do kosza w łazience. Miejmy nadzieję, że ich nie sprawdzają. Powinnam była wziąć też zakrwawione chusteczki, które wyrzuciłam w pokoju. Trudno.

Spoglądam na Agę, która przypatruje mi się w milczeniu.

- Powiesz mi wszystko, prawda? - pytam.

Odwraca wzrok, ale kiwa głową.

Siedzimy w stołówce. Wszystkie meble wróciły na swoje miejsce. Stolik zastawiony jest po brzegi talerzami z jedzeniem. Łapczywie jemy prosto z nich, próbując stłumić emocje. Pielęgniarka pilnuje, z rozbawieniem obserwując naszą cichą ucztę. Nie zwracam jednak na nią uwagi. Mam wrażenie, że te rozgotowane pierogi to najlepsze, co kiedykolwiek miałam w ustach.

Szafka nocna Agi ląduje w kącie, byśmy mogły przysunąć do siebie nasze łóżka. Ścielimy je raz jeszcze, jedną z kołder kładąc na prześcieradła. Dzięki temu milimetrowa wyrwa między nimi nie powinna być tak

odczuwalna. Dziewczyna gasi światło, po czym kładzie się obok mnie.

- No dalej - zachęcam ją. - Mów.

Wierci się.

- J-ja... - zaczyna niepewnie. Bierze parę głębokich oddechów, po czym przymknąwszy oczy, wyrzuca z siebie słowa jedno po drugim. - Rodzice zaprosili moją ciocię z rodziną, chcąc mi sprawić trochę radości. Jestem z nią bardzo związana, to wspaniała kobieta. Z jej córką, moją kuzynką, jesteśmy całkiem blisko. Często odwiedzamy się w wakacje. W każdym razie ona w pewnym momencie zaczęła opowiadać o swoim chłopaku. Kuzynka, nie ciocia - wyjaśnia szybko. - No i jakoś tak rozmowa zeszła na kwestię szkoły, bo on jest bardzo dobrym uczniem, ale podobno nie do końca radzi sobie ze stresem. Wszyscy zaczęli dyskutować o tym, jak to dzieci się męczą, a w telewizji mówią o coraz większej liczbie... - przełyka głośno ślinę - ...samobójców. - Milczy dobrą minutę. Nie poganiam jej jednak. - No i wujek zaczął to komentować - podejmuje. - Nie mógł wiedzieć, że siedzi przy jednym stole ze... świrem. Bo tak nazwał wszystkich chorych. Nie mogłam tego słuchać, Lola. Mówił o takich jak my z taką pogardą... Sama nie wiem, jak to nazwać. Po prostu poczułam się jak zero. Najgorzej mówił właśnie o tych... niedoszłych? - Zawiesza głos. - Czułam się winna, że mi się nie udało - dodaje cicho. Już zamierzam zacząć ją pocieszać, ale kontynuuje: - Tata się wkurzył. Początkowo próbował łagodnie zmienić temat, ale wuj trochę wypił i nie chciał

przestać o tym mówić. W końcu ojciec kazał mi iść do pokoju, a mamie zebrać naczynia, po czym przepraszając, poprosił wujostwo o wyjście. No i wujek strasznie się napuszył i zaczął z nim kłócić. Mama próbowała mnie wyprowadzić, ale nie mogłam się nawet ruszyć. Stałam jak ta głupia, słuchając słów jednego z bliższych mi ludzi, członka mojej rodziny. Był wściekły, że tata broni wariatów. Mówił o nas w tak straszliwy sposób... Nie rozumiem, Lola. Po prostu nie rozumiem! - Aga podniosła głos, znacznie się ożywiając. - Jak można mówić takie rzeczy? A gdyby się dowiedział, że ja aktualnie siedzę w szpitalu? Jeśli wszyscy mają takie o nas zdanie, to - przewraca się na plecy - chyba nigdy się nie przyznam do choroby. To okropne! Dlaczego ludzie są tacy okrutni?

- Bo nie wiedzą - stwierdzam bez namysłu. - Nie wiedzą, jak to jest, dopóki ich to nie dotknie. Dopiero wtedy orientują się, że to choroba jak każda inna.

- Siedząc przy tym stole, naprawdę wierzyłam w to, co mówi. Że jestem nikim.

- Wiesz przecież, że to nieprawda.

- Nie zawsze, Lola. Nie zawsze.

Nie wiem, jak ją pocieszyć. Nikt mnie tego nie nauczył. Wysuwam się spod kołdry i podchodzę do jej szafki nocnej. Przygląda się moim ruchom, kiedy wyciągam z szuflady wysłużonego iPod'a. Kiedy znów kładę się obok, posłusznie przysuwa się i wkłada do ucha jedną słuchawkę. Po chwili rozbrzmiewa piosenka, którą zdaje się, że ledwie wczoraj śpiewaliśmy z Maćkiem.

- Mam depresję - oświadcza Aga. - Taką najzwyczajniejszą, najbardziej pospolitą. Po prostu chcę umrzeć. Nic więcej. A raczej chciałam - poprawia się. Przewraca się na bok i lekko uśmiecha. Podkula nogi, dotykając mnie kolanami. - Chciałabym być obok ciebie już zawsze - wyznaje.

Obok mnie? Zawsze?

Jak ja jej nie cierpię.

- Nie znoszę cię, idiotko - drwię, mocno ją przytulając.

Wybuchą głośnym śmiechem, który wypełnia cały pokój przyjemnym ciepłem. Nie powiem tego głośno, ale w głębi duszy pragnę tego samego. Kocham ją całym sercem, jak młodszą siostrzyczkę.

- To powiesz mi, dlaczego tu trafiłaś?

- Próbowałam się zabić - odpowiada przeproszająco.

- Mogę liczyć na coś więcej?

- Nie mam znajomych, nie radzę sobie z nauką, nie lubię samej siebie - wylicza, jakby właśnie zamawiała obiad w restauracji. - Poszłam do liceum i nagle wszystko się zawaliło. Nie potrafiłam się z nikim dogadać, a klasa mnie nie zaakceptowała. Postanowiłam więc wagarować, przez co narobiłam sobie zaległości. Przestałam radzić sobie z nauką. Zaczęłam się ciąć. - Na chwilę drętwieje. - I mam... mały problem z lekami. Takimi najzwyczajniejszymi.

- To znaczy?

- To znaczy, że wiecznie czułam się chora. Wystarczyła jakakolwiek tabletką, żeby poczuła się lepiej. Tylko że po jakimś czasie potrzebowałam ich coraz więcej. Chyba się od

tego uzależniłam, mimo że nic mi nie dawały. Wystarczyła sama świadomość. – Obejmuje mnie mocniej. – W pewnym momencie krąg się zamknął. Jeden czynnik napędzał drugi, wpadłam w pułapkę. W końcu na początku grudnia nie wytrzymałam. Rodzice dowiedzieli się o mojej sytuacji w szkole. Dyrektorka zadzwoniła do nich z wiadomością, że będę musiała powtarzać klasę. Są przyzwyczajeni do problemów ze mną. Nigdy sobie za dobrze nie radziłam wśród rówieśników, już w gimnazjum zaczęłam regularnie chodzić do psychologa. Do tej pory nie rzutowało to jednak na moje wyniki w nauce. Rodzice zrobili mi awanturę. Nie dziwię się im zresztą. Po wszystkim jak zwykle poszłam do pokoju, by jakoś sobie ulżyć. Zawsze raniłam uda, żeby nikt się nie dowiedział. Ukrywałam to przed wszystkimi. Ale tym razem nie podziałało. Nie poczułam ulgi. Zdecydowałam się więc na drugą opcję, czyli leki. Mam nawet specjalną apteczkę pod łóżkiem – parska. – Wiedziałam, że nie powinnam brać już więcej tabletek tego dnia. Wyczerpałam dzienny limit. Ale miałam to gdzieś. Zdawałam sobie sprawę, że to może się źle skończyć. A jednak połknęłam kilka proszków nasennych i poszłam spać. Nie płakałam. Chyba byłam gotowa. – Odsuwa się, by spojrzeć mi w oczy. Spodziewam się ujrzeć łzy, ale lekko się uśmiecha. Nawet ona czasem musi udawać. Najwyraźniej nikt nie potrafi przed tym uciec. – Obudziłam się już w szpitalu. Wyratowali mnie. Wszystko przez mamę, która zostawiła u mnie w pokoju kapcie. Kiedy schyliła się, by spojrzeć pod łóżko, zobaczyła, co pod nim chowam. Nie chciała czekać

z rozmową o kilogramach tabletek do rana. Próbowwała mnie obudzić. Ale... – głos jej się łamie – ...nie reagowałam.

Milknie.

– Jesteś głupia – mówię po chwili i daję jej pstryczka w nos. – Jak ci kiedyś przyjdzie do głowy się zabijać, to daj mi znać. Tak cię zleję, że ci się odechce – grożę. – A jak nie podziała, to cię zabiję.

Kładzie rękę na piersi, drugą unosząc, na znak złożonej przysięgi, po czym uśmiecha się blado i zamyka oczy w oczekiwaniu na sen.

Następne dni mijają w absolutnym spokoju. Aga przekazuje mi delikatną bransoletkę z kilku połączonych ze sobą cienkich rzędków czarnych koralików, prezent od Maćka. Udaje mi się do niego dodzwonić i przeprosić go za sytuację z bombką. Najwyraźniej nieszczęśliwie się tym przejął. Każdego wieczoru opowiada mi o przebiegu kolejnych rodzinnych spotkań. Przy okazji nadmienia również, że udało mu się zobaczyć z Czarną i postanowili dać sobie jeszcze jedną szansę. Mają zamiar spędzić razem sylwestra. Cieszę się razem z nim, mimo że wołałabym, by znalazł sobie normalniejszą dziewczynę. Nie ufam ani jej, ani jemu, jeśli chodzi o sprawy uczuciowe. Ale to przecież nie mój interes.

My zaś planujemy oddziałową imprezę noworoczną. Prześcigamy się w pomysłach na przemycenie choć szklaneczki alkoholu. Udaje nam się jednak namówić ordynatora na kupienie bezalkoholowego szampana dla

dzieci i czekoladek z likierem. Najwyżej będziemy musieli się tym zadowolić.

Wiele osób podchodzi entuzjastycznie do organizacji zabawy. Około dziesięciorga z nas będzie świętować na oddziale. W nieskończoność kłócimy się z pielęgniarkami, chcąc namówić je na spacer o północy. W końcu zgadzają się wypuścić nas na podwórko. Nie bardzo nas to satysfakcjonuje, dlatego męczymy je, aż zaczynają grozić ciszą nocną od razu po kolacji. Zabawa szykuje się przednia. Dom wariatów. Bez alkoholu. W piżamkach na śniegu. Na samą myśl mam ochotę turlać się ze śmiechu.

Z Agą stajemy się praktycznie nierozłączne. Sanitariusz śmieje się, że niedługo będziemy chodzić razem pod prysznic. Podłapuję ten pomysł, ale dziewczyna szybko ostudza mój entuzjazm przerażonym spojrzeniem. W odpowiedzi pukam ją w czoło palcem. Czasem bierze na poważnie nawet najbardziej absurdalne żarty.

W ciągu tych kilku nocy praktycznie nie śpimy, opowiadając sobie każdą nanosekundę naszego życia. To te rozmowy tak nas zbliżają. Na początku było trochę ciężko. Ona nie mogła przezwyciężyć nieśmiałości, ja dumy. Ale już drugiej nocy bariery zniknęły. Wyrzuciłam z siebie moje myśli, nawet najdrobniejsze, przy okazji widząc je wreszcie jak na dłoni. Dostrzegam wiele błędów, ale i przypominam sobie mnóstwo radosnych chwil, o których już dawno zapomniałam. Aga wyłuskuje z moich wypowiedzi szczegóły, których ja nie zauważam. Przedstawia wszystko w innym świetle, pozwalając mi na nowo przeanalizować trudne

momenty. Z jej pomocą wszystko staje się klarowne, a zmiana mojego zachowania nadchodzi dużo szybciej, niż można było się tego spodziewać.

Oczywiście to nie jest tak, że nagle przeszłam na jasną stronę mocy jakby nigdy nic. Po prostu widzę więcej, a przyjaciółka sprytnie to wykorzystuje, zarażając mnie swoim entuzjazmem. Maltretuje mnie, aż w końcu udaje mi się głośno przyznać, że zwyczajnie jestem zbyt dumna, żeby przeprosić moją rodzinę za piekło, które im zgotowałam. Obiecuję jej, że kiedy w pierwszy poniedziałek po Nowym Roku spotkam się z Rojkowskim, zgodzę się na terapię rodzinną. Czas wypić piwo, którego nawarzyłam.

Przysięgam również na życie wszystkich jednorozców zgromadzonych wokół tęczy, że przyłożę się do nauki i zdam na studia. Decyduję się zainwestować w dawno zapomniane hobby i przypomnieć sobie podstawowe techniki rysunku. Nie mam pojęcia, czy to jest to, co chcę robić, ale zamierzam zaryzykować.

Co zaś się tyczy Norberta, rezygnuję z pomysłu zostania w szpitalu w nieskończoność. Liczę na to, że pogodziwszy się z rodziną, wrócę do domu. Może nie mam najlepszych ocen, a za to dość ciekawą historię, ale ufam, że znajdzie się dla mnie miejsce w jakimkolwiek liceum na te kilka miesięcy. A jeśli by coś się jednak nie powiodło, Agnieszka zadeklarowała, że mogę na nią liczyć.

Przede wszystkim udaje jej się mnie namówić na skorzystanie z przepustki, którą zaproponował mi psychiatra na dzień przed sylwestrem. Trzeciego stycznia

rodzice Maćka odbiorą mnie ze szpitala, za zgodą siostry Racheli. Będziemy mieć dla siebie czas od dziesiątej do wieczora. Choć przyjaciel wcześniej nie zgadzał się na ten pomysł, teraz z zapalem przystaje na moją propozycję. Najwyraźniej wrócił mu humor, odkąd jest znowu z Czarną. Pod wpływem chwili napomykam, że mogłaby do nas dołączyć. Obiecuję, że z nią porozmawia. Nie mogę się doczekać tego spotkania. Być może uda mi się jeszcze uratować przyjaźń między nami. Nie wszystko stracone.

Oparta na ramieniu Agnieszki pnę się w górę, niecierpliwie wyglądając światełka nadziei, której tak pragnę.

Śnieg sypie nieprzerwanie, kiedy dzielimy jedną butelkę wina na dwanaście osób. Sala terapii wygląda, jak gdyby miały się w niej odbyć urodziny sześciolatka. Dziewczyny przeszły same siebie w wymyślaniu kiczowatych dekoracji. Szczerze mówiąc, idealnie pasują do tego miejsca. Podłogę pokrywają balony we wszystkich kolorach tęczy, skutecznie uniemożliwiając nam swobodne poruszanie się. Co jakiś czas podskakujemy, gdy czyjaś stopa nie trafia w wolną przestrzeń. Telewizor włączony jest maksymalnie głośno, torturując nas kiepskimi piosenkami jeszcze gorszych wykonawców. Uciekam myślami do różowego ukulele i uśmiechu przyjaciela.

Chciałabym, żeby tu był.

Omiotam spojrzeniem niezliczone sterty krepiny i konfetti, rozsypanych gdzie popadnie. Gdyby Norbert

mnie zobaczył... Tylko wśród wariatów nie mam ochoty umrzeć ze wstydu.

Siedzimy z Agą na środku sali. Cierpliwie czeka, aż skończę ją malować. Jedna z pacjentek kupiła specjalne farbki, za pomocą których ozdabiam twarze wszystkich pacjentów po kolei. Największe wymagania ma chłopiec z autyzmem, który koniecznie chce wyglądać jak tygrys. Całe szczęście większość zamawia proste wzory. Kiedy kończę, chłopak nalega, by on mógł pomalować mnie. Bronię się dobre kilkanaście minut, ale w końcu ulegam. Siedzę przed nim, ze zgrozą obserwując, jak pokrywa moją twarz bielą. Agnieszka dusi się ze śmiechu. Chłopiec z dumą podaje mi oddziałowe lustro. Oczywiście własnych mieć nie możemy. Mam całą twarz w plamkach. Wyglądam jak ofiara ospy, tylko że wypranej z koloru. Cóż, mogło być gorzej. Z wymuszonym uśmiechem dziękuję mu, kłaniając się w pas.

- Zamknij się - cedzę przez zęby do przyjaciółki, której policzek zdobi misterna koronka ze złotych zawijasów.

- Powinnaś tak chodzić na co dzień - drwi.

- Jeszcze jeden komentarz i skończysz z bardzo ciekawym kształtem na czole. We wszystkich kolorach tęczy.

Moje groźby najwyraźniej już na nią nie działają, bo nie daje mi spokoju jeszcze przez pół godziny. Stworzyłam potwora.

Kilka minut przed północą wkładamy buty i kurtki. Ustawowo mamy na sobie piżamki. Zasady to zasady.

Nawet światła są zgaszone ze względu na ciszę nocną. Kiedy sanitariuszka otwiera przeszklone drzwi na niewielkie podwórze, uderza nas chłód nocy. Jest potwornie zimno, a od świeżego powietrza kręci mi się głowie. Powinnam częściej chodzić na spacer.

Wychodzimy na zewnątrz. Za nami idą pielęgniarzki. Jedna z nich trzyma papierowe kubeczki, a druga butelki z musującym napojem w wersji dla niepełnoletnich. Z pomocą sanitariuszki rozdają nam kubki, które szybko jednak lądują w śniegu, postawione tak, by nie wylać zawartości.

Chwilowo bowiem kompletnie nam odbija.

To pewnie kwestia śniegu.

Albo tych dwóch łyków przemyconego cichaczem wina.

W każdym razie przez kilka minut gonimy się jak idioci ze śniegiem w dłoniach. Personel szybko umyka pod ścianę z pola rażenia. Musimy wyglądać jak banda półgłówków, biegając w kółko po tej niewielkiej przestrzeni. Przy tak ograniczonym miejscu ucieczka przed natarciem jest praktycznie niemożliwa. Coś mi mówi, że na dobranoc wszyscy dostaniemy prewencyjnie lek na przeziębienie.

Agnieszka chowa się w kącie pod siatką. Już chcę ją zaatakować, ale wyciąga ręce w obronnym geście. Z niezadowoleniem wypuszczam śnieżkę z ręki.

- Co jest? - pytam.

- Sama nie wiem - odpowiada.

- Jak to?

Spogląda w niebo nad nami i obserwuje fajerwerki, które już od kilku godzin co jakiś czas rozjaśniają ciemność. Im bliżej północy, tym częstotliwość wyraźnie się zwiększa.

- Chyba jestem szczęśliwa - oznajmia, po czym znowu przenosi wzrok na mnie.

- Trzeba być nienormalnym, żeby być szczęśliwym, spędzając sylwestra w psychiatryku - śmieję się.

Wzrusza ramionami, wciąż wpatrując się w nieliczne gwiazdy nad nami.

Zaczyna się odliczanie. Szybko rzucam się w kierunku kubeczków, w ostatniej chwili podając jeden z nich Adze.

- Szczęśliwego Nowego Roku - mówimy równocześnie.

Dziwnie się czuję. Stoję przytulona do dziewczyny, która jeszcze niedawno była gotowa zasnąć i nigdy się nie obudzić, otoczona przez osoby, które są za słabe, by normalnie żyć, ale zbyt silne, by umrzeć. I jest mi cholernie dobrze. Jest mi tak dobrze, że śmieję się w głos, zupełnie szczerze.

Śpiewamy sami sobie „Sto lat”, na koniec wnosząc toast za zdrowie wszystkich pacjentów tego zepsutego świata. Agnieszka płacze. Nie tylko ona. Nie są to jednak łyzy smutku.

Wreszcie wszystko zaczyna się zmieniać. Nabieram wiary, że jeszcze mogę normalnie funkcjonować. Pójść na studia, zamieszkać z rodziną, mieć nowych znajomych, przy których nie będę musiała nikogo udawać. Wciąż nie wiem, kim jestem. Ale obok mnie stoi ktoś, kto mimo wszystko

mnie akceptuje. Kto w tak krótkim czasie sprawił, że życie nabrało jakiegoś koloru.

Jeszcze teraz tylko powinnam się zakochać. Jak tylko wrócę do domu, zacznę się rozglądać za kandydatem na męża. Zdecydowanie za bardzo zazdroszczę Czarnej, że ma się do kogo przytulić. Co innego obejmować przyjaciółkę, a co innego...

Ugh.

O czym ja myślę. Zamieniam się w przeciętną maturzystkę. Przyjaźń, miłość i szkoła. Aż mnie mdli. Ale jeśli taka ma być cena za utrzymanie tego maleńkiego płomienia, który wreszcie pojawił się w moim sercu, to jestem gotowa ją zapłacić.

W tych kilku betonowych ścianach zaczęłam żyć.

Rozdział 20

- Tylko uważaj na siebie - poucza mnie po raz kolejny, przeszywając spojrzeniem zielonych oczu.

- Ogarnij się, młoda. To ja tu jestem dorosła.

Zapinam guziki płaszcza. Pewnie trochę w nim zmarznę. Ręce drżą mi z podniecenia, utrudniając zadanie. Aga wzdycha z rezygnacją i przybliżyła się, by mi pomóc. Uderzam ją lekko w wierzch dłoni. Łapie mnie za rękaw i przyciąga do siebie. Wie, że się boję. Nie tylko samego spotkania z Maćkiem i Czarną. Przede wszystkim przestrzeni, ludzi, aut, wszystkiego, czego nie widziałam prawie dwa miesiące.

Rozlega się dzwonek. Po chwili pielęgniarka zaprasza mnie do wyjścia, mówiąc, że rodzice mojego przyjaciela już na mnie czekają. W przelocie całuję Agnieszkę, po czym wypadam na zewnątrz.

- Maciek! - wołam, nie kryjąc łez.

Rzucam mu się na szyję, o mało go nie przewracając. Wtulam twarz w szalik, próbując się uspokoić. Otacza mnie znajomy zapach. Wreszcie jest ze mną. Tak strasznie tęskniłam za jego uśmiechem. Jest tyle rzeczy, które muszę

mu powiedzieć. Nie widzieliśmy się dwa tygodnie, a ja przecież tak bardzo się zmieniłam. On zresztą również.

- No już, bo czas wam ucieka - poganiam jego ojciec.

Między nim a synem nie widać za bardzo podobieństwa. Jest niski i krępy, ma też wyraźny piwny brzusek, widoczny nawet pod warstwą puchowej kurtki, uszytej z wściekle pomarańczowego materiału. W pośpiechu witam się z nim, przy okazji dziękując za uwolnienie mnie choć na jeden dzień. Zbrywa mnie ręką i szybko rusza korytarzem, nie zwracając na nas większej uwagi.

Maciek posyła mi przepaszające spojrzenie. Pospiesznie kierujemy się do wyjścia, śladem jego taty.

- Nie mogłem się doczekać, siostra.

- Tęskniłam. Nie powinieneś mnie tak zostawiać! - ganię go.

Uśmiecha się szerzej.

- Wcale nie chciałem.

Czarna czeka pod szpitalem. Ubrana w kanarkowy płaszczyk, odcina się od otoczenia. Na mój widok szeroko się uśmiecha. Zapominam o wszystkim, co nas podzieliło. Mocno ją obejmuję. Po chwili wahania odwzajemnia uścisk.

- Przepraszam, Lola. Za wszystko.

- Ja również.

- To i ja przepraszam - wtrąca Maciek.

Stoimy we troje, otoczeni kilkunastostopniowym mrozem, bielą śniegu, szarością ścian szpitala, odgłosami ulicy. Ruszamy przed siebie, w stronę wolności.

Kiedy mijam bramę, muszę się na chwilę zatrzymać. Zapomniałam już, jak to jest. Z niezadowoleniem stwierdzam, że czuję lęk przed każdym człowiekiem, którego napotykamy. Zdziczałam. Zaciskam palce na dwóch talizmanach, które wczoraj zrobiłam dla Czarnej i Maćka. Drewniane tabliczki pokryłam licznymi wzorami, ozdobiłam czerwonymi sznureczkami, by można je było zawiesić. Na każdym jest imię właściciela. Dam je im w odpowiedniejszym momencie.

Szybko daję się wciągnąć w rozmowę o świętach i sylwestrze. Głównie ich słucham, nie chcę bowiem, by ktoś postronny usłyszał, jak mówię o szpitalu. Kiedy proszą, bym opowiedziała, jak dokładnie spędziłam te dwa tygodnie, obiecuję im, że zrobię to, jak tylko będziemy mieli trochę prywatności. Poza tym nie do końca mogę się skupić na konwersacji.

Czuję się jak na sali obserwacyjnej, tylko że teraz od spojrzeń nie oddziela mnie szyba. Próbuję przemówić sobie do rozumu, ale bez większych efektów. Czuję na sobie wzrok wszystkich ludzi. Parokrotnie słyszę swoje imię. Za każdym razem lekko się odwracam w stronę, z której przychodzi. Prawdopodobnie muszę się przyzwyczaić. Za długo byłam zamknięta.

Hałas rani mi uszy. Pasażerowie rozmawiają, śmieją się, narzekają, wchodzą, wychodzą, wołają jedni drugich. Dodatkowo pojazd straszliwie huczy, jakby miał zaraz się rozpaść. To dziwne, bo widać, że jeździ od niedawna. Jakiś

dzieciak nagle zaczyna wrzeszczeć. Matka stara się za wszelką cenę go uspokoić. Niestety bezskutecznie.

Wyglądam przez okno, ale i tam panuje kompletny chaos.auta tłoczą się jedno za drugim, tworząc niekończące się rzędy metalowych pancrzyków, przypominających błyszczące żuczki. Budynki nachylają się nad nimi, nadając wszystkiemu klaustrofobiczną aurę. Zaczynam marzyć o powrocie na cichy oddział.

- Lola - przywołuje mnie Maciek. - Jesteś z nami?

- Tak, po prostu nie mogę się przyzwycząić do tego wszystkiego. - Zataczam ręką krąg w powietrzu.

- Spokojnie, zawsze tak jest - pociesza mnie Czarna.

Uśmiecham się bez przekonania.

- Planujemy właśnie, co będziemy dziś robić - informuje mnie przyjaciel. - Może masz jakieś specjalne życzenia?

Zastanawiam się przez chwilę.

- Napiłabym się czegoś.

- Dobrze mówi - śmieje się Czarna.

- To co, standardowo? Kino, obiad i coś mocniejszego? - pyta chłopak.

- Ale ty stawiasz - zastrzegam.

- Pewnie. - Mruga porozumiewawczo.

Z filmu wychodzimy w genialnych humorach. Wybraliśmy najgłupszą z propozycji, co pomogło mi się rozluźnić. Wciąż czuję się obserwowana, ale staram się o tym nie myśleć. Z przyjemnością oddaję się bezsensownej paplaninie. Znowu jest tak jak kiedyś. Gadamy o nic

nieznaczących bzdurach, cieszymy się z głupot, obgadujemy wszystkich po kolei. Jak trójka dobrych przyjaciół, którymi jeszcze nie tak dawno byliśmy.

Choć bariera między mną a Czarną chwilowo gdzieś wyparowała, wolałabym być sama z Maćkiem. Nie powinnam tak myśleć. Po prawdzie jednak sędzę, że moja relacja z tą dziewczyną jest trochę jak odgrzewany kotlet.

Ostrożnie staram się wybadać ich sytuację. Oboje zapewniają mnie, że doskonale się czują. Mogłabym starać się wyłuskać nuty fałszu w ich głosach, ale nie robię tego. Wolę uwierzyć w ich słowa. Przynajmniej dopóki jesteśmy wszyscy troje. Zamiast tego mam zamiar czerpać radość z każdej minuty, gdy jesteśmy razem. Nieważne, co było ani co będzie. Ważne jest tu i teraz.

Do restauracji idziemy pieszo. Spacer zajmuje nam koło godziny. Czarna bezustannie narzeka na mróz, wystawiając cierpliwość chłopaka na próbę. W końcu Maciek zdejmuje szalik i owija go wokół jej szyi. Zadowolona poprawia go, chowając nos w miękkiej wełnie.

Wydaje mi się, że widzę w tłumie znajomą twarz. Kiedy jednak staram się jej przyjrzeć, momentalnie znika. Wzdycham z rezygnacją.

Nie sądziłam, że będzie tak trudno.

Przecież oni wszyscy mają ciekawsze rzeczy do roboty niż patrzenie na ciebie, Lola. Poza tym nikt nie wie, że jesteś na przepustce. Nie ma się czym przejmować. To tylko ludzie. Nic ci nie zrobią. Nie jesteś sama.

Mijamy kolorowe witryny sklepów, bogato ozdobione świątecznymi dekoracjami. Zewsząd uśmiechają się do mnie elfy, aniołki i mikołaje. Ciekawe, jak to wszystko będzie wyglądać, kiedy się ściemni. Cała ulica rozbłyśnie światłami różnokolorowych lampek... Nawet teraz udziela mi się atmosfera. Zapachy wabią mnie, każą mi zbliżyć się, zatrzymać na chwilę, ale dzielnie stawiam kroki, nie poddając się tanim chwytom speców od marketingu.

- Wejźmy tam - prosi Czarna, wskazując palcem jeden ze sklepów.

Podążam wzrokiem we wskazanym kierunku, by zatrzymać się na wielkim, jaskrawym szyldzie.

- Wszystko po pięć złotych? Poważnie? - drwię.

- Może być fajnie - obrusza się.

- Co może być fajnego... - zaczynam, ale dostrzegam, że Maciek kręci lekko głową. - Dobra, chodźmy - wzdycham z rezygnacją.

Dziewczyna podskakuje z radości. Wchodzimy do niezwykle ciasnego pomieszczenia, w którym unosi się mdły zapach landrynek przemieszany z odświeżaczem powietrza. Półki ciągną się na całą długość, sięgając aż pod sufit. W środku można znaleźć dosłownie wszystko. Od neonowych skarpetek po kiczowate gadżety religijne. Zakochana para dobrze się bawi, podziwiając asortyment. Przyglądam im się z radością, zachowując jednak milczenie.

Chłopak znajduje dziwaczne ozdoby do włosów i wpina je we włosy Czarnej, tworząc instalację godną muzeów całego świata. Najróżniejsze spineczki, gumki, kokardki

i opaski zdobią jej ciemną czuprynę, mieniając się wszystkimi kolorami. Kiedy kończy, robi jej zdjęcie, po czym ustawia sobie na tapetę. Oboje zaśmiewają się do rozpuku. Mina jednak im rzędzie, gdy podchodzi do nas ekspedientka, wyraźnie niepodzielająca ich wesołości. Rozkazuje parze natychmiast wszystko odłożyć na miejsce. Posłusznie oswobadzają czarne kosmyki z kilogramów plastiku. Wyraźnie nie pamiętają, gdzie co było. W końcu wrzucają wszystko w jedno pudełeczko i szybko popychają mnie w stronę wyjścia.

- Zadowolona? - upewniam się, wyciągając jej z włosów tandetne serduszko, które pominęli. Po chwili zastanowienia wkładam je do kieszeni.

- Pewnie! - woła. - To co, obiad?

Maciek energicznie potakuje głową, równocześnie obejmując nastolatkę w talii. Nie potrafię zaprzeczyć, że cokolwiek się między nimi działo, jakiegokolwiek mieliby problemy, kiedy idą obok siebie, zdają się tworzyć jedną, spójną całość. Uzupełniają się w każdym calu. Próbuję jakoś sobie wytłumaczyć ich zejście się, ale kompletnie nie mogę tego pojąć. Najpierw on chce z nią zerwać, potem ona go okłamuje, a po drodze oboje stwierdzają, że to nie ma sensu... Nie powinno się próbować zrozumieć nastolatków w okresie dojrzewania. A tym bardziej tych szurniętych.

- Zmieniłaś się - zwraca się do mnie Maciek.

- Też to zauważyłam - dołącza Czarna. - Jesteś taka... Jak by to ująć...

- Spokojna? - podsuwam. - Zrównoważona?

- Uśmiechnięta! - woła dziewczyna. - Ale tak szczerze. A nie szyderczo. Co takiego się stało? Nie minęło przecież tak wiele czasu.

- Założę się, że to młoda jest za to odpowiedzialna - stwierdza Maciek pewnym głosem.

- Aga to prawdziwy skarb - przyznaję. - Jest niesamowita. Sama nie wiem, jak to robi. Przy niej wszystko jest cholernie proste i oczywiste. Zaczynam myśleć o przyszłości. Nigdy tego nie robiłam. Nie czułam, bym jakąkolwiek miała - wyznaję.

- Jestem zazdrosna - gniewa się Czarna. - To ja powinnam być na jej miejscu.

Tak. Powinnaś. Ale nie jesteś.

Bolesny grymas wykrzywia mi twarz. Ciekawe, czy opowiadając mi dzisiaj o ostatnich dniach, kłamała. Nasza relacja znów istnieje, ale to już nie będzie to samo. Przynajmniej dopóki Czarna się nie zmieni. Niełatwo przyjdzie nam sobie zaufać, bo nigdy nie byliśmy wobec siebie szczerze.

Przyspieszam kroku i zatrzymuję się przed nimi. Patrzą na mnie zdziwieni, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Pochyliam głowę.

- Przepraszam.

- Za co? - pyta Maciek, wyraźnie skonsternowany.

Sięgam do kieszeni.

- Nie ufałam wam - tłumaczę. - Nie zasłużyliście na takie traktowanie. Wymagałam od was szczerości, sama nie dając jej w zamian. Jestem pieprzoną hipokrytką i taka jest

prawda. To - wyciągam w ich stronę prezenty - są talizmany szczęścia. Możecie je gdzieś zawiesić albo po prostu wrzucić do torby. Chcę, żebyście mieli je przy sobie. W ten sposób będę mogła nad wami czuwać.

Z wahaniem przyjmują podarunki. Wymieniają zmieszane spojrzenia, po czym oboje mnie przytulają, mówiąc, że nie mam za co przepraszać.

Ja jednak wiem swoje. Zasługują na to.

Chwilę później po raz kolejny pytam ich, czy na pewno byli dziś ze mną szczerzy. Zapewniają mnie, że nie mam się czym martwić.

Nie wiem, czy mogę im wierzyć.

Siedząc nad pizzą, debatujemy nad wyborem baru. W końcu pada na jakiś podejrzany klub niedaleko nas. Kiedy zbliżamy się do niego, nie wiedząc czemu czuję niepokój. Przez chwilę mam ochotę wziąć nogi za pas i uciec. To miejsce jak każde inne, a jednak każda komórka mojego ciała krzyczy, próbując mnie ostrzec przed niewidzialnym niebezpieczeństwem. Nie bardzo rozumiem to dziwne uczucie i mimo wszystko wchodzę do środka.

Teraz wiem, dlaczego Czarna zapewniała, że to odpowiednie miejsce. Choć z zewnątrz nie prezentuje się zbyt zachęcająco, w środku panuje przyjemny półmrok, a prócz cichej funkowej muzyki jedynymi dźwiękami są te płynące od strony baru. Większość stolików jest zajęta, ale klienci rozmawiają półgłosem lub wcale. Ze zdziwieniem

rejestruję, że przeważająca ich część wygląda na licealistów.

Sala ma prosty wystrój. Ściany utrzymane są w kolorach purpury, blaty i meble oscylują gdzieś pomiędzy wenge a ciemnym mahoniem. Obicia krzeseł i stołków są beżowe i, co zauważam z ulgą po długim spacerze - niesamowicie miękkie. Oczywiście to nie one są gwoździem programu. Wzdłuż ścian i sufitu ciągną się metrami długie lampy, wyglądające jak świecące kable, tworząc niesamowite, psychodeliczne kształty. Po dokładnym przyjrzeniu się dostrzegam, że nie wszystkie są włączone, by w pomieszczeniu nie było zbyt jasno.

- Czemu nie czuję smrodu petów? - pytam, gdy tylko siadamy.

- Z tyłu budynku jest niewielki ogródek, gdzie można zapalić. W środku nie pozwalają - tłumaczy Czarna. - Niewiele jest takich miejsc, w których nie dusisz się od dymu, a równocześnie możesz się napić, nie pokazując dowodu. - Mruga do mnie.

Mnie nigdy nie pytano o pełnoletniość, nawet gdy byłam w gimnazjum. Zbierałam paru znajomych i szło się do jednej z kilku sprawdzonych miejscówek, gdzie obsługa zwracała się do nas po imieniu. Dziewczyny często chodziły do klubu potańczyć, ale po kilku razach uznałam, że ogłuszająca muzyka i tłum spoconych, napalonych idiotów kompletnie nie wpasowuje się w moje gusta. Wolałam spokojniejszy klimat.

Z zamyślenia wyrывa mnie brzęk szklanki stawianej na stole. Maciek wraca z drinkami. Spoglądam na niego pytająco.

- Są mocne - przekonuje.

- To są jakieś pomyje dla tanich panienek, Macieju - oświadczam i krzyżuję ręce na piersi. - Nie zniżę się do tego poziomu.

- Pij, nie gadaj - rzuca Czarna, bawiąc się słomką.

Z rezygnacją wyjmuję wszystkie dekoracje i przerzucam je do jej szklanki, po czym upijam łyk.

Słodkie.

Wypijam duszkiem.

- Leć po kolejny - rzucam do Maćka.

Przewraca oczami. Po chwili wraca z barmanem, który ze stoickim spokojem rozstawia przede mną kieliszki. Kiwam głową z aprobatą.

- Teraz powinniście mnie zabawić rozmową - oznajmiam.

Czas mija w przyjemnej atmosferze. Przyjaciele, nie chcąc zostać w tyle, dołączają się do mnie, szybko wpadając w chorobliwie dobry nastrój. Gdybyśmy nie siedzieli, pewnie turlalibyśmy się od ściany do ściany, płacząc ze śmiechu.

Maciek przechodzi sam siebie w opowiadaniu najbardziej krępujących sytuacji jego życia, nieustannie na nowo nas rozbawiając. Chłopak miał naprawdę interesujące dzieciństwo. Będę musiała po wszystkim zrobić sobie

czystkę w głowie, bo jego opowieści zamieniają mój mózg w papkę.

Lokal coraz bardziej się zapełnia. Wszystkie miejsca są zajęte, a tłum ludzi tylko czeka, aż któryś ze stolików się zwolni. Gwar zajmuje miejsce ciszy, a zapach przeróżnych rodzajów perfum odbiera zmysły.

- Idę zająć - oznajmia Czarna, podnosząc się z miejsca.

- Pójdę z tobą - oferuje Maciek, również chcąc wstać.

- Nie ma mowy. - Powstrzymuje go ręką. - Po pierwsze, dlatego, że potrzebuję chwili samotności, po drugie, dlatego, że nie możemy zostawić Loli.

- Przecież się nie zgubię - warczę.

- W porządku, ma rację - mówi do mnie chłopak, opadając na siedzenie. - Jak by nie było, moi rodzice wzięli za ciebie odpowiedzialność. Nie powinienem spuszczać z ciebie wzroku.

Pozostawiam to bez komentarza. Nie ma co się kłócić w tej kwestii. Poza tym wreszcie będę mogła zostać z nim sam na sam. Atakuję go, gdy tylko Czarna znika gdzieś w tyle.

- Dlaczego jesteście razem?

- Przecież ci mówiłem.

- Ale mówiłeś to przez telefon - tłumaczę. - Teraz będę mogła skontrolować, czy nie próbujesz mnie oszukać.

- Nie wygłupiaj się - burczy i wychyla kieliszek.

- Nie wygłupiam i dobrze o tym wiesz. Okłamałeś mnie.

Nie jestem idiotką, Maciek. A ty, zdaje się, o tym

zapomniałeś. Nie będę wymagać szczerości od Czarnej. Ale mogę jej wymagać od ciebie. Dlatego uczyn mi ten zaszczyt i powiedz, o co chodzi – syczę.

- Tylko że ja nie wiem, o co chodzi – denerwuje się. – Pogubiłem się w tym. Niby Kocham, a nie Kocham. Rano wyobrażam sobie nasz ślub, wieczorem mam ochotę ją udusić. Nie wiem, co o tym myśleć. W mojej głowie panuje totalny bajzel. – Milczy, wpatrując się w swoje dłonie splecione na stole. Nagle prostuje się i trzęsie głową, jakby chciał strząsnąć z niej krople wody. – Powiem tak. Ja po prostu nie wiem, co do niej czuję, a co godzinę mam inną diagnozę na te dolegliwości. Ale bez niej wariuję. Nie panuję nad sobą. Rzeczywiście te dni minęły spokojnie, ale wciąż chodzę nabuzowany. Tak, wiem, nie widać tego – dodaje szybko, widząc, że chce się wtrącić. – Nie domyślisz się, dopóki nie wybuchnę. Na razie jednak jakoś sobie radzę. Kiedy czuję, że jestem blisko, dzwonię do niej. Nawet jej nie mówię, że coś nie gra. Gadamy o głupotach, a ja się uspokajam. I tyle.

I tyle? Co za idiotyzm.

- A jak Czarna nie odbierze? – pytam gniewnie. – Czy ty zdajesz sobie sprawę...

- Nie, nie zdaję sobie sprawy – kpi.

Twardo wlepiam w niego spojrzenie. Nie dam się ponieść emocjom. Muszę mu jakoś pomóc, tylko nie wiem jak.

- Dzwon do mnie. Pisz. Cokolwiek. Cholera, Maciek, jak wyjdę... – zacinam się na moment, bo nagle wpadam na

genialny pomysł. - Zrobię wszystko, żeby trafić do twojej szkoły, rozumiesz?

- Co? - dziwi się.

- Już postanowiłam, że nie wrócę do ośrodka. Muszę znaleźć sobie jakieś liceum na te pół roku. Rodzice mają kasę, ojciec, jak chce, potrafi zagadać, coś wykombinuję. - Chwytam go za dłonie i patrzę mu głęboko w oczy. - Przysięgam.

Próbuje przetrwać moje słowa. W końcu uśmiecha się z wdzięcznością i proponuje mi kolejkę.

Barman pochyla się nade mną i podaje mi niewielką karteczkę.

- To od cichego wielbiciela - oznajmia, zbierając szklanki.

- Ciekawe, od którego - śmieje się Maciek, rozglądając się po sali.

- Wszedł - odpowiada mężczyzna. - Prosił, bym przekazał to pani po dziesięciu minutach - tłumaczy, po czym oddala się z powrotem w stronę baru.

- Jaki dokładny. - Przewracam oczami.

- I chyba nieśmiały - drwi przyjaciel.

Z ciekawością patrzę na napis.

- Zadzwonisz? - pyta.

Serce podjeżdża mi do gardła.

Maciek wraca do stolika.

- Nie ma jej - oświadcza.

Jego słowa docierają do mnie po dłuższej chwili.

- Jak to nie ma?

- No mówię ci, że jej tam nie ma, do cholery - irytuje się.

Spoglądam na zegarek. Upłynęło ponad dwadzieścia minut, odkąd Czarna wyszła zapalić. Zagadaliśmy się i nawet nie spostrzeżliśmy, że minęło tyle czasu.

- Bez paniki - uspokajam go. - Zadzwoń do niej.

- Kiedy nie mogę - mówi, nerwowo uderzając palcami o blat. - Nie wzięła telefonu.

- Jak to?

- No normalnie. Nawalał jej dziś rano, więc go zostawiła.

- Posłuchaj...

- Lola. To nie jest normalne. Nikt tak po prostu nie znika bez słowa. A przecież mówimy o Czarnej. Cholera wie, co mogło się stać.

Widząc jego strach, poddaję się i po chwili wychodzimy na niewielki skwer na tyłach budynku. Na „palarnię” składa się jedna ławka i dwa kosze na śmieci. Wokół wyrastają brzydkie bloki, które aż proszą się o remont. Panuje już ciemność, mimo że to dopiero szesnasta. Mimowolnie się wzdrygam. Nie podoba mi się to.

W nieskończoność badamy niewielką powierzchnię, skąpaną w rozproszonym świetle niewielkiej lampki, jakby dziewczyna nagle miała wyskoczyć spod śniegu. Oczywiście nic takiego się nie dzieje. Podążanie śladami też nie ma żadnego sensu, gdyż biel jest wydeptana przez zdecydowanie więcej niż jedną osobę. Nawet teraz stoi tu

kilkoro studentów, z zainteresowaniem przyglądających się naszym poszukiwaniom.

Maciek bezskutecznie próbuje zapanować nad emocjami. Kiedy ze złością przewraca śmietnik, widzowie szybko uciekają z powrotem do środka. Nie próbuję go uspokoić. Sama ledwo panuję nad myślami.

- Dzwonię do jej rodziców - oświadcza chłopak i odblokowuje telefon.

W ostatniej chwili wyrywam mu go z ręki.

- Co ty wyprawiasz?! Natychmiast się uspokój - rozkazuję pewnym głosem. - Nie ma powodów do paniki, jasne? Nic się nie dzieje.

- Ale...

- Po prostu poczekajmy na nią. Dajmy jej jeszcze trochę czasu.

Wygląda, jakby z całej siły powstrzymywał się, żeby nie urwać mi głowy. Jego twarz robi się czerwona, a szczękę zaciska tak mocno, że wydaje mi się, iż słyszę trzask łamanych zębów.

- Maciek, nic jej nie będzie. Jestem pewna. To z pewnością jeden z jej głupawych żartów - pocieszam go i lekko obejmuję, ignorując paniczny strach rozsadzający mi klatkę piersiową. Mam nadzieję, że nie słyszy mojego serca, które bezczelnie mnie zdradza.

W końcu udaje mu się jako tako uspokoić. Bez słowa wchodzi do środka, a ja posłusznie podążam za nim. W ostatniej chwili wciska się na wolne miejsce, odpychając lekko dwóch mężczyzn. Nie wszczynają jednak awantury.

Wystarczy jedno jego spojrzenie i ostrożnie wycofują się w stronę baru.

- Zaczekaj tutaj - proszę go i w pośpiechu oddalam się, by zamówić mu wodę. Niech się czymś zajmie.

- Naprawdę myślisz, że to żart? - mamrocze chłopak, gdy wracam ze szklanką.

- Znasz ją. Pewnie próbuje się odegrać. Nie wiem co prawda za co, ale to przecież Czarna. Potrafi być nieprzewidywalna.

Chłopak opiera łokcie na stole, kładąc czoło na splecionych dłoniach.

- Może przejdźmy się po budynku? W środku jest tłum ludzi, może spotkała kogoś znajomego i zwyczajnie się zagadała? - proponuję po chwili.

- W sumie mogła chociażby zatrzaskać się w toalecie - przyznaje, podnosząc głowę. - Dobra, rozejrzyjmy się trochę.

Przeciskamy się przez ludzi, wypatrując złotego płaszczyka. Sprawdzamy dosłownie każdy możliwy kąt. Powstrzymuję się, by nie zajrzeć pod stoliki. Dotarłszy do toalet, rozdzielamy się.

- Rozumiem, że jej nie znalazłaś? - pyta Maciek, gdy chwilę później ponownie spotykamy się na korytarzu.

- Nie.

Niedobrze, naprawdę zaczynam się bać. Zresztą nie tylko ja. Powieka przyjaciela już od dłuższego czasu drga nerwowo, jak podłączona do stałego źródła prądu.

- Może popytamy? - podsuwa niepewnie.

Wzruszam ramionami, z całej siły skupiając się na utrzymaniu wyobraźni w ryzach. Podsuwa mi bowiem obrazy, których nie chcę widzieć.

Ku naszemu zdumieniu już pierwsza osoba, zapytana o dziewczynę w żółtym płaszczu, mówi, że ją widziała.

- Gdzie? - pytam.

- Przy kiblu są takie drzwi, czaicie? - mówi lekko bełkotliwym głosem chłopiec, na oko wyglądający na gimnazjalistę. - Tam wszyscy chodzą, jak chcą, no wiecie...

Grupka jego znajomych wybucha śmiechem.

Maciek zdecydowanie nie podziela ich wesołości.

- Przecież tam nie ma żadnych drzwi. - Gromi chłopaka wzrokiem.

- No właśnie są, tylko musicie minąć toalety.

Mój przyjaciel patrzy z niedowierzaniem, ale w końcu odwraca się i rusza tam, skąd dopiero co wróciliśmy. Zgodnie ze wskazówkami mijamy łazienki, rozglądając się wokół. Rzeczywiście głęboko w ścianie są drzwi, których praktycznie nie widać, dopóki nie zbliży się wystarczająco. Maciek rozgląda się pospiesznie, po czym otwiera je wprawnym ruchem.

Wchodzimy w wąski, słabo oświetlony korytarzyk. Skręcamy za róg. W powietrzu unosi się dziwny zapach, którego nie potrafię rozpoznać, choć wydaje się znajomy. Prawdopodobnie to zejście do piwnicy. Pokryte paskudnymi, zielonkawymi kafelkami schodki prowadzą głęboko w dół. Kiedy zbliżamy się do nich, z mroku wyłaniają się dwie postaci, żywo ze sobą dyskutując

Z duszą na ramieniu obserwuję, jak Czarna i Norbert wspinają się po schodach.

Chłopak obdarza mnie długim spojrzeniem, przechylając lekko głowę. W przeciwieństwie do Czarnej nigdzie mu się nie spieszy. Ona zaś, zauważywszy nas, szybko pokonuje po dwa stopnie naraz i zatrzymuje się u szczytu z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Słuchajcie, bo nie uwierzycie. - Zerkam na Maćka. Wpatruje się w Norberta pustym wzrokiem. Cholera. - Palę sobie papierosa, a tu nagle zauważam moich znajomych, jeszcze z czasów podstawówki - opowiada dziewczyna, z zapalem gestykulując. - No i tak sobie gadamy, gadamy, no i wtedy podszedł Norbert. - Tu wskazuje na swojego towarzysza, najwyraźniej nie mając pojęcia, kim jest. Nic dziwnego, widziała go tylko przez moment, kiedy był zalany krwią. - Okazało się, że mamy wspólnego kumpla, który, śmieszna sprawa, miał przy sobie trochę zielonego. - Mruga porozumiewawczo. - Chciał się podzielić, a niegrzecznie byłoby odmówić - chichocze. - Poszliśmy więc tu na dół, we trójkę. Wybaczcie, że was nie zawołałam, ale wtedy by nie starczyło. Tamten chłopak wrócił na górę chwilę przed nami, bo musiał iść za potrzebą. Wiecie, nawet nie zauważyłam, kiedy czas zleciał. Mam nadzieję, że nie jesteście źli?

Odpowiada jej milczenie.

- Chyba nie jesteś zazdrosny, że podkradłem ci dziewczynę? - wtrąca Norbert jadowitym głosem, wkładając ręce w tylne kieszenie.

Maciek jednak nie odpowiada. Stoi nieruchomo, jakby był woskową figurą, a nie człowiekiem. Zdrętwiała ze strachu obserwuję go, nie odzywając się ani słowem. Jest w zupełnie innym świecie. Jego umysł odleciał gdzieś daleko.

W tym momencie rozlega się dzwonek telefonu, a Norbert sięga do kurtki, na chwilę odwracając wzrok. Dokładnie ułamek sekundy później ręce mojego przyjaciela lądują na jego klatce piersiowej. Ręka puszcza telefon, usiłując złapać się poręczy, ale jest już za późno.

Wrzask Czarnej zagłusza odgłos uderzenia.

Serce przestaje mi bić.

Dziewczyna zasłania usta ręką, usiłując stłumić szloch. Kręci głową, jakby próbowała sobie wmówić, że to tylko sen. Maciek, dygocząc na całym ciele, chce do niej podejść, ale ona odskakuje jak oparzona.

- Nie dotykaj mnie - łka, pospiesznie cofając się w głąb korytarza.

- Kamila... - zaczyna chłopak zbolalym głosem, postępując krok naprzód.

- Nie dotykaj mnie! - wrzeszczy, po czym odwraca się na pięcie i potykając się o własne nogi, szybko umyka.

Chwilę później dobiega nas trzask zamykanych drzwi.

Maciek wpatruje się w miejsce, w którym przed chwilą stała, ja zaś z całej siły powstrzymuję się przed wzięciem z niej przykładu. Chłopak powoli odwraca się w moją stronę. Spodziewam się ujrzeć łzy, ale jego twarz jest

całkowicie pozbawiona wyrazu. Nim zdążę cokolwiek powiedzieć, ręka Maćka wędruje do mojej kieszeni, a ja, oszołomiona, nawet nie próbuję go zatrzymać. Prostuje pogniecioną karteczkę i przygląda się dzisiejszej dacie, po czym zaciska ją w dłoni i przenosi wzrok na mnie.

- Wiedziałaś - oświadcza głucho.

Nie muszę odpowiadać. Poza tym i tak nie dałabym rady. W tym momencie mój umysł zawieszony jest pomiędzy myślą o ciele leżącym kilka metrów pod nami a panicznym strachem, powodowanym dzikim spojrzeniem przyjaciela.

- Wiedziałaś - powtarza, robiąc krok w moją stronę.

Cofam się. Tylko na tyle mnie stać, moje nogi bowiem zamieniają się w dwa bezużyteczne kołki.

- Ty pieprzona suko - mówi cichym, spokojnym głosem.

- Wiedziałaś, że *on* tu jest.

Chłopak w mgnieniu oka doskakuje do mnie, a jego pięść trafia w mój brzuch. Zginam się, oszołomiona bólem, ale nim zdążę poczuć coś jeszcze, tył mojej głowy uderza o ścianę.

- Wiedziałaś! - wrzeszczy. - Wiedziałaś! Od samego początku! Dlaczego, Lola? - wyje, obejmując głowę. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? To twoja wina! To ty to zrobiłaś!

- Ja nie... - szepczę, powstrzymując napływające łzy, ale głos więźnie mi w gardle.

Maciek prostuje się, wlepiając we mnie spojrzenie zielonych oczu, z których wyziera szaleństwo.

- To ty, Lola - oznajmia dziwnie łagodnie, uśmiechając się od ucha do ucha. - To ty, nikt inny. Ty go zrzuciłaś. Zabiłaś go.

- To nieprawda - bronię się i słyszę, jak łamie mi się głos.

- Gdybyś... Gdybyś chociaż ten jeden raz powiedziała prawdę, gdybyś nie wodziła mnie za nos, wmawiając mi, że to tylko żarty, nic by się nie stało. Nic - powtarza, kręcąc głową. - Ale nie. Bo ty jesteś dumna. Bo musiałaś w zaparte kłamać.

- Jaki to ma związek z tym, co się stało? - pytam rozpaczliwie. - Przecież i tak nie spotkalibyśmy jej przed nim! - wołam.

Uśmiech schodzi mu z twarzy, wyparty przez przerażający grymas. Opiera na mnie ręce, przypierając mnie do ściany.

- Ty go zabiłaś - syczy, a jego kolano miażdży mi żołądek.

Na chwilę tracę kontakt z rzeczywistością. Spocona dłoń zaciska się na moim gardle. Świat wiruje mi przed oczami. Bezskutecznie próbuję złapać oddech. Czuję, jak grunt ucieka mi spod nóg.

- A teraz posłuchaj mnie, Lola. Nigdy nikomu o tym nie powiesz. Wyjdę stąd, a ty chwilę później zrobisz to samo. Wrócisz na oddział i powiesz im, że się oddzieliłaś, a ja nie miałem na to wpływu. - Zmusza mnie, bym na niego spojrzała. - Żałuję, że kiedykolwiek cię poznałem. Spójrz, kogo ze mnie zrobiłaś. Nienawidzę cię - cedzi przez

zaciśnięte zęby. - To powinnaś być ty - dodaje, po czym zwalnia uścisk.

Uderzam kolanami o płytki. Przykładam ucho do ciepłych ust. Czuję lekki podmuch. Powinnam go tak zostawić. Wziąć z nich przykład. Uciec. Patrzę na chłopaka, którego tak bardzo nienawidzę. Zawsze marzyłam, żeby zniknął. Ale nie potrafię go tak zostawić. Nie zasłużył na to.

Sięgam do jego kieszeni i wyciągam telefon.

Przyglądam mu się po raz ostatni.

A potem wstaję i mocno przytrzymując się poręczy, wchodzę po schodach.

Kiedy słyszę chrzęst śniegu pod stopami, wyciągam komórkę i wybieram numer alarmowy. Po podaniu adresu wyrzucam urządzenie do kosza na śmieci.

Ruszam przed siebie.

Noc jest niebywale piękna. Obserwuję ruch czerwonego światełka, mrugającego między gwiazdami. Niespiesznie przesuwa się po nieboskłonie, nie zatrzymując się nawet na moment. Nie czuć najmniejszego podmuchu wiatru. Panuje doskonała cisza.

Jak ta pusta muszla wpatruję się w ciemną przestrzeń, bez nawet pojedynczej myśli w głowie. Jestem tylko ja i migająca kropka w oddali.

Uśmiecham się przez łzy.

Rozdział 21

Wchodzę na oddział. Pielęgniarki wypytyją mnie, dlaczego odłączyłam się od rodziny Maćka. Grożą mi, że więcej nie dostanę przepustki. Prowadzą mnie do mojego pokoju, wciąż rozwodząc się nad konsekwencjami mojego zachowania. Nie wiem, o co im chodzi. Przecież nic się takiego nie stało. Po prostu się spóźniłam. I tyle.

Światło jarzeniówek nieprzyjemnie pulsuje. Jak krew w moim ciele, która nieprzerwanie przetacza się przez kilometry cienkich żył. Jedna z lamp irytująco trzeszczy, jakby zaraz miała się wyłączyć. Ciekawe, czy ktoś ją w końcu naprawi.

Wchodzę do sali. Agnieszka na mój widok szeroko się uśmiecha, ale z jakiegoś powodu po chwili mina jej rzednie. Nerwowo przebiera nogami, czekając, aż pielęgniarki opuszczą pokój.

- Za dziesięć minut przyjdiesz po leki - rzuca do mnie jedna z kobiet, po czym obie wychodzą, trzaskając drzwiami.

Odruchowo siadam na moim łóżku, kładąc dłonie na kolanach.

- Lola? - pyta cicho głosik.

Nie ma mnie.

Może powinnam odpowiedzieć...

Chyba jednak nie jestem w stanie, mój umysł unosi się wysoko pod sufitem. Próbuję sformułować jakieś zdanie, ale zajmuje mi to niesamowicie dużo czasu. Słowa pojawiają się i znikają, nim zdążę je wyłapać z plątaniny myśli. To naprawdę dziwnie czuć równocześnie pustkę i chaos.

Czy ja już tego nie mówiłam?

Paranoja.

Aga siada obok mnie, lekko mnie obejmuje. Opiera głowę na moim ramieniu, cierpliwie czekając, aż się odezwę. Ta chwila jednak nie nadchodzi. Trwamy obok siebie w kompletnej ciszy. Czuję jej dotyk, ale jest on nierealny, jakby pomiędzy nami była tafla szkła, uniemożliwiająca mi pełnowymiarowe odczuwanie świata. Pozostaje mi więc gapić się przed siebie, próbując poczuć cokolwiek.

Dlaczego?

Dlaczego mnie nie ma?

Gdzie jestem?

Słyszę wołanie na leki. Sztywna podnoszę się z łóżka i nie zwracając uwagi na przyjaciółkę, zmierzam do zabiegowego. Dziewczyna idzie dosłownie krok za mną, dokładnie śledząc każdy mój ruch.

Posłusznie staję w kolejce, ignorując pacjentów, którzy podchodzą do mnie i coś mówią, ale nie wiem co. W głowie

nagle rozbrzmiewa mi jakaś melodia, której nie potrafię rozpoznać. Czuję się trochę jak w windzie. Żołądek mam gdzieś w okolicach krtani, cicha muzyczka wypełnia niewielką przestrzeń, ciasnota pomieszczenia zatrzymuje oddech w piersi. Nie ruszam się. Po prostu jestem.

Tu, w szpitalu.

Jestem.

Chyba.

Nie mam pewności.

Widzę swoje odbicie w lustrze, ale nie czuję podłogi pod stopami.

Widzę moje palce zaciskające się na widelcu, ale nie czuję smaku potraw.

Gorąca woda oblewa strumieniem moje plecy.

Jestem, choć mnie nie ma.

Istnieję, choć mój umysł zdaje się nie funkcjonować.

To dziwny stan.

Wiem, że idę. Wiem, że jem, myję się, ubieram, leżę, siedzę, stoję, cokolwiek. Ale nie czuję, że to robię. Na oddziale jest tylko moje ciało.

Lola gdzieś zniknęła.

Nie rozumiem dlaczego.

Coś się stało, kochana?

Dlaczego nagle mnie opuściłaś?

Wróć, proszę. Bez ciebie jestem nikim.

Obserwuję wskazówki na tarczy zegara, powoli przeżuwając ciastko. Nie jestem pewna, czy to nie jakaś

atrapa. Równie dobrze mogłabym rzuć papier.

Tik-tak.

Tak-tik.

Śmieję się.

Tylko nie mam zielonego pojęcia czemu.

Agnieszka chyba płacze.

Bawię się kołdrą. Zwijam ją i rozwijam, za każdym razem starannie wygładzając zmarszczki. Próbuję nadać jej maksymalną gładkość. Doprowadzam ją do nieskazitelnej perfekcji, by chwilę później znów ją pognieść.

Co robisz, Lola?

Bawisz się?

Siedzę na parapecie, wpatrując się w śnieg za oknem. Zima uparcie trwa, nie chcąc nigdzie odejść. Szron pokrywa okno, tworzy tajemnicze wzory. Ich piękno przeraża mnie. Nie mogę przestać ich podziwiać, ale równocześnie czuję niepokój, który przebija się przez warstwę zubożenia.

Od przepustki minął tydzień. Kiedy będę w stanie poświęcić jej choć jedną myśl? Dlaczego mam w głowie wielką białą plamę za każdym razem, gdy próbuję wrócić do niedzielnego popołudnia?

Ktoś wchodzi do pokoju w towarzystwie sanitariuszki. Kątem oka obserwuję niskiego mężczyznę, który zbliża się do mnie, wbijając we mnie spojrzenie ciemnych oczu,

z których nie potrafię nic odczytać. Mam wrażenie, że są pozbawione jakichkolwiek emocji.

Mężczyzna zatrzymuje się z wyciągniętą ręką. Zaciskam palce na płaskim przedmiocie.

- Miał to przy sobie - mówi bezbarwnym głosem.

Spoglądam na niewielką tabliczkę pokrytą misternymi zawijasami. Nagle czuję silne ukłucie w okolicach brzucha.

- Może ty wiesz, dlaczego wczoraj zegnałem mojego syna?

- pyta, a jego wargi zaczynają niebezpiecznie drżeć.

- Proszę pana, lekarz prosił... - wtrąca się kobieta, ale mężczyzna nagle wybucha płaczem. Wyciąga z kieszeni pomarańczowej kurtki chusteczkę i głośno wydmuchuje nos. Sanitariuszka lekko popycha go w stronę drzwi, nie spuszczając mnie z oka. Po chwili wychodzą, zostawiając mnie samą.

Patrzę na talizman szczęścia ozdobiony srebrzystym napisem.

Maciek.

Maciek?

Palce zaczynają dygotać, zaciskając się na drewnianku.

Gdzie jesteś?

Ostrożnie stawiam stopy na podłodze. Podchodzę do szafki nocnej i wydaję z niej telefon. Nie mam żadnych nieodebranych połączeń. Wybieram numer przyjaciela i nasłuchuję, w oczekiwaniu na trzask słuchawki.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Pięć.

Sześć.

- Hej, tu Maciek. Nie mogę odebrać, a ty nie zostawiaj mi wiadomości, bo i tak nie odsłucham. Na razie.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Cztery, pięć, sześć.

- Hej, tu Maciek. Nie mogę...

Raz.

Dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

- Hej, tu...

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

- Hej...

Telefon uderza z trzaskiem o ziemię.

Dygoczę.

Czuję to.

I potrafię nazwać.

Rozpacz wdziera się we mnie, rozrywając mój umysł.
Poczucie winy wybucha z mocą, zalewając mnie swą
czernią.

To moja wina.

Norbert przyszedł tam za mną.

Nie za Czarną.

Gdyby nie ja, Maciek by żył.

Gdybym nie istniała, nikomu nic by się nie stało.
Jestem potworem.
Powinnam umrzeć.
Chcę umrzeć.
Niech mi ktoś pomoże.
Niech mnie ktoś zabije.
Łapię za poduszkę i wciskam w nią twarz, zaciskając
zęby.
Palce wbijam w brzeg łóżka.
Spomiędzy warg przedostaje się cienka nitka jęku.
Usta drżą w proteście.
Chcą krzyczeć.
Nie pozwalam im.
Paznokcie drapią pościel, emocje nie znajdują ujścia.
To moja wina.
Łzy gromadzą się w moich oczach, spływając na biały
materiał.
Powinnam zdechnąć.
Obejmuję się rękoma, zaciskając z całej siły palce.
Dźwięk dobywający się z moich ust narasta, boleśnie
puchnie w mojej głowie.
Rośnie i rośnie, przedzierając się przez zęby, szukając
wyjścia.
Nienawidzę cię.
Wrzask przecina powietrze.
Paznokcie wbijają się w moją skórę, próbując ją
rozerwać.
Znam ten dźwięk.

Już go kiedyś słyszałam.

Przerażający skowyt bólu i rozpacz.

W moim umyśle pojawia się tylko jedna prośba.

- Zabij mnie, zabij mnie, zabij mnie...

Czterdzieści osiem par oczu gapi się na mnie przez szybę. A może to pięćdziesiąt sześć par. Albo trójek. Wszystkie wpatrują się we mnie, błyskając złowrogo w ciemności. Zamykam powieki, próbując im uciec, ale wciąż widzę je przez skórę. Falują, zbiegają się i rozpierzchają jak stado wielkich owadów. Mrowie bezkształtnych stworów próbuje się przedostać do środka. Sto, dwieście, trzysta, uderzają raz po raz, próbując stłuc szkło.

Próbuję się ruszyć, ale coś mi nie pozwala. Ciemne pasy krępują mnie, uniemożliwiając ucieczkę. Zaciskają się coraz mocniej, miażdżą mi kości, rozrywają nadgarstki. Słyszę brzęk. Przezroczysta bariera pęka pod naporem tysięcy połyskujących ciał. Z całej siły próbuję się wyrwać.

Bezskutecznie. Pościel lepi się od potu, wzbiera nade mną jak fala, podnosi się coraz wyżej i wyżej, sięgając moich ust. Na materiale formują się straszliwe twarze, wykrzywione w diabolicznym grymasie. Otwierają paszcze, chcąc mnie połknąć.

Wołam o pomoc.

Światło dnia zatrzymuje się na rolecie, wpuszczającej zaledwie namiastkę słonecznych promieni. Omiatam

spojrzeniem salę, powstrzymując mdłości. Nie potrafię skupić wzroku, wszystko jest rozmazane, zniekształcone. Kręci mi się w głowie. Łóżko pode mną kołysze się na boki jak statek na wodzie, a wrażenie to potęguje się, gdy zamykam oczy.

Kosmyk włosów przyczepił mi się do ust. Chcę go odgarnąć, ale zauważam, że nadgarstki mam przywiązane do łóżka. Ale nie skórzanymi paskami, lecz miękkimi skrawkami materiału. Na próbę ciągnę ręce do siebie, natychmiast tego żałując, gdy pozornie delikatne chusty zaciskają się boleśnie na przegubie. Ostrożnie ruszam ręką na tyle, na ile więzy mi to umożliwiają. Pieczenie sygnalizuje, że nieźle sobie obtarłam skórę. Dziwne. Przecież spałam.

Spałam?

Och.

Wspomnienia atakują mnie zupełnie niespodziewanie. Jakieś drzwi nagle się otwierają i wysypuje się na mnie sarta chaotycznych myśli. Przypominam sobie po kolei każdą sekundę, a łzy napływają mi do oczu.

Jakie były jego ostatnie słowa, które pamiętam?

„To powinnaś być ty”.

Uderzył mnie. Dusił. Krzyczał.

Znienawidził mnie.

Płaczę, a gorące krople spływają mi po twarzy i szyi na kark. Nie zobaczę jego uśmiechu, nie poczuję jego ciepłej dłoni na moich włosach. Już nigdy więcej. Jestem odpowiedzialna za to, co się z nim stało.

Wszystko wokół wiruje, a ja z całej siły próbuję się wyrwać. Chcę rozedrzeć się na strzępy, wydłubać sobie oczy, połamać palce. Przesuwam się pod górę, tak daleko, jak to możliwe, i raz po raz uderzam tyłem głowy o metalowe wezgłowie, z nadzieją czekając na odgłos pękającej łupiny orzecha.

Kilka osób równocześnie wpada do pokoju. Próbują mnie przytrzymać, uniemożliwić mi jakikolwiek ruch, ale już nie myślę. Chcę umrzeć.

Jeszcze nigdy nie pragnęłam niczego tak bardzo.

Zagryzam zęby na języku, by po chwili poczuć metaliczny smak gorącej krwi.

Czyjeś ręce rozwierają mi szczękę, a ja krztuszę się posoką spływającą mi do gardła.

Walczę każdym centymetrem ciała.

Wbijam paznokcie we wnętrza dłoni tak mocno, jak tylko potrafię.

Czuję igłę przeszywającą moje ciało.

Próbuję krzyczeć, ale wpychają mi do ust róg pościeli.

W ostatnim przebłysku świadomości zauważam, że ktoś zdejmuje mi czarną bransoletkę z ręki.

Wiję się wśród jedwabiu jak wąż. Materiał rozkosznie pieści moje ciało, owijając się wokół mnie, głaszcząc wrażliwą skórę, mierzwiąc delikatnie włosy. Co za wspaniałe uczucie... Przyjemny dreszcz przebiega mi po plecach. Jest mi tak dobrze... Słyszę szum, gdzieś daleko, daleko stąd. Oddycham z trudem, odchylając lekko głowę.

- No już, już, spokojnie.

Czuję słodką błogość przemieszana z obezwładniającym uczuciem ekstazy. Unoszą mnie, otaczając cienkim puchem, magicznym pyłem, który osiada na mnie warstwą odurzenia.

- Zaraz będzie po wszystkim, wytrzymaj jeszcze trochę.

Umarłam?

Martwi chyba nie czują bólu. A mnie cholernie boli język.

Z trudem otwieram oczy.

Cholera.

Nawet nie próbuję się podnieść. Wiem, że jestem przypięta do łóżka. Tym razem pasami, ale wciśnięto pod nie grubą warstwę gazy i waty, żebym nic sobie nie zrobiła. Lekko dotykam językiem podniebienia i zębów, próbując wybadać jego stan. Czuję wyraźne zgrubienie przebiegające w poprzek, które przy każdym ruchu pulsuje bólem.

Otwieram usta, próbując coś powiedzieć, ale szybko się poddaję. Jestem w stanie mówić, ale to zbyt duża męczarnia. Zamiast tego w myślach wymieniam wszystkie znane mi przekleństwa.

Mam dość. Muszę coś wykombinować. Natychmiast.

Rojkowski siedzi obok mojego łóżka.

- Jesteś gotowa, żeby porozmawiać?

Co za idiotyczne pytanie. Nawet gdybym chciała, ból jest zbyt dotkliwy.

- Rozumiem, że cierpisz z powodu przyjaciela. Nie tylko ty zresztą. Ale on nie chciałby tego, Lola. Złamałabyś mu serce, gdyby cię teraz zobaczył.

Szyderczy uśmiech rozciąga mi twarz.

Ty idioto, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo się mylisz. Gdyby mnie teraz zobaczył, ucieszyłby się. To moja kara. Moja własna pokuta, którą niedługo zakończę.

- Chcielibyśmy cię rozwiązać, ale boimy się o ciebie. Jeśli jednak przyrzekniesz, że nie zrobisz nic głupiego, to zabierzemy pasy. Oczywiście sanitariusz nie opuści cię nawet na sekundę. Co ty na to?

Pozwalają mi się umyć. Sanitariusz zostaje za drzwiami łazienki, zostawiając mnie pod opieką Skwarki. Na ten czas nikomu nie wolno tu wchodzić. Kobieta, nic nie mówiąc, obserwuje, jak się rozbieram, maksymalnie skupiona na powierzonej jej misji. Kiedy próbuję się zasłonić, powstrzymuje mnie, kręcąc głową. Podaje mi kosmetyki.

Odwracam się tyłem, po czym odkręcam wodę. Ze stoickim spokojem wdycham zapach piany, od której piecze mnie ciało. Cała jestem poznaczona podłużnymi, ciemnoczerwonymi śladami paznokci. Nadgarstki pokrywa warstwa świeżego naskórka. Ciekawe, ile czasu minęło, odkąd dowiedziałam się o samobójstwie przyjaciela.

W nocy zostawiają uchylone drzwi, a wielkie okno jest całkowicie odsłonięte. Ręce mam wolne. Obserwują mnie. Ale nie mogą widzieć wszystkiego, prawda?

Tylko jak mam to zrobić?

Cały dzień o tym myślę, ale nie mogę wykombinować nic mądrego. Nie tak łatwo zorganizować sobie coś ostrego, kiedy jest się nieustannie monitorowanym. To musiałoby być coś, co mogę zgarnąć zupełnie niepostrzeżenie. Coś niewielkiego, co mogę znaleźć na oddziale. Nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Aż do czasu, kiedy wracając z łazienki w towarzystwie pielęgniarki, mijam grupkę anorektyczek rozwiązujących bez większego zaangażowania krzyżówki.

- Mogę? - pytam kobietę, wskazując na stosik łamigłówek, piętrzący się na parapecie.

- Ale będziesz w dyżurce.

Kiwam głową, po czym sięgam po niewielką książeczkę i proszę o długopis. Siadam w fotelu, próbując skupić się na literkach. Z narastającą ekscytacją obracam przedmiot w dłoni. Gdy tylko sanitariuszka zagaduje mojego strażnika, odrywam klips i chowam go do kieszeni. Kiedy kilkanaście minut później oddaję pielęgniarce jej własność, serce bije mi jak oszalałe. Ona jednak machinalnie wrzuca go do pierwszej lepszej szuflady, wciąż pochłonięta rozmową.

Dobranoc.

Rozdział 22

Patrzę na znajomy sufit.

Podnoszę się gwałtownie, wydając z siebie przeciągły syk. Siadając, oderwałam od rany pościel, która do niej przyrosła. Czuję, jak krew cieknie mi między palcami.

To jest chyba jakiś żart.

Niech mnie ktoś uszczypnie.

Niech mnie ktoś, kurwa, uszczypnie, bo nie ręczę za siebie.

Wstaję z łóżka, tym samym zwracając na siebie uwagę pielęgniarek. Podchodzę do parapetu i podciągam roletę. Świat na zewnątrz wygląda dokładnie tak jak wczoraj. Ziemię wciąż pokrywa błoto, a drzewo kołysze gałęziami, poruszane podmuchami wiatru. Chmury suną leniwie po zaskakująco błękitnym niebie jak gdyby nigdy nic.

Jakbym właśnie nie obudziła się z wiecznego snu.

Dlaczego?

Dlaczego, cholera jasna, dlaczego?!

Do pokoju wchodzi pielęgniarka. Na widok zakrwawionego prześcieradła i ciemnej posoki tworzącej

szlaczek łączący łóżko z oknem wydaje stłumiony okrzyk, po czym pędzi po resztę personelu.

Świetnie.

Znowu mnie zwiążą.

Co jest ze mną nie tak?

Jakim prawem, jakim pieprzonym prawem ledwie dwa miesiące temu musieli mnie odratowywać, bo niechcący za mocno przejechałam po nadgarstku, a teraz, kiedy zdychałam wśród bólu w kałuży własnej krwi, oto budzę się, jakby nic się nie stało? Dlaczego kiedy chcę się zabić, nagle mi to nie wychodzi?!

Ze złością uderzam pięścią w ścianę.

Kurwa mać.

Do pokoju wpadają dwie kobiety i sanitariusz, za nimi zaś Rojkowski. Wiem, że walka z nimi nie ma sensu, ale jestem tak wściekła, że z trudem powstrzymuję się przed rozbiciem sobie głowy o parapet.

Ktokolwiek włada nad ludzkim losem, musi się teraz pokładać ze śmiechu.

Na widok strzykawki prychem ze złością.

- Może chociaż dajcie mi taką dawkę, żeby zapewnić mi trochę przyjemności, co? Tak jak wtedy, kiedy ratowaliście mój język - proponuję, biorąc się pod boki. - A w ogóle to żywcem mnie nie weźmiecie - dodaję.

- Lola, co ty... - zaczyna szanowny kowboj, ale nie pozwalam mu dojść do słowa, bo oto przelewa się przeze mnie fala rozczarowania.

- Czy ty wiesz, człowieku, jak to jest, jak chcesz ze sobą skończyć i nie możesz? - pytam jadowym głosem. - Cała pościel jest we krwi! - wołam. - A ja wciąż jestem żywa, do cholery! Jakim prawem?! Jak to w ogóle możliwe?! Słuchaj pan. - Wyciągam palec w jego stronę. - Jestem tak wkurzona, że jak zbliżycie się do mnie z tą igłą, to przysięgam, że wbiję ci ją między oczy, rozumiesz? Macie mnie teraz zostawić w spokoju albo pierdolną łbem o ścianę.

- Ty chyba nie wiesz, co mówisz - oznajmia nad wyraz spokojnie.

- Właśnie, że wiem. Dajcie mi kilka cholernych minut ciszy, a potem róbcie, co chcecie. Muszę pomyśleć. A skoro nie wykrwawiłam się przez noc, to i teraz nie zdechnę - dodaję, unosząc rękę pokrytą czerwienią.

- Zostanę z tobą.

- Nie.

- Nie odezwę się nawet słowem - obiecuje z ręką na sercu i pokazuje reszcie, by wyszli na korytarz. Wymieniają zdziwione spojrzenia, ale nie protestują. On zaś zamyka drzwi i opiera się o nie plecami. Zerka na zegarek. - Masz pięć minut.

Cudownie.

Siadam na łóżku, z obrzydzeniem patrząc na śmierdzącą plamę.

Dobra, spokojnie. Pomyśl, idiotko.

Nie udało się. Żyję. Najwyraźniej świat nie chce mi podarować wolności. Nie chcę tu być. Na samą myśl

o Maćku robi mi się niedobrze. Będę musiała spróbować raz jeszcze. Teraz jednak zaczynam wątpić, by poszło tak łatwo. Po tym wszystkim będę sikać przy otwartych drzwiach. Nie spuszczą mnie z oka.

Spieprzyłam sprawę.

Ale pojawia się we mnie coś nowego, co zauważam z radością.

Znowu czuję złość. Pustka w głowie choć na chwilę odeszła w zapomnienie. Paradoksalnie, chcąc się zabić, chyba przywróciłam się do życia.

Cały dzień przeleżałam kompletnie otumaniona lekami. Najwyraźniej wzięli sobie moje słowa do serca. Co prawda nie było mi zbyt przyjemnie, czułam się raczej jak rozgotowana parówka.

Cóż za malownicze porównanie, kochana.

Rzę ze śmiechu, bo to ostatnie, co mi zostało.

Nie udało się, choć tak bardzo tego chciałam. Niestety stało się to, czego się obawiałam. Na myśl o drugiej próbie zaczynam mieć wątpliwości.

Może powinnam po prostu zapomnieć? Najzwyczajniej w świecie przestać się mazać i trząść jak w delirce, wstać, otrzepać się z pyłu i pójść dalej? Przecież zawsze tak robiłam.

Co ja wyprawiam, do cholery.

Nie kazałam mu tego robić. To była jego decyzja. To, że zapadła pośrednio przeze mnie, to inna sprawa.

„To twoja wina”.

Z całej siły uderzam się w twarz.

Idiotko, właśnie próbowałaś się zabić, bo jakiś gówniarz wmówił ci, że to przez ciebie zepchnął kogoś ze schodów?

Zastanów się. To sytuacja jak każda inna. Znowu zrzucono na ciebie odpowiedzialność. Wystarczy, że otoczysz się swym przewiskiem. Maski ponownie wsiąkną w skórę, przynosząc ukojenie. Musisz skupić się na gniewie, za wszelką cenę podtrzymywać jego ogień i nie dopuszczać do siebie żadnych uczuć.

Po prostu rób to co zwykle.

Znienawidź. Włącz ten sam film, który odtwarzasz aż do znudzenia. Schemat, który przecież zawsze działa.

Włóż maskę.

I graj.

- Żądam książki - oświadczam, kiedy Rojkowski odwiedza mnie w poniedziałek.

- Żądasz czy prosisz? - pyta.

- Żądam - powtarzam z zaciętą miną. - Dodatkowo chcę móc założyć swoje ubrania. Jeszcze trochę i zwariuję w tej piżamce.

- Może od razu zdejmę cię ze ścislej, co? - proponuje, powoli podchodząc do parapetu, na którym przysiadłam.

- Nie obraziłabym się - prychem.

- Niech będzie - stwierdza, wzruszając ramionami. - Nie daję po sobie poznać, że mnie zaskoczył. Zamiast tego krzyżuję ręce na piersi i spoglądam przez okno. - Powiem w dyżurce, żeby oddali ci rzeczy. Widzimy się za dwie

godziny w gabinecie. Do zobaczenia. - Kiwa mi głową i wychodzi z rękami w kieszeniach.

Kilkanaście minut później sanitariuszka przynosi mi mój skromny dobytek. Z pewnością łóżko obok Agnieszki jest już od dawna zajęte przez kogoś innego. Właściwie mnie to cieszy. Nie mogę się do nikogo zbliżyć. To mnie tylko niepotrzebnie osłabia.

Wyciągam z torby ręcznik, kosmetyczkę i komplet ubrań. Pewnym krokiem wychodzę z pokoju. Po raz pierwszy od dwóch tygodni robię to bez obstawy. Najwyraźniej trwają lekcje, bo korytarz jest pusty. Ciekawe, jak zareagują pacjenci na mój widok.

Z zadowoleniem wślizguję się pod prysznic, hodując w sobie małe ziarnko nienawiści, karmiąc je myślami na temat bezsensowności ufania komukolwiek, wyższości obojętności, chłodu i sarkazmu nad szczerością i ciepłem. Wyobrażam sobie, jak rośnie, wypuszcza silne gałęzie, rozpycha moje żyły, zatrzuwa organizm słodkim jadem, o którym prawie zdążyłam zapomnieć. Nie dam się tak łatwo. Nie jestem tchórzem.

Dwa razy się zastanowię, zanim zachce mi się targnąć na swoje życie. Przecież tak naprawdę śmierć Maćka mnie nie dotyczy, prawda? Nie był moim chłopakiem, a nazywanie go przyjacielem nie ma większego sensu. Był jedynie kolejną osobą, która postanowiła mnie obwiniać za własne błędy. Bywa. Nie należy się nad tym rozwodzić. Pora pogodzić się z tym faktem. Jest martwy. Za to ja wciąż żyję.

Jeszcze.

Zamknij się, Lola. Znów będę z tobą. Dam ci się prowadzić. Razem zajdziemy daleko, zobaczysz. Obejmiesz mnie mocno i szepniesz parę słodkich słów. Wszystko będzie dobrze. Zawsze byłaś przy mnie, niezależnie od tego, co się działo. Może i nie miałaś imienia, nim Norbert ci go nie nadał, ale przecież jesteśmy razem od bardzo dawna. Nikt nie dał mi tyle, co ty. Ochroniłaś mnie przed złem, pomogłaś mi wznieść wokół siebie mury, dzięki którym przetrwałam. Wyrzekłam się ciebie, a teraz ponoszę tego konsekwencje. Nigdy nie byłaś moim wrogiem. Byłaś moim przyjacielem. Moim oparciem. Nie pozwalałaś mi płakać ani załamywać się. A ja tak po prostu odwróciłam się od ciebie. Ale teraz będzie inaczej, ponieważ zdałam sobie sprawę z faktu, ile dla mnie znaczysz. Nie potrzebuję nikogo więcej. Całe życie wszyscy zrzucali na mnie odpowiedzialność, szukając kozła ofiarnego. Ty chroniłaś mnie przed poczuciem winy za błędy, których nigdy nie popełniłam. Dziś jest podobnie. To nie moje ręce zepchnęły Norberta ze schodów, a jednak mój „przyjaciel” bez wahania przerzucił ciężar na moje barki. I pomyśleć, że kilka dni temu byłam gotowa z tego powodu umrzeć.

Nienawidzę ich wszystkich. Każdego po kolei. Ludzie krążą tylko wokół, myśląc, jak cię wykorzystać, osłabić, jak zabawić się tobą. Oswajają cię, a potem odrzucają jak zepsutą zabawkę, doprowadzając twoją psychikę do ruiny. A ty, niczego się nie ucząc, raz po raz pakujesz się w ten sam schemat, wciąż licząc na happy end. Skończyłam z tym. Nigdy więcej nikt mnie nie zrani. Nie dam nikomu tej

szansy. Jeśli mają mnie znienawidzić, wolę, by była to moja decyzja.

Muszę wrócić do punktu wyjścia. Byłam niezniszczalna, pewna i dumna z siebie. Czas przypomnieć sobie, jak to jest. Założyć maskę. Ale tym razem zrobię to całkowicie świadomie.

Uśmiecham się do siebie. Odwracam się i unoszę lekko głowę, pozwalając, by woda spływała mi po twarzy. Myję się niespiesznie, a wraz z brudem i potem zmywam z siebie poczucie, że oto w ostatnich tygodniach stałam się ofiarą losu. Wreszcie wolność.

Spoglądam na blizny i gojącą się ranę. Ostatnie dni wydają się całkowicie nierealne, jakby od piątku minęło kilka lat. Ale może to było mi potrzebne? To właśnie dzięki tym wydarzeniom obudziłam się z tego koszmaru.

Zakręcam dopływ wody i owijam się szorstkim ręcznikiem.

Nie mogę być najlepsza.

Będę więc najgorsza.

Doprowadziwszy się do stanu używalności, ubrana i umalowana, wychodzę na korytarz, wpakowując się prosto w grupkę chudzielców. Na mój widok odskakują zmieszane. Jedna z nich, widząc moje zdziwienie ich reakcją, szybko próbuje uratować niezręczną sytuację: – Lola! Jak dobrze znów cię widzieć! – woła przesadnie uradowana.

– Naprawdę? – pytam, mierząc wzrokiem każdą z nich.

- No jasne - śmieje się nerwowo, zakładając kosmyk za ucho.

Wyrywa mi się parsknięcie. Z pewnością wszyscy bardzo za mną tęsknili. Właśnie dlatego nikt nie szukał ze mną kontaktu. Nikt prócz Agi. Straszliwy z niej uparciuch.

- Jak się czujesz? - podejmuje, niezrażona moim zachowaniem.

- Wspaniale, dziękuję - drwię.

Spoglądają na siebie, nie bardzo wiedzą, jak zareagować. Właściwie to nie powinnam się im dziwić. Może i przez ostatnie dwa tygodnie byłam nieobecna, ale wcześniej bardzo zżyłam się z pacjentami. Mój nagły chłód może być dla nich nie lada szokiem. Wszyscy będą się zastanawiać, co się stało.

- Spodziewałaś się jakiejś innej odpowiedzi? - pytam, przeszywając ją spojrzeniem. - Jak według ciebie mogę się czuć trzy dni po próbie samobójczej?

- Przepraszam. - Spuszcza głowę.

Wzruszam ramionami i wymijam je, kierując się w stronę sali obserwacyjnej. Kładę rzeczy na łóżku i siadam na jego brzegu. Co dalej? Może powinnam pójść na lekcje... Przecież nie chcę tu umrzeć z nudów.

Zerkam na zegar wiszący w dyżurce. Mam jeszcze ponad godzinę. Jeśli dobrze pamiętam, kilka minut temu powinna była zacząć się matematyka. Jeśli chcę zdać na studia...

Och, no tak. Przecież miałam to w planach. Ale teraz, gdy nie mam zamiaru korzyć się przed nikim, mieszkanie

z rodziną nie wchodzi w grę. Będę musiała sama na siebie zarobić. Może lepiej byłoby zrezygnować i od razu pójść do pracy?

Wykluczone. Nie poddam się. Tym bardziej udowodnię wszystkim, że się mylą. Pójdę na ten cholerny uniwersytet, a popołudniami będę dorabiać. Do tego może uda mi się zgarnąć jakieś stypendium. Cóż, najpierw i tak trzeba jak najlepiej zdać maturę. Co oznacza, że pora ruszyć tyłek i iść na zajęcia.

Tylko gdzie, do cholery, są moje podręczniki?

- Gdzie książki? - pytam pielęgniarkę, opierając się o framugę drzwi.

- Co? - rzuca, nie odrywając wzroku od czasopisma.

- Książki. Gdzie one są?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - odpowiada pytaniem, przerzucając stronę.

I weź tu nie zwariuj, człowieku. Czasem wydaje mi się, że zdrowielibyśmy szybciej, gdyby nie ten przygłupi personel. Przerazająca jego większość traktuje nas z lekceważeniem i pogardą, tak jakbyśmy to my kazali im tu pracować. Tylko pan Krzyś wydaje się być zadowolony ze swojej roboty. Gawędzi z nami, kiedy tylko ma okazję. Ktoś powinien go sklonować i wymienić ze Skwarką.

Wchodzę do czwórki w poszukiwaniu zaginionej własności. Podręczniki wciąż leżą na parapecie. Dziwne, że Aga mi ich nie przyniosła. Przyglądam się szafce nocnej, która jeszcze dwa tygodnie temu należała do mnie. Bezskutecznie próbuję przyporządkować leżące na niej

przedmioty do konkretnej osoby. To mógłby być ktokolwiek. Zbieram więc rzeczy i zmierzam do drzwi.

Zatrzymuję się na chwilę, widząc złotą bombkę zawieszoną na uchwycie szuflady Agnieszki. Byłam pewna, że zabrała ją do domu. Może nie chciała się chwalić przed rodzicami prezentem od wariatki. Na myśl o niej przez chwilę robi mi się dziwnie smutno. Pewnie nieźle się o mnie martwiła...

Nie dawaj się, Lola. Ta dziewczyna skrzywdzi cię tak jak każdy przed nią. To samo było z Czarną i Maćkiem. Za tego ostatniego dałabyś sobie odciąć rękę.

Wygląda na to, że nie miałabym teraz ręki.

Drzwi otwierają się, a do pokoju wchodzi wysoka dziewczyna ubrana w luźne dresy. Nigdy wcześniej jej nie widziałam, co oznacza, że została przyjęta niedawno. Omiotam ją spojrzeniem, próbując jakoś sklasyfikować. Wygląda najzupełniej normalnie, a przedramion widocznych zza podciągniętych rękawów nie zdobią blizny.

- Co tu robisz? - pyta, rzucając okiem na swoją część pokoju, a potem na zawartość moich rąk.

Czy ona podejrzewa, że mogłam próbować coś ukraść?

- Zwiedzam - odpowiadam, próbując się przepchnąć obok niej.

- Odłóż z powrotem książki - rozkazuje, zagradzając mi drogę.

- Co proszę? - pytam rozbawiona. - Niby z jakiej racji?

- Są Agi - stwierdza bez wahania.

- Nie, nie są - poprawiam ją. - Są moje. A teraz bądź tak dobra i się przesun.

Chce coś powiedzieć, ale w tym momencie pojawia się za nią Agnieszka. Widząc mnie, uśmiecha się promiennie i szybko przeciska się obok współlokatorki.

- Wreszcie - woła i rzuca mi się na szyję.

Uderza we mnie słodki zapach jej waniliowej mgiełki.

Chcę ją przytulić.

Oddychaj.

Zaciskam zęby, cierpliwie czekając, aż się ode mnie odklei. Odsuwa się, wlepiając we mnie roześmiane oczy. Poprawia mi włosy, nie przejmując się grymasem wykrzywającym mi twarz.

- Nie powinnaś być na lekcji? - pytam, skupiając się na jej kołnierzyku, byle tylko uciec od niebezpiecznych myśli.

- Zapomniałam piórnika - wyjaśnia.

Obserwuję, jak przechodzi po łóżku i wysuwa szufladę. Nim zdążę otworzyć usta, uprzedza moje pytanie: - Poprosiłam mamę, by mi ją przywiozła z powrotem - tłumaczy, wskazując na bombkę. - Nie chciałam, by się kurzyła w domu. Dla nich to tylko przedmiot, nie znaczy nic. Dla mnie wszystko. - Posyła mi blady uśmiech.

Nie ułatwiasz mi tego, idiotko.

- Poprosisz swoją koleżankę, by łaskawie mnie wypuściła?

- pytam, ignorując jej ciepłe słowa.

Zaskoczona moim chłodem rozchyła lekko usta, a jej brwi ściągają się nieznacznie. Po chwili jednak uśmiech

wraca jej na twarz, a smutek widać jedynie w zielonych oczach.

- Widzimy się na matmie? - pyta, odwracając wzrok.

Wychodzę z pokoju, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Kilka minut później siadam obok niej, nie mając innego wyjścia. Wyraźnie zadowolona rozwiązuje kolejne zadania. Cierpliwie czekam, aż krępa nauczycielka zbliży się do mnie. Ona jednak wciąż tłumaczy temat dwóm trzecioklasistkom.

- Przepraszam - próbuję zwrócić na siebie uwagę. - Mogłaby się pani cofnąć ze mną jakieś dwa tygodnie?

- Cofnąć? - Spogląda zdziwiona. - Nie robiliśmy nic trudnego, dasz sobie z tym radę sama. Na razie zacznij z nami nowy temat, a potem, w razie czego, spróbuję szybko z tobą omówić...

- Ale w podręczniku to jest tak jałowo tłumaczone, że nic nie rozumiem - irytuję się.

- Przecież masz notatki - odpowiada i odwraca się z powrotem do dziewczyn.

Ciekawe, jak mogę mieć notatki, skoro nie byłam na lekcji. A może gdy otworzę zeszyt, to magicznie się pojawią?

Ze złością przewracam kartki.

Co, do cholery...

- Nie chciałam, żebyś miała zaległości - oznajmia Aga, nie przerywając liczenia.

Moja dłoń niebezpiecznie się trzęsie.

Niech ją szlag trafi za tę jej cholerną bezinteresowność, naiwną dobroć i inne głupie wady. Jak mam nienawidzić całego świata, kiedy ona wciąż się o mnie troszczy? Odszyfrowując jej koślawe pismo, biję się z myślami.

Wciąż w nieciekawym nastroju opadam na brzydki fotel.

- Kopę lat - wita się ze mną.

Przewracam oczami. Sama nie wiem, dlaczego przyszedłam do gabinetu. Mogłam zignorować jego polecenie.

- Jak samopoczucie?

- Dziwnie - odpowiadam zupełnie szczerze.

- Rozwiń.

- Nie.

- Bo?

- Bo mi się nie chce - burczę infantylnie.

Zakłada nogę na nogę i splata dłonie na kolanie.

Znów to samo. Będzie się gapić, dopóki nie zacznę mówić. A ja nie odczuwam specjalnej ochoty, żeby z nim rozmawiać. Szczerze mówiąc, żałuję, że tu przyjechałam. Chętnie bym wyszła, ale facet zdjął mnie przecież ze ścislej.

Milczymy więc w zaparte, usilnie nie chcąc przegrać naszej cichej walki.

Dawno nie czułam się tak paskudnie. Olewanie Agi wbrew pozorom jest trudniejsze, niż myślałam. Przede wszystkim dlatego, że ona nic sobie z tego nie robi. Widzę, że jest jej przykro, ale mimo to z całej siły stara się

uśmiechać i zachowywać, jakby nic się nie działo. Jak gdybym wcale nie traktowała jej jak powietrze, a odzywała się tylko po to, by zniszczyć jej wesołość.

Ale jeszcze trochę. Nie wytrzyma długo, jest na to za słaba. Odejdzie tak jak każdy. Zostawi mnie samą, zrażona moim zinnem.

Psychokredki trwają w najlepsze. Dostaliśmy dziesięć minut, by zobrazować swoje uczucia. Dla świętego spokoju przyjąłem kartkę i wybrałem czarny długopis ze sterty porzuconych przyborów. Terapeutka cierpliwie czeka, aż skończymy. Niezależnie od tego, czy coś narysuję, czy nie, moja praca zostanie zanalizowana. Po chwili zastanowienia podchodzę do pudełka leżącego na środku i wyciągam z niego jeszcze kilka kredek.

- Połóżcie kartki przed sobą.

Posłusznie kładę dzieło mojego życia przy stopach.

Na te tortury przeznaczone są dwie godziny zegarowe, aby każdemu móc poświęcić choć parę minut. Legenda głosi, że kiedyś wszyscy zdążyli się wypowiedzieć. W końcu, po wysłuchaniu nieskończonej ilości złotych rad, do których nikt się nie zastosuje, przychodzi kolej na mnie.

Odwracam stronę rysunkiem do góry. Agnieszka parska śmiechem.

- Co narysowałaś?

Wychyliam się, teatralnie sprawdzając, czy obrazek wciąż leży przede mną. Przesuwam go stopą w stronę kobiety.

- Lepiej?

- Powiedz wszystkim, co narysowałaś - powtarza niewzruszona.

- Hamburgera - oświadczam.

Czasem zastanawiam się, czy każą objaśniać swój rysunek w celach terapeutycznych, czy może biorą pod uwagę to, że ktoś może mieć słabszy wzrok.

- Co czujesz, gdy na niego patrzysz?

Pytanie numer dwa zadane.

- Głód.

Kilka osób niespokojnie kręci się na swoich krzesłach.

- Bawi cię to?

- Bawi? - Unoszę brwi. - Nie mówiłam nic o wesołości. Mówiłam o głodzie.

- Przeszkadzasz innym - stwierdza terapeutka całkowicie niewzruszona.

- Naprawdę? - Spoglądam po pacjentach. - Ktoś tak uważa?

W pomieszczeniu panuje pełna napięcia cisza.

- Lola, rozumiemy, że przechodzisz ciężkie chwile, ale nie tylko ty. Nie ma powodu, byś urządzała tu zbędne przedstawienia.

Czuję, jak ciśnienie w moich żyłach gwałtownie się podnosi. Dobrze wiem, do czego zmierza.

- Nie urządzam przedstawień. Miałam narysować, co czuję. A czuję głód.

Kobieta wzdycha ciężko, po czym skierowuje spojrzenie na dziewczynę siedzącą obok mnie.

- Co narysowałaś?

Pacjentka spogląda na mnie nerwowo, jakby chciała zapytać mnie o pozwolenie na udzielenie terapeutce odpowiedzi. Najwyraźniej mój wyraz twarzy nie wygląda zachęcająco, bo ignoruje pytanie.

- Co narysowałaś? - ponawia pytanie kobieta, tym razem nieznacznie poirytowanym głosem.

Dziewczyna jednak wbija wzrok w ziemię i milczy jak zaklęta.

Uśmiecham się z wyższością.

- To może wrócimy do mojego hamburgera i jego znaczenia dla mojego życia? Kto wie, może w rzeczywistości znaczy dla mnie więcej niż zaspokojenie podstawowej potrzeby mojego organizmu? Nie chce się pani tego podjąć?

- Nie, nie chcę. Marnujesz czas swoich kolegów. Nie wszyscy są tu dla zabawy. Pomyśl o tym i pozwól swojej koleżance się wypowiedzieć.

- Nie przypominam sobie, bym zakazała jej tego robić - cedzę, z przyjemnością wsłuchując się w buchającą we mnie złość. - Chcesz coś powiedzieć? - zwracam się do przestraszonej dziewczyny.

- Lola, wyjdź.

Nieruchomieję.

- Słucham?

- Proszę cię, abyś wyszła.

Temperatura powietrza wzrasta o dwadzieścia stopni.

- Bo?

- Bo twoja koleżanka nie czuje się na tyle komfortowo, by...

Schylam się po rysunek leżący obok mojego.

- Dwuwymiarowy budynek z oknem, krzywymi drzwiami i spiczastym dachem - opisuję szybko. - Ktoś chyba tęskni za domem - dodaję jadownicę.

- Lola... - próbuje mi przerwać Agnieszka.

- Uważasz, że twój rysunek zasługuje na omówienie bardziej od mojego? - syczę do dziewczyny kulącej się pod moim wzrokiem. - Tak uważasz?

Ręka Agi wyrywa mi kartkę z dłoni.

- Lola, przestań.

- Nie wtrącaj się.

- Nie wyzywaj się na niej.

- Bądź tak dobra i się przymknij.

- Co się z tobą dzieje?! - woła, podrywając się z krzesła.

- A co, coś ci się nie podoba? - śmieję się, również wstając.

Kątem oka zauważam, że terapeutka bierze z nas przykład i zbliża się w naszą stronę.

- Tak, nie podoba mi się. Odbija ci - odpowiada Aga, celując we mnie palcem.

- Naprawdę? To może wreszcie dasz mi spokój? Po cholere za mną łazisz?

- Przestań ukrywać smutek za tą głupią...

Moja dłoń ląduje z trzaskiem na jej twarzy. Cofa się złęknioma, dotykając palcami czerwonego policzka.

- Zajmij się swoimi sprawami.

Zabieram mój rysunek z wykładziny i ruszam w kierunku drzwi, ignorując wzburzoną terapeutkę, która krzyczy za mną, żebym już się szykowała na piżamkę.

Kiedy tylko drzwi mojego pokoju zatrząskują się za mną, kilkakrotnie uderzam się z całej siły w policzek. Padam na łóżko, wtulam twarz w poduszkę.

Co ja wyprawiam?

Nie powinnam była tego zrobić. Ale przecież miałam prawo się zdenerwować, prawda? Niepotrzebnie się wtrąciła. Wiecznie to robi. Należało jej się. Może dzięki temu dwa razy się zastanowi, zanim się do mnie zbliży.

- Że też ta owsianka ci się jeszcze nie znudziła - odzywa się radośnie znajomy głos.

Z łyżką zawieszoną w połowie drogi między talerzem a ustami obserwuję, jak Agnieszka siada naprzeciw mnie. Zabiera się do swojej porcji, pozdrawiając mnie ciepłym uśmiechem, tak jakby moja dłoń nigdy nie odcisnęła się na jej policzku.

- Co ty wyprawiasz? - wyduszam z trudem.

Patrzy na mnie jak na przygłupią.

- Jem?

- Ale...

- Wiem, co próbujesz zrobić. - Mruga do mnie. - Ale nie dam się tak łatwo. Nie pozwolę ci się poddać.

Zaciskam palce na łyżce tak mocno, że bieleją mi knykcie.

Jedna z anorektyczek wychodzi z porannego ważenia. Zapłakana pada w objęcia przyjaciółki. Otacza ją cała grupka, gotowa wesprzeć i pocieszyć.

- Spadłam do pierwszej fazy - łka.

- Trzeba było nie napięprzać po sto przysiadów przed snem - rzucam, przechodząc, z ekscytacją obserwując, jak rozgląda się w poszukiwaniu pielęgniarek, których uszy gotowe są zarejestrować moje słowa. Odwracam się na moment, mierząc jej przyjaciółkę wzrokiem od stóp do głów.

- Powinnaś wziąć przykład z koleżanki.

Dziewczyna wytrzeszcza oczy ze zdumienia.

Ale ja już idę dalej, wesoło nucąc.

Wbrew pozorom sprawienie, by ludzie mnie znienawidzili, jest dziecinnie proste. Szczególnie tu, na oddziale, gdzie znamy swoje największe słabości i sekrety. Odstrzeliwuję ich po kolei jak kaczki, za każdym razem utwierdzając się w przekonaniu, że jestem skazana na samotność.

Na początku wydawało mi się, że przecież będzie potrzeba czegoś więcej niż kąśliwych uwag. Szybko jednak okazało się, że bez względu na to, jak silnych niektórzy udają, koniec końców są niesamowicie bezbronni. Oczywiście najprościej jest zgłębić zaburzenia odżywiania. Był czas, że podziwiałam je za ich siłę i samodyscyplinę. Ale teraz śmieję się w głos, dostrzegając ich bezradność.

Pod koniec tygodnia traktują mnie z nieukrywaną wrogością. Tylko że ja jestem silniejsza. Oni bowiem nie

wiedzą o mnie nic. Kompletnie nic. Nie potrafią się skutecznie obronić. Wałą na oślep, licząc na łut szczęścia, ale ja tylko się śmieję. Wbijam kolejne igły w ich serca.

Jest tylko jeden problem. A ma na imię Agnieszka.

- Wynoś się.

- Chciałabyś - odpowiada, siadając na moim łóżku.

Coraz gorzej wychodzi jej ukrywanie smutku. Stara się uśmiechnąć, ale kąciki wciąż ciągną usta w dół.

- Po co ty tak za mną chodzisz, co?

- Jestem twoją przyjaciółką. - Wzrusza ramionami.

Odkładam książkę na szafkę. Meble wróciły na swoje miejsce, niestety w pakiecie była też współlokatorka. Całe szczęście ma na tyle rozsądku, by wykorzystywać pokój jedynie do snu.

- Tak sądzisz? - Potakuje głową, wbijając wzrok w ziemię.

- A wiesz, co ja sądzę?

- Nie.

- Sądzę, że jesteś tchórzem - mówię cicho. - Boisz się podejść do kogokolwiek, bo wiesz, że i tak nikt cię nie polubi. Beze mnie nie istniejesz, dlatego właśnie wciąż mnie znosisz. Wolisz moje towarzystwo niż myśl, że cię odrzuca.

Nie odpowiada. Zauważam, że zaciska ręce na kolanach.

- Historia lubi się powtarzać, co? - pytam zjadliwie. - Nawet świry nie chcą się z tobą zadawać. Ale nie martw

się. Jak się nażresz tabletek, przynajmniej mama za tobą zapłaci.

Z satysfakcją obserwuję, jak wychodzi, przygarbiona.

We wtorek rano ordynator zaprasza mnie do siebie na pogadankę. Ostrzega mnie, że moje zachowanie ma znaczący wpływ na samopoczucie pacjentów i uniemożliwia im czerpanie korzyści z pobytu tutaj. Nie bawi go moja uwaga na temat przedwypisowego treningu wytrzymałości psychicznej.

Szczerze mówiąc, dziwi mnie trochę, że wystarczy jedna osoba, by zniszczyć tygodnie ich starań. Mogą ich faszerować lekami, rozmawiać z nimi, zapraszać na kolejne terapie. A jednak wobec ludzkiego okrucieństwa wszystko to staje się nieważne.

Przegrywają.

Wszyscy po kolei.

A Aga, choć bardzo się stara, jest już na skraju.

Rozdział 23

Agnieszka nie pojawia się na śniadaniu, co wzbudza we mnie dość mieszane uczucia. Obojętnie bawię się owsianką, nie mając większej ochoty na włożenie jej do ust. Obserwuję innych pacjentów, próbując odwrócić uwagę od niechcianych myśli. Niestety ich zachowanie jest dziś przerażająco nudne. Nikt się nie kłóci, nikt nie wybrzydza. Pochłaniają swoje porcje najwyraźniej niezainteresowani niczym innym. Spoglądam na białawą breję, która powoli spływa z łyżki. Przypomina trochę moje samopoczucie. Czuję, że konsystencja mojego umysłu również jest dziwnie podobna do tej na talerzu.

Z rezygnacją odnoszę nieskończony posiłek. Nie potrafię się zmusić do jedzenia, zresztą nie pierwszy raz. Jestem pewna, że w ciągu ostatnich dni schudłam kilka kilogramów. Nic dziwnego, nie zawsze pojawiaam się w stołówce, a kiedy już to robię, często nie mam apetytu. Leki zaś, choć powinny mi w tym pomóc, nie czynią żadnej różnicy.

Zatrzymuję się przy obserwacyjnej. Mam ochotę pójść dalej, zobaczyć, co dzieje się z Agą. Nie chcę jednak, by

myślała, że się o nią martwię. Jeszcze pomyśli, że mi na niej zależy, a tego przecież bym nie chciała.

Być może moje słowa zabolą ją bardziej, niż mogłabym przypuszczać. Ale przecież właśnie to było moim celem, prawda? Ma mnie odrzucić. Opuścić.

A jeśli coś sobie zrobiła? W końcu nie bez powodu się tu znalazła. Nie zniosłabym odpowiedzialności za kolejną osobę.

Już teraz mam wrażenie, że wiszę nad krawędzią.

Co?

To nieprawda. Wcale tak nie jest. Jestem cholernie silna, znów pokryłam się twardą skorupą, przez którą nikt się nie przebije. Wcielam swoje plany w życie. A to, że mam wątpliwości, jest zupełnie naturalne, w końcu robiono mi wodę z mózgu przez ponad dwa miesiące. Nie ma się co dziwić, że jest trudno.

Ale do Agi powinnam pójść. Muszę wiedzieć, co się dzieje. Nie mogę zrobić tego od razu. W razie czego zajrzę do niej po południu. Może do tego czasu się pojawi.

Z wahaniem pukam do jej drzwi. Nie czekam jednak na odpowiedź, wchodzę ostrożnie, bojąc się, co zastanę w środku.

Kołdra na jej łóżku jest wybrzuszona.

Co powinnam zrobić? Mam wyjść? Może śpi. A jeśli nie, powinnam ją pocieszyć?

Pocieszyć? O czym ty mówisz?

Zbliżam się do jej łóżka. Leży skulona, przytulając pluszowego misia, którego wcześniej nie widziałam. Trzyma go pod samą brodą. Powoli podnosi wzrok, a gdy nasze spojrzenia się spotykają, szybko go opuszcza, podciągając lekko pościel. Wygląda, jakby nie spała całą noc. Widząc jej podpuchnięte oczy, sama mam ochotę rzucić się na podłogę i płakać jak dziecko. Ostatni raz była w takim stanie, gdy wróciła ze świąt.

Ale teraz cierpi przeze mnie.

Wypowiadając w myślach kilka soczystych przekleństw na temat mojej głupoty, kucam przy niej i kładę głowę na łóżku, opierając ją na splecionych ramionach.

Nie wiem, co robić. Kompletnie się pogubiłam. Powinnam ją dobić. Gdybym teraz uderzyła, pozbyłabym się jej na dobre. Wystarczyłoby kilka słów, by to zakończyć. A jednak nie potrafię. Z całych sił powstrzymuję się, by jej nie przytulić.

- Jesteś głupia - szepcze.

To akurat żadna tajemnica.

- Niedługo zaczyna się muzykoterapia. Powinnaś wstać - burczę, usiłując sprawić, by mój głos brzmiał pewnie.

- Nie mam ochoty.

Ciekawe, czy już mnie nienawidzi. Ale pewnie gdyby tak było, nie rozmawiałaby ze mną. Chciałabym wiedzieć, co o tym wszystkim myśli. Mówi, że wie, co próbuję zrobić. Czy rzeczywiście tak jest? Nie sądzę, by zdawała sobie sprawę z tego, co czuję. Ani z moich powodów.

Nawet jeśli ma mnie znienawidzić, nie pozwolę, by miało to wpływ na jej zdrowie.

Chyba właśnie osiągnęłam maksymalny poziom hipokryzji.

Podnoszę się, nie zwracając uwagi na pytające spojrzenie Agnieszki. Mijam łóżko i otwieram szafę, chcąc podać jej ubrania. Wciąż zajmują te same półki. Jest coś magicznego w tej górnej części. Większość jej rzeczy jest w dziewczęcych, pastelowych barwach. Nie ma nawet nic czarnego. Jej miękkie swetry rozpoznałabym na kilometr.

Zatrzymuję rękę na cukierkowej bluzce. Dostrzegam za nią ciemny materiał, wyglądający dziwnie znajomo. Czując lekki niepokój, wyciągam go.

Koc Maćka.

Kiedy go rozwijam, ciężka tabliczka z hukem ląduje na podłodze, tuż obok niej delikatna bransoletka. Wpatruję się w przedmioty i czuję, jak wszystkie myśli momentalnie wyparowują.

- Lola?

Agnieszka siedzi na łóżku, lekko zmieszana. Po chwili wyślizguje się z pościeli i zbiera z podłogi pamiątki, po czym podaje mi je.

- Dlaczego to masz? - pytam, a mój głos brzmi obco.

- To przez te twoje... przeprowadzki. Pomyślałam, że u mnie będą bezpieczne - tłumaczy, nerwowo przestępując z nogi na nogę. - Chciałam ci je dać, kiedy będziesz gotowa.

- Kiedy będę gotowa? - syczę. - Rozumiem, że to ty wiesz najlepiej, kiedy to będzie?

- Nie, ja tylko...

- Czy ty zawsze musisz mi matkować? - wołam wzburzona. - Nie mam pięciu lat!

- Nie powiedziałam, że masz - broni się. - Ale myślę, że to dla ciebie za wcześnie. Jeszcze nie pogodziłaś się z tym, co się stało. Nie chcę, żebyś się nakręcała. Wystarczająco ci odbija, mimo że tak naprawdę nie jesteś za nic odpowiedzialna.

- Przestań mówić, jakbyś wszystko wiedziała - warczę.

- Bo wiem.

- Nie, nie wiesz. Nie wiesz nic, a zachowujesz się, jakbyś wiedziała wszystko. I tak jest zawsze. Wiecznie mnie pouczasz, faszeryjesz mnie tymi gównianymi radami rodem z podręczników tych przygłupich terapeutów...

- Ale... - próbuje mi przerwać.

- Zostaw mnie wreszcie w spokoju! - krzyczę, gromiąc ją wzrokiem.

Muszę wyjść.

Natychmiast.

Czuję, że zaraz mnie poniesie.

Kieruję kroki do mojego pokoju. Ze złością rzucam jedyne świadectwo obecności Maćka w moim życiu na łóżko. Już chcę opaść na poduszki, ale zauważam zainteresowane spojrzenia pielęgniarek. Tłoczą się w dyżurce, bacznie mi się przyglądając.

Nie mogę liczyć nawet na chwilę spokoju?

Czym prędzej wychodzę, chcąc uciec do łazienki. Może chociaż w kiblu nikt nie będzie się na mnie gapił. Trzeba

przyznać, że nic tak nie obdziera z prywatności jak oddział psychiatryczny.

- I naprawdę jeszcze nikt was nie przyłapał?

- Nikt.

- Niesamowite.

- W sumie to każdy wie, że palimy, ale dopóki cię nie złapią ze szlugiem w ręce, to jest spoko. Poza tym nikomu tak naprawdę nie chce się nas pilnować.

- Może jednak jakoś to przetrwam...

- Spoko, dasz radę.

- Pewnie tak. W sumie pacjenci wydają się być mili...

Tylko ta jedna...

- Ta jedna?

- Taka niższa, blondyna. Wiecie, z tych ładnych.

Zgrabna, ma niesamowite oczy.

- Ach, chyba się domyślam, o kim mówisz.

- Wszystkie się domyślamy.

- To znaczy?

- Nieważne. Mów dalej. Coś ci się w niej nie podoba?

- Sama nie wiem. Po prostu... Jak na mnie dziś spojrzała, myślałam, że umrę ze strachu. Nie ogarniam. Po prostu miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nie przejmuj się, to wariatka.

- A wy niby nie?

- Nie no, my też, w pewien sposób. Ale Lola jest zwyczajnie pojebana i tyle.

- Lola? Serio?

- To nie jest jej prawdziwe imię.
- Nie?
- Skąd. Ale prawdziwego nikt nie zna.
- To w ogóle możliwe?
- Pewnie. Nawet personel tak do niej mówi.
- Dokładnie. W sumie nie bardzo wiemy dlaczego.
- A pytaliście ich...
- Nie chcą mówić.
- Dziwne.
- Prawda?
- Tak jak cała ona.
- Za co siedzi?
- Podobno, ale podkreślam, podobno próbowała się zabić.
- W sumie to nie wiemy, ale...
- Jest tak długo jak ja. Miała opatrunek na nadgarstku. Myślę, że to po podcięciu sobie żył.
- Przyszłyście razem?
- Nie, dołączyła kilka dni po mnie.
- Czyli pewnie wiesz o niej najwięcej?
- Nie bądź śmieszna, wiem o niej tyle, co inni. Ale wiem za to, że wcześniej taka nie była. Wcześniej... Była naprawdę świetna. Nie wiem, co się stało. To chyba przez śmierć Maćka...
- Maćka?
- Długa historia.
- Ej, weź powiedz, my też nie słyszałyśmy.
- Dajcie spokój.

- No dawaj.
- Dawaj, dawaj!
- Dobra, tylko się zamknijcie.
- Już, już.

- No więc to było tak. Przyszła Lola, w sumie nie bardzo wiadomo czemu. No i ona się trzymała z jedną parką, Czarną i Maćkiem. Czarna to taka roześmiana dziewczyna, wiecie, wszędzie jej było pełno. Genialna laska, o wszystkim szło pogadać. Maciek z kolei to typ dobrego chłopca, zawsze spokojny, ułożony, poza tym był naprawdę dobry. Starał się wszystkim pomagać. To naprawdę straszne, że... że on...

- Wszystko gra?

- T-tak, po prostu... Nieważne. W każdym razie... No, ona się z nimi trzymała. Nie była jakoś specjalnie otwarta, tylko przy nich gadała z resztą pacjentów. W sumie już wtedy była taka trochę wyniosła, sarkastyczna, ale nie złośliwa. Po prostu taki charakter. No i jakoś z tydzień po jej przyjęciu po raz pierwszy pokazała, że nie wszystko z nią w porządku. A może minęło więcej czasu? Nie pamiętam już teraz. Ale... To było straszne...

- Co się stało?

- Nikt nie wie. Znaczą się, nikt nie zna powodu. Nagle usłyszeliśmy wrzaski. Wszyscy pobiegli na korytarz. Pielęgniarka wyprowadzała ją z łazienki, całą we krwi. Wyglądała... dziko...

- Dziko?

- Tak, po prostu jak... jak obłąkana. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Nikt nie wiedział, jak zareagować. W sumie jednak dość szybko wszystko wróciło do normy. Tu, na oddziale, czas leci szybciej niż na zewnątrz, sama zobaczysz. No i później była taka sprawa, że Maciek pobił jakiegoś chłopaka i trafił w pasy. I potem rano pielęgniarka szukała Loli, bo mieli ją zważyć.

- Szykuj się na częste ważenie.

- Nawet jak nie jestem z zaburzeń?

- Nawet.

- Możecie mi nie przerywać?

- Sorki.

- No opowiadaj!

- No i znaleźli ją z tym Maćkiem w łóżku.

- Co?!

- Niemożliwe!

- W sumie nikt nie wie, czy coś zrobili, ale raczej nie, bo z Czarną, jego dziewczyną, jakoś doszli do porozumienia. Co prawda chyba trochę się między nimi skiepiło, ale wciąż trzymali się razem. No i wtedy przyszła Aga.

- Aga? Jest na oddziale?

- Tak. Brązowe włosy, nie za wysoka, drobna, taka cicha, nic się nie odzywa.

- Nie zauważyłam jej.

- Nic dziwnego, nie było jej na śniadaniu.

- W sumie w ogóle dzisiaj jej nie widziałam.

- Ja też nie.

- No nieważne. W każdym razie jest taka jedna. No i jak przyszła, Lola się zmieniła. Stała się taka radosna, że aż miło było patrzeć. Otworzyła się. W sumie wciąż o sobie nie mówiła, ale przebywała z nami wszystkimi. Pokochaliśmy ją.

- Nabijasz się.

- Mówię prawdę.

- Jesteś pewna, że mówimy o tej samej osobie?

- Ogarnij się. Przyszedłeś po Nowym Roku, to nie wiesz.

- A co się stało, że teraz zachowuje się jak szmata?

- Nie wiem. Po prostu nagle, właśnie na samym początku stycznia, dostała przepustkę. A kiedy z niej wróciła, była... Nieprzytomna?

- Co?

- Nie wiem, jak to nazwać. Nie była sobą. Jakby stało się coś strasznego. Nie odzywała się, siedziała zupełnie nieobecna. Agnieszka ciągle nad nią czuwała. No i wtedy dowiedzieliśmy się o śmierci Maćka.

- Tego chłopaka, co się z nim...

- Tak. Odbiło jej, znowu. Próbowwała nawet się zabić. Oczywiście, nie wiadomo dlaczego, ale to wszystko działo się w tym samym czasie.

- Może była w nim zakochana?

- Może. Nie wiem.

- No dobrze, ale czemu teraz się tak zachowuje?

- Skąd mam to wiedzieć? Nie poznaję jej. Poza tym szczerze jej w tym momencie nienawidzę. Nie powinnam tak mówić, ale żałuję, że się nie zabiła.

- Jest aż taka zła?
 - Jest obrzydliwa. Trzymaj się od niej z daleka, dobrze ci radzę.
 - Ale co takiego robi?
 - Mówi.
 - Mówi?
 - Mówi straszne rzeczy... Nieprzyjemne. Nabija się z naszych problemów. Nie mogę się doczekać, aż ją wypiszą.
 - Co ty, jej nigdy nie wypiszą.
 - To świr.
 - Oj, dobra, to tylko głupia dziewczyna, która ma ze sobą jakiś problem. Nie dam się zastraszyć. A jak spróbuje mi podskoczyć, to dostanie dwa razy w mordę i jej się odechce.
 - Chciałabym to zobaczyć.
 - Lola ze zmasakrowaną buźką, brzmi tak pięknie...
 - Już nie byłaby taka śliczna.
 - Idiotka.
 - Ma się za nie wiadomo kogo.
 - Dokładnie.
 - Dobra, wychodzimy?
 - No, nie ma co tu stać.
- Cztery głosy opuszczają łazienkę, zostawiając za sobą chmurę dymu.

Opieram się o umywalkę, wpatrując w swoje odbicie. Złote tęczęwki błyszczą złowrogo, otaczając ściśnięte

żrenice niczym drogocenny pierścień. Przyglądam się bladej twarzy, z której odpłynęła krew, kościom policzkowym, które niebezpiecznie wystają, nadając mi demoniczny wygląd. Rzeczywiście schudłam. Ale nie przeszkadza mi to. Nie chciałabym mieć w sobie teraz wroga. Wyglądam potężnie. Jak ktoś, kogo należy się bać.

Nie spiesząc się, wychodzę na korytarz. Właścicielki głosów, które przed chwilą słyszałam, siedzą na kanapie i nadal plotkują. Być może o mnie. Zbliżam się do nich, nie spuszczać wzroku z nowej. Wygląda na buntowniczkę. W jej nosie tkwi kolczyk, ciemne włosy ma z jednej strony zgolone. Reszta opada falami na bok. Wkładam ręce do kieszeni i przywołuję na twarz tak źmijowaty uśmiech, na jaki tylko mnie stać. Ćwiczyłam go latami, a pobyt w ośrodku dał mi możliwość obserwowania go u moich współlokatorek. Codziennie.

Jedna z dziewczyn zauważa mnie. Po chwili wszystkie nieruchomieją, najpewniej czekając, aż przejdę obok nich. Ja jednak nie mam zamiaru tego robić. Zatrzymuję się tuż obok, mierzając je wzrokiem.

- Hej, Lola - wita się ze mną jedna, zmuszając się do uśmiechu.

Każdej z nich poświęcam jakieś dwie sekundy. Deser zostawiam sobie na koniec. Wbijam spojrzenie w nową, lekko pochylając się ku niej.

- Ściany mają uszy - oświadczam jej słodkim głosem, równocześnie puszczając oczko.

Spijam strach czający się w jej zaskoczonym spojrzeniu niczym puszystą piankę ze słodkiej kawy. Czuję narastające podniecenie, chłonę trwogę, która zawisała w powietrzu, zagęszczając je i uniemożliwiając mojej ofercie swobodny oddech.

W tym momencie Agnieszka wychodzi z za rogu. Wyczuwając napiętą atmosferę, podchodzi do nas z największą rozwagą, bacznie śledząc każdy mój ruch.

- Wszystko w porządku? - pyta dziewczyny okupujące kanapę. Nie kryje zaniepokojenia.

- Oczywiście, kotku - odpowiadam za nie.

Wyraźnie zdziwiona moją odpowiedzią unosi wysoko brwi.

Ja jednak chwilowo jestem w szampańskim nastroju.

- Mówiłam ci już, że cię uwielbiam? - pytam, przyciągając ją do siebie, po czym niespiesznie składam lekki pocałunek na jej ustach.

Jej jedyną reakcją jest komiczne wybałuszenie oczu.

Śmieję się, lekko uderzając ją w bok. Zadowolona odchodzę w swoją stronę, pochłonięta myślami o niezwykłym podnieceniu, które poczułam na widok strachu w oczach nowej. Ciekawe, czy właśnie to czuł Norbert za każdym razem, gdy odwracałam wzrok. Tę ekscytację, siłę, potęgę. Miałam poczucie, że mogłabym ją zmiążyć małym palcem. Uzależniająca. Teraz ciężko jest mi myśleć o czymkolwiek innym poza wzbudzeniem w niej strachu raz jeszcze.

Norbert. Kompletnie o nim zapomniałam. Rojkowski pewnie nazwałby to reakcją obronną mojej psychiki. Chcę się obronić, więc podświadomie odrzucam bolesne wspomnienia i myśli. Z niechęcią przypominam sobie jego bezwładne ciało leżące na zielonych kafelkach, u stóp schodów.

Co się z nim teraz dzieje? Trudno mi uwierzyć, by wyszedł z tego bez szwanku. Gdyby tak się stało, Maciek nie popełniłby samobójstwa. Wiem, że Norbert prześladował mnie przez tyle czasu, ale ten wypadek nie powinien się zdarzyć. To był jeden z jego głupich żartów, kolejna zagrywka, która miała mi przypomnieć, że się od niego nie uwolnię, niezależnie od tego, czy opuszczę ośrodek, czy nie. Tym razem jednak uderzył niechcący nie w tę osobę, w którą powinien. Teraz, kiedy go nie ma, być może mogłabym tam wrócić. Ale on nie był moim jedynym wrogiem. Wygląda więc na to, że plan udawanych prób samobójczych znów jest aktualny.

Siostra Rachela pewnie wypłakuje sobie oczy. Nie mam pojęcia, dlaczego do mnie nie dzwoni, nie odzywa się. Przecież jest moim opiekunem. Powinna chociaż starać się zachować pozory. Może zwyczajnie ma gdzieś, co się ze mną stanie.

Tylko że kończy mi się szampon.

Chciałabym się jakoś oderwać od tego wszystkiego. Może i staram się o tym nie myśleć, ale to wciąż tkwi we mnie. Zżera mnie od środka. Uniemożliwia prawidłowe funkcjonowanie. Czai się w cieniu, gotowe wyskoczyć, gdy

tylko stracę czujność. Boję się tego momentu. Nienawidzę uczucia, które towarzyszy utracie kontroli.

Gdyby dało się tak po prostu zniknąć... Bez umierania, bez niczego. Tak po prostu, pyk!, i cię nie ma. Nikt o tobie nie pamięta, twoje istnienie zostaje wymazane z kart i umysłów. Rozpływasz się w powietrzu. To by było takie proste. Nie musieć się męczyć z tym wszystkim. Zapomnieć o tym całym bałaganie. Zasnąć bez bólu...

Za dużo.

W mojej głowie kłębi się zbyt wiele myśli, a ja nie potrafię ich uciszyć. Nie chcę widzieć twarzy, które przesuwają mi się przed oczami, na nowo przeżywać emocji, o których tak bardzo staram się zapomnieć.

Pomyśl o czymś innym. O czymkolwiek.

Wyciągam z szafki zeszyt i ołówek, by zająć się rysowaniem. Nie potrafię się jednak wystarczająco skupić, spod mojej ręki wychodzą jedynie tłumy szarych sześcianów.

Nie dam rady.

Czym prędzej wpadam do dyżurki. Chcę jak najszybciej stłumić chaos, który nieustannie wzbiera na sile. Wymazać imiona, głosy i wspomnienia.

- Źle się czuję. Mogłabym coś dostać?

Skwarka nawet nie odpowiada. Od razu prowadzi mnie do gabinetu. Wygląda na to, że już nawet nie muszę podawać powodów. Automatycznie zgadzają się na moje prośby. Gdy chwilę później do pomieszczenia wchodzi dyżurująca lekarka, na mój widok ciężko wzdycha i nawet

się nie odzywa, ale przepisuje lek. Od razu po postawieniu pieczętki wychodzi, rzucając krótkie pożegnanie w stronę pielęgniarki.

Nie wiem, co o tym myśleć.

Może ja naprawdę jestem nienormalna.

- Zadowolona? - pyta Skwarka znudzonym głosem, podając mi tabletkę.

- To coś innego niż zwykle - zauważam.

Wzrusza ramionami. Bez wahania przyjmuję lek i wymamrotawszy coś w podzięcie, wracam do pokoju.

Odpywam wśród wirujących ścian.

Moja świadomość wraca dokładnie w momencie, w którym moja współlokatorka pakuje swój dobytek do walizki. Zauważam, że z jej łóżka zniknęła pościel, odsłaniając podziurawiony materac.

- Co się dzieje?

Podskakuje przestraszona. Nie odwracając się, szybko tłumaczy cienkim głosem: - Nową przyłapali z żyłką. Kazali jej się tu przenieść, a ja idę do jej pokoju.

- Dostanie ścisłą?

- Nie, ale chcą ją widzieć.

Taka silna, a się tnie. Zabawne.

Zaraz, czy ona nie mówiła, że mi przywali?

Wybucham śmiechem.

Dziewczyna szybko kończy pakowanie i wychodzi bez słowa.

Całą noc śpię odwrócona twarzą do nowej. Mimo że leży tyłem do mnie, z pewnością czuje na sobie mój wzrok, kiedy szepczę do siebie. Nie mówię nic konkretnego. Ona jednak nie słyszy dokładnie moich słów i za każdym razem, gdy otwieram usta, mimowolnie się wzdryga.

Rozdział 24

Nowa ciężko znosi stres. Gdziekolwiek się nie ruszy, ja, niczym cień, idę za nią. To oczywiście nie polega na tym, że jeśli się ukryje u siebie w pokoju, to stanę za okienkiem i będę się na nią gapić. Ale wystarczy, że siedząc na kanapie, tylko czekam, aż wyściubi nos ze swojej sali.

Nie odzywam się do niej ani słowem, lecz nie spuszczam jej z oczu, wciąż zaciskając wokół niej pętlę. Na początku stara się mnie ignorować, im jednak dłużej to trwa, tym większą dostrzegam w jej ruchach nerwowość. Za wszelką cenę stara się mnie unikać, ale przecież nie może przestać jeść. A te trzy posiłki mi wystarczą, by już po kilku dniach trafiła na ścisłą.

Jest jak zaszczute zwierzę.

Ja zaś czuję się tak dobrze jak nigdy dotąd. Całkowicie skupiam się na niej, co pozwala mi uciec od niechcianych myśli, a przy okazji doświadczać uczuć, które do tej pory pozostawały dla mnie zagadką. Obślizgłe podniecenie za każdym razem, gdy odwróci wzrok. Wewnętrzny okrzyk triumfu, gdy zadrży na mój widok. Migotliwą ekscytację przyprawiającą mnie o szybsze bicie serca.

Czuję się trochę jak w innym świecie, w którym istniejemy tylko my dwie. Nie zwracam większej uwagi na Agnieszkę, która wciąż dzielnie przy mnie trwa, w milczeniu przypatrując się mojemu zachowaniu. Nie myślę o Maćku, Czarnej, Norbercie, Racheli, rodzicach, ośrodku, o tysiącu spraw, które mnie męczą. Jest tylko to niewidzialne połączenie między nami dwiema, którym torturuję ją, nie bez pomocy innych. Jej nowe koleżanki tylko podsycają w niej strach, nieustannie ją przede mną ostrzegając, tak jakbym mogła nagle rzucić się jej do gardła.

Ta sytuacja ma w sobie coś niesamowitego. W końcu nic takiego nie robię. Po prostu nieustannie podążam za nią wzrokiem. A jednak dziewczyna z dnia na dzień jest w coraz gorszym stanie, zamyka się przed innymi, chowa w pokoju.

Teraz rozumiem Norberta.

Chwileczkę.

To przecież nie ma żadnego związku. Może sytuacja jest analogiczna... To znaczy podobna... Wykazuje pewne cechy podobieństwa. Ale dużo więcej różnic. Na przykład... Ja jej nie grożę. No i tylko patrzę, nic więcej. Tak jak on przez ostatnie dwa mie...

Lola, daj spokój.

A co, jeśli rzeczywiście stają się taka jak on?

To przecież niedorzeczne. Nawet nie waż się z nim porównywać. On jest potworem, a tobie po prostu się nudzi. Ten chłopak sprawił, że byłaś gotowa zrobić sobie krzywdę, byle tylko...

Jest na ścisłej.

Jasna cholera.

Ze złością zrywam się z krzesła, zostawiając nietknięty obiad na stoliku.

Czuję się jak balon napompowany do granic możliwości. Siedzę na łóżku, bezmyślnie wpatrując się w szybę, nie zauważam siedzących za nią pielęgniarek. Wbijam paznokcie w łydki, próbując dać upust złości, ale oczywiście bez większego efektu. Ledwo hamuję się przed zdemolowaniem pokoju z wrzaskiem na ustach.

Jak mogło mi w ogóle przyjść do głowy, że jestem do niego podobna?! To chore.

Drzwi otwierają się. Agnieszka powoli wchodzi do sali, wpatrzona w swoje stopy.

- To nie najlepszy moment - uprzedzam ją.

Jej ręka wędruje do ust, a ich właścicielka lekko nagryza palce. Wyraźnie bije się z myślami. Mam złe przeczucia.

- Wypisują mnie - oświadczą w końcu.

Nagle ogarnia mnie nieprzenikniony chłód, od którego zaczynają trząść mi się ręce. Próbuję coś powiedzieć, ale nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku.

- Wychodzę za trzy dni, we wtorek.

Nie.

Po prostu nie.

- Jest sobota - mówię cicho. - Nikt się nie dowiaduje o wypisie w sobotę.

- Dowiedziałam się wcześniej, ale... - Odwraca głowę bokiem, włosy opadają, zasłaniając jej twarz. - Nie chciałam cię stresować.

Jakaś siła paraliżuje mnie, nie pozwala się ruszyć. Jak zaklęta wpatruję się w Agnieszkę, czując w sobie miliony uczuć, których nie potrafię nazwać. A może nie chcę.

- Chyba będzie lepiej, jak już pójdę - oświadcza, odwracając się na pięcie. - Potem przyjdę, to pogadamy.

Wychodzi.

Zostawia mnie samą.

A kiedy wyjdzie, już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Co ja wyprawiam. Zostały mi trzy dni, a przecież traktuję ją jak najgorsze ścierwo. Jedyłą osobę, przy której zapragnęłam zmian. Dziewczynę, której zaufałam, dostając w zamian mnóstwo ciepła i miłości. Kogoś, kto przy mnie trwa. Dlaczego ją krzywdzę? Przecież ona nic mi nie zrobiła. Jest winna tylko temu, że zbliżyła się do niewłaściwej osoby.

Do potwora.

Jestem cholernym, obrzydliwym monstrum, które potrafi jedynie przelewać swoje emocje na innych. Wyzywam się na Adze, licząc na to, że w końcu mnie opuści, a jednocześnie gdzieś głęboko modłę się, by została. Nieustannie przekraczam kolejne granice, szukając tej ostatecznej, za którą pozostanie już tylko nienawiść. Dlaczego to robię?

Kim jestem? Czy ja naprawdę jestem tak okrutna, czy może to choroba? Czy mogę moje zachowanie wpisać w diagnozę, czy najzwyczajniej w świecie...

Jak mam na imię... Ile Loli jest we mnie, a ile mnie samej... Gdybym знаła odpowiedź na to pytanie, byłoby mi łatwiej. Czuję się pozbawiona kształtu, koloru, osobowości. Jestem nieokreślona. Gubię się, wciąż poszukując tożsamości.

Żałuję, że cię wybrałam. Teraz Aga cierpi, a ja mam tak niewiele czasu, by jej wynagrodzić ostatni miesiąc. Co mam zrobić? Błagać ją o wybaczenie? Może wytłumaczę jej, że to nie ja, że to moja choroba...

Ale to przecież nie do końca prawda. Chyba. Niby podjęłam tę decyzję świadomie, włożyłam maskę, by się bronić, ale...

Nic nie rozumiem. Kompletnie nic.

Ile we mnie jest czerni, a ile bieli?

Nie jestem taka jak kiedyś. Nie jestem bezbronna, wystraszona, skazana na innych. Ale mówienie, że jestem całkowicie zła, jest pozbawione sensu. Przecież to nieprawda. Mam uczucia. Gdzieś pod tą warstwą Loli. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Błądzą gdzieś we mgle, pozbawiona własnej tożsamości, próbując odnaleźć się wśród kolejnych masek, które zakładam. Ktoś stawia drogowskaz, a ja za nim idę. Przejmuję cechy ludzi, którymi się otaczam, sprawdzając, czy do mnie pasują, przymierzając jak ubrania. Nie wiem,

kim jestem i kim chcę być. Koniec końców zawsze wracam do punktu wyjścia.

Do Loli.

Ale przecież dzięki temu nikt mnie nie jest w stanie zranić, skrzywdzić. To ja tu jestem oprawcą, wytrącam im karty z rąk, pozbawiając możliwości bycia stroną, która odrzuca. To jedyne, co mogę zrobić. Jedyne, co mi pozostało. Tak panicznie boję się samotności narzuconej mi przez innych...

Jestem rozdarta między dniem a nocą, nie mogąc zdecydować się na jedno.

Ten czas pod koniec roku był jednym z najszcześniejszych, jakie pamiętam. Nie byłam sama, miałam kogoś, przy kim szczerze się śmiałam. Zresztą to nie tylko zasługa Agnieszki, przecież był jeszcze Maciek...

Dotykając bransoletki na mojej dłoni, przypominam sobie jego uśmiech. Ten chłopiec odegrał w moim życiu nie mniejszą rolę niż Aga. Wspierał mnie, dbał o to, bym się nie smuciła, nie odstępował mnie na krok. Pamiętam, jak śpiewaliśmy piosenki tamtego dnia przed świętami. Jego głos niósł się po sali, wypełniając ją cichą melancholią. Było mi tak cholernie smutno, a jednak czułam, że gdzieś przynależę.

Już nigdy go nie usłyszę.

Łzy napływają mi do oczu.

Dlaczego mnie znienawidziłeś? Przeżyliśmy na tym piekielnym oddziale tyle radosnych chwil. Wypisano by mnie, wróciłabym do domu, a potem zapisałabym się do

twojej szkoły. Dla ciebie mogłabym nawet powtarzać rok, byle mieć na ciebie oko. Tak bardzo się bałam, że zrobisz komuś krzywdę. Widziałam to każdego dnia. Twoje zaciśnięte pięści, gdy próbowałeś poskromić emocje. A jednak właśnie z mojego powodu nie wytrzymałeś. Przez taką głupotę, drobnostkę.

Ile to razy zastanawialiśmy się nad przyszłością, której wcześniej nie miałam. Siedzieliśmy razem z Agnieszką, snując odważne marzenia o życiu bez lęku. Wyobrażaliśmy sobie, jak spotykamy się po latach, pokryci zmarszczkami, i wzruszeni wspominamy każdą sekundę spędzoną razem. Żartowaliśmy sobie, że kiedyś musimy się umówić na wspólny miesiąc na oddziale, tak z sentymentu.

Wszystko stracone. Nie ma nadziei, radości, nie ma ciebie, nie ma mnie. Znowu jest Lola.

Chciałabym, żeby mnie coś przejechało. Tak żebym nie umarła śmiercią samobójcy.

Bawiąc się malutkimi koralikami, myślę o bólu, który mnie wypełnia. Smutek przelewa się to w jedną, to w drugą stronę, odrywając skrawki emocji, które tłumię w sobie od mojej ostatniej rozmowy z przyjacielem.

Nie chcę tego czuć.

Powinnam iść po leki, ale nie mam siły wstać.

Zamiast tego zalewam się łzami.

Podciągam kołdrę, chcąc zasłonić zaczerwienione oczy. Ktoś opada obok mnie, kładąc głowę na poduszce.

Wpatruję się prosto w szmaragdowe oczy.

- Co się stało? - pyta.

Jeszcze tego mi brakowało. W momencie, kiedy wszystko mi się wali, oczywiście Aga musi przyjść, żeby zdążyć mnie pocieszyć, nim wybuchnę. Ona ma chyba zamontowany jakiś czujnik bezpieczeństwa!

- Nieważne - rzucam, próbując się odwrócić, ale powstrzymuje mnie.

Co powinnam zrobić? Jeszcze nie zdążyłam podjąć decyzji. Nie wiem, czy mam ją przeproszać, czy dalej dręczyć.

- Chodzi o Maćka?

Niech ją piorun strzeli za te telepatyczne zdolności.

- Nie.

- To nie twoja wina.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Wzdycha z rezygnacją, lekko się odsuwając. Leżymy, czekając, aż któraś z nas postanowi się odezwać. Ja jednak w tej dyscyplinie nie mam sobie równych.

- Wiem, co próbujesz zrobić - oświadczam.

- Doprawdy? - drwię, nie mogąc powstrzymać gorzkiego grymasu.

Jak zwykle to samo. Zaraz się zacznie pogadanka.

- Próbujesz mnie odrzucić, żeby mieć powód - oznajmia, przymykając oczy. - Chcesz, żebym ci powiedziała, że cię nienawidzę, a wtedy ty będziesz mogła się załamać. Dostaniesz potwierdzenie, że jesteś sama i nie ma dla ciebie żadnej nadziei. Zamkniesz się w sobie,

założysz tę durną maskę i zadowolona pogrążysz się w chorobie.

Ciekawa interpretacja.

- Chcesz mieć alibi - tłumaczy. - Chcesz móc się nad sobą rozczulać, uzalać, dlatego robisz wszystko, żebym dała ci do tego motyw, odrzucając cię. Wtedy po prostu zrzucisz odpowiedzialność na wszystkich wokół. Powiesz: nikt nie jest w stanie mnie zaakceptować, jestem chora i niedobra, mam więc prawo się załamać. Będę szmatą, która zniszczy wszystkich dookoła, byle nie przyznać, że zwyczajnie się boję.

- Wystarczy. Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

- Tak - odpowiada, wbijając we mnie spojrzenie. - Chcę cię uprzedzić, że ci się nie uda. Nie poddam się, rozumiesz? Możesz mnie gnoić przez te trzy dni ile wlezie, ale ja i tak nie pozwolę ci myśleć, że mnie pokonałaś.

- Wynoś się - warczę, czując znajome skoki ciśnienia.

- Nie. I ostrzegam cię, że będę na ciebie czekać. A jak się już zastanowisz nad sobą, wtedy przyjdź. A co do Maćka...

- Nie waż się nawet o nim mówić - wołam, gwałtownie zrzucając z siebie kołdrę i podrywając się w ślad za Agnieszką. - Mogę znieść twoje mądrzenie się na temat mojego zachowania, ale nie pozwolę ci...

- Przełknij to wreszcie, on jest martwy! - woła. - Za to ty wciąż żyjesz i powinnaś to wykorzystać!

Nienawidzę jej. Mądry się, wtrąca w nie swoje sprawy, wiecznie za mną łązi, udając wszystkowiedzącą. Ze złością

zrywam bransoletkę z ręki, a połyskujące czarne kuleczki rozsypują się po podłodze.

- Mam go gdzieś - cedzę. - I tak nie był moim przyjacielem. Nie doszukuj się w jego śmierci szczególnego znaczenia. Nie znaczył dla mnie nic.

Po czym szybko wychodzę z zamiarem ubłagania pielęgniarki o coś na uspokojenie, równocześnie próbując uwierzyć w słowa, które wypowiedziałam.

Gdy wracam, zauważam, że koraliki zniknęły. Zmęczona emocjami kładę się z powrotem do łóżka. Choć bardzo tego nie chcę, słowa Agi wciąż dźwięczą mi w głowie. Wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób, ale chyba rzeczywiście coś w tym jest. Szukam usprawiedliwienia dla zamknięcia się w tej skorupie. Próbuję odrzucić od siebie wszystkich, żeby potem z czystym sercem móc rzucić się w objęcia Loli.

Co będzie, jeśli uda mi się dotrzeć do granicy? Jeśli usłyszę „nienawidzę cię”? Czy te słowa przyniosą mi ulgę? Pozwolą wreszcie całkowicie uciec od świata? A może sprawią, że tym razem się nie obudzę?

Nie chcę się nad tym zastanawiać.

Jestem niesamowicie śpiąca.

A więc jednak nie będę musiała martwić się ubywającą zawartością butelki szamponu. W niedzielne popołudnie, kilkanaście minut przed końcem odwiedzin, siostra Rachela pojawia się na oddziale. Nie wygląda najlepiej. Znacznie się postarzała, siateczka zmarszczek ożywa przy najmniejszym

ruchu mięśni pod cienką skórą zmęczonej, poszarzałej twarzy. Chcę czy nie chcę, ten widok wywołuje we mnie poczucie winy. Być może przyczyniłam się do jej stanu.

Bez słowa prowadzę ją do sali obserwacyjnej. Usłużnie przyjmuje od sanitariuszki krzesło i siada przy samych drzwiach, jakby w każdej chwili gotowa rzucić się do ucieczki. Dziwnie się czuję, gdy dzieli nas odległość ponad metra. W naszych umysłach urósł do całych kilometrów, skutecznie uniemożliwiając nam swobodną komunikację.

- Powinnaś coś wiedzieć - zaczyna drżącym głosem.

Oczywiście. W momencie, kiedy kompletnie sobie nie radzę z moim mózgiem, zaraz dowali mi informacjami na temat Norberta. Tak jakbym nie miała wystarczająco wielu powodów do zmartwień. No dalej, zniszcz mnie.

- Twój kolega Norbert miał wypadek - oświadcza, wpatrując się we mnie szklanymi oczami. - Spadł ze schodów, uderzając głową o kafelki. Ktoś wezwał pogotowie, ale niestety za długo zwlekano z operacją, krwiak narósł, doprowadzając do śpiączki.

Krwiak?

Śpiączka?

- Pomyślałam, że może chciałabyś go ze mną odwiedzić. Z pewnością ucieszyłyby go twoje odwiedziny - proponuje, wyraźnie walcząc ze łzami.

- Nie ma mowy - odpowiadam automatycznie, czując, że robi mi się niedobrze.

- Wiem, że to może być dla ciebie trudne, ale może powinnaś spróbować się przemóc. To był taki dobry

chłopak, zawsze...

Wyłączam słuch, nie chcąc dopuścić do siebie jej opowieści na temat Norberta.

Sama nie wiem, czy bardziej jestem zawiedziona, zła, smutna, a może nawet wystraszona. Nie potrafię wyrzucić z siebie myśli, że poniekąd jestem odpowiedzialna za to, co się z nim stało. To poczucie przeraża mnie, wbija mi się w serce wbrew mojej woli. Powinnam go nienawidzić, cieszyć się z jego nieszczęścia. Przecież to nawet lepsze niż śmierć. Nie ucieknie, będzie przykuty do łóżka, może przez całą wieczność.

Dlaczego nie czuję satysfakcji?

To właśnie konsekwencja zbliżania się do ludzi. Kolejna. Nad czym ja się w ogóle zastanawiam? Wciąż prowadzę tę nudną walkę między jasną a ciemną stroną mocy, zamiast po prostu wybrać tę, która oferuje mi bezpieczeństwo.

- Lola, czy ty mnie słuchasz?

Przerywam rozmyślenia i spoglądam na jej zrozpaczoną twarz.

- Nie bardzo.

Wydaje się dotknięta moją arogancją, ale przyzwyczajała się do tego bardzo długo, dlatego umiejętnie zmienia temat:

- Kiedy cię wypiszą?

- Jestem na obserwacyjnej - oświadczam, jakbym mówiła najbardziej oczywistą rzecz pod słońcem.

- Czyli?

- Czyli nie wiem. Może za miesiąc, może nigdy. A w każdym razie na pewno nie przed maturą.

- A to dlaczego?

- A to dlatego, że nie mam zamiaru wracać do ośrodka - wyjaśniam, krzyżując ręce na piersi. - Choćby i po moim trupie.

Zakonnica wytrzeszcza oczy ze zdumienia, zdziwiona moją deklaracją. Łapie krzyżyk wiszący na wysokości piersi i zaciska na nim kościste palce.

- Ale o czym ty mówisz, dziecko? Jak to nie masz zamiaru wracać? - dziwi się. - Pogodziłaś się z rodziną?

- Nie i nie zamierzam - prychnam, rozjuszona ostatnim pytaniem.

- Więc o co...

- No nie wiem, może o to, że mam dość bycia prześladowaną? - szydę.

- A ty znowu o tym... - Rachelę załamuje ręce i podnosi się z krzesła. - Chyba lepiej będzie, jeśli już pójdę, zanim znowu zaczniesz mi opowiadać te swoje wymysły.

Wymysły. Trzymajcie mnie!

- A może lepiej będzie, jak chociaż raz mnie wysłuchasz? - Wkurzam się.

- To nie ma chyba większego sensu.

Świetnie. Przyszłaś tu, opowiedziałaś mi o Norbercie, przez co znów dręczą mnie wyrzuty sumienia, dodałaś kolejną cegielkę do walącej się ściany, a teraz tak po prostu masz zamiar wyjść.

Tym razem ci nie pozwolę.

- Ja uważam, że jednak ma, dlatego ten jeden raz mnie siostra wysłucha - chrypię, czując wzbierającą frustrację. - Naprawdę nie wiem, po co siostrze ten habit, skoro daleko siostrze do wzoru cnót i dobroci. Przez cały ten czas spędzony w ośrodku... Niech mi siostra nie przerywa! - wołam, widząc, że zamierza zabrać głos. - Chociaż raz daj mi skończyć, kobieto! Cały ten czas byłam szykanowana, wyśmiewana, prześladowana, mogłabym tak wymieniać bez końca. Pół roku cięłam się prawie codziennie i choć wszyscy o tym wiedzieli, nie przypominam sobie, by ktokolwiek się mną zainteresował. Gdybym otrzymała choć ćwierć uwagi, którą obdarzaliście inne dzieciaki, może jakoś bym sobie z tym poradziła. Ale nie, bo przecież z jakiegoś powodu na to nie zasłużyłam. I tak po raz kolejny powiem, że nie próbowałam się zabić. Wkręcili mnie, tak jak robili to co jakiś czas, prześcigając się w pomysłach na upokorzenie mnie. Tylko że ja jestem silna, rozumie siostra? Jestem niezniszczalna. I nie potrzebuję nikogo. Ani siostry, ani rodziców, ani przyjaciół. Więc niech teraz łaskawie siostra wyjdzie i nigdy więcej mi się nie pokazuje na oczy. Bo jak Boga kocham, nie ręczę za siebie - kończę, trzęsąc się ze złości.

Zakonnica patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Byłam pewna, że się zdziwi, może zapłacze. Ale ona wygląda tak, jakby dalej mi nie wierzyła.

- Oj, Lola, Lola - cmoka z niezadowoleniem, kręcąc równocześnie głową. - Kiedyś, jak już dorośniesz, zrozumiesz swoje błędy.

Całe szczęście wychodzi, zanim mój i tak już potłuczony telefon rozbija się dokładnie w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stała.

Krzętam się po pokoju, kierowana kolejnymi uderzeniami gorąca. Motam się to w tę, to we wtę, odbijam od niewidzialnych ścian jak kauczukowa piłeczka z automatu. Bezowocnie próbuję poukładać w głowie piętrzące się myśli, ale płaczą się i nie pozwalają rozdzielić.

Herbata. To jest myśl.

Otwieram szufladę i na oślep losuję jedną z saszetek. Już dawno temu, nie przejmując się zbytnio utratą walorów zapachowych, wymieszałam różne rodzaje i wrzuciłam do wspólnego opakowania. W ten sposób pozbyłam się odwiecznego problemu i nie muszę już zastanawiać się pół dnia, którą wybrać. Wrzucam torebkę z mieszanką o smaku owoców tropikalnych do kubka i ruszam w stronę kuchenki.

Oczywiście jak pech, to pech. Akurat skończyły się odwiedziny i w pomieszczeniu zebrał się tłum pacjentów, wkładających do szafek to, co dostali od odwiedzających. Czekam więc, aż zrobi się nieco luźniej, i wchodzę dopiero, gdy w środku zostaje kilka osób. Nie zwracając na nie większej uwagi, nastawiam wodę i przysiadam na parapecie z zamiarem uratowania szczątków mojej komórki. Gdy w końcu składam telefon, wciskam długo przycisk zasilający, ale nie reaguje. Wyjmuję baterię i wkładam z powrotem, po czym ponawiam próbę. Po kilku razach,

gotując się złości, wstaję i maszeruję na drugi koniec, by cisnąć komórkę do kosza na śmieci.

Kiedy wracam, czajnik jest pusty, za to stojące przy nim kubki pełne. Patrząc, jak trzy osoby słodzą sobie herbatę, podczas gdy ja trzymam w ręce naczynie suche jak dno Jeziora Aralskiego.

Czuję, jak ogarnia mnie obłąd. Podchodzę do chłopca stojącego najbliżej, który właśnie odstawia opróżniony czajnik.

- Zagotowałeś wodę? - pytam tonem, który aż ocieka wściekłością.

- C-co? - Wysoki szatyn reaguje prawidłowo i podskakuje na dźwięk mojego głosu.

- Wstawiłam wodę. Poszłam wyrzucić coś do śmieci. Wróciłam. Wody nie ma. A przynajmniej nie tutaj. - To mówiąc, podnoszę mój kubek i zatrzymuję na wysokości twarzy. - Wiesz może, gdzie jest?

Dwie dziewczyny patrzą po sobie z przestraszonym wyrazem twarzy. Jedna z nich ciągnie drugą lekko za rękaw, sugerując jej taktyczny odwrót.

- Przepraszam, ja nie wiedziałem, że...

Kubek ląduje pod naszymi stopami. Chwilę później moja ręka zgarnia kolejny, pełen wrzątku, który rozpryskuje się na podłodze, wzbijając do góry gorącą herbatę. Trójka pacjentów szybko wycofuje się, nie czekając na ciąg dalszy.

- Nienawidzę was! - wrzeszczę jak opętana. - Wszystkich was nienawidzę!

Czajnik spada pod blat, a niewielka lodówka z hukiem uderza o linoleum, wyrywając gniazdko. Wypadam z kuchenki i rzucam się do parapetów na korytarzu, zrzucając z nich książki, krzyżówki, długopisy i kilka kolejnych kubków. Wszystko wokół czerwienieje, a ja zdzieram sobie gardło, wciąż wydzierając się na wszystko i wszystkich. Nie panuję nad emocjami, które mnie zalewają. Ten jeden raz nie ma w tym wszystkim ani krzty rozpacz. Zostaje odepchnięta gdzieś daleko w kąt, za obezwładniającą mnie wściekłość.

Pielęgniarki cierpliwie czekają, aż się uspokoję. Pan Krzyś stoi obok Agnieszki, uczeptionej jego ręki. Kiedy się do nich zbliżam, dostrzegam dziwny wyraz twarzy dziewczyny. Nawet nie stara się ukryć przerażenia. Cofa się jak oparzona, ciągnąc za sobą sanitariusza. Jej reakcja momentalnie wbija mnie w ziemię. To chyba pierwszy raz, gdy patrzy na mnie tak spanikowana. Czuję, jak pęka mi serce, a skóra na łydkach zaczyna promieniować bólem po oparzeniu. To jednak nic przy straszliwym rozgoryczeniu, które właśnie wdarło mi się do umysłu.

Niech mnie ktoś zabije.

Zmuszam każdą najmniejszą komórkę ciała do posłuszeństwa.

A potem posyłam Adze uśmiech szeroki od ucha do ucha, usiłując zasłonić uczucie zawodu, wstydu i...

I strachu?

Rozdział 25

W nocy kilkakrotnie się wybudzam, zrana potem. Za każdym razem mam wrażenie, że towarzyszy temu krzyk, ale nowa ciągle śpi jak zabita. Wtulam więc twarz w poduszkę i po chwili znowu zasypiam, by po jakimś czasie ponownie poderwać się w panice.

Coś jest nie tak.

I to bardzo.

Budzę się, a jednak mam wrażenie, że wciąż śpię. Chociaż nie przypomina to snu. To raczej takie uczucie...

Częściowej świadomości?

Lub nieświadomości.

Nie ma mnie.

Wydaje mi się to dziwnie znajome, ale nie potrafię tego nijak połączyć. Jak gdybym już kiedyś tego doświadczyła, ale bardzo, bardzo dawno temu, miliony lat przed naszą erą. Teraz zaś jestem, a nie jestem, a może tkwię gdzieś pośrodku.

W każdym razie coś nie gra.

Jest jakoś tak... Pusto?

Jakby od świata oddzielała mnie niewidzialna tafla szkła, wytlumiająca dźwięki, zniekształcająca obraz, sprawiająca, że oddycham z trudem, pozbawiona dostępu do powietrza.

Pościel jest obrzydliwie sztywna i nieprzyjemna w dotyku. Kiedy ociera się o wnętrze mojej dłoni, cofam rękę z obrzydzeniem. Całe ciało jest wstrętne mokrawe, a kołdra rozpaczliwie stara się wchłonąć pot. Odrzucam ją w nogi łóżka, przy okazji zauważając, że dzieje się to dziwacznie wolno. Kiedy stopami przesuwam ją coraz niżej, męczę się, jakbym zamiast kończyn miała dwie kłody ważące z tonę albo i więcej.

Poniedziałek.

To już jutro.

Co już jutro?

Wtorek.

Gdzie się podziały moje myśli? Zawsze było tu tak cicho?

Coś kłuje mnie w tył głowy. Próbuję to nazwać, ale nie potrafię. Dla próby wypowiadam po cichu nazwy wszystkich negatywnych emocji, jakie przychodzą mi na myśl, licząc, że przy którejś moja podświadomość zapali czerwoną lampkę.

Smutek, żal, gniew, zazdrość, tęsknota, złość... Ale złość to synonim gniewu. Co jeszcze... Poczucie winy, niepokój...

Niepokój.

Coś gdzieś dzwoni, ale jeszcze nie wiem, w którym kościele.

Być może powinnam poprosić o leki.

Być może nie.

Gdzie jestem?

Szumia szuwary, szumia szuwary, w szuwarach szare żurawie śpią.

Sufit jest szary, szary, przesuwają się to w prawo, to w lewo.

Szumia, szeleszcą, szumia, szeleszcą, ciekawe, o czym żurawie śnią.

Może powinnam wziąć z nich przykład.

Mój umysł posłusznie się wyłącza.

- Nie idziesz na śniadanie? - Skwarka zagląda do pokoju.

Śniadanie.

Posiłek, jedzenie, ludzie, pacjenci, stoliki, krzesła...

- Lola, dobrze się czujesz? Znowu chcesz leki?

Zjadłabym najchętniej całą garść, *madame*.

To w końcu styczeń.

Albo luty.

Gdzieś pomiędzy.

To ma jakąś nazwę?

- Dobra, bo nie mam czasu. Wstawaj.

Jej ręka podciąga mnie do pozycji siedzącej. Zarzuca na mnie szlafrok i przysuwa szmaciane balerinki. Posłusznie wsuwam je na stopy.

Owijam się, chroniąc ciało przed chłodem.

Idę, a nie idę.

Widzę moje postępujące nogi, ale ruchy są zautomatyzowane, mechaniczne, nieznośnie nienaturalne.

Niepokój.

- Przepuście nas.

Szare twarze rozstępują się. Pielęgniarka nakłada mi owsiankę, po czym prowadzi do stołówki. Grzecznie opadam na krzesło w rogu sali, rejestrując obecność talerza stojącego przede mną.

Łyżka.

Widzę w niej swoje odbicie.

Jedzenie stygnie.

Agnieszka siada przede mną.

Patrzę na nią.

Nie czuję nic.

Pusto.

Jak w wielkim hangarze opuszczonym przez ostatni samolot.

Pojedyncze myśli odbijają się echem, by po chwili zaniknąć, pożarte przez białą dziurę żerującą w moim mózgu.

Ciekawe, gdzie trafiają.

Może kiedyś je znajdę.

Ręce Agi drżą, owsianka spada z powrotem do miski.

Wszystko mi jedno.

Powinnam iść na lekcje?

Jeszcze „społeczność”.

Źle się czuję.

Chcę zasnąć.

Leżę bez ruchu, czekając na zbawienie.

Skwarka miała rację.

- Da mi pan coś?

- To znaczy?

- Dziwnie się czuję.

- Myślisz, że ma to jakiś związek z wypisem twojej...

- Da mi pan leki czy nie?

Obojętność.

Nicość.

Apatia.

W polekowym śnie jest coś niepokojącego. To tak, jakby ktoś zrzucił na ciebie ciężką kurtynę. W jednej chwili stoisz jak gdyby nigdy nic. W drugiej chwili spływa na ciebie tafla straszliwego zmęczenia, które ścina cię z nóg. W trzeciej śpisz.

Ale nie śniesz.

A jeśli nawet, to nie jest to sen, który chciałbyś pamiętać.

Rano budzisz się ciężki jak wagon pełen ołowiu, z poczuciem, jakbyś wcale nie spał. Jakbyś po prostu zamknął oczy na kilka sekund dłużej.

Nie ma w tym nic przyjemnego.

Ciemno?
Dlaczego jest ciemno?
To już wieczór?
Przespałam tyle godzin.
Nic się nie zmieniło.
Wciąż mnie nie ma.
Jestem jak kukielka.
Robot.
Lalka.
Martwe ciało.
I jeszcze bardziej martwy umysł.

- Kolacja.

Znowu jedzenie.

Przedostatni posiłek przy jednym stole.

Jutro o tej porze będzie daleko.

A ja...

Będę sama.

- Ale ja nienawidzę musztardy!

- Jedz, nie marudź.

- Ale proszę pani, to jest niesprawiedliwe, ona jest obrzydliwa!

- Jedz albo ci dołożę więcej.

- Ale dlaczego tego jest taka warstwa...

- Ale, ale, ale, ale skończ. Zjadaj.

Co to?

Coś znajomego.

- Nie chcę, nie ruszę tego!

Miłe uderzenie gorąca.

Nagle zalewające lodowatą skorupę.

- Powiedz to swojemu lekarzowi.

Niech się wreszcie zamkną, głowa od tego boli.

- Uważam, że to jest nie *fair*, że każecie nam jeść coś takiego! Jestem pewna, że sama pani by tego nie tknęła!

- Porozmawiajcie sobie z dietetykiem.

Parzy?

- Napisałyśmy już kilka listów, a ta kobieta cały czas nas olewa! Przecież...

Podrywam się z krzesła i gnam w stronę łazienek. Z impetem wpadam do kabiny, trzaskając drzwiami. Opieram się rękoma o ścianę, by nie upaść.

Emocje nagle zwały mi się na głowę, wszystkie naraz.

Z trudem siadam na plastikowej klapie, usiłując opanować drzenie ciała. Nogi łamią się pode mną, skórę pokrywają kwaśne kropelki, głowa pada na kolana. Koniuszki palców dotykają kafelków. Zaciskam oczy i otwieram usta, dysząc jak po przebiegnięciu maratonu. Dłonie wędrują do nóg, wbijam paznokcie w cienkie bawełniane dresy.

Spokojnie.

Oddychaj.

Nie dasz się ponieść.

Skup się, Lola, po prostu się skup, do cholery.

Wdech, wydech, wdech, wy...

- Co się dzieje?

Nie teraz, wyjdź stąd, proszę...

- Lola, spokojnie, oddychaj.

Zapach wanilii unosi się w powietrzu.

Przytula mnie, delikatnie gładząc włosy.

- Wyjdź - wykrztuszam.

Nie chcę jej widzieć. Nie chcę jej znać. Chcę o niej zapomnieć. Chcę, żeby wreszcie zniknęła z mojego życia, wyszła z tego cholernego psychiatryka i nigdy więcej nie pokazywała mi się na oczy.

Nienawidzę ich wszystkich. Tych rozmów, problemów, chorób, niedobrze mi, jak o tym słyszę. Chciałabym ich wszystkich zamknąć w ciasnym pudle i wrzucić na dno oceanu. Razem z całą ludzkością. Tylko ja i świat.

Ale nie mogę. Bo ona mi nie pozwala. Bo mnie dusi, dusi mnie tą swoją pieprzoną dobrocią, głupim uśmiechem, który i tak jutro przestanie istnieć. Zostawi mnie tak jak wszyscy. Okłamie. Oszuka. Brzydzą się jej. Wiecznie mi zawadza. Wchodzi z butami w moje życie, nie przejmując się, czy tego chcę, czy nie.

Mam dość.

Mam dość życia, dość świata, dość wiecznego pytania, kim jestem, kim byłam, kim chcę być.

Mam dość pustki w głowie i w sercu, co jakiś czas przerywanej chaosem, którego nie jestem w stanie kontrolować.

Mam dość poczucia winy, które wypełnia każdą komórkę mojego ciała.

Mam dość tego, że nie mam domu.

Mam dość braku celu, tożsamości, rodziny, przyjaciół.
Chcę tylko móc zniknąć.

Chcę, żeby ktoś krzyknął mi w twarz, że jestem potworem, że do niczego się nie nadaję. A wtedy będę się czuła rozgrzeszona. Zostanę sama, mój strach urzeczywistni się. A ja będę wolna. Od zbędnych nadziei i marzeń.

Od słabości.

Odpycham ją.

- Wynoś się - syczę.

- Nie.

- Wyjdź albo ci pomogę.

- Nie wyjdę - upiera się, pewnie zaglądając mi w oczy.

- Powiedz mi dlaczego. Wyjaśnij mi, proszę, z jakiego cholernego powodu za mną łazisz. Dlaczego nie chcesz zostawić mnie w spokoju. Powiedz.

- Przecież już ci mówiłam. - Uśmiecha się lekko, jeszcze bardziej mnie rozsierdzając. - Jestem twoją przyjaciółką i nie dam ci się tak łatwo poddać.

- I tyle?

- Tak. Może i dla ciebie to niewiele. Ja jednak będę na ciebie czekać. Jak tylko poczujesz się na siłach, zadzwoń do mnie. Wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

Idiotka.

Zwyczajna, wkurzająca idiotka.

Czego ona ode mnie chce? Każdy normalny człowiek na jej miejscu dałby sobie spokój. Nie wierzę, że robi to tylko dlatego, że uważa się za moją przyjaciółkę. Z pewnością to

też trochę za wiele, by tłumaczyć to samotnością. O co więc może chodzić?

Chyba że...

- Zakochałaś się? - pytam, nie próbując powstrzymać szyderczego uśmiešku.

Krew odpływa jej z twarzy, zostawiając przejrzystą połąć strachu.

Gwałtownie się podrywam.

Dziewczyna odskakuje jak porażona prądem, zahaczając jedną nogą o drugą. Uderza plecami o drzwi kabiny.

Och.

Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Ale chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak podniecona.

Cały świat kurczy się do rozmiarów orzecha, w którym tkwimy tylko my dwie. Ja i moja ofiara trzęsąca się ze strachu.

- Nie mów tak - mamrocze. - To nieprawda.

- Nieprawda? - Unoszę brodę, pokonując odległość jednego kroku tak długo, że mogłabym w tym czasie dwukrotnie obieć świat dookoła. - To czemu tak reagujesz?

- B-bo masz dziwny głos.

Jąka się.

Ratujcie mnie.

Co się ze mną dzieje?

Trzęsie się jak osika.

Czuję się przerażająco silna.

To uczucie mnie odurza.

Przysuwam się do niej tak blisko, że prawie dotykam jej nosem.

- Boisz się mnie?

Coś mi to przypomina.

Ale nie wiem co.

- Nie - odpowiada bezgłośnie, przełykając łzy.

- Może powinnaś.

Jej twarz kurczy się ze strachu.

Drzwi nie zamykają się na klucz, a klamkę ma kilka centymetrów od dłoni. Dlaczego nie wyjdzie? Wystarczy ją nacisnąć.

- Nienawidzisz mnie?

Kręci głową.

- Powiedz, że mnie nienawidzisz - rozkazuję.

- N-nie powiem - skamle, zalewając się łzami.

Uważnie obserwuję krople płynące po policzkach, spływające na szyję, wpadające w niewielki dekolt. Usiłuję złapać każdą z nich, nim zniknie pod białym swetrem.

Dlaczego nie wyjdiesz?

Dlaczego po prostu mi tego nie powiesz?

Dlaczego się nade mną znęcasz?

Próbuję znaleźć granicę.

Posuwam się coraz dalej, ignorując jej cichy płacz.

Ale ona tylko stoi jak słup soli, z zaciśniętymi powiekami, czekając, aż się poddam.

Mogłaby wyjść.

Powstrzymaj mnie.

Proszę.

Nie chcę siebie znienawidzić.

Kim ja jestem?

Potworem?

Aż tak bardzo potrzebuję, by ktoś mi to powiedział?

Krzywdzę ją.

Podnoszę poprzeczkę wyżej i wyżej, za każdym razem myśląc, że otworzy drzwi i ucieknie.

Ale nie rusza się.

Duszę się.

Nie mogę oddychać.

Złość i podniecenie opuszczają mnie, zostawiając miejsce dla rozpacz.

Dla strachu.

Co ja robię?

Przestań, Lola.

Zostaw ją.

Po prostu ją puść.

Niech odejdzie.

Wystarczy, że to powie.

- Nienawidzisz mnie?

Jestem potworem.

- Nienawidzisz mnie?

To mój głos?

Brzmi dziwnie cienko...

- Aga, proszę...

Jej dłoń ląduje na moich włosach.

Rozwieram powieki.

Wlepia we mnie smutne spojrzenie zapuchniętych oczu.
A potem uśmiecha się lekko.
Tak jakby próbowała mnie pocieszyć.
Rozpadam się na tysiące kawałeczków.
Z wrzaskiem uderzam pięścią tuż obok jej ucha.
Słyszę trzask kości.
- Wynoś się.
Drzwi otwierają się.
Wychodzi, przytrzymując się ściany.
Zostawia mnie samą.
Skuloną.
Martwą.

Brzydzę się samej siebie. Szlocham bez końca, oparta o ścianę łazienki, próbując wyrzucić z siebie choć trochę emocji. Mam ochotę zmyć z siebie cały ten brud, zedrzeć go razem ze skórą.

Nie powiedziała, że mnie nienawidzi.
Uśmiechnęła się.
Ale koniec końców - uciekła.
Wygrałam.
Jestem wolna.
Ale za jaką cenę.

Zasypiam odurzona lekami. Zanim jednak padnę w objęcia Morfeusza, udaje mi się sprecyzować, co czuję. Nie jest to radość, lecz rozpacz.

Zaciskam palce zdrowej ręki na usztywnionej dłoni, pulsującej kłującym bólem zagłuszonym przez kilogramy

tabletek. To mała kara za to, co zrobiłam. Chcę do niej pójść i błagać ją o wybaczenie. Wiem jednak, że jest za późno. Osiągnęłam swój cel. Złamałam ją.

Chciałabym umrzeć.

Jutro o tym pomyślę.

To takie dziwne, kiedy człowiek uświadamia sobie, że nie czuje do siebie nic prócz nienawiści. Nagle wszystko staje się jasne. Budzisz się, a cały świat wydaje się nierealny, jak gdybyś był zamknięty w nieistniejącym wymiarze. Wstajesz i ubierasz się, nie myśląc, nie czując. I nie ma w tym pustki. Jesteś świadomy. Ale równocześnie jesteś martwy.

Twoje ciało funkcjonuje, usilnie podtrzymując cię przy życiu. Jak gdyby nie zdawało sobie sprawy z tego, że twój umysł już leży pogrzebany pod ziemią, wciąż wykonuje podstawowe czynności, nie porozumiewając się z centralą. Mówisz, jesz, myjesz się, patrzysz przez okno, leżysz w łóżku. Niby wszystko jest jak dawniej, ale tylko z zewnątrz. Tylko ty wiesz, że w środku już się poddałeś. A kiedy już się poddałeś, nagle wszystko robi się prostsze.

Nie mam już powodu, by walczyć z sobą. Straciłam ostatnie, co podtrzymywało mnie jakoś przy życiu. Zawiodłam wszystkich. Rodzinę, przyjaciół, każdego człowieka, którego spotkałam na swojej krętej drodze. I teraz, kiedy we wtorkowy poranek siedzę na podłodze w sali terapii, nagle zdaję sobie sprawę z faktu, że nie ma

na całym świecie nikogo, kto by mnie kochał. Wszystkich, którzy byli na tyle nierozsądni, by obdarzyć mnie tym uczuciem, zraniłam jednego po drugim, chcąc udowodnić sobie, że takie jest moje przeznaczenie. Że Lola to potwór, którym było dane mi zostać.

Gdybym umarła w listopadzie, prawdopodobnie ktoś by jednak nade mną zapłakał, chociażby siostra Rachela. Gdybym umarła teraz w styczniu, Agnieszka załamałaby się. Dzisiaj jednak jestem pewna, że nie tylko nikt by za mną nie tęsknił, ale i że znalazłoby się parę osób, które splunęłyby na moje zimne ciało. Ktoś powiedziałby, że byłam dziwką, ktoś inny przyznałby, że stanęłam na jego drodze do wyzdrowienia. Nie, wbrew pozorom to nie jest absurdalne. Moje docinki, uwagi, dla postronnego obserwatora może głupie i infantylne, dla nich były czymś straszliwym. Za każdym razem, gdy zalekniona osoba wychodziła z pokoju, za każdym razem, gdy starała się zawałczyć ze swoim problemem, ja szybko udowadniałam jej, że nie ma to żadnego sensu. Tak było z każdym. Trwało to może niedługo, ale tu, na oddziale, czas płynie szybciej.

Koniec końców wiem jednak, kim jestem. Lola nie jest maską, jest mną. Jestem potworem, takim jak ci skazańcy mieszkający niedaleko. Nienawidzę siebie za to, ale równocześnie czuję ulgę. Nie muszę szukać, nie będę już błądzić. Odpowiedź nadeszła, wyciągnęłam ją z siebie siłą i postawiłam na komódce. Teraz powinnam ją podziwiać, napawać się nią. Niestety nie ma w niej nic pięknego. Jest brzydka, brudna, zniekształcona. Najchętniej wyrzuciłabym

ją, ale wtedy nie pozostanie mi nic. A ja chcę wiedzieć, kim jestem, gdy będę umierać. Zasługuję chociaż na tyle.

Siedzę tak i płaczę w nieskończoność. Nieskończoność trwa może minuty, godziny, a może i kilkaset lat. Może kiedy uniosę głowę, wokół mnie będzie tylko pusta połać, pokryta szarym pyłem.

Nie wiem, co mam sobie powiedzieć. Nie wiem, czy mam się pocieszać, czy ganić. Nie wiem, czy mam już teraz rzucić się na żyletkę współlokatorki, czy poczekać do wieczora. Nie wiem, czy pisać list, bo i do kogo miałabym go adresować? Przecież gdybym miała zacząć przeproszać, to umarłabym śmiercią naturalną. Moja lista ofiar nie ma bowiem końca.

Lekko uchylone drzwi otwierają się z piskiem. Nawet nie reaguję, nie widzę większego sensu. Jeśli ktoś miałby się teraz ze mnie śmiać, proszę bardzo. Zasługuję na to jak nikt inny.

Ktoś przytula mnie mocno.

Wanilia?

Podnoszę głowę, próbując coś dostrzec przez warstwę łez.

- Wiem, już wychodziłam, ale... - urywa, żeby otrzeć mi łzy rękawem. - Myślałam, że przyjdiesz. Poprosiłam rodziców, żeby chwilę poczekali.

Kładzie mi kopertę na podołku.

- Nie wiem, czy będziesz chciała to czytać - szepcze, spuszczając wzrok. - Ale w razie gdybyś jednak tego nie zrobiła, to pozwól, że zdradzę ci zakończenie.

Nienawidzę cię.

Wreszcie to powiesz, tak? Może i dobrze. Dobij mnie.

Chcę móc umrzeć.

- Wybaczam ci.

Rozdział 26

26 stycznia 2015, przystanek Wariatkowo

Mam nadzieję, że bawi Cię sposób, w jaki nazwałam to miejsce. Od razu na wstępie chciałam Cię uprzedzić, że mój list może być trochę chaotyczny. Wybacz mi to. Poza tym możesz mieć problemy z rozczytaniem, w końcu jest zupełnie ciemno. Świecę sobie komórką, ale to niewiele daje. Powinnaś sobie poradzić.

Na początku chciałam Ci wyjaśnić, dlaczego w ogóle to piszę. Nie chciałam tego robić. Chyba do końca wierzyłam, że się poddasz i po prostu pogadamy tak jak kiedyś. Ale teraz już wiem, że nie mogę na to liczyć. Dlatego wyciągnęłam kartki i wzięłam się do roboty. Przepraszam za paskudną kopertę, nie miałam normalnej, więc po prostu złożyłam papier i skleіłam. Przykro mi, to naprawdę powinno wyglądać porządnie...

No więc piszę to, bo jest wiele rzeczy, które chcę Ci powiedzieć, i wierzę, że dotrwasz do końca, bez względu na to, co przeczytasz. To dla mnie ważne, w końcu nie

rozmawialiśmy praktycznie przez miesiąc, a tyle się zmieniło i... wydarzyło?

Spróbuję to jakoś uporządkować.

Może zacznijmy od tego, jak tu trafiłam. To znaczy nie od przyczyn, bo przyczyny znasz, właściwie to wiesz o mnie wszystko. Ale chcę, żebyś zrozumiała, dlaczego się nie poddałam. I dlaczego wciąż tego nie robię.

Nie, nie jestem w Tobie zakochana. Tak, wiem, jesteś naprawdę piękna, ale chyba to za mało, żebym Cię obdarzyła właśnie takimi uczuciami. Oczywiście kocham Cię nad życie. Jesteś dla mnie jak starsza siostra, którą nie wiedzieć czemu to ja się opiekuję. Chyba powinno być na odwrót...

Kiedy tu przyszłam, byłam przerażona. Oczywiście już wcześniej chodziłam na terapię, ale to był dla mnie szok. Nawet nie sama myśl o psychiatryku. Ja po prostu naprawdę liczyłam się z myślą, że już się nie obudzę. Było mi naprawdę żal. To oczywiście nie była jakaś planowana próba samobójcza, tylko działanie pod wpływem chwili, jak to mówi mój tata. Ale wiesz, myślę, że i tak bym to zrobiła. Może dzień później, może tydzień. W końcu by do tego doszło.

No więc trafiłam tu, do szpitala, całkowicie rozbita. Z jednej strony strasznie tego żałowałam, to znaczy tej próby, bo dotarło do mnie, że byłam o krok od śmierci. Moi rodzice bardzo się martwili, a mnie było przykro, że ich naraziłam na taki stres. Z drugiej strony czułam zawód, że jednak żyję. Kiedy tu weszłam, byłam kompletnie

zagubiona. Nie wiedziałam, czego chcę. Leczyć się czy umrzeć?

I wtedy kazałaś mi biec.

Nigdy mi nie powiedziałaś, czemu mnie w to wciągnęłaś. A ja nie chciałam pytać. Wolałam wierzyć, że Ty też poczułaś takie dziwne coś, jakby ktoś Ci zrzucił kowadło na głowę.

Stałam na dachu szpitala, a wokół nas hulał zimowy wiatr. Ale nie było mi zimno. Powiem więcej, jeszcze nigdy nie było mi tak ciepło! Nagle wszystkie wątpliwości się rozwiały. Chciałam żyć. Jak idiotka rzucałam się na śnieg i robiłam aniołki. I byłam szczęśliwa. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się tak czułam. Przywróciłaś mnie do życia tak szybko!

I nie, nie po jednym dniu załamania.

Leczyłam się od kilku lat.

A tu nagle spotkałam Ciebie i wszystko obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. To było niesamowite. Praktycznie z minuty na minutę zapomniałam o smutku. Oczywiście zasypiając, znów wracałam myślami do moich problemów, ale wystarczyła mi świadomość, że jesteś obok. Mogę wstać i dotknąć tych Twoich strasznie długich włosów, poczuć, że nie jestem sama. Wiem, że dla Ciebie nie będzie to brzmiało głupio. Zbyt dobrze zdążyłam Cię poznać, by sądzić, że mogłabyś uznać moje słowa za idiotyczne.

Wbrew pozorom jesteście do siebie całkiem podobne.

Chłonełam każdą chwilę z Tobą, wciąż bojąc się wypisu. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co będzie dalej, kiedy już się rozdzielimy. Jesteś jedyną osobą, przy której nie muszę się bać. Jedyną. Staralam się nie myśleć o wyjściu. Skupiałam się na każdej drobnej sekundzie, chcąc wyryć ją sobie w pamięci. Zanim się zamknęłaś w sobie, udało mi się zebrać garść pięknych chwil, które razem przeżyliśmy. Każda wypita herbata, rozwiązana krzyżówka, partia pokera, wszystko to było tak niesamowicie magiczne!

Nie oceniałaś mnie. Pomagałaś mi, wysłuchiwałaś moich opowieści, moich smutków i obaw, radziłaś mi, byłaś obok. Nikt nie odegrał w moim życiu tak wielkiej roli jak Ty. Co dzień, zasypiając, chciałam się obudzić. Chciałam rozpocząć nowy dzień z Tobą obok.

Nie będę ukrywać, że to, co się z Tobą działo przez ostatni miesiąc, to było piekło. Mogłabym tego nie mówić, żebyś nie czuła się winna, ale nie lubisz, kiedy się Ciebie okłamuje. Więc zrobię to i napiszę Ci, że to były najstraszniejsze dni, jakie pamiętam. A to dlatego, że dałaś mi nadzieję, że ktoś może mnie akceptować. A potem za wszelką cenę chciałaś odepchnąć.

Niezliczoną ilość razy miałam wrażenie, że po prostu mnie nienawidzisz. Uczepiłam się mojej teorii, jak tonący brzytwy się chwyta. Wielokrotnie miałam wątpliwości. Jednak teraz jestem pewna, że miałam rację.

Ta myśl, że tak naprawdę wcale nie myślisz tego, co mówisz, jakoś pomagała mi się trzymać. Ale nie tylko to. Przede wszystkim to, co powiedziała mi Czarna. Nie wiem,

czy pamiętasz, ale w pewnym momencie wyznałaś, że nie wiem, co czujesz. A ja doskonale wiedziałam. Niedługo po śmierci Maćka, kiedy nagle zaczęłaś świrować, skontaktowałam się z nią. Znaczący z Czarną. To wszystko mi nie pasowało. Byłam pewna, że ten dziwaczny stan, w jaki wpadłaś po przepustce, i jego samobójstwo były jakoś powiązane. Zadzwoiłam więc do niej i ubłagałam, by mi wszystko wyjaśniła.

I teraz mam Ci do powiedzenia tylko jedno.

Jesteś idiotką.

Jesteś po prostu idiotką!

Czarna oczywiście nie wiedziała, co się stało po tym, jak uciekła, ale domyśliłyśmy się, że Maciek musiał Ci coś powiedzieć. Obstawiamy, że próbował rzucić na Ciebie winę. Nie wiem, czy rzeczywiście tak było, ale Maciek przed śmiercią napisał do niej coś takiego: „Jestem winny, chory, dziki. Zraniłem osobę, której zranić nie chciałem”.

Oczywiście może chodzić mu o Norberta, ale Czarna mówi, że użycie słowa „zranić” sugeruje co innego. Szczególnie że to nie był cały SMS. Nie zdradziła mi jego treści w całości, a ja nie prosiłam. To z pewnością było coś intymnego. Ale ona obstawia, że chodzi tu o Ciebie. Może wcześniej pisał o tamtym chłopaku?

Podobno jest w śpiączce. Powinnaś wiedzieć.

Jeśli chodzi o Czarną, to próbuje o tym wszystkim zapomnieć. Powiedziała, że chce odciąć się od tego szaleństwa, zacząć nowe życie. Nie wiem, co u niej się dzieje, ale chyba bardzo to przeżyła. Nic dziwnego.

Zdradziła mi jednak, że ma olbrzymie wyrzuty sumienia, bo po tym wypadku nie odbierała od Maćka telefonów. A potem, kiedy przeczytała wiadomość, on już nie żył.

Przy okazji dowiedziałam się, jak zginął. Może nie powinnam Ci o tym pisać, długo się wahałam. Ale chcę być wobec Ciebie całkowicie szczerą, powiedzieć Ci o wszystkim. Podciął sobie żyły i połknął dwa opakowania leków przeciwbólowych. Nie miał szans. Przez to przede wszystkim.

Wracając jednak do Twojego poczucia winy. Rozumiem je.

Wiem, że możesz myśleć, że jesteś za to wszystko odpowiedzialna, to w końcu w Ciebie Norbert chciał uderzyć. Ale musisz zrozumieć jedno: Maciek.

Był.

Chory.

Chyba byłaś jedyną osobą, która tego nie dostrzegła. Nawet Czarna zwracała na to uwagę. Nie wiem, dlaczego Ty nie zauważyłaś jego różnych dziwactw. Wiem, że stracił nad sobą panowanie tylko dwa razy na oddziale, z czego jeden raz próbując Cię obronić.

Ale Ty nie chodziłaś na terapie grupowe.

Nigdy nie mówił wprost tego, co czuje, ale wystarczyło się dobrze wsłuchać. Gdzieś spomiędzy wersów wyzierało jego szaleństwo. Na jednym ze spotkań pani psycholog zapytała go, czy już pogodził się z tym, co stało się jego siostrze.

Tak, siostrze.

Nie mówił Ci o niej, prawda? Nikomu nie mówił. A kiedy został o nią zapytany, wybiegł z sali prosto do dyżurki. Pielęgniarki szybko dały mu leki. Powiedziałabym Ci o tym, ale błagał mnie niemal na kolanach. Jestem Twoją przyjaciółką, ale nie mogłam mu tego zrobić. Teraz jednak mogę zdradzić Ci to, co mi powiedział. Nie powinnam była tego robić, ale wymusiłam na nim wyjaśnienia. Powiedziałam, że jak mi wszystkiego nie wyjawisz, to powiem Tobie, a Ty już mu nie dasz spokoju.

Przez chwilę myślałam, że mnie uderzy.

Maciek ma siostrę, niewiele młodszą. W tym momencie jest w drugiej, może trzeciej klasie gimnazjum, nie pamiętam. Była od niego słabsza, więc to jej się dostawało. Regularnie. To było, zanim zamieszkała z dziadkami, a on zaczął wyżywać się na innych. Jego siostra była niezwykle utalentowana, grała na wiolonczeli. Podobno rodzice jeździli z nią na konkursy po całej Polsce. Ale on jej to odebrał. Nie chcę napisać, że niechcący złamał jej palce. Nie wiem, co o tym myśleć. Wciąż biję się z myślami, czy Maciek jest ofiarą, czy może powinniśmy go traktować jak oprawcę. Praktycznie zmiążdżył jej kości. Odbyła się skomplikowana operacja, ale było już po marzeniach. Dla bezpieczeństwa dziadkowie zabrali ją do siebie. Podobno wszystko prawie skończyło się rozwodem, bo ojciec nie chciał zabrać Maćka nawet do żadnego psychologa, nie widział problemu. Mówił, że po syn prosto gorzej radzi sobie z agresją. Nawet ta tragedia do niego nie przemówiła. Za to mama przez jakiś czas zamieszkała osobno, razem

z siostrą Maćka. Po jakimś czasie jednak doszli do porozumienia. Może dlatego, że jego tata kompletnie nie radził sobie z wybuchami złości syna.

Myślisz, że Maciek był zły?

Bo ja nie wiem, co o nim sądzić. Nie zdążyłam się do niego przywiązać, dlatego może moja ocena jest bardziej obiektywna. Nie powinnam tak mówić, ale myślę, że był niebezpieczny. A to tym gorsze, że jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś tak spokojnego, dobrodusznego... Tak jakby urodził się, by dzielić się uśmiechem z całym światem.

Nie rozumiem tego.

Wiem, że bardzo go kochałaś. Zaufałaś mu. Dlatego nie będę dalej tego roztrząsać.

Jeśli jednak obwinił Cię za wypadek Norberta, to wiedz, że nie powinno mieć to dla Ciebie żadnego znaczenia. Powiedział to na tej zasadzie, na jakiej Ty mówiłaś, że mnie nienawidzisz. Próbował zakłamać rzeczywistość, odrzucić prawdę. Pamiętaj też, że w tamtym momencie, jeśli dobrze się orientuję, mógł nawet myśleć, że ten chłopak jest martwy.

Wzbudził w Tobie poczucie winy, które zwyczajnie Cię zniszczyło. To było dla Ciebie za dużo. Tak mi się wydaje.

Gdy to sobie uświadomiłam, łatwiej było mi to wszystko znieść.

Nie jesteś zła.

Chyba po prostu wpadłaś w pułapkę skrajności.

W kopercie jest bransoletka. Jak widzisz: nie jest czarna. Ale nie jest też biała. To kolejne koraliki: coraz ciemniejsze, a z powrotem coraz jaśniejsze. Widzisz? Pomiedzy czernią a bielą jest jeszcze tyle odcieni szarości!

Myślisz, że to głupie?

Nie, Ty powiedziałaabyś: infantylne.

Ale ja tak nie uważam. Myślę, że to bardzo mądre. I jeśli wciąż to czytasz, chcę, żebyś ją nosiła. Zapomniałaś o najprostszej rzeczy pod słońcem!

Nie jest się albo czarnym, albo białym.

Nikt nie jest jednoznacznie zły bądź jednoznacznie dobry.

Jesteśmy dziwacznymi mieszankami, szczególnie w tym wieku. Myślisz, że tylko Ty nie potrafisz się odnaleźć? Nie obraż się, ale myślę, że co druga osoba w naszym wieku ma ten sam problem. Tylko że u Ciebie rozrósł się on tak straszliwie, że całkowicie pozbawił Cię jakiegokolwiek poczucia własnego... jestestwa? To słowo brzmi jakoś tak mądrze. Lepiej by wyglądało, gdyby znalazło się pod Twoim długopisem, a nie moim.

Uparłaś się. Uparłaś się, że nie chcesz być aniołem, więc zostaniesz demonem.

Ale wiesz co?

Jesteś tchórzem!

Zawsze myślałam, że jesteś odważna. Nic bardziej mylnego. Teraz wydaje mi się, że już ja mam w sobie więcej siły od Ciebie.

Najprościej odrzucić wszystkich i wszystko. Stwierdzić: ja jestem ta zła, a wy się ten tego (wybacz, ja przeklinać nie będę).

(I Ty też nie powinnaś).

Boisz się. Boisz się tego, co ja. Samotności, na którą skazał nas ktoś inny. I to jest powód, dla którego wciąż siebie szukasz.

Ty po prostu szukasz nie tam, gdzie trzeba.

Uparłaś się, by żyć pod innych. To widać. Rozpaczliwie pragniesz aprobaty, tak wiem, to brzmi głupio, zważywszy na Twoje zachowanie przez ostatni miesiąc, ale taka jest prawda. Ty po prostu strasznie chcesz być zauważana, doceniana, a co za tym idzie, lubiana.

Tylko że zdałaś sobie sprawę z tego, że kiedy jesteś sobą – nie potrafisz nikogo przy sobie utrzymać.

Opowiadałaś mi o tym, pamiętasz?

Mówiłaś o tym, że jako dziecko płakałaś za ojcem całymi nocami. Nie rozumiałaś siostry, która twardo się nie dawała, myślałaś, że coś z nią jest nie tak. I co? Kiedy ktoś Twój płacz nazwał oznaką słabości, co zrobiłaś? Przestałaś płakać. Próbowалаś stać się taka jak siostra. Ale Ty nie chcesz być taka jak inni. Przejęłaś jej siłę, a następnie rozbudowałaś ją, stworzyłaś z niej monstrualną budowlę aż pod samo niebo.

A kiedy poznałaś tego chłopca w gimnazjum? Tego, który traktował Cię jak małą dziewczynkę, bo stosowałaś się do zasad, słuchałaś rodziców itd.? Tak długo broniłaś się. Odmawiałaś. Nie chciałaś się zrywać, nie chciałaś palić,

pić. A jednak kiedy tylko zaistniało niebezpieczeństwo, że Cię zostawi, rzuciłaś się za nim. Szybko założyłaś kolejną maskę. Stałaś się osobą, która mogłaby mu zaimponować.

Lola narodziła się dużo wcześniej, niż mogłabyś przypuszczać!

Dopiero kiedy ten cały Norbert nazwał Twoją maskę słowami, poczułaś jej ciężar.

Ale wiesz, Lola tak naprawdę nie jest maską.

I (uwaga!) nie jest też Tobą.

Lola to schemat, sposób.

Jest chorobą.

Ucieczką.

Kiedy tylko działo się coś, z czym nie potrafiłaś sobie poradzić, gdy tylko czułaś, że Twoja „prawdziwa Ty” nie wytrzyma, ubierałaś maskę. Raz taką, raz taką. I to działanie to właśnie była Lola. Stała za każdym z tych przebrań!

Nie jesteś nią.

Jesteś sobą.

Tylko po prostu nie dostrzegłaś, że odpowiedzi nie masz szukać dwa lata wcześniej, cztery czy osiem. Odpowiedzi masz szukać w tym, jak zachowywałaś się przy mnie. Odpowiedzi masz szukać w momentach, kiedy zaczynasz się wycofywać i ubierać w strojne piórka, byleby nikogo nie utracić.

Nie jesteś czarna!

Nie jesteś biała!

Jesteś cholerną szarością!

I wiesz, co jeszcze? Wiem, dlaczego tak bardzo chcesz popadać we wszystkim w skrajności. Ty się panicznie boisz przeciętności. Ale to panicznie!

Nie chcesz być taka jak inni. Chcesz być wyjątkowa. Niezależnie od tego, czy miałyby to oznaczać bycie najlepszym, czy najgorszym. A ponieważ to drugie jest łatwiejsze, to właśnie tę opcję wybierasz.

Jesteś strasznie głupia.

Żeby ktoś tak mądry szedł na taką łatwiznę?

Powinnaś się wstydzić.

Teraz jednak, kiedy już wiesz, co o Tobie myślę, no i o Twoim problemie, chciałabym jeszcze napisać coś na temat Twojej przyszłości. Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

Po pierwsze.

Wiem, że uważasz chodzenie na terapię za idiotyczne. Ale to nieprawda. Poza tym wcale nie musisz być chora (bo przecież upierasz się, że nic Ci nie jest, żeby chwilę później sobie zaprzeczyć), żeby móc z niej skorzystać. Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie, zrób to dla mnie. I spróbuj zdobyć się na choć trochę szczerości, błagam!

Po drugie.

Nie będę Cię namawiać na kontakt z rodziną. Między wami wiele się wydarzyło, może nawet zbyt wiele. Ale szczerze wierzę, że jesteś w stanie się z nimi pogodzić! To moja kolejna prośba. Przełknij dumę, posyp głowę popiołem i tyle. Będzie dobrze, zobaczysz. Wybacz Ci.

Po trzecie.

Masz iść na studia. Wiem, że tego chcesz. Nie bój się więc. W razie czego wykorzystaj do tego oddział. Ucz się ile wlezie, z pewnością jeszcze zdążysz nadrobić zaległości. Nie powinnam tego pisać, ale w razie czego odwal coś, żeby Cię przypadkiem nie wypisali. Nie podoba mi się myśl, że miałabyś wrócić do ośrodka.

Po czwarte.

Uwierz.

A teraz na sam koniec.

To, co się działo przez ostatni miesiąc, było dla mnie prawdziwą torturą. Ale znam powód, wiem, dlaczego to robiłaś. Chcę, żebyś wiedziała, że będę czekać. Mówiłam to już kilka razy, wiem. Ale naprawdę tak będzie. Nie zapomnę o Tobie. Nie odetnę się. Wierzę, że dasz sobie radę. Odnajdziesz siebie. A kiedy to już się stanie, pomożemy sobie nawzajem. Znow będziemy się śmiać. Zaproszę Cię do siebie na noc i spokojnie zaśniemy. Zapomnimy o tym, co się stało, skupimy się jedynie na radości. A ja postaram się wymazać z głowy to, co stało się dziś wieczorem.

Wybaczam Ci.

Bo Cię kocham, siostrze. I tyle powinno Ci wystarczyć.

Wanilia

Epilog

Mam wrażenie, że czarne koraliki stały się jakieś bledsze, jakby wypaliło je październikowe słońce. A może to tylko złudzenie?

Naprawdę mi się nie chce. Chciałabym wrócić do mieszkania, położyć się i odpocząć trochę przed wieczorną zmianą. Ta robota mnie wykańcza. Gdyby nie napiwki, już dawno bym się poddała. Daleko bym nie pociągnęła za te marne grosze, które mi płacą.

W każdym razie mogłabym znaleźć tryliony zajęć ciekawszych od jechania na tę durną terapię, która nic mi nie daje. To już druga terapeutka, odkąd wyszłam ze szpitala. Z pierwszą jeszcze jakoś dało się dogadać, ale ta, do której chodzę teraz, to po prostu jakaś wariatka. I to ona ma mi pomóc? Sama powinna się zgłosić na leczenie. Poza tym męczy mnie to jej mówienie, że powinnam z powrotem zapisać się do psychiatry. Nie zgodzę się na to. Prędzej rzucę się pod pociąg, niż wezmę jakiegokolwiek leki. Całkowicie zagłuszają moje emocje. Oczywiście nie mówię tego ze stuprocentową pewnością, ale moje uczucia są zbyt zagmatwane, by jeszcze dodatkowo zastanawiać się nad

tym, które są „świadome”, a które sztucznie podrasowane przez psychotropę.

Jedyne, za czym tęsknię, to sen. Po wzięciu tabletki godzinę później padałam trupem. Bez tego straszliwie się męczę. Nie dość, że próbuję łączyć studia z pracą, to jeszcze po powrocie do tego miniaturowego mieszkania nie mogę spać. Nie żebym miała siłę na choćby ruszenie palcem. Ale mój mózg nie da mi zasnąć. Zsyła na mnie wszystkie demony przeszłości i każe mi się z nimi tłuc do upadłego.

Przeszłość. Właściwie niewiele czasu minęło. Niedługo stuknie rok, odkąd trafiłam na oddział.

Dziwne. Może powinnam urządzić sobie rocznicową kolację z tego powodu? Obejrzę jakiś film o psychiatryku, wychylę kieliszek, zapalę świeczkę. To wcale nie jest takie głupie. Zresztą, co innego miałabym z sobą zrobić?

Cholero ty jedna, kazałaś mi być sobą i co?

I jestem sama. Z nikim nie udało mi się złapać wspólnego języka. Mam wrażenie, że nigdzie nie pasuję. Tak jakby to, co się ze mną działo, napiętnowało mnie do końca życia. Nie mogę słuchać tych idiotycznych rozmów pozbawionych znaczenia. Kiedy słyszę o ich „dramatach”, mam ochotę odciąć sobie uszy. Nie wiedzą, czym są problemy, cierpienie, smutek. Nie rozumieją tego.

Słodka nieświadomości, może tak dla odmiany spłynęłabyś na mnie?

Ja jednak nie zmuszam się do kontaktu z nimi. Wolę być sama. Jasne, nie ma w tym nic przyjemnego, ale staram się

nikogo nie udawać. A ponieważ wciąż nie mam pojęcia, kim jestem, ograniczam się do bycia. Jestem tu, jestem tam, ta-ta-tam, po prostu istnieję. Chodzę na zajęcia, pracuję, mówię o sobie na terapii. Jestem. Jak tysiące innych mrówek w tym wielkim mieście. W wolnym czasie rysuję, maluję, ostatnio złapałam się na oglądaniu lustrzanek. Nie mam pojęcia, jak się nimi profesjonalnie posługiwać, ale kusi mnie, żeby się przekonać.

Cóż, w sumie jest nawet w porządku. Okropnie, ale stabilnie. Czasem mam ochotę palnąć sobie w łeb, ale to już u mnie naturalne. Generalnie jednak trzymam się. W wakacje zjechałam pół kraju, spotkałam mnóstwo ludzi. Znajomości były bardzo krótkie, ale napędzały mnie. Teraz jednak, kiedy już jestem na studiach, cholernie mi się nie podoba to wszystko. Nie studiowanie, ale ci ludzie. Są irytujący.

Nie ma co udawać, że z moim stanem psychicznym wszystko gra. Rzeczywiście jest nieporównywalnie lepiej, ale to wciąż za mało. Moja samotność mnie dobija. I moje myśli. One są najbardziej przerażające. Gdy widzę stłuczoną szklankę, nie uważam, by się nie skaleczyć. Bez ogródek zbieram odłamki, z zadowoleniem zauważając, że poraniły mi palce. A potem sobie wszystko przypominam, płaczę i zasypiam.

Często płaczę. Terapeutka mówi, że to dobrze. Dzięki temu nie gromadzą się we mnie emocje. Gówno prawda. Po prostu nauczyłam się nad sobą panować. W miarę. Choć nie chcę sięgać po leki nasenne, dla własnego bezpieczeństwa

te uspokajające mam zawsze przy sobie. Gdy czuję, że coś jest nie tak, tabletka ląduje w gardle. Sama świadomość podjęcia jakiegoś działania pomaga mi się uspokoić.

Ale nie siedzę w psychiatryku, więc najwyraźniej nie jest aż tak źle.

Zdecydowanie byłam tam zbyt długo. W końcu udało mi się dopiąć swego i dotrzeć aż do matury. Całe szczęście nie musiałam kłamać. A może to Rojkowski był zbyt inteligentny, by tak po prostu się nie połapać? W końcu przyznałam mu się do moich planów. Zrozumiał.

Chyba tęsknię nawet za tym jego kowbojskim chodem.

Cóż, zrealizowałam prawie wszystkie prośby Agi. Studiuję, lecę się, jako tako wierzę w lepszą przyszłość. Mniej niż więcej, ale to i tak więcej niż wcale. Jedynie sprawy rodziny nie ruszyłam. Po prostu nie potrafiłam. Potraktowałam to jak zamknięty rozdział, do którego nie ma sensu wracać. Wysłałam im z telefonu jednej z pacjentek po wiadomości, na którą składało się jedno małe „przepraszam”. Nikt nie oddzwonił. Może uznali, że to za mało, a może zrozumieli, co chciałam im przekazać. Kto wie, kiedyś być może będę gotowa, by się z nimi spotkać.

Ale nie dziś.

I nie jutro.

Poza tym dziś jest zbyt piękny dzień na takie rozmyślania. Gdybym nie musiała się kisić w tym rozklekotanym autobusie, pewnie nawet doceniłabym to w jakiś sposób. Może uśmiechnęłabym się do tych kilku chmurek.

Muszę w końcu pojechać na ten piekielny cmentarz. Może w weekend? Powinnam z nim pogadać. Najwyższa pora wybaczyć mu jego słowa. Może i byłam trochę zaślepiona, ale uwielbiałam go. Pewnie nie chciałam widzieć jego choroby. Tak jak nie chciałam widzieć mojej.

Zaraz będę musiała wysiąść. Nie chcę, nie chcę, nie chcę...

Oj, zamknij się. Rusz swoje śliczne cztery litery z tego brudnego siedzenia.

Och, uśmiechnęłam się. Jak ja siebie nienawi...

Czyjeś zielone oczy wpatrują się we mnie.

Stoi dwa metry dalej. Trzyma się poręczy, wlepiając we mnie spojrzenie. Ma piękny płaszczyk w kolorze zgaszonej czerwieni. Wygląda jak ucieleśnienie jesieni. Nic się nie zmieniła. Właściwie nie minęło wiele czasu, więc to pewnie nic dziwnego.

Chyba jest równie zdziwiona jak ja. Tylko że w jej oczach szybko zapala się ciepły uśmiech.

Co robić?

Mam podejść?

Uciec?

Pomachać jej?

Cholera jasna, co mam zrobić?

Gdzie byłaś? Co się z tobą działo? Jak sobie radzisz?

Jest tyle pytań, które chcę jej zadać.

Ale najpierw muszę wiedzieć, czy wciąż używa tej okropnej mgiełki o mdłym zapachu.

Ruszam w jej stronę, nie spuszczać z niej wzroku. Przeszując z nogi na nogę, czeka, aż podejde. Zapominam o otwierających się drzwiach. Niech szlag trafi terapię. I tak nie lubię tej kobiety.

Wpadam prosto na czyjąś klatkę piersiową. W tym samym momencie autobus rusza, pozbawiając mnie równowagi. Silna ręka w ostatniej chwili ratuje mnie przed pocałowaniem brudnej podłogi.

- Agnie... - zaczynam, ale gdy podnoszę głowę, postać górująca nade mną nijak jej nie przypomina.

Stoi tuż za nim, nie wiedząc, co zrobić.

- Och, czekaj! - woła chłopak, pomagając mi stanąć prosto. - Ty przypadkiem nie jesteś w drugiej grupie? Pierwszy rok?

Przyglądam mu się zmrużonymi oczami. Ładny.

Kurczę, a ja nie zasłoniłam blizn na szyi szalikiem.

No to po wielkiej miłości.

- Jestem pewny, że za tobą siedzę - ciągnie niezrażony.
- Wszędzie rozpoznam te włosy - śmieje się, mrugając do mnie okiem. - Piotrek - przedstawia się, wyciągając dłoń w moją stronę.

Zerkam na Agę. Energicznie kiwa głową.

Kiepska zachęta.

No, ale raz się żyje.

Wnuki się pośmieją.

- Lo... - zaczynam, ale głos więźnie mi w gardle.

- Lo? - Jego brwi niemal uderzają o sufit.

Agnieszka czeka. Wbija we mnie szmaragdowe spojrzenie, nasłuchując odpowiedzi.

Kim jestem?

I kim chcę być?

Jak się teraz zacznę nad tym zastanawiać, to nigdy się nie przedstawię.

Pieprzyć wszystko.

Niech się cieszy.

Idiotka.

Niepewnie podaję rękę.

Nie spuszczam jej z oczu.

Chcę widzieć jej triumfalny uśmiech, kiedy to powiem.

- Aniela.

Lola

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-547-4

© Aleksandra Białczak i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Barbara Kaszubowska

KOREKTA: Katarzyna Kusoń

OKŁADKA: Aleksandra Niesłuchowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

